ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO-LITERACKI

ROK 5 — WROCŁAW 1951 — Nr 2

Rękopis otrzymano 9 X 1951 Nakład 2.000 egz.
Druk ark. 12 ukończono 28 XII 1951 Papier dział. żeb. kl. V, 70×100, 80 g.

ZAKŁADY KARTOGRAFICZNE, WROCŁAW, KOŚCIUSZKI 29 — 1103/51 (F 2—31383)

SAMUEL SANDLER

WŚRÓD PRĄDÓW EPOKI[1]

1

Wśród wszystkich autorów, którzy od chwili ukończenia *Pana Wołodyjowskiego* zajmowali się *Trylogią* Sienkiewicza, panowała wyjątkowa zgodność odpowiedzi na pytanie dotyczące jej genezy społecznej. Wystarczyło przecież przeczytać sugestywne zamknięcie cyklu, które wszyscy pamiętamy: „Na tym kończy się ten szereg książek pisanych w ciągu kilku lat i w niemałym trudzie — dla pokrzepienia serc".

Można by rzec więcej; tendencję „pokrzepienia serc" odgadnięto już wówczas, gdy Sienkiewicz oddawał do rąk czytelnika dopiero *Ogniem i mieczem*. Wyjątkowo uczulona ideowo na ten typ problematyki artystycznej, na sztukę o tematyce historycznej, krytyka stańczykowskiej Galicji określała to zjawisko najdosadniej. Prekursorem był tu, jak wiadomo, Stanisław Tarnowski, który jeszcze w roku 1881 zachwycał się *Niewolą tatarską*, usiłując w tym utworze dopatrzeć się pozytywnego bohatera sienkiewiczowskiego[2]. Wywody krytyczne mające wykazać słuszność sugestii arystarcha stańczykowskiego utrzymywane były jeszcze w tonie daleko idącej ostrożności. Tarnowski pisał wówczas o Sienkiewiczu: „Jeżeli w powieściach odbiła się dobrze, to byłaby to może dusza dość staropolska, nie bez szlacheckich nawet instynktów, ale wystawiona naturalnie na różne wpływy wieku i posługująca się jego drażliwymi nerwami, może od nich zależna"[3]. Aby ta charakterystyka stała się możliwa do przyjęcia dla Sienkiewicza, musiało upłynąć jeszcze sporo lat. Musiało się jeszcze wiele zmienić na świecie i w Sienkiewiczu.

---

[1] Rozdział I studium *O Trylogii* Henryka Sienkiewicza przygotowanego dla Instytutu Badań Literackich.

[2] Stanisław Tarnowski, *Z najnowszych powieści polskich*, Przegląd Polski, 1881. W książce *Henryk Sienkiewicz*, Kraków 1879, s. 23.

[3] *Tamże*, s. 25.

Na razie rejestrujemy przejawy dopatrywania się tendencji pokrzepienia serc już jako echa *Ogniem i mieczem*. Tarnowski mówi dalej: „...taka powieść to nie jest tylko ozdoba i chluba dla literatury, nie tylko arcydzieło sztuki, nie tylko nauka historii każdemu przystępna i niesfałszowana, ale kordiał zdrowia dla społeczeństwa, a przez to dobry i, powiedzmy otwarcie, wielki czyn"[4].

Z tego samego kręgu krakowskiego wyszła rozprawa o *Ogniem i mieczem* docenta filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego Ignacego Skrochowskiego drukowana w *Przeglądzie Powszechnym* w roku 1884. Autor rozprawy, którego postawa wobec pierwszego ogniwa *Trylogii* dostarczy nam sporo wniosków do dziejów jej recepcji, powie *expressis verbis*, że Sienkiewicz pokazał w powieści samą duszę narodu, „święte źródło siły jego, którymi są Bóg, Święta Przeczysta i Patronowie Święci"[5]. Skrochowski był nie tylko serwilistą stańczykowskim, ale i współpracownikiem jezuickiego pisma. Toteż uzupełnia tylko hrabiowsko-profesorską konkluzję pisząc: „I tak stawia nam tu (Sienkiewicz — przyp. mój S. S.) na nowo żywo i wyraźnie, po prostu i szczerze ideał lat dawnych jako świeży ideał także i na dzień dzisiejszy..."[6]

Krąg galicyjsko-hrabiowski zamkniemy na Wojciechu Dzieduszyckim, który podczas dwóch odczytów lwowskich wygłoszonych w r. 1884 przyznaje, że największą zasługą autora *Ogniem i mieczem* jest odradzanie wspaniałych wspomnień i tradycji rycerskich[7]. Czyni to mimo licznych zarzutów, jakie stawiał Sienkiewiczowi przede wszystkim za to, że nie wskazuje „drogi przyszłych dziejów" i nie daje osądu okropnego obrazu „domowej wojny". Przyjdzie nam jeszcze wielokrotnie powrócić do apologetycznego przyjęcia *Trylogii*, a zwłaszcza jej pierwszej części, w zaborze austriackim. W Królestwie Kongresowym mówiło się o tendencji „krzepienia serc" chwałą polskiej przeszłości ze zrozumiałych względów ze znacznie większą oględnością. I trzeba to powiedzieć od razu, że w omawianiu *Ogniem i mieczem* oględności tej nie narzucała sama tylko surowość carskiej cenzury. Ważnym czynnikiem były tu także pozycje ideowe poszczególnych pism. Jako dowód niech posłuży naj-

---

[4] Stanisław Tarnowski, *Z najnowszych powieści polskich*, Przegląd Polski, 1884, W książce *Henryk Sienkiewicz*, Kraków 1879, s. 86.

[5] Ignacy Skrochowski, *Powieść z lat dawnych „Ogniem i mieczem" przez Henryka Sienkiewicza*. Odbitka z Przeglądu Powszechnego. Kraków 1884, s. 11.

[6] *Tamże*, s. 11.

[7] Wojciech hr. Dzieduszycki, *O powieści Henryka Sienkiewicza Ogniem i mieczem*, Biblioteka Warszawska, 1885. I i II, passim. Dwa odczyty Dzieduszyckiego, które złożyły się na rozprawę, były wygłoszone we Lwowie 10 i 12 października 1884 r.

bardziej apologetyczne echo przyjęcia *Ogniem i mieczem* na gruncie warszawskim, które zupełnie nie odbiega od głosów zachwytu i uznania wydanych przez galicyjskich reakcjonistów. W odpowiedzi na recenzję Chmielowskiego o *Ogniem i mieczem* zabiera głos w konserwatywnej Niwie z r. 1884 obskurant szlachecki Julian Łapicki, który po gwałtownym ataku na wybitnego krytyka pozytywistycznego powie o powieści Sienkiewicza: „Tak jest — to płomień rozbudzony w sercach drzemiącej społeczności, karmionej chudą strawą na wyjałowionym przez sceptycyzm ugorze; jest to przebudzenie się ducha, którego i monotonna nuta pozytywków warszawskich nie potrafi już ukołysać; to akcja żywa przeciwko wyłącznie panującej negacji, która zagrożona w swoich posadach wysyła najprzedniejszych szermierzy, ażeby żółcią i szyderstwem zalewali nowe zarzewie odradzającego się ducha"[8]. Jak sądzę, przytoczony cytat jasno dowodzi, że względy cenzuralne nie były wyłącznym hamulcem dla entuzjastycznych ocen pierwszej części *Trylogii*; Łapicki wypowiadał się zupełnie jasno i swobodnie. Jeśli ktoś mógł w tym zakresie być skrępowany, to najpewniej źle notowany w cenzurze Stanisław Krzemiński, powstaniec i członek Rządu Narodowego w 1863 roku, który w roku 1884 pisał recenzję o *Ogniem i mieczem*. Również jego wypowiedzi o powieści utrzymane są zasadniczo w tonie pełnego uznania (wytyka tylko drobne usterki). O „krzepiącym" aspekcie dzieła Sienkiewicza pisze jednak bardzo skąpo[9].

Ostatnia wzmianka należy się tu Prusowi, który był bodaj najbardziej przenikliwym krytykiem *Ogniem i mieczem*. W swojej recenzji wydrukowanej w petersburskim Kraju (1884) dokonuje Prus analizy tła historycznego i spostrzega trafnie jego zafałszowanie w powieści. W tym też kierunku idą jego najcelniejsze zastrzeżenia obalające także możliwe kontrargumenty. Te, które przewiduje, szczególnie nas zainteresują. „Jeżeli autor odpowie — pisze Prus — że nie miał serca dziś na zbolałym ciele odświeżać tej strasznej rany, uwierzę mu i uznam słuszność pobudki. Muszę jednak dodać, że w takim razie wojna kozacka nie kwalifikowała się za temat do powieści. Anglik może w plastycznej i barwnej formie rzucić w oczy swoim rodakom prawdę o Irlandii za czasów Kromwela. Innym ciężko"[10].

---

[8] Julian Łapicki, *Dzieło sztuki pod skalpelem pozytywisty*, Niwa, 1884, z. 230, s. 103.

[9] Stanisław Krzemiński, *Z burzy dziejowej*, 1884, przedruk w tomie *Nowe szkice literackie*, Warszawa 1911.

[10] Bolesław Prus, *„Ogniem i mieczem". Powieść z dawnych lat Henryka Sienkiewicza*, Kraj, 1884, nr 28—30. Cytuję za wydaniem: B. Prus, *Pisma*, 1950, t. XXIX, s. 50.

Z przytoczonych wypowiedzi, które by można obficie uzupełnić, wynika jasno, że intencje wypowiedziane wprost przez Sienkiewicza na ostatniej stronie *Pana Wołodyjowskiego* były dostrzeżone znacznie wcześniej. Po zakończeniu *Trylogii* wyjaśnienie jej ideowej genezy w duchu sugestii Sienkiewicza, to jest jako wyrazu dążenia do „pokrzepienia serc", stało się obowiązującym „dogmatem" nauki o literaturze. Należy jeszcze dodać, że z reguły nie wysilano się nawet, aby temu pojęciu nadać jakiś kształt historycznego ujęcia. Zadawalano się ogólnikiem o niewoli narodowej, o ucisku carskim, bez prób spojrzenia na mapę wydarzeń społecznych i politycznych okresu narodzin *Trylogii*. Dla udokumentowania tego twierdzenia należałoby przytoczyć nazwiska wszystkich dotychczasowych badaczy twórczości Sienkiewicza. Wszystkich z wyjątkiem jednego. O wyjątku później. Na razie przyjdzie nam się przyjrzeć w ogromnym skrócie rzecznikom tak powszechnie panującego poglądu na genezę *Trylogii*.

Jak wiadomo, początek poglądom na genezę *Trylogii*, jako wyrazu dążenia do „pokrzepienia serc", dał w dużej mierze także sam Sienkiewicz. Najpierw w zakończeniu *Pana Wołodyjowskiego*, następnie utrwalił go w znanej odpowiedzi na ankietę rozpisaną przez redakcję czasopisma Ś w i a t w 1913 roku. Pisał tam Sienkiewicz: „Jak powstaje pomysł artystyczny, na to trudno jest odpowiedzieć. Może on powstać pod wpływem wszelkich uczuć i idei osobistych, albo zaobserwowanych w otoczeniu pod wpływem prądów społecznych wypadków dziejowych, pod wpływem patriotyzmu i uczuć humanitarnych. Poddaje, a raczej podsuwa go czasem natura i jej zjawiska, czasem przeczytane książki, widziane obrazy, słowem: wszelkiego rodzaju pobudki działające na wyobraźnię artystyczną i jednocześnie na uczucia". Sens swojej opinii objaśnia tam Sienkiewicz przykładami z własnych utworów. I tak powie, że *Trylogia* powstała „z rozczytywania się w kronikach i pamiętnikach z epoki, którą odczuwałem artystycznie mocniej niż inne okresy — i z chęci pokrzepienia serc"[11].

To już gotowy schemat interpretacyjny, który stał się kanonem obowiązującym. Do roku 1946 nie znajduję żadnej pracy o Sienkiewiczu, żadnej opinii o *Trylogii*, która by się nie mieściła w tym schemacie. Rzecz godna zastanowienia — kanon interpretacyjny wysunięty przez Sienkiewicza przyjęli zarówno jego apologeci jak i przeciwnicy. Różniły

---

[11] Henryk S i e n k i e w i c z, *O własnej twórczości*, Ś w i a t, 1913, nr 23, przedruk w *Pismach zapomnianych i nie wydanych*.

ich odmienne oceny skutków „pokrzepienia serc" — to wiadomo. Dla Nałkowskiego[12] Sienkiewicz ożywiał „gnijącą szlachetczyznę", według przekonania Brzozowskiego „Sienkiewicz jest i czuje się przedstawicielem tych, którzy potrzebują nie prawdy, lecz pocieszenia"[13].

Wiemy, z jaką zaciekłością tenże Brzozowski atakował Sienkiewicza. Spod jego pióra wyszła najostrzejsza chyba ocena twórczości autora *Trylogii*, która brzmi: „Popularność Sienkiewicza pośród warstw ludowych to zaraza szlacheckiego lenistwa duchowego zaszczepiona mu"[14].

Sformułowanie Brzozowskiego dostatecznie charakteryzuje rozpiętość ataku; dodajmy, że kampania antysienkiewiczowska podejmowana przez Nałkowskiego co najmniej dorównuje mu, mimo że ten nurt krytyki w zakresie dociekań nad funkcją ideową *Trylogii* przynosi tylko zmianę formuły „pokrzepienia serc" na „pocieszenie" i nawet nie zwęża bazy oddziaływania. U Brzozowskiego pozostają jej podstawową częścią składową „warstwy ludowe".

A w obozie „wielbicieli" Sienkiewicza? Odpowiedź, jak to już było powiedziane, jest dokładnie generalizująca: dla wszystkich geneza społeczna *Trylogii* mieści się w abstrakcyjnej, ahistorycznej formule „pokrzepienia serc".

Ta jednolitość sądu pozornie zaskakująca tłumaczy się prosto i jasno. Sienkiewicz z jednej strony był — bo nie mógł nie być — przedmiotem badań, dociekań, sformułowań idealistycznych, którym ten typ pojmowania problematyki zupełnie wystarczał i odpowiadał. Z drugiej strony krytycy Sienkiewicza w rodzaju Nałkowskiego nie mogli podejmować odmiennej próby wyjaśnienia właśnie ze względu na ich ujemny sąd o aktualnej dla nich funkcji ideologicznej *Trylogii*.

Nim przyjdziemy do sygnalizowanego już „wyjątku", rzecz zrozumiała, że chodzi o próbę wyjaśnienia genezy społecznej *Trylogii* podjętą przez Stawara w jego cennym szkicu o Sienkiewiczu, na uwagę zasługuje artykuł Kazimierza Wyki pt. *Sprawa Sienkiewicza*. Na artykuł ten zwracam obecnie uwagę ze względu na próbę wyjaśnienia przez Wykę przejścia Sienkiewicza do powieści historycznej względami przede wszystkim czysto artystycznymi. Takie ujęcie zagadnienia nie daje klucza do wyjaśnienia genezy *Trylogii*. Wyka zresztą równocześnie szkicowo kreśli atmosferę umysłową w momencie pojawienia się jej

---

[12] Wacław Nałkowski, *Sienkiewicziana*. Szkice do obrazu, Kraków 1904, s. 74.
[13] Stanisław Brzozowski, *Współczesna powieść polska*, s. 72.
[14] *Tamże*, s. 76.

pierwszej części, podkreślając znamienne dla tego okresu objawy szerokiego odczuwania „znużenia hasłami pozytywizmu"[15].

„Ludzie — pisał Lenin — zawsze byli i zawsze będą głupiutkimi ofiarami oszustwa i oszukiwania samych siebie w polityce, dopóki nie nauczą się pod wszelkimi moralnymi, religijnymi, politycznymi, społecznymi frazesami, oświadczeniami, obietnicami odnajdywać interesów tych lub innych klas"[16].

Twórczości literackiej nie można oderwać od polityki, od praktyki społecznej. „Żyć w społeczeństwie i być wolnym od społeczeństwa nie podobna"[17]. Dla historyka literatury to wytyczna badania. Wyjaśnić genezę określonego zjawiska społeczno-literackiego można jedynie przez ukazanie jego konkretnych historycznych uwarunkowań społecznych. Tak, zupełnie słusznie, pojął swoje zadanie Stawar[18], trafnie wskazując, że problematyka powieści historycznych Sienkiewicza „występuje należycie w związku z bezpośrednią sytuacją polityczną w kraju, która wpłynęła na atmosferę powieści"[19]. Dotąd zgoda. Klucz do wyjaśnienia genezy ideowej *Trylogii* tkwi bezpośrednio w problematyce politycznej kraju. I dodajmy — aby nie popaść w jałowy socjologizm — w ujęciu społecznej orientacji Sienkiewicza. Oba składniki analizy są ze sobą oczywiście nierozerwalnie zespolone.

Warunkiem zadowalającego wyjaśnienia interesującego nas problemu jest poprawna interpretacja obu elementów analizy.

W jakim kierunku poszła pierwsza próba zastosowania ogólnych dyrektyw marksistowskiej metodologii w analizie genezy ideowej *Trylogii*?

Posłużmy się cytatami i możliwie najwierniejszymi streszczeniami. Stawar przypomina, że *Trylogia* stała się sygnałem zwrotu ideologicznego w kręgach mieszczańskich przeciwko tendencjom pozytywistycznym. Dokładniej — przeciwko tendencjom pozytywistycznym i postępowym. Nie dawała ona według niego jakichś nowych koncepcji, była tylko odwołaniem się „do wartości tradycyjnych, do żywiołowego konserwatyzmu określonych warstw"[20].

Wreszcie następuje efektowne wyjaśnienie charakteru przełomu sygnalizowanego przez *Trylogię*. Stawar pisze: „Wystarczy zestawić

---

[15] Kazimierz Wyka, *Sprawa Sienkiewicza*, Twórczość 1946, z. 6, s. 92.

[16] Włodzimierz Lenin, *Dzieła wybrane* w dwóch tomach. Wydawnictwo Literatury w Językach Obcych, 1940, t. I, cz. I, s. 53.

[17] Włodzimierz Lenin, *Organizacja partyjna a literatura partyjna, Dzieła* (w jęz. ros.) t. VIII, s. 386.

[18] Andrzej Stawar, *Sienkiewicz*, Kuźnica, 1946, nr 30—33.

[19] *Tamże*, nr 30.

[20] *Tamże*, nr 30.

pewne daty, aby ustalić istotny charakter przełomu zachodzącego wówczas w społeczeństwie polskim. Początek lat osiemdziesiątych cechują pierwsze aktywne wystąpienia socjalizmu w Polsce, wystąpienia partii „Proletariat". Socjalizm i u nas, jak wszędzie, powodował rozłam głęboki przede wszystkim wśród żywiołów postępowych"[21]. Przypomina więc Stawar, że rok powstania *Ogniem i mieczem* to rok powszechnego strajku robotników żyrardowskich, masowego poruszenia proletariatu warszawskiego, aktywnego działania „Proletariatu", policyjnych represji wobec robotników, zaciekłej kampanii Świętochowskiego przeciwko socjalizmowi (nie pierwszej zresztą ani najefektowniejszej).

Z tego zestawienia wynikają już dalsze wnioski, że „osobliwy żar w zobrazowaniu wojny domowej (w *Ogniem i mieczem* — przyp. mój — S. S.) szedł nie tyle z pamiętników, nie tyle z materiałów i opracowań, ale z gorących podmuchów bliskiej rzeczywistości w Żyrardowie, na przedmieściach warszawskich — pogłosów wojny domowej, która wołała wrzawą demonstracji, salwami żołnierzy, krzykami więźniów katowanych w cyrkułach policyjnych.

„W okrzykach zgrozy łączyli się przedstawiciele mieszczaństwa, ziemiaństwa z nie mniej oburzonymi intelektualistami postępowymi, którym zbliżająca się rewolucja rozwiewała miraż pracy organicznej i stopniowego, wolnego postępu.

„Tu mamy zasadniczy czynnik atmosfery, z której zrodziło się *Ogniem i mieczem*"[22].

Można by poprzestać na tym. Jak mi się zdaje, nie pominąłem żadnego zasadniczego ogniwa rozumowania Stawara. Jest ono bardzo śmiałe i sugestywne. Sądzę, że wywody te wiele żarliwych akcentów czerpią z atmosfery pierwszych lat powojennych, kiedy z tych kręgów, w których Sienkiewicz pełnił jeszcze wciąż funkcję „hetmana serc" i „duchowego wodza narodu", rekrutowali się „leśni", „Bohunowie" i „Kmicice". W tych słowach nie ma zarzutu, ideowa krytyka musi być bojowa. I jeśli przyjdzie się rozejść w interpretacji *Trylogii*, to źródła tego tkwić będą zupełnie gdzie indziej.

Próbę wyjaśnienia genezy społecznej narodzin *Trylogii* trzeba rozpocząć od „zasadniczych czynników atmosfery", z której zrodziło się *Ogniem i mieczem*. „Każda prawda jest konkretna" — mówi Lenin. To prowadzi nas na grunt określonych faktów, których poprawny układ pozwoli nam zarysować przybliżony obraz problematyki okresu i, jak

---

21 *Tamże*, nr 30.
22 *Tamże*, nr 30.

to już podkreślałem, profil ideowy Sienkiewicza, krąg jego doświadczeń społecznych. To ostatnie nie przesądza jeszcze ostatecznie o kształcie ideowym dzieła. Jednakże przy analizie dzieła twórcy o takiej samowiedzy pisarskiej, jaką posiadał autor *Trylogii,* nie będzie to bezpożyteczne.

2

Poniżej zajmujemy się na razie tłem społecznym, które, jak sądzę, bliżej niż dotychczas wykazywano, określa problem ideowej genezy *Trylogii.* Gdy Słowo w końcu 1882 roku zapowiadało już w najbliższym czasie druk nowej, obszernej powieści Henryka Sienkiewicza (Litwosa), sfery czytelnicze Królestwa Kongresowego otrzymywały do rąk niezwykle interesujący dokument epoki — książkę ku czci 25-lecia działalności literackiej T. T. Jeża pt. *Ognisko,* wydaną przez grono współczesnych pisarzy i publicystów. W książce poświęconej byłemu uczestnikowi kampanii węgierskiej 1848 roku i pułkownikowi powstania 1863 roku Aleksander Świętochowski daje swoje sławne *Wskazania polityczne* stanowiące otwarte wyznanie rezygnacji z nadziei odzyskania niepodległości Polski, zastąpionych programem „podbojów przemysłowo-handlowych" w kierunku na wschód; „...rozpościerajmy swoją cywilizację szeroko — oto program działań rozumnych i skutecznych tym bardziej, że państwo, w którego skład weszliśmy, otwiera im w wielu kierunkach szerokie ujście"[23]. Było to podstawowe wskazanie Świętochowskiego. Stanowiło ono wyraz tendencji nurtujących znaczną część burżuazji polskiej. Faktu tego nie przekreślą późniejsze próby odżegnywania się od nich, będące znowu świadectwem zwrotu, jaki dokonał się w następnym okresie w zmienionych warunkach społeczno-politycznych.

Przesłanki programowego wystąpienia Świętochowskiego, jako rzecznika znacznej części polskiej burżuazji, przejrzyście wyglądają spoza fasady współczesnych stosunków społeczno-gospodarczych i politycznych Królestwa Kongresowego. Wystarczy tu przypomnieć dwie kardynalne sprawy. Po pierwsze — „zależność gospodarcza nowopowstałego wielkiego przemysłu w Królestwie od wschodnich rynków zbytu była olbrzymia"[24]. Równocześnie „kwitnący przemysł Królestwa w ta-

---

[23] Aleksander Świętochowski, *Wskazania polityczne,* 1882. W książce *Ognisko,* cytuję za wyd. *Kultura okresu pozytywizmu,* 1949, cz. I, *Mieszczaństwo,* s. 144.

[24] Witold Kula, *Historia gospodarcza Polski w dobie popowstaniowej,* 1864—1918, Warszawa 1947, s. 52.

kim stopniu nastawiony był na zbyt na wschodnich rynkach, że zaniedbywał zupełnie krajowy rynek wewnętrzny"[25]. Przy wspólnocie interesów sfer kapitalistycznych i obszarniczych Królestwa, niejednokrotnie wykazywanych przez historyków, wolno posunąć się we wnioskach o krok dalej i stwierdzić, że tendencje ugody z caratem objawiały się z niemniejszą siłą w kręgu szlachecko-obszarniczym. Ten fakt posiadał duże znaczenie w procesie konsolidacji obozu burżuazyjno-obszarniczego, zwłaszcza w obliczu wzmagającego się ruchu rewolucyjnego w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. O ciążeniu bezpośrednim interesów obszarniczych w stronę ugody z caratem, w stronę wspólnego rynku ekonomicznego, niech świadczy fakt, że pierwsze skartelizowane przedsiębiorstwa przemysłowe na ziemiach polskich, które pojawiły się w 1881 roku, to cukrownie, w których kapitały ziemiańskie były przecież najbardziej zaangażowane[26]. Kartel, w którego skład weszły wszystkie polskie cukrownie, obejmował ponadto analogiczne zakłady przemysłowe południowo-zachodniej części Rosji.

Sygnały tendencji ugodowych wobec cesarskiego zaborcy mają swój długi rodowód. To, co jest wspólnego w ich dziejach, to w ostatniej instancji zawsze interes materialny warstw odgrywających decydujące znaczenie w życiu społeczno-gospodarczym ziem polskich zaboru rosyjskiego. Nie jest naszym zadaniem danie tu zarysu dziejów zdrady narodowej. Poprzestaniemy na ogólnych stwierdzeniach dla interesującego nas okresu.

Ideologia pozytywistyczna, jako ideologia mieszczaństwa polskiego, potencjonalnie zawierała elementy formowania się koncepcji ugodowych, elementy częstokroć nie dostrzeżone przez jej rzeczników, często idące w poprzek ich zapatrywaniom. Mimo to, powtarzam, nieuchronna dialektyka rzeczywistości popowstaniowej prowadziła do miejsca, w którym ideolog pozytywistyczny stawał niekiedy przerażony, częściej zaś zrezygnowany. Tu znajdujemy się wobec najważniejszego stwierdzenia tej części pracy, że okres narodzin *Trylogii* to od czasu działalności Aleksandra Wielopolskiego okres ujawnienia się najbardziej nasilonych tendencji ugody z caratem.

Zadaniem naszym udokumentować owo podstawowe sformułowanie. Cytowane już wystąpienie Świętochowskiego nie było odosobnione.

---

25 *Tamże*, s. 53.
26 Leon Grosfeld, *Z dziejów kapitalizmu w Polsce*, Warszawa 1950, s. 39.

Sam Świętochowski mógł się już w okresie ogłaszania *Wskazań politycznych* wylegitymować z pokrewnych wystąpień, oczywiście nie tak efektownych. W tej chwili możemy je pozostawić na uboczu. Gdy w roku 1872 bliski przyjaciel margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, były minister oświaty w jego rządzie Kazimierz Krzywicki, wydał broszurę głoszącą ideę absolutnego wyrzeczenia się nadziei odzyskania niepodległości przez Polskę i bezwzględnego podporządkowania się Rosji, broszurę głoszącą ideę połączenia się z Rosją carską, poglądy takie spotkały się z powszechnym potępieniem. Nawet Włodzimierz Spasowicz wystąpił wówczas z głośną broszurą pod tytułem *Polityka samobójstwa* określającym jego sąd o poglądach Krzywickiego. Spasowicz pisał wówczas w zakończeniu broszury: ,,Galicja może z wielkim dla siebie i dla całej naszej narodowości pożytkiem krzątać się około ugruntowania autonomii prowincjonalnej, Poznań może prowadzić wojnę odporną przeciwko germanizmowi, nie uciekając się wcale do panslawizmu. Mieszkańcom Królestwa Kongresowego i Rusi, a Litwy stosunkowo najtrudniej, ale i oni mają pole przed sobą, a gdy ich zapytają kiedyś, czego przez ten czas prób najcięższych dokonali, będą mogli odpowiedzieć spokojnie, że żyli, a samo to przechowanie życia stanie im za wielką zasługę, chociażby nie sprawili nic więcej, bo też niemały dowód żywotności składa plemię, które zdoła przechować życie swoje pod naciskiem państwa wytężonego na jego tępienie. Wytrwałością wśród tak strasznie nieprzyjaznych okoliczności nowe zdobędziemy sobie prawo do pogodniejszych w przyszłości losów".[27]

Broszura Spasowicza wydana w okresie bojowej kampanii wstępnej młodych pozytywistów warszawskich szermuje tymi samymi argumentami, jakimi ,,młodzi" raczyli ,,starą prasę". Ton broszury daleki jest od patetycznych tyrad i optymistycznych złudzeń wstępnych artykułów Przeglądu Tygodniowego, od drukujących się tam *Humoresek z teki Worszyłły* Sienkiewicza, jednakże mamy w niej zalecenia ,,krzątania się" wokół własnych interesów narodowych, oczywiście bardzo ciasno pojętych, mamy wołanie o wytrwałość w kultywowaniu jestestwa narodowego, mamy wreszcie — broszura była drukowana w Poznaniu — wskazanie na państwo cara jako narzędzie tępienia narodów. W dziesięć lat później, w roku 1882, gdy Sienkiewicz donosi Smolce, redaktorowi Czasu krakowskiego o przygotowaniu swej pierwszej powieści historycznej, Spasowicz jest już współzałożycielem ukazującego się właśnie wtedy ugodowego Kraju petersburskiego.

[27] Włodzimierz Spasowicz, *Polityka samobójstwa*, Poznań 1872. Cytuję za *Pismami*, t. IX, s. 27—28.

1 lipca 1882 r. w programowym artykule zamieszczonym przez niego w tym piśmie (*Zamiast programu*), deklarującym, że wszystko w nim będzie umiarkowane, spotykamy się już z postawą „trzeźwego" ugodowca strzegącego „historycznej narodowości". Czytamy tam: „Z natury rzeczy na glebie petersburskiej muszą zawsze bujniej niż gdzie indziej porastać te idee pojednawcze, teoretyczne, abstrakcyjne, może bezkolorowe, ale trzeźwiejsze, nienamiętne".[28] Bo też bardzo wiele zmieniło się w strukturze Królestwa, bo i socjalizm zbiera już swój „haracz krwi", jak to określał później Spasowicz, bo rozlegają się już hasła „hejże na szlachtę" (pisane w roku ukazania się Głosu szermującego frazeologią antyszlachecką), bo już chodzi tylko o to, aby zatrzymać się „na stanowisku społecznego ogółu, wywalczającego pracą codzienną zbiorowy byt swój, chleb powszedni i możebne w danych okolicznościach szczęście".[29] Jak widzimy, sienkiewiczowska *Rodzina Połanieckich* ma już zupełnie uformowanego apologetę.

Spasowicz nie ma oczywiście być kozłem ofiarnym poniższej próby charakterystyki całego nurtu ideologicznego polskich klas uprzywilejowanych. Zresztą nie był on odosobniony tak bardzo, jak to usiłują później przedstawić nacjonalistyczni historycy w interesie „wybielania" burżuazji i ziemiaństwa. Rzecznikiem ugody z carską Rosją, rzecz dla nas ciekawa, staje się także około 1875 roku. Gazeta Polska, w której w tym okresie Sienkiewicz drukował jeszcze swe felietony, by w początkach 1876 roku wyjechać za Atlantyk. W roku 1883 pismo to wystąpiło z programem zbliżenia do Rosji carskiej, za co gwałtownie zaatakowane zostało przez „patriotów" galicyjsko-habsburskich z Czasu w numerze 263 z listopada tego roku. Gdzie indziej wspomniałem o publicystycznych wystąpieniach ugodowych redaktora Przeglądu Tygodniowego Adama Wiślickiego z drugiej połowy lat siedemdziesiątych, które Świętochowski, wspomniany już przez nas jako autor *Wskazań politycznych*, przedstawiał w wiele lat później jako tło zerwania z Przeglądem.[30]

W roli głosiciela haseł ugodowych występowały także Nowiny. Prawda Świętochowskiego od zarania swego powstania otwarcie głosi zasady ugodowe osłaniając je, podobnie zresztą jak pozostali

---

[28] Włodzimierz Spasowicz, *Zamiast programu*, Kraj, 1 lipca 1882. Cytuję za *Pismami*, t. VI, s. 192.

[29] Włodzimierz Spasowicz, Petersburg 5 grudnia 1886. Cytuję za *Pismami*, t. VI, s. 204.

[30] Samuel Sandler, *Aleksander Świętochowski w latach 1867—1880*, *Pozytywizm*, cz. I, Wrocław 1950, s. 226.

rzecznicy ugody, dymną zasłoną warunkowego „pojednania". Warto zilustrować to przykładami. Autor artykułu *Dobre chęci* wydrukowanego w Prawdzie w roku 1881, podpisujący się literami M. S., tak pisze na temat możliwości „zbliżenia": „Polak apostołujący pojednanie musi posiadać wszystkie prawa zachowania i objawienia swej narodowości; inaczej, jeżeli uczciwy, cofnie się, a jeżeli ryzykowny, ujrzy się odosobniony. Trzeba więc usunąć z jego dążeń ryzyko" (podkreślenia moje — S. S.).[31]

Przykrość sprawię zapewne wielbicielom Kraszewskiego, do których sam należę, wywołując w tym kontekście jego nazwisko. Przemawia ono tym bardziej za naszą tezą. Z omawianego obecnie okresu pochodzą jego następujące słowa: „Dziś opinia ogółu skłania się do uznania tej prawdy zasadniczej, iż starać się należy o nowy organizm krzepki, o byt polityczny, a troskę o polityczną egzystencję pozostawić *Deo ignoto*".[32] Sięgnijmy jeszcze po ilustrację naszego twierdzenia w sfery arystokratyczne. Pod pióro cisną się dwa przykłady. Pierwszy sięga roku 1887. Jest to *List otwarty emigrantów polskich do prof. Gradowskiego*, rosyjskiego liberalnego słowianofila. Proweniencja listu daje się dość łatwo ustalić, pochodzi w sposób mniej lub więcej bezpośredni z pobliża Hotelu Lambert, a dokładniej, jakby powiedział prof. Wyka, z osi Hotel Lambert — stańczykowska Galicja. List ten drukowany był m. in. w Czasie krakowskim, gdzie przyznawano mu „śmiałość i ton wyższości, a nawet wielką godność".[33]

W dostępnych mi opracowaniach nie znalazłem żadnych wzmianek o tym dokumencie, ale jego nikczemne lokajstwo mówi dostatecznie samo za siebie. Propozycja emigrantów wobec caratu jest dość prosta; protegują się jako konserwatywna podpora dla Rosji podmywanej falą rewolucyjną. Reakcyjne i liberalizujące czasopisma rosyjskie dały lokajom arystokratycznym godną odprawę. Новое время uznało te propozycje za wyraz „pychy i zarozumiałości", za wyraz „szlacheckiej buty" (epitety pisma, które tak określa autorów listu: „ludzie przeżyci, zapomniani, wyznający zasady przedpotopowe"). Tu oferta nie została przyjęta. Odpowiedź brzmi dosłownie: „Dziękujemy panowie szlachta: opiekunów i mentorów nam nie potrzeba".[34]

---

[31] M. S., *Dobre chęci*, Prawda, 1881, nr 24.

[32] Cytuję za nie podpisanym artykułem Aleksandra Świętochowskiego, *W imieniu narodu*, Prawda, 1881, nr 16.

[33] Cytuję za bezimienną broszurą *O Stańczykach*, Przyczynek do dziejów i charakterystyki politycznej obozu, Kraków 1883, s. 38.

[34] *Tamże*, s. 40.

Nas w tym całym incydencie zainteresuje następujący ustęp listu emigranckiego: „Zauważ dobrze profesorze, że my obstajemy tylko za prawami naszej narodowości i bronimy ich, nie dotykamy zaś wcale praw bytu politycznego. Widzisz więc, szanowny panie, żeśmy zdołali nie tylko nauczyć się czegoś, lecz także i o czymś zapomnieć... Rewolucyjne mrzonki... wszystko, co dopomagało niegdyś bałamuceniu umysłów... wszystko przeżyło już czas swój i my zapomniawszy o wszelkich porywach przeszłości, gotowiśmy dziś stawać na gruncie słowiańskim, na którym walczy Rosja".[35] Na tym moglibyśmy poprzestać, jednakże wnioski, jakie wyciągnął adresat *Listu* są tak ciekawe, że warto mu na chwilę udzielić głosu. Gradowski w Ст. Петерсбурских Ведомостях odpowiedział, iż cieszy go usuwanie przez samych Polaków kwestii spornej, to jest — sprawy niepodległości, jak też fakt, że Polacy „już nie w pozornej zgodzie, jak Wielopolski, ale w trwałym związku z Rosją chcą zostawać".[36]

Nazwisko Wielopolskiego przybliża nas do czasów bardziej sąsiadujących z latami narodzin *Trylogii*. Oto syn jego Zygmunt wystąpił w roku 1881 z nową ofertą ugody, deklarując gotowość przeprowadzenia „pojednania". Z zajadłością atakował margrabia w ogłoszonym liście powstanie 1863 roku, rozróżniając „subtelnie" sprawców powstania — rewolucjonistów, „czerwonych" od Polaków, którzy za powstanie nie ponoszą odpowiedzialności. „Rewolucjoniści — czytamy w liście Zygmunta Wielopolskiego — wszędzie są jednakowi: czerwoni Polacy trzymali się za ręce z czerwonymi Rosjanami i ci, i tamci działali społem".[37]

Nadając takie ramy ideowe swemu wystąpieniu margrabia formułuje swoje propozycje w sposób następujący: „Droga nasza jest prosta, prowadzi ona ku zgodzie na zasadach sprawiedliwości i wzajemności dwóch narodów".[38] Nie trzeba wyjaśniać, że te dwa narody są w pojęciu autora klasami eksploatatorskimi obu krajów. W ślad za cytowaną propozycją, tak szumnie wyrażoną, buduje Wielopolski program fundowany na projektach autonomicznych swojego ojca.[39]

Tu nadarza się okazja powtórnego podkreślenia charakterystycznego podobieństwa poglądów na sprawę ugody z caratem czołowego re-

---

[35] *Tamże*, s. 35/36.
[36] *Tamże*, s. 39.
[37] Cytuję za nie podpisanym arykułem Aleksandra Świętochowskiego, *List margrabiego Wielopolskiego*, Prawda, 1881, nr 14.
[38] *Tamże*.
[39] *Tamże, passim*.

prezentanta sfer arystokratyczno-obszarniczych i najwybitniejszego publicysty liberalno-pozytywistycznego. Świętochowski, bo o nim mowa, z pełnym uznaniem kwituje na łamach *Prawdy* zabiegi Wielopolskiego, który według niego „obecnie posiada najwyższą sumę warunków inicjatora do rozwiązania kwestii", ponieważ program Wielopolskiego-ojca stanowi najlepszą formułę „pojednania", a jego syn jest aktualnie jej „najpoważniejszym wyznawcą". „Margr. Wielopolski o to się stara? O to. Czy mu w imieniu całego społeczeństwa naszego coś robić wolno, zobaczymy i osądzimy wtedy dopiero, gdy zrobi. Prawa polityków dowodzi się *a posteriori*".[40] Mimo wyraźnego angażowania się ideowego Świętochowski dodaje ostatnie zdanie, które wolno chyba bezsprzecznie poczytywać za przejaw ostrożności wytrawnego publicysty. Potrzeby ostrożności nie są podyktowane odpowiedzialnością przed instancją, którą stanowi dzisiejszy badacz i czytelnik. Chodzi niedwuznacznie o czytelnika ówczesnego. To sygnalizuje nam nową problematykę, której na razie nie tykamy.

Ilustracyjny przegląd tendencji ugodowych zamknąć chciałbym wzmianką o głośnym wydarzeniu, jakie stanowiło w roku 1885 pojawienie się na gruncie warszawskim pisma, które bez osłonek wywiesiło sztandar propagandy tych dążeń. Była to efemeryczna Chwila redagowana przez kolegę Sienkiewicza ze Szkoły Głównej i byłego pozytywistę Walerego Przyborowskiego, domagającego się w tym piśmie „utrwalenia raz na zawsze widoków polskich na jednopaństwowy z Rosją związek".[41]

Przedstawione przykłady politycznej orientacji klas wyzyskujących Królestwa Kongresowego świetnie dopełnia lapidarne określenie burżuazji ósmego i dziewiątego dziesięciolecia, dane przez historyka kapitalizmu w Polsce, który charakteryzuje ją jako „w szybkim tempie zdobywającą wschodnie rynki, wyznającą ideologię pracy organicznej, pragnącą za wszelką cenę pokojowego współżycia z caratem, jak najnegatywniej ustosunkowaną do wszelkich ruchów wolnościowych".[42] Ale tu napotykamy na znamienny objaw; te same przesłanki, które pchają burżuazję polską na drogę ugody, sprawiają pod wzrastającym naciskiem burżuazji rosyjskiej przekreślenie przez biurokrację carską możliwości trwałej ugody. Możliwym kontrahentem nie jest już przecież dla polskich obszarników tylko feudalna biurokracja carska jak

---

[40] *Tamże*.

[41] Walery Przyborowski, Chwila, 1885, nr 42; cytuję za Piotrem Chmielowskim, *Zarys najnowszej literatury polskiej 1884—1897*, wyd. IV, s. 141.

[42] Leon Grosfeld, *op. cit.*, s. 67.

przed rokiem 1863. Na arenę wkracza burżuazja kraju zaborczego. Stalin tak objaśnia ten proces: „Burżuazja narodu panującego — niezależnie od tego, czy jest ona drobna, czy wielka — otrzymuje możność »szybszego« i »energiczniejszego« rozprawienia się ze swym konkurentem".[43]

Rozwijająca się burżuazja rosyjska zaczyna coraz „skuteczniej" bronić „swojego rynku" przed ekspansją przemysłu Królestwa Kongresowego. Sięgnijmy dalej do stalinowskiego ujęcia tej problematyki, z nadzwyczajną jasnością ukazującego istotną treść tego zjawiska. Kontynuujemy cytat: „»Siły« łączą się i przeciwko »obcoplemiennej« burżuazji zaczyna się stosować szereg środków ograniczających, przechodzących w represje. Walka ze sfery gospodarczej przenosi się do politycznej. Ograniczenie swobody przesiedlania się, ograniczenia językowe, ograniczenie praw wyborczych, zmniejszanie ilości szkół, ograniczenia wyznaniowe itp. sypią się co chwila na głowę konkurenta. Oczywiście takie posunięcia mają na względzie nie tylko interesy klas burżuazyjnych narodu panującego, lecz i specyficzne, że tak powiem, kastowe cele rządzącej biurokracji. Ale z punktu widzenia rezultatów jest to zupełnie obojętne: klasy burżuazyjne i biurokracja idą w tym wypadku ręka w rękę — wszystko jedno, czy mowa jest o Austro-Węgrzech, czy o Rosji".[44]

Gdy spoglądamy na chronologię wydarzeń politycznych interesującego nas okresu, dochodzimy do drugiego wniosku ważnego dla naszych rozważań. Okres narodzin *Trylogii* jest okresem nie tylko wzmagających się tendencji ugodowych burżuazji polskiej i coraz bardziej kapitalizującego się ziemiaństwa w Królestwie Polskim, ale również okresem wzmagających się ze strony zaborcy ograniczeń przechodzących w represje.

Unaoczni nam ten fakt kilka wybranych przykładów.

W tych latach następuje spotęgowanie rusyfikacji administracji w Królestwie. W sądownictwie np. od roku 1886 nie mianuje się już w ogóle sędziów-Polaków. Znoszone są ostatnie resztki odrębności Królestwa; unifikacja z Cesarstwem czyni coraz większe postępy. Po stopniowym ograniczaniu zakresu działania warszawskiego Banku Polskiego zostaje on ostatecznie przekształcony w 1885 r. na kantor rosyjskiego Banku Państwa.

---

[43] Józef Stalin, *Marksizm a kwestia narodowa,* Dzieła, t. II, Warszawa 1949, s. 312.
[44] *Tamże,* s. 312.

Do szczytu dochodzi fala rusyfikacji szkolnictwa i rugowanie zeń języka polskiego. W roku 1885 nawet wykładanie religii w szkołach średnich w języku polskim uzależnione zostaje oficjalnie od decyzji kuratora okręgu naukowego i generał-gubernatora.

Do szkolnictwa ludowego wprowadzono w r. 1871 jako obowiązkowy przedmiot język rosyjski, w r. 1885 staje się on językiem wykładowym z zastrzeżeniem możliwości nauczania po polsku jedynie języka ojczystego i religii.

Koniec ósmego dziesięciolecia ubiegłego wieku staje się widownią początków długiego okresu prześladowania unitów, co nie przeszkodziło oczywiście zbliżeniu watykańsko-petersburskiemu i odnowieniu konkordatu w r. 1882.

W parze z tymi poczynaniami pojawiają się pierwsze zabiegi w zakresie polityki gospodarczej Cesarstwa, niekorzystne dla przemysłu i handlu Królestwa. Zabiegi te tylko w części opierają się na przesłankach zmierzających do ograniczenia burżuazji na ziemiach polskich, w całości natomiast są wyrazem protekcyjnej polityki wobec burżuazji „rodzimej".

Wystarczy tu wspomnieć o systemie celnym, początkowo wybitnie korzystnym dla gospodarki Królestwa, na przełomie zaś lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a zwłaszcza w tym ostatnim dziesięcioleciu, pogarszającym sytuację przemysłu przez podnoszenie cła od półfabrykatów i surowców. Skutecznie działał również w tym kierunku system taryf kolejowych.

W latach osiemdziesiątych mnożą się głosy wołające o ograniczenia gospodarki Królestwa, wołania o granicę celną. W r. 1886 fabrykanci moskiewscy zdołali skłonić rząd do wysłania specjalnej komisji, która miała zbadać „uprzywilejowane" warunki przemysłu w Królestwie. Jak stwierdza Rutkowski, polityka ograniczenia stosowana wobec gospodarki na ziemiach polskich, jak również postępujący wciąż naprzód rozwój przemysłu w Cesarstwie, zaczęły dawać korzystne wyniki stronie uciskającej zwłaszcza po 1900 r.[45] Nam chodziło tylko o podkreślenie, że coraz jaskrawiej ujawniać się także zaczynają objawy ograniczeń oraz „represji" gospodarczych w interesującym nas tu okresie.

Miłośnikom efektownego zestawienia dat można w zakończeniu przeglądu tej strony zagadnienia przypomnieć bardzo wymowny w swej symbolice fakt; w roku rozpoczęcia przez Słowo druku powieści z lat

---

[45] Jan Rutkowski, *Historia gospodarcza Polski*, t. II, s. 245—251, zwłaszcza 248 oraz s. 331—333.

dawnych pt. *Ogniem i mieczem* miejsce liberalizującego gen.-gubernatora Królestwa gen. Albedyńskiego zajmuje osławiony rusyfikator gen.-gub. Hurko.

Lecz nie na tym jeszcze, co się dotychczas powiedziało, zamknąć można próbę ogólnej charakterystyki atmosfery czasu narodzin *Trylogii.* Element analizy, któremu niżej poświęcić musimy kilka słów, dawał już znać o sobie. Jego istnienie odbijało się pośrednio poprzez „patriotyczne" frazesy ugodowców, poprzez pragnienia unikania „ryzyka" serwilistycznego, poprzez próby zachowania rezerwy wobec poczynań np. Zygmunta Wielopolskiego. Ale znaczenie tego czynnika kształtowania ówczesnej atmosfery ideowej nie mogło się w ten sposób, rzecz prosta, ukazać w takich rozmiarach, w jakich istotnie oddziaływało na ówczesną rzeczywistość.

W skrócie schematycznym sprawa wygląda tak: Burżuazja polska Królestwa zdobywając dominującą pozycję społeczno-ekonomiczną w kraju po 1864 roku ze względu na swe organiczne interesy materialne, które dyktowały jej drogę serwilizmu wobec caratu jak też drogę ugody z polskim ziemiaństwem w pierwszym dwudziestoleciu popowstaniowym, nie podnosi sztandaru niepodległościowego ruchu narodowego.

W większej już mierze reprezentują go w tym czasie epigoni poprzedniego pokolenia „szlacheckich rewolucjonistów", niż np. sztandarowi pozytywiści, u których bodaj jedynym, a przynajmniej głównym przejawem dążeń narodowych w duchu burżuazyjnym jest oportunistyczne podnoszenie sprawy „obrony narodowości" oraz kwestii chłopskiej i próby jej rozwiązania w duchu solidarystycznym („Praca u podstaw" Świętochowskiego i Mikulskiego). Dlatego też elementy patriotyzmu najmocniej występują w tym okresie u Sienkiewicza, o którym wiadomo, że z wielkich pisarzy tego okresu najluźniej związany był z obozem pozytywistycznym. Wystarczy przypomnieć tu takie jego utwory jak: *Dwie drogi* (*Humoreski z teki Worszyłły,* 1872 i *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela* (redakcja nie cenzurowana — *Z pamiętnika korepetytora,* Gazeta Lwowska, 1879).

Sytuacja zmienia się jednak w sposób widoczny w dziewiątym dziesięcioleciu. Klęska tendencji ugodowych wobec caratu, ograniczenia i represje ze strony zaborcy sprawiają, że „burżuazja narodu uciskane-

go siłą rzeczy zaczyna działać". Burżuazja kieruje swoją uwagę na podstawową rezerwę masową ruchu narodowego. W roku 1886 będzie się już ukazywał Głos Popławskiego i Potockiego wołający równocześnie o „życie polityczne" i o „chłopską cywilizację". W rok później powstanie Liga Polska. Ma istotnie wymowę symbolu fakt, że w roku rozpoczęcia druku *Ogniem i mieczem* zaczyna wychodzić w Warszawie szowinistyczna, antysemicka Rola pod redakcją Jeleńskiego. Perypetie burżuazji stają się sprawą „ogólno-narodową". Odchodząca w przeszłość pańszczyzna i wspomnienia „dobrodziejstw" uwłaszczeniowych oraz coraz jaskrawiej dające znać o sobie represje pozwalają liczyć na oczekiwany rezonans „patriotyczny". Uprzedzając przyszłe wydarzenia możemy już teraz powiedzieć, że rezonans ten nie był tak olśniewający. Haniebne zachowanie się burżuazji wobec caratu, dwuznaczny charakter jej „przełomu patriotycznego" i trwały jej zrost z obszarnictwem sprawiły, że efekty jej „zwrotu do ludu" były mniej niż skromne. Już po paru latach rozpoczęły się w jej łonie walki o „orientację" i dywersja nacjonalistyczna w ruchu robotniczym. Na razie w początkach tego ruchu narodowego znajdujemy się jeszcze w okresie „mgławicy ideologicznej".[46] Co jest w nim najbardziej widoczne, to postawa antyzaborcza o dość zresztą rozpiętym wachlarzu, w którym mieści się i żywiołowa nienawiść do caratu mas chłopskich, robotniczych i inteligencji i krytyka carskiego żandarma „przy drzwiach zamkniętych i w kółku rodzinnym", i marzenia o autonomii, studencka „„schodka" na uniwersytecie warszawskim i socjalistyczna kariera Limanowskiego, hasło „przetrwania" i tęskne spojrzenie w odległą przeszłość szlacheckiej Polski, która, powiedzmy wreszcie językiem Sienkiewicza, „ma jeden ogromny urok, którego nie ma teraźniejszość — i gwoli temu najpotężniejszemu urokowi, świecić będzie po wszystkie czasy blaskiem miltonowskiego utraconego raju, tak dla całego społeczeństwa jak dla poetów".

Cytat ten wyjęty z polemicznego artykułu Sienkiewicza przeciwko poglądom znanego już nam Spasowicza jest mimo cenzuralnych ostrożności równie jasny dla nas, jak dla ówczesnych czytelników. Pochodzi on z roku 1880. Ludwik Krzywicki, który dwa lata wcześniej rozpoczął studia w Warszawie, notuje w swoich *Wspomnieniach* z sumiennością kronikarza: „Na moje czasy uniwersyteckie przypadają wstępne utarczki z wyznawcami lojalizmu".[47]

Zarysowane na poprzednich stronach zagadnienia społeczne znamienne dla okresu narodzin *Trylogii* jak też zawikłania ideowe, które

[46] Józef Stalin, *op. cit.*, s. 312.
[47] Ludwik Krzywicki, *Wspomnienia*, t. I. 1859—1885, Czytelnik 1947.

starałem się nakreślić, oczywiście nie wyczerpują współczesnej wiedzy o dziewiątym dziesięcioleciu ubiegłego stulecia; badacz sięgający do źródeł naszej rzeczywistości nie może dać jej poprawnego oświetlenia, jeśli pominie przełomowe dla dziejów naszego społeczeństwa znaczenie narodzin pierwszej w Polsce partii robotniczej, faktu wniesienia przez nią do świadomości polskiej klasy robotniczej „najogólniejszych zasad marksistowskiej ideologii rewolucyjnej".[48] Więcej — dokładna analiza dynamiki omawianych dążeń ugodowych burżuazji i obszarników polskich, podobnie jak dokładna analiza narodzin burżuazyjnego ruchu narodowego w latach osiemdziesiątych, nie może pod groźbą wypaczenia obrazu historycznego abstrahować od działania tego współczynnika kształtowania oblicza ówczesnej rzeczywistości. Wiadomo np. dobrze, że nie tylko „możliwości cywilizacyjnych podbojów" kazały głosić ideologom burżuazji ugodę z carskim zaborcą; nieraz uzupełniane one były także przerażonym wołaniem o carskiego żandarma — obrońcę przed „widmem rewolucji". Ewolucja Świętochowskiego na przykład nie może być inaczej wyjaśniona.

Próby niedoceniania wpływu istnienia i rozwijania się proletariackiego ruchu rewolucyjnego czynią niepodobieństwem wszelkie usiłowania poprawnego zinterpretowania faktu strojenia się w „piórka socjalistyczne" wielu ideologów i działaczy polskiego nacjonalizmu zarówno w jego relacji endeckiej, jak PPS-owskiej i piłsudczykowskiej. Ogólnie więc biorąc historyk pomijający problematykę narodzin i rozwoju polskiego rewolucyjnego ruchu robotniczego nie może stworzyć sensownej syntezy historii interesującego nas okresu. To są fakty bezsprzeczne. Dyskusja — oczywiście ze Stawarem — zaczyna się od miejsca, w którym stawiamy pytanie, czy można jednostronnie wiązać genezę *Trylogii* z faktem narodzin rewolucyjnego ruchu proletariatu? Sądzę, że podjęta próba zarysowania w ogólnych konturach problematyki społecznej okresu ukazania się pierwszych powieści historycznych Sienkiewicza uprawnia do zaprzeczenia.

Ale w poglądach Stawara uderza jeszcze jedna sugestia — dopatrywanie się w strukturze ideowej *Trylogii*, a ściślej tylko *Ogniem i mieczem* reakcji na ówczesne rewolucyjne fermenty, „wiry" społeczne. Stawar precyzuje to jasno: „Wyboru tematu *Ogniem i mieczem* nie można uważać za przypadkowy — łączy się on z procesami społecz-

---

[48] Bolesław Bierut, *Podstawy ideologiczne PZPR*, referat wygłoszony w dniu 15. XII. 1948, Książka i Wiedza, s. 10.

nymi zachodzącymi w Polsce, a w szczególności w Kongresówce. Przełamują się tu w swoisty sposób pierwsze wystąpienia socjalizmu w Polsce".[49]

Dlatego też postawić musimy drugie pytanie: Jakie istnieją przesłanki dopatrywania się aspektu antysocjalistycznego, antyrewolucyjnego *Ogniem i mieczem* bez odwoływania się do późniejszej twórczości i późniejszych wystąpień Sienkiewicza? Związanie genezy społecznej *Ogniem i mieczem* z faktem pojawienia się rozwiniętego ruchu rewolucyjnego proletariatu uprawdopodobniało tę hipotezę. Wykazanie jednostronności tego powiązania może tylko osłabić to twierdzenie, naszym zadaniem zaś jest wykazanie błędności konstrukcji interpretacyjnej Stawara. To skłania nas do odwołania się do dalszego współczynnika analizy. Trzeba mianowicie w sposób konkretny ukazać elementy ideowego oblicza Sienkiewicza — twórcy *Trylogii*. Ten zabieg, rzecz prosta, nie przesądza w sposób ostateczny sprawy ideowych zawartości *Trylogii*, dla naszych jednak rozważań nie będzie on rzeczą obojętną. Co najmniej może nas naprowadzić na subiektywne intencje ideowo-artystyczne Sienkiewicza.

---

[49] Andrzej Stawar, *op. cit.*, Kuźnica, nr 31.

JERZY ZIOMEK

PLEBEJSKIE POCZĄTKI RENESANSU POLSKIEGO CZYLI O BIERNACIE Z LUBLINA

Nie patrzając na biskupy,
Którzy mają złotych kupy,
Boć nam ci wiarę zelżyli,
Boże daj, się polepszyli.
Dwór nam pokaził kapłany,
Kanoniki i dziekany,
Wszystko w kościele zdworzało,
Nabożeństwa barzo mało.

Mikołaj Rej? Nie, Biernat z Lublina wyprzedzający Reja o 30—40 lat, otwierający literaturę humanistyczną w języku polskim, demokrata i pisarz antyklerykalny, znacznie bardziej radykalny niż Rej, autor pierwszej drukowanej książki *Raj duszny*, bajkopisarz i satyryk, pierwszy Polak, który w ojczystym języku wypowiedział słowa buntu przeciw feudalizmowi, politycznej i umysłowej supremacji Kościoła, przeciw uciskowi człowieka przez człowieka.

Cytowany powyżej ośmiowiersz jest fragmentem większej, nieznanej nam bliżej dedykacji, umieszczonej na początku jego dzieła, wydanego ok. 1522 r. *Żywotu i bajek Ezopa Fryga*. Z tej wolnomyślnej dedykacji przechował się do naszych dni tylko fragment. W późniejszych wydaniach opuszczał ją drukarz nie chcąc się narazić zwierzchności kościelnej.

Biernat z Lublina jest pisarzem niesłusznie zapomnianym i niesprawiedliwie zlekceważonym. Burżuazyjna historia literatury zajmowała się nim jak gdyby od święta. Chrzanowski wydał jego *Żywot Ezopa* wraz z bajkami — przyznać trzeba — bardzo starannie i krytycznie, ale wydanie to specjalne i drogie, z góry przeznaczone było dla wąskiego kręgu fachowców. Uczyniono z Biernata preparat seminaryjny. Re-

wolucyjna treść dzieł Lubelczyka znalazła się pod kluczem — klucz oddano fachowcom — polonistom.

Nie dzieje się to przypadkiem, że dzisiaj poszukując wiadomości o tym wielkim naówczas pisarzu, błądzimy po omacku wśród zawodnych i niepewnych hipotez, nie jest to też przypadek, że pierwsze wydanie *Ezopa* nie dochowało się do naszych czasów, a z drugiego pozostał unikat, na którym oparł swoje opracowanie Chrzanowski. Przyczyną tego stanu jest fakt, że w wieku XVI dzieło Biernata znalazło zaszczytne miejsce na biskupim indeksie ksiąg zakazanych.

Biernat, syn mieszczanina lubelskiego, urodził się w Lublinie około r. 1460—1470. Gdzie się kształcił, nie wiemy. Z krótkiej, odręcznej notatki, pozostawionej przez niego na pewnym inkunabule, dowiadujemy się, że od osiemnastego roku życia sługiwał u rozmaitych panów, że bawił u boku znanego humanisty Filipa Kallimacha-Buonacorsiego, że wreszcie był sekretarzem domu Pileckich. O datę śmierci spierają się badacze; możemy podać tylko daty przybliżone r. 1515—1529.

Biernat żył w epoce wielkiego przełomu, w epoce schyłku powagi i potęgi Kościoła, budzenia się samodzielnej świeckiej myśli w Polsce, wzrastania siły politycznej szlachty i — w konsekwencji — zwiększającego się ucisku chłopa i mieszczanina. Interes folwarku szlacheckiego wymagał, żeby mieszczanina odsunąć od prawa kupowania ziemi, zamknąć przed nim drogę politycznego udziału w życiu kraju, a chłopa przywiązać mocno do gleby. Jedynie drogi do wiedzy i kultury nie zdołała szlachta na razie zamknąć przed plebejuszem. Biernat otwiera długą listę plebejuszy — uczonych i artystów — korzystających z powstającej instytucji mecenatu kulturalnego. Był Biernat pierwszym z plebejskich pisarzy, którzy pod bokiem możnego opiekuna wypowiadali swe radykalne myśli. By wyrazić swój plebejski, laicki, antydogmatyczny pogląd na świat i demokratyczne poglądy polityczne, użył on starych schematów, które wypełnił nową rewolucyjną treścią. Tak powstał *Żywot Ezopa Fryga*, oparty na starogreckim i orientalnym schemacie, zbiór bajek Ezopowych, *Dialog Palinura z Charonem*, będący przekładem piętnastowiecznego naśladownictwa Lukiana z Samosaty — utwory, które za maską rzekomo ahistorycznej fabuły kryły głęboką krytykę współczesności.

Jako publicysta otwarcie Biernat się nie wypowiedział — przynajmniej nic o tym nie wiemy. Natomiast w liście do Szymona, krakowskiego drukarza, w r. 1515, a zatem jeszcze przed wystąpieniem Lutra,

wypowiedział tak buntownicze zdanie o sprawach religii, że warto tutaj choć fragment zacytować:

> I wydały mi się sądy Pańskie niezgłębione i wydało mi się, że poza Ewangelią nie należy najmniej dbać o jakiekolwiek konstytucje, bo marne są i niepewne i odmieniają się z czasem, jak to na dekretach i innych prawach [kościelnych] widzimy: jeden [papież] rozkazuje, drugi rozwiązuje, jeden wyklina, drugi uświęca, na co mamy niezliczone przykłady... Odpowiada na to prostota: świętym jest, co nam przełożeni rozkazują. Ale od czegóż nasz rozum, który od badania prawdy powstrzymać się nie da? I cóż za dola nieszczęsna nas chrześcijan, żebyśmy jasnej prawdzie dla dekretów ludzkich przyzwalać nie mieli. Sarknie kto w imię wiary, że papież ze swym orszakiem źle dba o Kościół, obsiadają nas pochlebcy jego: przeciw Bogu ziemskiemu, przeciw najświętszemu śmiesz usta otwierać? Ale jeżeli najświętszy zabijając ludzi Bogu służyć myśli, wychwalają oni niecne te czyny i jeżeli nie odwołasz, ogniem zginiesz.

Nazywano Biernata z racji tego listu prekursorem protestantyzmu. To mało. Ma ten list wprawdzie wiele wspólnego z hasłami przyszłego protestantyzmu, ale wolny jest od jego ograniczeń, wolny od próby zastąpienia starej moralności katolickiej nową protestancką, niejednokrotnie niemniej ciasną, wolny od zastępowania jednego dogmatu drugim. Zdania tego listu to raczej odważne wyznanie humanisty, który czci niezależność i potęgę rozumu.

Nie brakowało ludziom wczesnego polskiego renesansu odwagi porywania się na ustalone potęgi. Z tej samej buntowniczej atmosfery wyrósł inny polski plebejusz, który praktycznie dowiódł, że rozum „od badania prawdy powstrzymać się nie da" i zadał Kościołowi druzgocący cios. Był nim Mikołaj Kopernik.

Żywot Ezopa nazwał autor „dziejami mędrca obyczajnego". Piszę „autor", choć Biernat przewierszował stare i znane wersje, ponieważ sam pomysł wykorzystania niechrześcijańskich motywów i przeciwstawienia ich ustalonym hagiograficznym konwencjom średniowiecza był jak na owe czasy rewelacyjny. Dotychczasowego bohatera literatury — świętego męczennika zastąpił starożytny Ezop — uosobienie zdrowego, plebejskiego rozsądku. Dzieje Ezopa — to dzieje niewolnika, człowieka „źle urodzonego i nieuczonego". Ezop — nieuk kupiony na targu przez filozofa Ksanta płata mu błazeńskie figle i — co ważniejsze — zapędza swego uczonego pana w dyskusjach i sporach raz po raz w kozi róg. Ezop jest bliskim krewnym Sowizdrzała i Marchołta, bohaterów krzewiących się podówczas po Europie romansów błazeńskich, będących najpełniejszym wyrazem ludowego poglądu na świat i życie.

Romanse błazeńskie nie były bynajmniej pochwałą nieuctwa. Ezop, Sowizdrzał, Marchołt czy wreszcie Gargantua Rabelais'go, zwyciężający mędrców Sorbony na języki, tylko na pozór są nieukami, w istocie zaś ich rubaszne żarty kryją bezlitosną satyrę na pseudouczoność scholastyczną, satyrę tym ostrzejszą, że wywody kształconych „w piśmie" teologów nie mogą wytrzymać pierwszej próby życiowego rozsądku nieoświeconego plebejusza.

Biernat podejmując samodzielny trud przekładu starogreckich motywów niedwuznacznie je zaktualizował. Polemiki Ezopa z greckim filozofem Ksantem noszą wyraźne piętno współczesnych starć świeckiej myśli z trwożliwą i ciasną erudycją ideologów feudalnego Kościoła katolickiego. Dzieje Ezopa są artystycznym, udramatyzowanym, fabularnym odpowiednikiem poglądów wypowiedzianych we wspomnianym liście do drukarza Szymona.

Pewnego razu Ksant i Ezop udali się do ogrodnika po warzywa. Ogrodnik dał Ksantowi zagadkę, której ten rozwiązać nie potrafił, dając wykrętną odpowiedź:

...iże boskie zrządzenie
Rozdzieliło wszystkim rodzenie.

Na to Ezop:

Tak, jakoś ty odpowiedział,
Leda skotak by to wiedział;
Przyczynyć ten nie powiada,
K t o n a B o g a w s z y s t k o s k ł a d a.
[podkr. moje, J. Z.]

Jest to jedna z wielu odpowiedzi Ezopa, odpowiedzi, które zawsze dowodzą wyższości życiowej mądrości „nieuka" nad społecznie zbędną wiedzą scholastyczną.

Radykalizm tego dzieła nie ogranicza się jedynie do poszczególnych, fragmentarycznych wypowiedzi bohatera. Biernat pojął swoje zadanie tłumacza znacznie głębiej, nie ograniczył swych ocen ideowych do wypowiedzi wprost, zrozumiał, że w losie bohatera, w jego charakterystyce zewnętrznej i wewnętrznej, w fabule utworu tkwi przede wszystkim jego sens ideologiczny. Ezop, szczyt zewnętrznej brzydoty, człowiek niepozorny, udziela prostych i mądrych nauk moralnych i zawsze ma rację:

...Kto chce człowieka baczyć
Nie trzeba na krasę patrzyć,
Bacz cnotę i obyczaje,
Któraċ dobry umysł daje,

mówi Biernat ustami swego plebejskiego bohatera. Ta wyższość moralna i umysłowa Ezopa, pogardzonego ze względu na złe urodzenie i zewnętrzną brzydotę, w latach wydania tego utworu nabierała nowego rewolucyjnego znaczenia, była walką o nową ocenę wartości człowieka bez względu na zewnętrzne dystynkcje, pochodzenie i stanowisko społeczne.

Ezopa-niewolnika czeka jeszcze daleko świetniejsza kariera. Zostaje z czasem doradcą królów i to doradcą niezastąpionym. Uczeni odnajdują źródło tej części żywota Ezopa w dawnej syryjskiej powieści o Hikarze. Motywy literackie wędrują, zamierają i odżywają. Nie odżywają jednakże bez potrzeby i uzasadnienia. Odżywając nabierają nowego społecznego sensu. Nim Biernat dał nam polską wersję dziejów Ezopa, piętnastowieczna Europa miała już nowy przekład łaciński *Żywota Ezopa,* pióra humanisty włoskiego Ranuccio d'Arezzo oraz przekład czeski i łaciński. Ten wzrost popularności *Żywota Ezopowego* nie mógł być przypadkiem. Dlatego w nowej karierze Ezopa, doradcy królów, mamy prawo doszukiwać się schematu kariery życiowej plebejusza, przed którym na przełomie średniowiecza i renesansu otworzyły się nieznane dotąd możliwości awansu społecznego.

Nie były to możliwości nieograniczone. Niejednego utalentowanego plebejusza czekał laur poetycki i zaszczytne miejsce przy dworze możnego mecenasa. Jednak politycznie, jak się już rzekło, przełom XV i XVI wieku w Polsce znaczy się wzrostem potęgi szlachty i zwiększonym uciskiem chłopa oraz eliminacją mieszczaństwa z życia politycznego. Dlatego w twórczości Biernata dojdzie do głosu nie tylko triumfalny przyśpiew humanisty, ale i nienawiść do możnych i wielkich panów.

Żywot Ezopa uzupełniają jego bajki, niejednokrotnie jeszcze tłumaczone po Biernacie na język polski. Ale żaden z późniejszych bajkopisów nie nadał im tak radykalnego i demokratycznego sensu jak Lubelczyk. Na bajkach widać najwyraźniej świadomą i twórczą pracę tłumacza. Znanym powszechnie bajkom nadał szesnastowieczny tłumacz bojowy charakter, jakiego nie posiadały one w dostępnych mu łacińskich kompendiach. Tak np. w znanej bajce *Wilk i lis* zwierzęta oskarżają się wzajemnie przed sędzią-małpą o rozboje i inne niecnoty. We wszystkich prawie znanych wersjach sędzia każe im odejść, ponieważ ich wzajemne skargi i świadectwa wzajemnie się znoszą, jednym słowem

wart wilk lisa i lis wilka. Biernat tymczasem dodaje własne pełne nienawiści do panów zakończenie:

Bo, byście się sami wiesili,
Równi byście ludziem byli,
Boć się u nich tako dzieje,
Małe wieszą wielcy złodzieje.
A gdyby sprawnie wiesili,
Małob' panów ostawili.

Podobnie bajkę o lwie i jego dworze (lew zawsze znajduje powód, by po kolei zjeść wszystkie zwierzęta) Biernat zaopatruje oryginalnym morałem:

Takoć źli panowie czynią:
I niewinnego obwinią,
A łatwie najdą przyczynę,
By z niego zjęli palerzynę.
[pelerynę, przyp. mój, J. Z.]

Jeśliby interpretacja *Żywota Ezopa* jako utworu demokratycznego, racjonalistycznego, antydogmatycznego miała budzić wątpliwości, to wątpliwości te muszą ustąpić wobec niedwuznacznej wymowy bajek, które przecież w intencji autora-tłumacza były bajkami bohatera utworu Ezopa. Jeśli w *Żywocie* bohater broni niezależności rozumu, to jest rzeczą zrozumiałą, że jego bajki będą ośmieszały tępych teologów średniowiecza.

Bajkę o lisie, który chciał zgryźć twardy pilnik, przerobił Biernat w pomysłowy sposób. Lisa, uosobienie chytrości, zastąpił zwierzęciem bądź co bądź głupszym, a mianowicie myszą, która podobnie nadaremnie próbuje siły swych zębów na twardym pilniku. Nie byłoby w tym jeszcze nic oryginalnego, gdyby nie zakończenie, które ostrze satyryczne bajki zwraca wprost przeciw uczonym teologom:

Tacyć są, co się gadają,
Tajemnic boskich badają,
Sami sobie rozum każą,
Iż więc potem bez wstydu łżą.

Inny przykład: istnieje bajka o wilku, lisie, psie i ośle, którzy wyruszyli na wojaż po świecie. Nagle złapała ich burza na morzu. Zwierzęta postanowiły nagle pokutować za dawne grzechy i w tym celu zaczęły się przed sobą spowiadać. Wilk, pies i lis łatwo wzajemnie się rozgrzeszyły, najmniej zaś winnego osła uznały za największego grze-

sznika i oczywiście zjadły. Tak w jednej wersji; w innej znowu (u Albertrandiego, wiek XVIII) zwierzęta do pokuty nakłania nie niebezpieczeństwo burzy morskiej, ale morowe powietrze. Biernat natomiast w poczuciu aktualnej, społecznej funkcji swego dzieła wieloznaczną ekspozycję bajki (burza morska, morowe powietrze) zastąpił konkretną sytuacją historyczną, pisząc:

Wilk niegdy k Rzymu się śpieszył,
Azaby się tam polepszył:
„Wżdy pokuszę tej świętości,
Za pozbędę swoich złości".

W ten sposób bajka, w dalszej swej części podobna do innych znanych wersji, nabrała charakteru antypapistowskiego, stała się kamieniem obrazy dla feudalno-kościelnej reakcji, a zapewne jedną z przyczyn umieszczenia utworu na indeksie ksiąg zakazanych.

Jedna z bajek Biernata nosi zagadkowy nieco tytuł *Wilk wełnisty, złodziej isty.* Jest to także powszechnie znana bajka o wilku, który przywdział owczą skórę, porywał owce, za co wreszcie obwiesił go pasterz. Epitet „wełnisty" dodał Biernat chyba nie dla efektu rymicznego. Dlaczego więc? Odpowiedzi udziela znowu morał, którego w pierwowzorze z pewnością nie było:

Takieżci w bożej owczarni
Są wilcy szarzy i czarni:
Wilczą sierść wełną przykryli,
Aby tak rychlej zdradzili.

Po takim wyjaśnieniu, po rozpoznaniu w wilkach mnichów, wręcz rewelacyjnie brzmi finał bajki, w którym pasterz po powieszeniu zdradliwego wilka tak tłumaczy ludziom swój postępek:

...Łatwie przyczyna,
Iż mi była barzo winna:
Pasterzom ci owcą była,
A wilcze skutki pełniła.

Bajki w całości w intencji tłumacza miały charakter dydaktyczny i moralizatorski, jednak moralizatorski w znaczeniu najbardziej świeckim. W ten sposób stanowiąc lekturę łatwą, przystępną, popularną zastępowały i wypierały moralizatorską literaturę kościelną. W najbardziej radykalnych bajkach morał uderzał bezpośrednio w scholastykę, w papieża, w mnichów, atakował twierdze feudalnego wstecznictwa,

we wszystkich innych zaś bez względu na temat i sens końcowy morał stanowił pierwszą w literaturze polskiej próbę zbudowania podstaw nowej świeckiej moralności, opartej na ludowej mądrości.

Tak! właśnie ludowej. Można to powiedzieć bez przesady i w prosty sposób udowodnić.

Bajki zazwyczaj otrzymują tytuł od nazwy występujących w niej zwierząt. Biernat tymczasem nie poszedł tą najłatwiejszą drogą. Tytułami większości bajek są u niego po prostu przysłowia ludowe, np.: *Praca bogactwa czyni, Zbytek kazi pożytek, Kto pili nie zmyli, Kto lecie próżnuje, zimie poczuje, Gdy się mocni mnożą, ludzi ubożą, Bez prace nie będzie kołacze.* Rewelacyjność tego pomysłu i zasługa Biernata nie polega tylko na tym, że stał się on tym sposobem pierwszym polskim paremiografem i przekazał nam zbiór przysłów ludowych. Te tytuły-przysłowia są głęboko uzasadnione artystycznie i ideowo. W ten sposób Biernat materiał Ezopowy potraktował jako rozwinięcie zawartej w lapidarnym skrócie tytułu-przysłowia mądrości i moralności ludowej i ogólnoludzki sens bajek związał jak najściślej z narodową formą.

Pozostawałoby jeszcze jedno pytanie: czy nie zabrał Biernat głosu w aktualnych sprawach politycznych kraju. Otóż nie. Natomiast pośrednio wyjaśniał swoje milczenie w *Dialogu Palinura z Charonem,* w dziele najbardziej może radykalnym, ale i najpełniejszym w sprzeczności.

Dialog był przeróbką jednego z piętnastowiecznych, łacińskich naśladownictw Lukiana z Samosaty. W formie swej, opartej na sceptycznych *Rozmowach zmarłych* greckiego pisarza z II wieku naszej ery, nadawał się *Dialog* szczególnie do obalania ustalonych pojęć i oczerniania powag tego świata. Zaatakował Biernat w *Dialogu* panów i dwory wprawdzie wyłącznie od strony moralnej, ale za to w niezwykle ostrej formie:

Fałsze, zdrady, przewrotności,
Przykryctwo, okazowanie,
Fryjerstwo i niecne miłowanie,
Żniwa cudzego nasienia,
Dzieci nie swego rodzenia.

W stosunku do piętnastowiecznego, łacińskiego wzoru zradykalizował nawet swój przekład dodając oskarżenia, których w oryginale nie ma, ale równocześnie wypowiedział hasło umiaru, spokojnego biernego żywota „śrzednich ludzi".

...których rozkoszy prześpieczne
I przyjaźni pożyteczne.
Którzy w domiech bydlą sami
Z żonką, z miłymi dziatkami...
Śpią prześpiecznie, zdrowiej wstaną,
Przeciwności małe mają.

Te wiersze były pozytywnym uzupełnieniem krytyki możnych, ich osobistej niemoralności i politycznej tyranii.

Biernat-mieszczanin cały swój radykalizm skupił w oskarżeniu moralnym klas panujących, w przeciwstawieniu im mądrości i uczciwości plebejusza. Politycznie jednak przeciwstawić im się nie potrafił, brakło mu klasowego zaplecza. Podobnie jak i inni humaniści nie widział siły rewolucyjnej ludu, mieszczaństwo zaś szesnastego wieku, odsunięte przez szlachtę zdecydowanie od spraw politycznych, politycznej walki nie podjęło. Już w bajkach dochodził do głosu ten nastrój kapitulacji, ale dopiero *Dialog*, na poły publicystyczny utwór, ujawnił w całej ostrości sprzeczność między żywiołową nienawiścią plebejusza do możnych i polityczną kapitulacją mieszczanina.

Biernat był niewątpliwie pierwszym polskim humanistycznym poetą. Burżuazyjna historia literatury wyrządzała krzywdę pisarzowi nalepiając mu etykietę „średniowieczyzny" głównie na podstawie właściwości języka. Niewątpliwie, język, którym posługuje się Biernat, bliższy jest językowi XV w. niż językowi Kochanowskiego, to jednak jeszcze nie powód do odsądzania poezji Biernata od wartości artystycznych. Wiemy dziś, że przełom ideowy nie musi się pokrywać z rytmem rozwoju języka i tym samym argument językowy za „średniowieczyzną" Biernata musi odpaść. Co zaś się tyczy wartości artystycznych poezji Biernata, to nie wolno nam zapominać, że znany nam tekst bajek pochodzi z drugiej połowy XVI w. i został skażony „poprawkami" wydawcy. Wydawca, który próbował modernizować język, psuł z zasady gładki tok ośmiozgłoskowca Biernatowego. Np. w wierszu:

Tamciem młodzieńcy bywają,
Jiż się k nauce zjeżdżają.

wydawca poprawił archaiczne „jiż" na „którzy", „k" na „ku", „młodzieńcy" — nie wiedzieć po co — na „młodzi ludzie" psując w ten sposób poprawny ośmiozgłoskowiec:

Tamciem młodzi ludzie bywają,
Którzy się ku nauce zjeżdżają.

Rekonstrukcja poprawnego tekstu jest rzeczą trudną, tak że raczej domyślamy się tylko, że Biernat posiadał gruntowną znajomość rzemiosła poetyckiego.

Poza tym należy pamiętać, że nie wszystko, co w naszych uszach brzmi chropawo i niepoprawnie, było błędem poetyckim w czasach Biernata, kiedy system akcentuacyjny języka polskiego był z pewnością odmienny niż dzisiaj.

Tyle na „usprawiedliwienie" Biernata. Tytułów do chwały tego poety znajdzie się więcej.

Przełomowy charakter twórczości Biernata polega przede wszystkim na konsekwentnym, dogłębnym zeświecczeniu tematów literackich. W tym zakresie torował Biernat drogę Bielskiemu, Rejowi i Kochanowskiemu. Nie lekceważąc bynajmniej tego, co dała Kochanowskiemu współczesna postępowa literatura włoskiego i francuskiego renesansu oraz literatura antyku, nie możemy zapominać o narodowych, ludowych cechach twórczości takiego poprzednika Kochanowskiego, jakim był nasz Biernat. Nie umniejsza w niczym wartości Biernata fakt, że równocześnie rozwijał się w Polsce nurt literatury polsko-łacińskiej, terminującej gorliwie u poetów starożytnego Rzymu. Był to nurt arystokratyczny, który nie uznał języka narodowego godnym laurów poetyckich. Podwaliny pod rozwój literatury narodowej stworzył Biernat, a nie Krzycki czy Hussowczyk. Jeżeli Kochanowski wykorzystał wszystkie możliwości stojące przed literaturą polską, a więc zarówno pieśń ludową, jak i najlepsze wzory literatur obcych, to znaczy to, że przeniósł walkę o literaturę narodową na wyższy poziom, krocząc tym samym przetartym już przez Lubelczyka torem.

Był Biernat pisarzem narodowym nie tylko dlatego, że sięgnął do źródeł ludowej mądrości i moralności, nie tylko dlatego, że przyswoił językowi polskiemu trwałe wartości literatury światowej, ale także dlatego, że stając w obronie myśli świeckiej przed scholastyką, tym orężem papistowskiej reakcji feudalnej, oddał swe pióro walce o niezależność formującego się narodu polskiego.

WŁADYSŁAW CZAPLIŃSKI

KILKA NOWYCH SZCZEGÓŁÓW Z POBYTU J. U. NIEMCEWICZA W POLSCE W LATACH 1802 — 1804

(NA PODSTAWIE NIEZNANYCH LISTÓW POETY)[1]

Losy J. U. Niemcewicza w latach 1802 — 1804 są znane zarówno dzięki jego pamiętnikom jak i życiorysowi poety napisanemu przez ks. Adama Czartoryskiego[2]. Co prawda znajomość ta jest dość ogólnikowa. Tak więc kreśląc jego *itinerarium* w tym czasie w większości wypadków nie potrafimy podać dat dniowych. Wiemy, że wezwany przez Matusewicza przybył do Polski latem 1802 r. Z Warszawy udał się po kilkudniowym pobycie w Brzeskie do swej rodziny, stamtąd do Puław, zimę zaś 1802/3 przepędził w Warszawie. Rok 1803 był bardziej ruchliwy. Poeta udał się wiosną ponownie w Brzeskie, potem znowu do Puław, by z kolei stamtąd razem z księciem Adamem, generałem ziem podolskich, pojechać do Bardiowa na Słowaczyznę. Po powrocie spędził poeta jesień i zimę kolejno w Łańcucie, Krakowie i Puławach, wreszcie w Warszawie, skąd w marcu 1804 r. wybrał się w powrotną podróż do Ameryki, gdzie czekała na niego żona.

Wiemy dalej, że w tym okresie zaszły w życiu Niemcewicza dwa ważne wypadki, mianowicie w r. 1803 wydał u Mostowskiego pierwszy

---

[1] Artykuł ten i zamieszczone po nim listy Niemcewicza pochodzą z zespołu archiwum rodzinnego Kwileckich z Wielkopolski. Archiwum to schowane w jakiejś skrytce nie zostało objęte akcją zabezpieczającą urzędów archiwalnych i dostało się w niepowołane ręce. Uczeń liceum technicznego SP w Leśnicy pod Wrocławiem zdołał część tych aktów zgromadzić w swych rękach. Zachęcony przez studentkę historii Uniwersytetu Wrocławskiego, ob. Bazgier, zdecydował się oddać posiadane przez siebie akty w moje ręce. Ponieważ zapowiadał, że może uda mu się wydostać jeszcze jakieś akty, przeczekałem czas pewien, po czym wszcząłem kroki w celu przekazania aktów Archiwum Państwowemu w Poznaniu. Przez ten czas przeglądnąłem całkowicie nie uporządkowane listy i natknąłem się na listy Niemcewicza, które obecnie ogłaszam drukiem. Objaśnienia rzeczowe do wzmiankowanych tam faktów i osób umieszczam po tekstach listów.

[2] *Pamiętnik czasów moich*, Paryż 1848, *Pamiętniki* J. U. Niemcewicza, *Dziennik drugiej podróży do Ameryki*, Lwów 1873, Adam Czartoryski, *Żywot J. U. Niemcewicza*, Berlin—Poznań 1860.

tom swych *Pism różnych wierszem i prozą*, w zimie zaś 1802/3 r. został wybrany członkiem Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Do tych ogólnych wiadomości, które zresztą niewątpliwie można by powiększyć przez przestudiowanie ówczesnych pamiętników, chcemy dorzucić parę wiadomości zebranych głównie na podstawie kilku oryginalnych listów poety z tego okresu. Na wstępie warto jeszcze zwrócić uwagę na wrażenie, jakie Niemcewicz, przebywający na drugiej półkuli, wywierał na ówczesnym feudalnym towarzystwie salonów polskich. W wykorzystywanym mianowicie przez nas zbiorze znaleźliśmy list J. Wielowieyskiego, w którym tenże opisuje towarzystwo, przebywające w otoczeniu księcia generała ziem podolskich zimą 1802/3 r. Wśród osób z arystokracji wymienia on i Niemcewicza. „Ożenił się (naturalnie Niemcewicz) z jedną Amerykanką kolorową [sic], kupił sobie murzyna i murzynkę i kawałek gruntu, sieje ziemniaki, ryż i drzewo chlebowe, sam orze i uprawia swój grunt i powiada, że jest chłopem amerykańskim, za kilka tygodni powraca do swojej żony. Jego konwersacja bardzo jest zabawna i ciekawa, lecz widać, iż stan jego, *bon gré mal gré*, jest nienajlepszy"[3].

Dane z bezpośredniej korespondencji Niemcewicza pochodzą dopiero z początku r. 1803. Wówczas to, w zimie 1802/3, jak pisze w *Pamiętniku czasów moich*, namówiono go, by przystąpił do wydania rozproszonych swoich utworów w zbiorowym wydaniu. Wydanie wobec braku funduszy u autora a niechęci przedsiębiorcy do angażowania kapitału musiało być uskutecznione przez prenumeratę. „Ogłosiłem prenumeratę — pisze w pamiętniku — pozwolenie drukowania najmniejszej od rządu pruskiego nie doznało trudności"[4]. W dzienniku zaś swej podróży do Ameryki podaje, że werbowaniem prenumeratorów zajmowała się między innymi Aniela Węgorzewska, żona generała Wojciecha Węgorzewskiego z Wielkopolski[5]. Otóż na ten fakt rzuca trochę światła korespondencja Niemcewicza właśnie z wspomnianą generałową Węgorzewską.

Pokazuje się mianowicie, że ogłosiwszy prenumeratę na dzieło w Gazecie Polskiej Warszawskiej zwrócił się Niemcewicz — widocznie za poradą przyjaciół — do całkowicie sobie nieznanej generałowej Węgorzewskiej z prośbą, by zechciała się zająć werbowaniem prenumeratorów w Wielkopolsce. W liście datowanym z War-

---

[3] List J. Wielowieyskiego do J. Kwileckiego ze Skrzelowa 19. XII. 1802 r. we wzmiankowanym zbiorze.

[4] J. U. Niemcewicz, *Pamiętnik czasów moich*, s. 352.

[5] J. U. Niemcewicz, *Dziennik podróży do Ameryki*, s. 15.

szawy dnia 22 lutego 1803 roku stwierdzał wprawdzie, że „jest to prawdziwym zuchwalstwem inkomodować damę, której nie mam honoru znać, podobnym utrudzeniem", niemniej jednak posłał jej 100 biletów, prosząc ją o rozprowadzenie ich w Wielkopolsce i zajęcie się zebraniem pieniędzy.

Bilety te drukowane miały następujący wygląd[6]:

Nr⁰ . . .

JP. . . . .

zapłacił Złt. Pol.: . . . . na prenumeratę jednego Tomu dzieł po większej części nieznanych JULIANA NIEMCEWICZA, na papierze . . . . . . in 8⁰ majori z przyłączonym kopersztychem. Egzemplarz tego Dzieła wydany będzie za zaświadczeniem i podpisem na tymże bilecie, jednego z kollektorów jako prenumerujący zapłacił prenumeratę. Dnia Miesiąca Roku 180

Cena tomu wynosiła w wypadku, gdy tom miał być odbity na papierze welinowym 24 złp, w wypadku druku na papierze francuskim tylko 18 złp. Każdy bilet był zdaje się uprzednio podpisany przez autora tj. J. U. Niemcewicza. Bilety po zapłaceniu odpowiedniej kwoty zostawały w rękach prenumeratora, który za zwrotem ich miał otrzymać egzemplarz dzieła. Bilety nie rozsprzedane wraz ze spisem prenumeratorów miał kolektor zwrócić Niemcewiczowi, by nazwiska prenumeratorów można było umieścić na początku dzieła.

Zainterpelowana tak dość obcesowo generałowa Węgorzewska podjęła energicznie zadanie powierzone jej przez znanego ze swej twórczości poetę. Nie ograniczyła się do tego, że sama zaprenumerowała jeden egzemplarz na papierze welinowym, ale równocześnie zajęła się gorliwie akcją werbowania prenumeratorów. W ciągu marca rozprowadziła znaczną część biletów, a — zdaje się — ostatecznie zdołała rozesłać wszystkie. We wspomnianym zespole aktów mamy co prawda listę prenumeratorów obejmującą jedynie 50 egzemplarzy, z tego 27 na francuskim papierze, jednak z kilku biletów, które znajdują się w tym zespole, wynika, że lista ta jest niekompletna. Jasnym jest, że prenumeratorzy, werbowani przez panią generałową, rekrutowali się prawie

---

[6] We wspomnianym zbiorze listów znajdują się bilety prenumeraty m. in.: nr 404, 414, 422, 455, 483 i 493. W przytoczonym bilecie zachowano ówczesną pisownię i interpunkcję.

wyłącznie ze sfer szlacheckich.[7] Na liście też znajdujemy przede wszystkim nazwiska szlachty wielkopolskiej, jak Ign. Daleszyńskiego, Aleks. Chlebowskiego, Aleks. Potworowskiego, Teodora Cieleckiego, Józefa Stablewskiego, Adama Turno, J. Borowskiego, Fr. Garczyńskiego, Mac. Chłapowskiego i in.[8]

Prawdopodobnie nawet z czasem generałowa wzięła jeszcze dalsze bilety do rozsprzedaży, albowiem ostatecznie w ciągu roku 1803 i 1804 przekazała Niemcewiczowi sumę 562 talarów, czyli 4496 złp, a więc sumę znacznie większą od tej, która należałaby się za 100 egzemplarzy na papierze welinowym. Nie znając odpowiedzi generałowej do Niemcewicza nie możemy z pewnością stwierdzić, jakie motywy skłoniły ją do tak gorliwego propagowania dzieł poety. Sądząc jednak po opinii, wypowiedzianej o niej przez Niemcewicza w *Dzienniku podróży do Ameryki*, należała A. Węgorzewska do osób interesujących się literaturą krajową.

Jak wynika poza tym z wykorzystywanego przez nas zespołu aktów Węgorzewska zajmowała się rozprowadzaniem również i innych dzieł. Tak więc znamy bilet prenumeratorski na *Słownik języka polskiego* Lindego z roku 1804[9] podpisany przez A. Węgorzewską jako kolektorkę.

Z początkiem kwietnia 1803 r. był Niemcewicz już w posiadaniu odpowiedzi pani generałowej, skoro 2 kwietnia tego roku listem pisanym z Warszawy dziękował jej za zajęcie się tą sprawą. Jak wynika z listu, generałowa znała wydaną na emigracji przez Niemcewicza elegię pt. *Wiosna*, napisaną pod wrażeniem klęsk spadłych na Polskę w r. 1793, i zapytywała, czy elegia ta będzie drukowana w tym tomie. Niemcewicz zapewniał ją o tym, ale przewidywał, że trzeba będzie ze względu na cenzurę usunąć słowo Polska i zastąpić je przez słowo Rzym: „jak gdyby po zburzeniu przez barbarzyńców Rzymu, Rzymianin jaki żale te napisał". Pocieszał się jednak, że „w bajkach pod alegorią wiele się powie prawd i smutnych wyrazi uczuć".

---

[7] Aniela Węgorzewska była córką Jana Józefa Kwileckiego, dziedzica na Kwilczy. Jej mąż Wojciech Węgorzewski kupił sobie tytuł generała. Węgorzewska interesowała się sprawami literatury, jak wynika z poniżej podanego listu Niemcewicza oraz z faktu, że w archiwum w Objezierzu znajdowały się wypisy różnych utworów literackich sporządzone przez nią. Patrz *Archiwum Wybickiego*, Gdańsk 1948, t. I, s. 131.

[8] Lista prenumeratorów, niekompletna we wspomnianym zbiorze. Na liście tej notowano, kiedy poszczególni prenumeratorzy odbierali swe egzemplarze. Działo się to przeważnie w grudniu 1803 r. i styczniu 1804 r.

[9] We wspomnianym zespole listów znajduje się niejeden bilet prenumeraty dzieła Lindego, podpisany przez Węgorzewską jako kolektorkę.

Na następny list generałowej odpowiedział Niemcewicz dnia 30-go maja 1803 r. z Puław, dziękując jej za przysłanie listy prenumeratorów i przesłane 114 talarów. Pierwszy tom, jak się dowiadujemy z listu, był już wówczas w druku i miał się ukazać pod koniec czerwca. W liście tym donosił poeta, że znalazł „mianą już za zagubioną tragedię moję *Władysława Warneńczyka* oryginalną, która także w zbiorze będzie", za to uważał, że tłumaczenie tragedii Racine'a *Atalii*, zostało definitywnie zagubione.

Trzeci, zdaje się, z kolei list generałowej doszedł Niemcewicza już w Bardiowie na Słowaczyźnie. Poeta odpowiedział listem z dnia 16-go sierpnia pisanym z tej miejscowości. Donosił w nim o wyjściu tomu i o tym, że wobec nieposiadania pełnej listy prenumeratorów trzeba było książkę wydać bez tej listy. Z pewnym zdumieniem stwierdzał, że elegia *Wiosna* wyszła jedynie z drobnymi zmianami oraz że inne utwory „hazardowane" nie wywołały niepożądanych reakcji ze strony władz. Już wówczas też Mostowski radził mu wydać drugi tom, do którego było dość materiału — 26 bajek i znalezione nadspodziewanie tłumaczenie *Atalii*. W liście tym wreszcie zapowiadał Niemcewicz swój wyjazd do Ameryki na październik 1803 r.

Jak wiemy, ostatecznie wyjazd Niemcewicza na drugą półkulę uległ zwłoce. Poeta po kolejnym pobycie w Łańcucie, Krakowie, Puławach znalazł się wreszcie w Warszawie, skąd odezwał się do Węgorzewskiej w dniu 27-go lutego 1804 r. odpowiadając jej na dwa listy. Jak widać z listu, Niemcewicz zdecydował się wówczas już na wydanie drugiego tomu swych pism. „*Atalia* będzie celniejszą onego częścią — pisze autor — przetłumaczyłem ją w więzieniu z przyczyny największego podobieństwa, które się znajduje między tym *monstrum* i Katarzyną". Poza tym list zawierał wiadomości o sporze Ponińskiego z Kościuszką w Paryżu oraz ogólne uwagi o przebiegu karnawału w Warszawie i stosunkach w zaborze austriackim, gdzie rząd szykuje się „na wygładzenie języka i imienia polskiego". W zakończeniu obiecywał Niemcewicz Węgorzewskiej odwiedziny w jej rezydencji Objezierzu przy okazji swej podróży na zachód.

Rzeczywiście, kiedy z końcem marca poeta wybrał się razem z generałem Fiszerem w podróż na zachód, przejeżdżając przez Poznańskie, zatrzymał się kilka dni w Objezierzu przyjmowany tam gościnnie — jak stwierdza w dzienniku podróży — przez generałową i jej męża. Pobyt w Objezierzu przeciągnął się kilka dni i trwał od 2-go do 7-go kwietnia.[10] Odstawiony przez gospodarzy do Pniewa odezwał się do

[10] J. U. Niemcewicz, *Dziennik drugiej podróży do Ameryki*, s. 15.

nich jeszcze raz dziękując listownie gorąco za okazaną gościnność i życzliwość. Na tym liście przerwała się korespondencja Niemcewicza z Węgorzewską na czas dłuższy.

1

J. U. NIEMCEWICZ DO A. WĘGORZEWSKIEJ[1]

Warszawa, 22. II. 1803.

Wielmożna Mościa Dobrodziko.

Lubo nie mam honoru być znanym WMMPani Dobrodzice, za perswazją atoli Jej i moich przyjaciół, którzy mnie (równie z całą publicznością) o Jej obywatelstwie, dobroci i uczynności zapewnili, śmiem się do Niej udawać w następującej okoliczności. JMPan Mostowski[2] na żądanie wielu przyjaciół i znajomych moich przedsięwziął pozbierać wiele rozrzuconych a po większej części nieznanych pism moich i wydać je na widok publiczny, że wydanie to obejść się nie może bez znacznego kosztu, umyśliliśmy (jak to już jest w Gazecie Polskiej Warszawskiej doniesiono) ogłosić prenumeratę, to jest za tom duży na welinowym papierze 24 f., na francuskim zaś 1 duk. Znając jak WMMPani Dobrodzika tak słusznie powszechnie jesteś znaną i szacowaną, poważam się posłać Jej sto biletów na całą prowincję wielkopolską, za zapłaceniem prenumeranta raczysz WMMPani Dobrodziko kazać wpisać imię jego i na dole podpisać się, jako u niej złożył pieniądze, te zaś za pewną okazją racz WMMPani Dobrodzika do końca kwietnia do mnie do Warszawy, później zaś, gdy ja wyjeżdżam do Litwy, do IMPana Michała Kochanowskiego,[3] niegdyś posła sendomirskiego, przesłać. Jest to prawdziwie zuchwalstwem inkomodować Damę, której nie mam honoru znać, podobnym utrudzeniem, nic jej wymówić nie może, chyba zaufanie wrodzonej Jej dobroci i uczynności. Racz WMMPani Dobrodzika przyjąć hołd uszanowania, z którym mam honor zostawać WMMPani Dobrodziki

najniższym sługą
Julian U. Niemcewicz

przewrócić

P. S. Imiona prenumerantów
będą wydrukowane na czele
dzieła.
[na odwrotnej stronie.]

---

[1] Wszystkie przytoczone tu listy są własnoręcznymi autografami. Większość z nich nie posiada kopert i nie ma adresu. Podobnie i pierwszy nie jest zaadresowany, niewątpliwie jednak, jak wynika z następnych listów, był skierowany do Węgorzewskiej. Pisownię i interpunkcję modernizuję.

[2] Tadeusz Antoni Mostowski, mąż stanu, wydawał w czasie Sejmu Czteroletniego Gazetę Narodową i Obcą, po powstaniu kościuszkowskim przebywał za granicą, potem powróciwszy w 1802 r. do kraju zajmował się m. in. wydawaniem dzieł pisarzy polskich.

[3] Michał Kochanowski, poseł na Sejm Czteroletni, dość radykalnych jak na stosunki polskie zapatrywań, w czasie Księstwa Warszawskiego piastował różne godności.

P. S. Miejsca próżne w biletach są zostawione na imiona tudzież na wyrażenie czy na welinowym, czy na francuskim papierze prenumerant obiera. Resztę biletów, które się nie rozdadzą, raczysz JWP. nazad odesłać i przysłać imiona tych, co prenumerowali.

2

J. U. NIEMCEWICZ DO A. WĘGORZEWSKIEJ

Warszawa, 2. IV. 1803.

List WMMPani Dobrodziki miałem honor odebrać, raz jeszcze przepraszam za narzucony jej kłopot w zbieraniu prenumeraty, powtarzam oraz podziękowanie moje za podjęcie się tej fatygi. Niemałym to jest dla mnie zmartwieniem, iż wydając ramoty moje nie to wszystko co bym życzył, ale to tylko, co w smutnych dzisiejszych okolicznościach można, umieszczono zostanie. Elegia,[4] o której WPani Dobrodzika wspominasz, jeśli się umieści, to chyba wyrzuciwszy najdroższe sercom naszym imię, to imię jest Polska, uda się chyba, jak gdyby po zburzeniu przez barbarzyńców Rzymu, Rzymianin jaki żale te napisał, gdziekolwiek więc jest to słowo Polska, napisze się Rzym, każdy potem w egzemplarzu swoim piórem poprawi, jak być powinno. W bajkach pod alegorią wiele się powi prawd i smutnych wyrazi uczuć. Będzie także psalm *Super flumina Babylonis*,[5] wiele z położeniem naszym mający stosunku. Nie omieszkam pracy i starania, by dzieło, ile można, czytelnikowi przyjemnym uczynić. Z winnym uszanowaniem mam honor zostawać

WMMPani Dobrodziki
najniższym sługą
Julian U. Niemcewicz

Godnemu mężowi WMPani Dobr. i JMP. Generałowi Fiszerowi[6] racz WMMPani Dobr. oświadczyć uniżoność moją.

3

J. U. NIEMCEWICZ DO A. WĘGORZEWSKIEJ[7]

Puławy, 30. V. 1803.

Wielmożna Mościa Dobrodziko.

List WMMPani Dobrodziki pod datą 30 marca wczoraj dopiero miałem honor odebrać, przy nim 114 talarów i imiona prenumerantów. Racz WMMPani Dobrodziko przy-

---

[4] Autor myśli w tym wypadku o wydanej w 1793 r. elegii *Wiosna*.

[5] Tłumaczenie psalmu 137, drukowane w wydaniu *Dzieła poetyckie wierszem i prozą* J. U. N i e m c e w i c z a, Lipsk 1838, t. II, s. 96—7.

[6] Stanisław F i s z e r, generał adiutant Kościuszki, wówczas przebywający w Poznańskiem.

[7] List ten zaopatrzony jest w adres na odwrocie: „A Madame Madame la Comtesse A. Węgorzewska par Posen Oborniki à Objezierze".

jąć jak najżywsze podziękowania moje za jej łaskawe starania. Dzieło już się drukuje i na Ś. Jan[8] lub wkrótce po nim wyjdzie niemylnie. Spodziewam się, iż przeszłe listy moje doszły WMMPanią Dobrodzikę. Znalazłem mianą już za zagubioną tragedię moję *Władysława Warneńczyka* oryginalną, która także w zbiorze będzie, ale *Atalię*[9] Pani Działyńska[10] pono zgubiła. Racz WMPani Dobrodzika złożyć ukłony moje godnemu swemu mężowi i JPanu Generałowi Fiszerowi i wierzyć, żem jest z wdzięcznością, z uszanowaniem

WMMPani Dobrodziki
najniższym sługą
Julian U. Niemcewicz

4

J. U. NIEMCEWICZ DO A. WĘGORZEWSKIEJ

Bardiów, 16. VIII. 1803.

Wielmożna Mcia Dobrodziko.[11]

Oddalonemu do wód Bardejowskich w Węgrzech[12] list WMMPani Dobr. pod datą 28 lipca teraz dopiero doszedł. Lękam się, żeby i moja odpowiedź zarówno nie spóźniła się. Powtarzam raz jeszcze dzięki moje za łaskawe WMMPani Dobr. do dziełka mego interesowanie się, 236 nowozebranych talarów racz WMMP. Dobr. przez *diligence* odesłać do bankiera warszawskiego pana Berneau[13] z słówkiem, że to są pieniądze dla mnie. Chcąc się uiścić w przyrzeczeniu publiczności, dziełko wyszło wraz po ŚJanie, a że przed tym czasem wielka bardzo, a raczej najznaczniejsza część imion prenumerantów nie była wiadoma, pan Mostowski, edytor mój, bojąc się spóźnienia wydał książkę bez regestru prenumerantów. Każdy ją teraz za posłaniem biletu swego odebrać może. Elegia o wiośnie z niektórymi odmianami,[14] tragedia Władysława i wiele innych kawałków hazardowane nad spodziewanie moje dotąd ani hałasu, ani zapytania żadnego nie zrobiły. Tom, jak WMMP. Dobr. znajdziesz, dość gruby, zostało dość materiałów na drugi, jako to *Atalia*, której charakter i czyny mają wiele podobieństwa

---

8 Ur. św. Jana, tj. 24 czerwca.

9 Poeta myśli tu o tłumaczeniu *Atalii* Racine'a.

10 Nie wiadomo, o której Działyńskiej jest mowa. Może o Justynie Działyńskiej, żonie Ksawerego Szymona.

11 List zaadresowany: „A Madame Madame la Comtesse A. Węgorzewska née Comtesse Kwilecka par Posen Objezierze".

12 Bardiów, miejscowość kąpielowa na Słowaczyżnie, 28 km na południowy-zachód od Krynicy.

13 Klemens Berneaux, kupiec warszawski, zajmujący się operacjami bankowymi. Wg *Polsk. Słown. Biogr.*, t. I, s. 465 Berneaux zmarł około r. 1802. Z listu Niemcewicza wynikałoby, że wówczas jeszcze żył, lub przynajmniej było prowadzone przedsiębiorstwo pod jego nazwiskiem.

14 We Wrocławiu, niestety, nie dotarłem do wydania pism Niemcewicza z r. 1803, wskutek tego nie mogłem stwierdzić, na czym polegają różnice między tekstem wówczas wydanym a pierwodrukiem. Wł. Włoch w pracy *Polska elegia patriotyczna w epoce rozbiorów*, Kraków 1916, pisząc o tej elegii i przedrukowywując ją wg pierwodruku, nie wspomina nic o tym, by druk z r. 1803 różnił się od pierwodruku.

z nieboszczką Katarzyną,[15] komedia, bajek 26 etc. Pan Mostowski radzi mi go wydać i ogłosić prenumeratę, ale ja nie chcę łaskawych prenumerantów nową narzucać natrętnością, a nadto w październiku rzucając już kraj, beze mnie edycja dziać by się musiała. Tragedia murzynów nie jest moja, nigdy jej nawet nie czytałem. Są nie wydane elegie moje pisane w więzieniu i inne kawałki, których chętnie WMMPani Dobrodzice udzielę w dowód i wdzięczności mojej, i tego poważania, na które i przymioty Jej i obywatelstwo tak słusznie od każdego zasługują. Trudność przebrania się przez Francję, zamknięcie przez toczących wojnę Hamburga trudnymi czynią wybranie się za morze, starać się jednak trzeba trudności te przemóc i wyjechać. Mam honor zostawać z uszanowaniem

WMMPani Dobrodziki
najniższym sługą
Julian U. Niemcewicz

JMDobrod. i JMP. Generałowi Fiszerowi racz WMMPani Dobr. ukłony moje oświadczyć.

5

J. U. NIEMCEWICZ DO A. WĘGORZEWSKIEJ

Warszawa, 27. II. 1804.

Dwa listy WMMPani Dobrodziki i sumą 212 talarów odebrałem z postamtu warszawskiego, składam najżywsze dzięki i za Jej fatygę i za łaskawe wyrazy w liście Jej umieszczone, które tym są pochlebniejsze dla mnie, im z zacniejszych ust wychodzą. Materiały do drugiego tomu zostawiam tu przyjaciołom moim, po moim wyjeździe zrobią z nimi, co zechcą. *Atalia* będzie celniejszą onego częścią, przetłumaczyłem ją w więzieniu z przyczyny największego podobieństwa, które się znajduje między tym *monstrum* i Katarzyną. Czytałem list z Paryża z rozkazu Kościuszki pisany z autentycznym doniesieniem o zatargach Jego z Ponińskim,[16] które my tu mieli tak dziwacznie opisane. Prawda, że Poniński wyzywał, ale będący w Paryżu Polacy nie dopuścili do tego, przymusili Ponińskiego do przeproszenia Kościuszki za ostry jego list i spalenia go, Kościuszko nawzajem dał zaświadczenie, jako Poniński potykał się odważnie walcząc pod nim, i jako z zarzutu, że pod Maciejowice nie przyszedł, przez wyznaczoną na to komisję został oczyszczonym.[17] Zaświadczenie prawdziwie aż nadto dla Ponin-

---

[15] Katarzyna II, carowa moskiewska.

[16] Adam Poniński, generał, uczestnik powstania kościuszkowskiego.

[17] Zatarg ten wynikł z tego, że Poniński przybył ze swym korpusem za późno na pole bitwy pod Maciejowicami. Aresztowany przez Naczelnika Sił Zbrojnych w październiku 1794 r. został jednak uniewinniony. Sprawa odżyła na emigracji, kiedy Ségur zarzucił w swej publikacji Ponińskiemu, że był sprawcą klęski maciejowickiej. Poniński skierował wówczas ostry list do Kościuszki. Gdy Kościuszko nie godził się uznać Ponińskiego niewinnym, ten skierował jeszcze jeden list do Kościuszki, w którym zarzucał mu, że stracił pod Maciejowicami głowę i działał bez planu. Grono oficerów polskich zmusiło wówczas Ponińskiego do cofnięcia napaści, niemniej jednak Kościuszko skierował do Ségura list stwierdzający, że komisja uznała Ponińskiego niewinnym. Sprawa ta omawiana przez historyków: Paszkowskiego, *Dzieje Tadeusza Kościuszki*, Kraków 1876, oraz T. Korzona, *Kościuszko*, Kraków b. d., s. 445 i dalsze, została ostatecznie rozstrzygnięta przez M. Kukiela w książce *Maciejowice*, Kraków 1929, s. 64 i dalsze. Kukiel stwierdził mianowicie po zbadaniu terenu, że Poniński nie mógł przybyć na czas, albowiem za późno odebrał rozkaz Kościuszki.

skiego podchlebne. Warszawa dosyć się tych zapust świeciła, rozdział między Polakami i Niemcami znaczny i bodajby nigdy zatartym nie był. Przyznać jednak należy, że tutejsi i rząd ich, nierównie rozsądniejsi i słodsi jak w Galicji, tam nie tylko niezmierne podatki, ale nudy, szykany i zakroj na wygładzenie języka i imienia polskiego, po szkołach zakazali uczyć po polsku, zakazane wszystkie prawie książki, Bóg wie, czy i alfabet będzie się mógł długo utrzymać. Jeden tylko fanatyzm i głupstwo zachęcane. Generała Fiszera jeszcze tu nie ma, czekam go z niecierpliwością. Wyjazd mój zapewne w przyszłym miesiącu około 20 nastąpi. Nadto jestem upragniony dostąpienia szczęścia prezentowania się WMPani Dobrodzice, żebym chyba w zupełnej niesposobności miał Objezierze[18] ominąć. Proszę oświadczyć ukłony moje WMPanu Generałowi i wierzyć, żem jest z największym uszanowaniem

WMPani Dobrodziki
przywiązany i najniższy sługa
Julian U. Niemcewicz

6

J. U. NIEMCEWICZ DO A. WĘGORZEWSKIEJ

Pniewy,[19] 7. IV. 1804 o 3 godzinie.

Pozwólcie JWMMPaństwo Dobr., żebym powtórzył dzięki moje za Ich tak uprzejme i łaskawe przyjęcie nas. Szczęście poznania Ich, słodko spędzone z nimi godziny, żal na koniec z rozstania się, zawsze sercu i pamięci mej przytomnymi będą. Bodajby nieba zlewały na was wszystkie swe błogosławieństwa i na wzór, i pamiątkę prawdziwym Polakom, w najpóźniejsze Was zachowały lata. Młody mój towarzysz[20] podróży łączy z moimi swoje uczucia i dzięki dla Obojga JWMPaństwa Dobrodziejstwa —

prawdziwy przyjaciel i sługa
Julian U. Niemcewicz

WPanu Szambelanowi i całej Kompanii zasyłamy serdeczne ukłony. Wątpię bardzo, żebyśmy dalej na noc zajechali jak do Sinago (?) i to późno.

[Na górze koło daty notatka inną ręką:]
Przyjechał 2 kwietnia do Objezierza, a odjechał [podkreślone w dacie: 7 kwietnia]

---

[18] Objezierze na północny-zachód od Poznania, w odległości w linii powietrznej 25 km.
[19] Pniewy miejscowość na linii kolejowej Poznań—Międzychód.
[20] Był to, wg *Pamiętnika podróży*, Michał Węgierski.

TADEUSZ MIKULSKI

ZAPOMNIANY LIST ORZESZKOWEJ DO SZCZEDRINA

Twórczość Orzeszkowej na tle związków z literaturą rosyjską stanowi temat zaledwie naszkicowany.[1] Autorka *Gloria victis* z przenikliwością i odwagą myślenia umiała rozróżnić rząd carski i naród rosyjski. Toteż z emocją intelektualną i uczuciową patrzyła na działalność pisarzy rosyjskich, którzy służyli ideologii postępu społecznego i podejmowali w swoich dziełach krytykę ustroju. Można sądzić z góry, że szczególne zainteresowanie ideowe i artystyczne Orzeszkowej budził i umiał na sobie zatrzymać Sałtykow-Szczedrin, odważny i pełen talentu satyryk obyczajowy i polityczny, który poświęcił swoje pióro analizie ustroju carskiego.

Bogata korespondencja Orzeszkowej mówi parokrotnie o lekturze pism Szczedrina. Poznawała jego dzieła w tekście oryginalnym (jak za chwilę powie o tym sama), ale także w przekładach polskich i francuskich. Przekładów polskich w tych latach nie miał zresztą Szczedrin wiele. Z cyklu Губернские Очерки magazyn ilustrowany Kłosy drukował w r. 1872 opowiadanie Матушка Мавра Кузьмовна. Później Prawda Świętochowskiego ogłosiła w r. 1881 dwa drobniejsze utwory Szczedrina: Старая Помпадурша (z wybornego cyklu Помпадуры и Помпадурши) i Охранители (z cyklu Благонамеренные Речи). Publikacja Prawdy musiała Orzeszkową interesować szczególnie: w tece redakcyjnej Świętochowskiego leżała jej własna nowela *Złota nitka*, która mogła pojawić się w odcinku Prawdy dopiero po ukończeniu przekładów Szczedrina (i nawet jakiegoś opowiadania Sewera).[2] Toteż w r. 1881 Orzeszkowa przeglądała zapewne numery Prawdy z pewnym zniecierpliwieniem...

---

[1] Zob. Marian Jakóbiec, *Literatura rosyjska wśród Polaków w okresie pozytywizmu*. Wrocław 1950, s. 29—30.

[2] E. Orzeszkowa, *Listy*, t. I. *Dwugłosy*. Warszawa, Grodno 1937, s. 453.

Właśnie w tym czasie widzimy w rękach Orzeszkowej pisma Szczedrina. Jej list do Jeża z Grodna, 17 maja 1881 r., wskazuje wyraźnie, że z zeszytów Revue politique et littéraire pisarka wyławia przede wszystkim „rosyjskiego Szczedrina".[3] Lekturze tej towarzyszy emocja bardzo silna — z listu do Jana Karłowicza, z Grodna, 10 marca 1882 st. st., wyjmujemy słowa: „Czytam dużo: [...] Szczedrina, którego admiruję [...]".[4] Te ubogie wzmianki (w niekompletnym zespole korespondencji Orzeszkowej, który został dotychczas ujawniony drukiem) dają nadzieję szerszej i bogatszej dokumentacji.

Bo i pisarzowi rosyjskiemu twórczość pisarki grodzieńskiej jest znana i bliska. Świadczy o tym przede wszystkim spis rzeczy czasopisma Отечественные Записки, które Szczedrin, prowadząc bardzo umiejętną i wytrwałą walkę z cenzurą petersburską, umiał uczynić wspaniałym organem myśli rewolucyjno-demokratycznej. W tych cennych tomach ukazują się raz po raz nowele Orzeszkowej w przekładzie rosyjskim, wyjęte ze zbioru *Z różnych sfer* (1879). Bibliografia poloniców rosyjskich, fragmentami opracowana już bardzo precyzyjnie, wylicza te przekłady: *Silny Samson*, przejmująca opowieść z życia żydowskiego proletariatu, pojawił się w piśmie Szczedrina w r. 1880, nr 12,[5] *Milord* w r. 1881, nr 2, *Dziwak* w r. 1881, nr 12, wreszcie *Pani Luiza* (jeśli dobrze transkrybujemy tytuł przekładu rosyjskiego *Sylfida*) w r. 1882, nr 8.

Szczedrin, który w ten sposób przeprowadza przez pismo znaczną część cyklu *Z różnych sfer*, uzyskuje własny stosunek do twórczości Orzeszkowej. I on także, spotkawszy się z polską pisarką we wspólnym systemie ideowym, zaczyna ją „admirować". Świadectwo tego szacunku literackiego przedostaje się niebawem do druku. W czasopiśmie Отечественные Записки z r. 1882, nr 2 (w tym samym zatem numerze, gdzie ukazała się nowela *Pani Luiza)*, Szczedrin drukuje swój głośny artykuł Юльское Веяние, który w okresie rosnących nastrojów antysemickich zdobywa czytelnika dla idei zgody społecznej i zrozumienia świata żydowskiego. Argumentem artystycznym w artykule Szczedrina jest niespodzianie — *Silny Samson*, „śliczna nowela

---

[3] E. Orzeszkowa, *Listy*, t. I. Warszawa, Grodno 1937, s. 162.

[4] E. Orzeszkowa, *Listy*, t. II. cz. 1, Warszawa, Grodno 1938, s. 274.

[5] Na tym jednym przykładzie spostrzegamy, że bibliografia przekładów nowelistyki żydowskiej Orzeszkowej na języki obce, zestawiona przez Irenę Butkiewiczównę w pracy *Powieści i nowele żydowskie Elizy Orzeszkowej*, Lublin 1937 (s. 140—142: na język rosyjski), nie jest kompletna.

pani Orzeszkowej". Szczedrin poświęca temu arcydziełku nowelistyki kilka wierszy, które warto odczytać w całości:

> Ci, którzy chcą się cokolwiek dowiedzieć, ile rzeczy urzekających tai umęczony świat żydowski i jaka kryje się tam nieludzka tragedia istnienia, muszą poznać tę książkę, w której każde słowo oddycha prawdą. Książka ta budzi w czytelniku tylko zdrowe, dobre uczucie i zmusza do rozwagi w najlepszym znaczeniu tego słowa.

Orzeszkowa czytuje w Grodnie nie tylko Revue politique et littéraire, ale także Отечественные Записки. Wie zatem, że jej nowelistyka w dużym wyborze przeszła przez kolumny walczącego periodyku postępowej literatury rosyjskiej. Artykuł Юльское Веяние czytała ze szczerą satysfakcją autorską: pisarz którego „admiruje", głosi jej własne poglądy, odwołuje się do jej pism, o powiastce *Silny Samson* wypowiada zdanie najwyższej aprobaty, która dla pisarzy tamtego pokolenia miała walor zupełnie wyjątkowy („każde słowo oddycha prawdą").

Oto jest geneza listu Orzeszkowej do Szczedrina z Grodna, 31 października (niewątpliwie starego stylu) 1882 r. List daje przede wszystkim świadectwo lektury; dzieła Szczedrina Orzeszkowa „wszystkie prawie" czytała. Jest poza tym dokumentem nie tylko uwielbienia dla pisarza, ale także pokrewieństwa ideowego, jednomyślności w sądach społecznych, „w zapatrywaniu się — jak pisze Orzeszkowa — na nieszczęsną sprawę żydowską".

Listowi towarzyszył dar literacki. Orzeszkowa posłała Szczedrinowi swoją broszurę *O Żydach i kwestii żydowskiej*, wydaną zaledwie przed paroma miesiącami nakładem „Wydawnictwa E. Orzeszkowej i Ski" w Wilnie (1882). Książeczka ta była nie tylko upominkiem koleżeńskim (żałujemy prawdziwie, że nie znamy tekstu dedykacji Orzeszkowej dla Szczedrina!). Autorka miała tu także pewną intencję polemiczną. Czasopismo Русский Еврей (1882, nr 24, 26—32, 34, 37, 41) drukowało fragmenty przekładu i komentarz do broszury Orzeszkowej, osądzony przez autorkę bez zadowolenia. Rozumiemy, że chciała zatem pokazać Szczedrinowi swoją publicystykę w formie autentycznej, bez okaleczeń, zwłaszcza w sprawie, która pasjonowała ich oboje. Parę słów, jakie dorzuciła przy tej okazji, stanowi smutne *epitafium* Wydawnictwa E. Orzeszkowej i Ski, placówki nakładowej, zdławionej przez ucisk polityczny.[6]

---

[6] Stefan Rosiak, *Księgarnia »E. Orzeszkowa i S-ka« w Wilnie. 1879—1882.* Wilno 1938.

List Orzeszkowej ocalał w papierach Szczedrina i znajduje się dziś w Instytucie Literatury im. Puszkina (tzw. Dom Puszkina) przy Akademii Nauk ZSRR w Leningradzie. Dopiero w r. 1931 wydobył go z rękopisów i ogłosił drukiem z bardzo dokładnym komentarzem źródłowym K. Puszkarewicz w Archiv für slavische Philologie.[7] Trzeba powiedzieć z żalem, że historycy literatury polskiej przeoczyli tę publikację. Nie weszła ona do wielkiego wydawnictwa *Listów* Orzeszkowej, które redagował w latach przedwojennych Ludwik Brunon Świderski. Prace późniejsze, określające stosunek Orzeszkowej do literatury rosyjskiej, opierały się niemal wyłącznie na wydawnictwie Świderskiego, nie rozszerzając jego podstawy źródłowej. Chcemy wprowadzić ponownie ten ważny dokument do ewidencji polonistycznej, powtarzając jego tekst i komentarz za K. Puszkarewiczem, odkrywcą autografu. Piękny list Orzeszkowej do Szczedrina, pełen wysokiego humanitaryzmu, szlachetny w treści i wypowiedzi, przerzuca w r. 1882 jeszcze jedną kładkę między literaturą polską i rosyjską. Toteż czytamy ten dokument z ciekawością erudyty, ale nie tylko z ciekawością erudyty.

Szanowny Panie!

Proszę naprzód o przebaczenie, że piszę nie po rosyjsku, ale znając ten język dostatecznie, aby móc zaznajamiać się z literaturą jego, praktycznie używać go w mowie i piśmie nie umiem. Mam nadzieję, że polski list mój Pan albo zrozumie, albo Mu ktokolwiek treść jego opowie. Ani żywe uwielbienie moje dla pism Pana, ani to, że je wszystkie prawie czytałam i że dały mi one znaczną sumę umysłowej przyjemności i korzyści, nie uprawniałoby mię do obarczania Pana korespondencją moją. Usprawiedliwi zupełnie krok ten wdzięczność moja dla Pana. Raczyłeś Pan w poważnym i pięknym swym piśmie (Отечественные Записки) drukować kilka razy przełożone na język rosyjski powiastki moje. Za to już zawsze podziękować Panu chciałam. Teraz w artykule Pana (Юльское веяние) wyczytałam kilka słów o jednej z powiastek tych tak dla mnie pochlebnych, że już nie powstrzymując się dłużej przesyłam Panu serdeczne: dziękuję! Pochwała takiego, jak Pan pisarza i myśliciela wlewa ufność we własne siły, a przez to je wzmacnia. Winnam więc Panu nie tylko miłe, ale wzmacniające wrażenie, co tym cenniejszym jest darem, że na tym biednym, choć tak bogatym świecie dotykają nas same prawie osłabiające i zniechęcające wrażenia. Ucieszyła mię też nad wyraz jednomyślność nasza w zapatrywaniu się na nieszczęsną sprawę żydowską. Jakkolwiek pewną prawie jestem, że Pan nie czytuje

[7] K. Puszkarewicz, *Ein Brief von E. Orzeszkowa an Saltykov-Szczedrin.* Zeitschrift für slavische Philologie. Bd VIII. Leipzig 1931, s. 433—436. Z komentarza Puszkarewicza pochodzą informacje bibliograficzne, określające stosunek Orzeszkowej i Szczedrina. Cytat z artykułu Szczedrina Юльское веяние o *Silnym Samsonie* Orzeszkowej wypadło nam, niestety, rekonstruować z wersji niemieckiej Puszkarewicza, nie mając możności dotarcia do pierwodruku.

po polsku, śmiem jednak przesłać Mu broszurę moję, sprawę tą za przedmiot mającą. Tłumaczyła ją wprawdzie gazeta rosyjska Русский Еврей, ale nie całą i znacznie przerobioną. Jest to ostatni tom wydawnictwa, które prowadziłam w Wilnie przez lat trzy, a przed kilku miesiącami, z przyczyn ode mnie niezależnych, na zawsze przerwać musiałam. Z tego powodu książeczka ta ma dla mnie znaczenie smutnej pamiątki. Niechaj czasem przypomni ona Panu szczerą wielbicielkę Jego talentu. Wszyscy tu zresztą znamy Pana dobrze, a zachwycając się świetnymi przymiotami pism Jego, dla szlachetnych, głębokich myśli, które Pan nimi współdziałasz, wyznajemy cześć głęboką.

E. Orzeszko

31. 10. 82.
Grodno.

JANINA ENDER

POLSKA POWIEŚCIOPISARKA U WÓD ŚLĄSKICH W R. 1844

W wydawanym przez Eleonorę Ziemięcką czasopiśmie Pielgrzym znajduje się w r. 1845 *Wspomnienie krótkiej podróży*, artykuł Anny Nakwaskiej. Autorka, Anna z Krajewskich Nakwaska (1781—1851) urodziła się w Warszawie,[1] gdzie ojciec jej jako instygator koronny stale mieszkał, i tu też spędziła prawie całe życie. Według ówczesnego zwyczaju w rodzinach możnej szlachty odebrała wychowanie francuskie, ledwie pacierza i początków katechizmu uczyła się w języku ojczystym.

W r. 1799 wyszła za mąż za Franciszka Nakwaskiego i dopiero pod jego wpływem zaczęła się uczyć po polsku i bywać w Warszawie w poważnym, patriotycznym domu Sołtyków. To nie przeszkadzało jej odwiedzać także pałac „Pod Blachą" i brać udział w zabawach organizowanych przez ks. Józefa Poniatowskiego.

Za czasów Księstwa Warszawskiego mąż jej zostaje najpierw podprefektem, a następnie prefektem departamentu warszawskiego. Nakwaska miała wtedy możność widzieć Napoleona, tańczyć z jego krewnymi i generałami, poznać dwór ks. Fryderyka Augusta. Z tego okresu ciekawe są jej listy do siostry opisujące ówczesną Warszawę i warunki bytu stolicy Księstwa.

W Królestwie Kongresowym Nakwaska zostaje kasztelanową, a w końcu wojewodziną i stopniowo usuwa się od wiru zabaw, zajmuje wychowaniem syna Henryka,[2] czyta książki polskie i wreszcie sama bierze za pióro. Najpierw pisze po francusku. Tłumaczy w r. 1817 na język francuski powieść ks. Marii Wirtemberskiej *Malwina czyli do-*

---

[1] Niektóre życiorysy podają, że Nakwaska urodziła się w r. 1779 we wsi Gołąb w Lubelszczyźnie.

[2] Syn ten w przyszłości miał na emigracji zapoznać się i zbliżyć z Mickiewiczem i jego rodziną.

myślność serca. Z czasem ośmieli się pisać po polsku, choć początkowo sprawia jej to trudność.

Nakwaska jest jeżeli nie pierwszą, to jedną z pierwszych kobiet polskich, które miały odwagę zabrać głos na łamach prasy. W latach 1819 i 1820 zamieszcza w Pamiętniku Warszawskim artykuły w sprawie reformy wychowania kobiet. Właściwa działalność literacka Nakwaskiej rozwija się jednak dopiero po r. 1831. Nauczyła się wreszcie po polsku, choć wpływ francuszczyzny pozostanie u naszej pisarki zawsze widoczny, zwłaszcza w budowie zdań. Pisze wiele powieści, które przy ogólnym wówczas braku talentów w kraju cieszą się poczytnością, ale wkrótce po śmierci ich autorki zostaną zapomniane. Otwiera także salon literacki.

W r. 1845 zdaje w Pielgrzymie sprawę ze swej podróży odbytej w r. 1844 na Śląsk. Nakwaska nie może jechać koleją, bo Królestwo dopiero za parę lat, tj. od r. 1848, będzie miało pierwszą drogę żelazną, mianowicie warszawsko-wiedeńską. Ale nie jedzie pocztowym dyliżansem, lecz własnym powozem w czwórkę koni. Podróży nie odbywa samotnie. Towarzyszą jej jakieś cztery osoby, prawdopodobnie z jej rodziny, i służący.

Jedzie z Warszawy przez Kalisz. Narzeka na złą drogę z Kalisza do Wrocławia. Pierwszym etapem podróży na Śląsku była Trzebnica. Tu zwiedza oczywiście stary klasztor i grób św. Jadwigi. Od razu ujawnia się rozbrajająca nieznajomość historii. Św. Jadwiga to według Nakwaskiej matka Henryka Brodatego, a ten miał rzekomo pobić Tatarów w bitwie pod Legnicą.

Z Trzebnicy jedzie do Wrocławia i staje w hotelu „Pod Złotą Gęsią", „który niedawno wytwornie i pięknie, ale na bardzo kosztowną stopę urządzony" został. Bawi tu prawdopodobnie krótko i opisuje miasto tak: „Ruch i wynalazki XIX stulecia przesyciły Wrocław aż do zbytku. Trzy żelazne koleje, dwa jarmarki na wełnę i coroczny przejazd bogatych cudzoziemców, którzy się tędy w wielkiej liczbie z północy na południe do wód udają, wszystko to czyni miasto europejską stacją i miłym dla podróżnych wypoczynkiem". Wspomina dwa wielkie sklepy Immerwara i Saksa. Z zabytków zwiedza katedrę, kościół N. Marii Panny na Piasku i kościół Św. Krzyża. W tym ostatnim ze wzruszeniem ogląda pomnik jednego z Piastów śląskich. Był to niewątpliwie znany sarkofag Henryka Probusa. A chociaż książę ten na pomniku nie ma wcale zarostu, Nakwaska nazywa go Henrykiem Brodatym, którego zwłoki po bitwie pod Legnicą tu miały być przeniesione. Gdyby Nakwaska miała taki przewodnik po Wrocławiu, jak my obecnie, z pewno-

ścią wiedziałaby, że kościół Św. Krzyża został wybudowany znacznie później, już pod koniec XIII w. We Wrocławiu ogląda także, prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu, kolej żelazną, która i dla wrocławian stanowi jeszcze nowość. Przygląda się jej z podziwem, ale nie bez słuszności robi uwagę, że wprawdzie koleją podróżuje się szybciej i taniej, ale jadąc końmi lepiej można się przypatrzeć ludziom i okolicom.

Jednak mimo to Nakwaska nie umiała wszystkiego spostrzec w swej podróży. Nie zauważyła np. polskości Śląska. Nigdzie o tym nie wspomina. Nie pisze, w jakim języku porozumiewała się z krajowcami. Jedynie pamiątki i wspomnienia po Piastach budzą w niej rzewne uczucia. Nie zna wcale polskich nazw geograficznych. I dlatego z Wrocławia jedzie przez Freiberg do Salzbrunn. Podoba się jej tutaj piękna okolica, przyznaje, że wody solickie pomogły jakiejś bliskiej jej osobie, ale nudzi się z braku życia towarzyskiego. Jest wprawdzie teatr w szopie pośród pola, ale mierny, a koncerty w kursali widocznie też nieszczególne. Można dostać tylko niemieckie gazety, a w czytelni książki niemieckie i francuskie, z polskich jest tylko jedna drama, ale ciągle w czytaniu, bo polskich gości było dużo, choć nie komunikowali się ze sobą. W czasie pobytu w Solicach bywa także w sąsiednim mieście Waldenbourg.

Z Solic jedzie do Warmbrunn. Podróż przez góry jest bardzo uciążliwa. Niewiele brakuje, by nie spotkała Nakwaskiej i jej towarzyszek zła przygoda. Wskutek braku koni pocztowych na jednej ze stacji doprzężono do jej czwórki jeszcze parę wołów. Tym osobliwym zaprzęgiem dociera Nakwaska na szczyt górski, ale spuszczając się z niego po śliskiej spadzistej drodze omal nie wpada w przepaść, bo warszawski powóz jest bez mocnego hamulca. Na szczęście jakiś wędrowiec zatrzymuje pojazd i dzięki temu pisarka dojeżdża szczęśliwie przez Hirschberg do Warmbrunn.

Cieplice bardzo jej się podobają ze względu na swe piękne położenie. Robi wiele wycieczek w okolice, wspomina m. in. kościółek norweski. Daje z pewnych względów ciekawy opis kąpieli w Cieplicach. Opis ten mógłby zainteresować historyków medycyny, zwłaszcza balneologów. Pisany jest bezpośrednio po odbytej podróży i niewątpliwie wierny. Inaczej trudno byłoby uwierzyć, że kuracja mogła się odbywać w tak niesłychanie niehigienicznych warunkach.

Oto jego dosłowny tekst:

> Sposób kąpania się w Warmbrunn jest dla osób delikatnych i porządek lubiących nader uciążliwy, muszą więc być istotnie skutecznymi, kiedy mu się wszyscy bezwzględnie poddają. Dwa niewielkie domy mieszczą w sobie

najwięcej zalecane źródła, są one w okrągłych znacznej objętości wannach zamknięte, z których siarczana bardzo ciepła woda nader leniwo wytryska i odchodzi. Wanny te napełniają się od drugiej godziny w nocy wszelkiego stanu i wyznania mężczyznami; to trwa do godziny szóstej z rana, przez który przeciąg czasu pięćdziesiąt, a może więcej osób w tych wannach się zanurza. Od szóstej do siódmej jest mały dla wanien spoczynek; obejmują go wtedy kobiety i dla dogodzenia płci naszej w jej wymaganiach uwalniają wodę szuflami z pierzy, włosów i innych nieczystości po kąpiących się w niej poprzednio pozostałych. O godzinie siódmej otwierają się kąpiele dla kobiet pierwszej klasy przez dwie następne godziny, po czym klasa druga płci żeńskiej ich używa, ma się rozumieć, przez pierwszą klasę tę, co więcej, a drugą tę, co mniej płacić są w stanie, innej różnicy stanów tu nie ma. Hrabina i Żydówka, rzemieślniczka lub wysokiego urzędnika żona w skromnej białej odzieży i prostym czepku codziennie tu obok siebie w siarczanych tych wyziewach aż pod samą szyję w wodzie zanurzone stać muszą... Można też czasem znaleźć w tej kąpieli i miłe towarzystwo, co nas oświecić i zabawić zdoła, ale ta mętna i tylu chorymi odwiedzana struga, te ściśnione, siarką przesycone powietrze, te kaleki, co między nas bezwładnie na ręcznikach wpuszczają, wszystko to przypomina czyściec i zaiste mało powabu mieć może. Powtarzam tu raz jeszcze, o jakżeż te kąpiele skuteczne być muszą, kiedy prawie nikt nie wyłamuje się z przykrych warunków ich używania.

Nakwaska wspomina, że są jeszcze oddzielne wanny, ale z wodą mniej skutecznych źródeł. Dlatego też mało są używane.

Co niedziela odbywa się całkowite wanien odświeżanie, wypuszczają wodę, zupełnie szorują wanny i znowu od godziny drugiej do północy napełniają się one chorobliwymi istotami, co dla przybywających o siódmej najadów cały urok świeżej kąpieli w brudną rzeczywistość zamieniają...

Nakwaska wspomina także, że nie wszyscy goście przyjeżdżają tu dla kuracji. Niektórzy tylko się bawią. Są tacy, co się zgrywają w karty, i tacy, co ogrywają bliźnich. Poza tym jednak wrażenia Nakwaskiej z Cieplic są raczej dodatnie. Już wówczas istnieje znane muzeum i biblioteka. Tu największe zainteresowanie Nakwaskiej budzi wielka tablica z drzewem genealogicznym Piastów. Nie przyjrzała się jej jednak dokładnie, bo twierdzi, że Piastowie wymarli dopiero w XVIII w. Pisze też o znanych wyrobach śląskich: płótnie i szkle kolorowym (właściwie kryształach), którymi się zachwyca.

Z Cieplic udaje się do Drezna przez Łużyce, które nazywa Luzacją. O narodzie łużyckim prawdopodobnie nie wiedziała wcale. Notuje tylko jedno wrażenie z podróży. Gdzieś przy drodze widzi biedną samotną mogiłę i dowiaduje się, że spoczywa w niej marszałek napoleoński Duroc.[3] Przejeżdżała bowiem przez pole bitwy z roku 1813. Dziwi się, że

[3] Zwłoki Duroc'a zostały w r. 1845 sprowadzone do Paryża.

rodzina nie sprowadziła zwłok do Francji. O pobycie w Dreznie czytamy tylko melancholijną uwagę: „Pobyt mój w tym mieście był teraz głównie wspomnieniom sercu drogim odznaczony; a któż się kiedy pyta o wspomnienia serca kobiety, już kwiatów młodości pozbawionej".

Powrót do kraju odbywa się już inną trasą. Nakwaska raz jeszcze wraca na Śląsk po złej piaszczystej drodze, tym razem do Głogowa, który nazywa się Głogową. Z Głogowa do Poznania prowadzi już dobra szosa. Drogą przez Poznań, Gniezno, Toruń wraca do Warszawy.

Z opisu Nakwaskiej stwierdzić można, jak mało ówczesne szczyty społeczeństwa polskiego wiedziały o Śląsku. Goście z innych dzielnic przybywali do uzdrowisk bądź dla kuracji, bądź dla zabawy, ale nie interesowali się polskim ludem śląskim ani jego losem.

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

RZEKI

Na Festiwal Berliński

1

Ty znad Wołgi,
ja znad Wisły,
tyś Mongolii deptał piach.
Ty dumałeś nad Marycą,
tobie szumiał Jang-Tse-Kiang.

W czarnej wodzie
Missisipi
ty umyłeś czarną twarz.
Po jukońskim kruchym lodzie
twoja drobna stópka szła.

W perle świtu
nad Mekongiem
kształt twej dłoni wolno rósł.
Ty w Tamizie piłeś wodę,
gdy ci kiszki skręcał głód.

Niosłaś niebo
znad Garonny,
przeszłaś Ebro, Pad i Nil.
Ty w Korei, w bystrym Hanie,
piersi swe omyłeś z krwi.

2

Tobie zginął
brat nad Wołgą,
z faszystowskiej ręki padł.
Jego głowę roztrzaskaną
bandażował dymem wiatr.

A w Mekongu
koloniści
utopili matkę twą.
Szła na dno nie wypuszczając
krwawej flagi ze swych rąk.

Mnie nad Wisłą
dom zburzono,
z ojca mego został dym.
W resistansie nad Garonną
padł w łopianach młodszy syn.

W wartkim Hanie
leży siostra
prześwietlona blaskiem łun.
Tętni Ebro, komunistów
rozstrzelanych płynny grób.

3

Wołga! Wołga!
Ludzie Wołgi,
co rzeźbicie nowy świat,
Zróbcie wszystko, by nie ginął
z faszystowskiej ręki brat.

Matko! matko!
znad Mekongu
masz pod głową ziemię swą,
więc pamiętaj, nie wypuszczaj
krwawej flagi ze swych rąk.

Wisła! Wisła!
Ludzie Wisły,
tak pracujcie w kraju swym,
aby nigdy nie zmieniono
waszych ojców w lotny dym.

Hanie! Hanie!
Ludzie Hanu,
wydźwignięci z gęstych zórz,
Celną kulą gaście oczy
wrogów waszych małych sióstr.

4

Każdą rzeką,
każdą ścieżką
padnie ugodzony w skroń,
jeśli po nie wróg wyciągnie
swoją nieprzyjazną dłoń.

Bo kładziemy
swe ramiona
pod łożyska chłodnych rzek.
I oddycha naszym tchnieniem
każda ścieżka, kwiat i brzeg.

Ale rzeka,
kwiat i ścieżka
same przyjdą do twych rąk,
jeśli przyjdziesz jak przyjaciel
wspólnie toczyć ziemski glob.

Wołga, Wisła,
Missisipi,
Han i Ebro, Pad i Nil
nowym wodom nie przekażą
stężonego smaku krwi.

Wrocław, lipiec—sierpień 1951.

STANISŁAW STEMPOWSKI

DORPAT

(1888 — 1892)

Rozdział Pamiętników

Jechałem sam po raz pierwszy w świat. W głowie roiło się od myśli, projektów, lęków i radośnych wzlotów. Sen nie brał, twardości ławek 3-ej klasy nie odczuwałem; za oknem przesuwały się nieznane mi stacje i sierpniowa zaduma zżętych pól. W Warszawie byłem z rodzicami ośmioletnim chłopcem — z tego krótkiego pobytu zapamiętałem tylko zapach gazu, smak owsianego piwa, kucharkę Bobrowską i *Straszny dwór*, a z nazw — róg Ciepłej i Twardej, gdzie mieszkała wówczas stryjenka Lunia. Teraz wstępowałem do tego miasta na dni parę jako do miejsca, w którym drukował się Przegląd Tygodniowy, Głos, a zwłaszcza Prawda, w którym szczęśliwi ludzie oddychali tym samym powietrzem co autor tylu artykułów podpisanych K. R. Żywicki, w którym na ulicy można było spotkać Sienkiewicza, Prusa, Świętochowskiego.

Zatrzymałem się u kolegi szkolnego Kazia Sąsiedzkiego, który miał mieszkanie przy ul. Marszałkowskiej i uprawiał szlachetny snobizm, tj. kręcił się wśród radykalnych kół młodzieży i starszego pokolenia. W jego mieszkaniu odbywały się wykłady Ludwika Krzywickiego, a także słynne dysputy pomiędzy ludowcami z Głosu pod wodzą Aleksandra Więckowskiego a socjalistami pod wodzą p. Ludwika. Z tych dysput powstał szereg doskonałych artykułów Krzywickiego p. t. *Złudzenia demokratyczne.*

Któregoś ranka zebrałem się na odwagę i poszedłem na Wilczą 39. Na pierwszym piętrze stanąłem przede drzwiami, na których była żelazna tabliczka z imieniem i nazwiskiem naszego duchowego przewodnika. Serce biło mi jak dzwon. Nie mogłem zdecydować się na naciśnięcie dzwonka. Jakoś niechcący samo się stało. Drzwi otworzył rumiany młody pan w binoklach, z blond bródką i z pięknym, wysokim, gładkim czołem. Wybełkotałem niezręcznie swoje nazwisko i powody, dla których go niepokoję. Widząc moje zmieszanie i niezręczność,

wziął mnie pod rękę i wprowadził do pokoju. Pustawo tam było, snać młode gospodarstwo. Przy biurku na ścianie zwróciła moją uwagę paczka ćwiartek papieru przyciśnięta klamrą do drewnianej deski; patrzyłem na nią z czcią: tak wyglądają rękopisy! Widząc moje zainteresowanie gospodarz rzekł, że to są materiały do pracy nad hordą pierwotną.

Opowiedziałem mu o naszym życiu kółkowym w gimnazjum, o wspólnym czytaniu jego artykułów, o moich zamiarach na przyszłość najbliższą. W trakcie tej rozmowy z przyległego pokoju wybiegł chłopczyna może trzyletni, podbiegł do mnie i wetknął mi do ręki gumowego psa. — „Nie przeszkadzaj Olek"; ale chłopak objął ojca za nogę i tak, patrząc na mnie, pozostał. To przełamało dystans między mistrzem a prozelitą. I odtąd potoczyła się rozmowa po ludzku, serdecznie. P. Ludwik prosił, żebym za każdym razem do niego zachodził, gdy będę w Warszawie, a może się sobie nawzajem na coś przydamy. Pod koniec rozmowy przyszła po Olka pani Krzywicka, drobna osóbka o czarnych iskrzących się oczach, mówiąca z rosyjska po polsku, a że i ja mówiłem po podolsku, więc przypadliśmy sobie do gustu, z czego, widziałem, oboje gospodarze byli zadowoleni.

Podczas tej mojej bytności w Warszawie zdarzył mi się zabawny wypadek, świadczący o mojej abnegacji w stroju, z której niejednokrotnie podkpiwano i w domu, i w gimnazjum. Chciałem zobaczyć Łazienki. Przy bramie koło Belwederu zatrzymał mnie policjant okrzykiem: nielzia! Na moje pytanie odrzekł, że Żydom w chałatach i osobom źle odzianym wstęp wzbroniony. Dopiero elegancki mój przyjaciel Kazio wziął mnie pod rękę i wprowadził.

Projekt mój wstąpienia do Instytutu Weterynaryjnego w Dorpacie, żeby zabezpieczyć się od służby wojskowej z poboru, i przygotowania się do matury jako ekstern, spodobał się Kaziowi. Prosił, żebym wynajął mieszkanie dwupokojowe na semestr, a on przyjedzie i zamieszkamy razem.

Połączenia kolejowego między Rygą a Dorpatem jeszcze nie było, właśnie budowano tor pomiędzy Wałkiem a Dorpatem i z Warszawy trzeba było jechać do Pskowa, stamtąd statkiem rzeką Wieliką, jeziorem Pejpus i rzeką Embachem, nad którą leżał Dorpat. W wagonie nie odchodziłem od okna. Znane nazwy miast budziły echa przeżytych wzruszeń, niezbyt pasujących do obecnego rozmiłowania w pozytywizmie i materialistycznym pojmowaniu dziejów. Do Pskowa przyjechałem wieczorem, nie chciało mi się jechać do miasta — statek odchodził dopiero rano — znalazłem więc niedaleko stacji ogromny skład desek

złożonych w studnię i na szczycie takiej studni rozłożyłem się na nocleg. Pachniała żywica świeżo ciętych desek sosnowych, nad głową jarzyły się gwiazdy, sypały się sierpniowe meteory, cicho było i ciepło. Pierś rozpierała radość bytowania i pewność, że wszedłem już na drogę bujnego, ciekawego i niezwykłego życia.

Rano dorożkarz z wywatowanym zadem wiózł mnie w „prolotce" pustymi ulicami, koło baniastych monasterów i cerkwi oraz grubych przysadzistych murów, do restauracji „Palermo" niedaleko przystani. Służba w białych fartuchach już była na nogach, podano mi „porcję" herbaty, składającą się z pękatego czajnika na 6 szklanek, drugiego małego z esencją herbacianą, z paru kawałków cukru, malutkiego słoiczka warienija i ręcznika do obcierania potu. Ponieważ byłem pierwszym gościem w pustej, zastawionej stolikami sali, służący zapytał, czy ma zawiesti organczik. Podszedł do dużej oszklonej szafy, coś tam kręcił ze zgrzytem i po chwili huknęły ogłuszające dźwięki jakiegoś marsza. Wkrótce sala zaczęła się napełniać. Przeważnie była to młodzież tak samo jak ja podążająca po wakacjach do Dorpatu. Większość mówiła po polsku i nosiła granatowe kaszkiety w kształcie rondelka z daszkiem. Odziani byli porządnie, w białych, sztywnych kołnierzykach i krawatach. Z powodu mojej brody i bujnej czarnej czupryny a także „łazienkowskiego" stroju, któremu nocleg na deskach bynajmniej nie dodał blasku, brali mnie widocznie za „kacapa" i czynili, śmiejąc się, różne dowcipne o mnie uwagi. Chociaż nie byłem proletariuszem, ale wcielałem się w tej chwili w niego i za niego czułem niechęć do tych czyściutkich i rozbawionych paniczyków — i dystans, dzielący mnie od ich świata, rósł.

Na niewielkim statku znaleźliśmy się stłoczeni blisko w liczbie kilkudziesięciu osób. Rozglądałem się po smutnych, płaskich, monotonnych, jak dzieje tego kraju, brzegach. Na ogromnym jak morze jeziorze napadła nas nagle burza, wicher wzdymał lekkie, zielone wody, zrywał z nich tumany pyłu wodnego, tak że wkrótce byliśmy zmoczeni. Burza stłoczyła nas ciaśniej na zakrytych od wichru miejscach statku i dzięki temu zdradzone zostało moje *incognito*, dowiedziałem się, że jestem Polakiem. Skutek był ten, że paniczyki, którzy przypominali mi swym zachowaniem naszych marszałkowiczów z gimnazjum, jeszcze bardziej, jakby ze wstrętem, odstrychnęli się ode mnie, a tylko jeden z tej kompanii zachował się odmiennie — i to zaważyło potem na moim i jego życiu.

Po południu burza ustała, wpłynęliśmy do wąskiej, ale bardzo głębokiej rzeki Embachu (po estońsku *Emajoga*). Statek prawie ocierał się

o torfiaste brzegi, a rybacy na gwizdek statku wyciągali pospiesznie swe łódki na brzeg, żeby je statek nie pogniótł. Wtedy to zbliżył się do mnie ów student i zapytał, czy jadę na uniwersytet do Dorpatu. Rozgadaliśmy się. Od razu spodobał mi się, bo był taki inny od tamtych i nic sobie z nich nie robił, a był im równy i znać było, że nawet cieszył się u nich powagą. Niewysoki, kształtny, z ciemno-blond bródką, z jasnym gładkim czołem z zatokami, z czerwonymi ustami, oczy miał niebieskie i jakby przyćmione długimi rzęsami, co mu nadawało wyraz sennego zamyślenia. Nazywał się Paweł Zaorski, rodem spod Kielc, był na 3-cim roku mineralogii. Opowiedziałem mu szczerze wszystko o sobie i o swoich zamierzeniach. Zaproponował mi, żebym na razie do niego zajechał, zanim znajdę sobie mieszkanie. Kolega, który zajmował drugi pokój, wkrótce wyjechał, więc zostałem u Pawła na stałe. Los! Kiedy po miesiącu zjawił się Sąsiedzki, już zżyłem się był na tyle z Pawłem, żem ustąpił Kaziowi swój pierwszy, duży pokój, a sam przeniosłem się do pokoju Pawła.

Rodząca się z sympatii przyjaźń moja z Pawłem miała na razie ciężkie przeszkody zewnętrzne do przezwyciężenia. Należeliśmy w Dorpacie do dwu różnych światów, które nigdy się z sobą nie stykały i były nawet sobie wrogie — „więc rozdzieleni byliśmy i sami". Okazało się to zaraz nazajutrz po przyjeździe. Paweł jadał obiady u pani Rościszewskiej, u której stołowało się wielu studentów Polaków. Wszyscy oni, tak samo jak i Paweł, należeli do polskiej korporacji czyli tzw. Konwentu, wzorowanej pod względem obyczaju i ceremoniału na miejscowych korporacjach niemieckich. A więc puste współżycie koleżeńskie z pijatyką, sprawami honorowymi, fuksami i filistrami, pogardą dla „knotów" tj. niekorporantów, furmanów, teologów, farmaków, weterynarzy i innej hołoty. Różnili się od Niemców tylko tym, że w pojedynkach nie używali innej broni jak pistolety, z czego byli dumni.

Przy stole p. Rościszewskiej gwarno było, witano się po wakacjach, widać było, że wszystko to są młodzieńcy z sobą zżyci, mający wspólne zainteresowania. Czułem się wśród tego gwaru i rozmów dla mnie niezrozumiałych i nieciekawych jak intruz, w dodatku „źle ubrany". Po tygodniu takich rodzinnych obiadków, które były dla mnie krępującą torturą, miałem dość. Usiadł tam raz przy mnie blondynek w granatowej kurtce austriackiej i zaczął mnie indagować o moje przekonania. Odpowiedziałem szczerze, ostro i drażniąco. A że wiedział, iż jestem też „obywatelskie dziecko", zapytał, czy noszę nóż za cholewą (byłem w długich butach) i czy w majątku mego ojca wywołałbym

strajk. Oczywiście, odpowiedziałem twierdząco. Ten blondynek, ciągnący mnie za język cierpliwie i tylko przez ciekawość, odegrał potem w moim życiu znaczną rolę, wrósł w moją rodzinę i jest moim przyjacielem po dzień dzisiejszy.

Rozejrzawszy się w stosunkach dorpackich i po zapisaniu się do Instytutu postanowiłem przenieść się z obiadami do ogólnostudenckiej kuchni, gdzie ani korporantów, ani paniczyków nie było na lekarstwo, a za to w brudzie i szczęku naczyń, usługując sama sobie, huczała młoda międzynarodówka bez różnicy ras, stanów, narodowości, z przewagą oczywiście Rosjan włochatych, w „kosoworotkach" przepasanych sznurem, w długich butach, żujących głośno. Tam było taniej, nikt mnie nie indagował i nie oglądał z góry na dół. Nazywała się ta kuchnia „Concordia", ale rychło zorientowałem się, że na tle jakichś dawnych waśni przekazywanych z pokolenia na pokolenie, a także na tle nieporozumień gospodarczych wciąż wybuchały zatargi dyskutowane nie na zarządach, lecz na ogólnostudenckich wiecach. Była to więc raczej „Discordia". W wiecu mógł uczestniczyć z prawem głosu każdy student-stołownik; demokratyczna zasada doprowadzona była do absurdu, gdyż skład stołowników wciąż się zmieniał i właściwie rządziła ulica. Załatwiano i rachunki osobiste. Tak byłem świadkiem, jak przy poobiedniej sjeście Kosmenko uderzył w twarz Wyrzykowskiego. Widok tego zwierzyńca ludzkiego, gdzie ludzie z natury dzicy, a z wychowania niekulturalni ćmakali i czkali jedząc, był odrażający, a jednak ciekawszy dla mnie niż wysztafirkowani paniczykowie, prowadzący „towarzyskie" rozmówki w duchu dobrze ułożonych ciotek, tylko pieprząc je pornografią i studenckimi witzami. Toteż wsiąkłem w „Concordię", gdyż była mi na razie pożyteczna, spotykałem tam moich kolegów z Instytutu, od których dowiadywałem się różnych informacji o kursach, podręcznikach itp.

Z Pawłem widywaliśmy się tylko wieczorem przy kolacji. W rozmowach przy blaszanym samowarze zbliżaliśmy się coraz bardziej uczuciowo; była to natura wyjątkowo serdeczna, szczera, dobra i tkliwa nawet, ale w poglądach różniliśmy się bardzo. On przepojony był patriotyczną frazeologią, a szczytem radykalizmu była dlań oświatowa działalność wśród ludu stylizowanego pod Bartosza Głowackiego. Ja zaś byłem zdecydowanym rewolucjonistą, wieloletnim uczniem p. Ludwika. Dysputowaliśmy zawzięcie nie zawsze umiejąc bronić swych tez i wtedy nadrabialiśmy krzykiem. Na rozwijane przeze mnie obrazy przyszłego, szczęśliwego społeczeństwa, Paweł odpowiadał, że socjalizm sprzeczny jest z naturą człowieka, która jest niezmienna; ja mu

na to, że Pestalozzi, że Rousseau, że, jak twierdzi Hercen, „cerebryna udoskonala się" itp., na co on znów, że zanim człowiek się zmieni, to słońce zastygnie. Wszystko to jednak było głupstwem, gdyż z dniem każdym kochaliśmy się coraz bardziej. Najwięcej bolało mnie jego należenie do konwentu, jego zatapianie się od czasu do czasu w ten obcy i nienawistny mi świat. Byłem o Pawła zazdrośny, chociaż i pewny, że mnie nie zawiedzie, gdyż on jeden nie wstydził się i miał odwagę mieszkać z „pekudystą", godnym pogardy pariasem w oczach wielmożnej kasty konwentowiczów.

Czułem się jednak osamotniony. Do Polaków mnie nie ciągnęło, odpychała mnie w nich pycha, szablon szlachecki i głupota; do hordy międzynarodowej też serce nie lgnęło, najwyżej lubowałem się jej malowniczością i wiecznym niepokojem. Uczyłem się więc języka niemieckiego, rozczytywałem z zachwytem w chemii nieorganicznej Mendelejewa i studiowałem historię powstań polskich (Mochnacki, Barzykowski, Wrotnowski, Przyborowski itd.), książki przynosił mi Paweł z biblioteki Konwentu, bogato w ten dział historyczny zaopatrzonej. Tam przeczytałem po raz pierwszy historię ruchów społecznych w XVIII i XIX wieku Limanowskiego.

Na wykłady nie chodziłem, szkoda było czasu; profesorów nie mieliśmy dobrych, niektórzy, jak Rosenberg anatomię i Helmling fizykę, wykładali po niemiecku, reszta wykładała już po rosyjsku, w sposób niemożliwy kalecząc język i czytając z pisanego kursu; tylko na preparowanie do *anatomicum* musiałem chodzić, gdyż w ciągu semestru trzeba było zdać 4 preparaty. Śmierdziało tam, ale to kwadrowało z moim zamiłowaniem do nauk przyrodniczych i z zachwytem nad teorią ewolucyjną Darwina.

Nieznośny był system egzaminów semestralnych obowiązkowych, tak że trzeba było w semestrze jakiś miesiąc za każdym razem poświęcić, żeby przygotować się i zdać je. Pierwotna moja myśl przygotowania się jednocześnie do matury poszła na razie w kąt wobec wstrętu do tej nauki gimnazjalnej, z którą niedawno się rozstałem, wobec semestralnych egzaminów, które wciąż wracały jak febra oraz poobiednich zajęć w *anatomicum* i, co najważniejsze, wobec pochłaniających mnie coraz bardziej studiów ekonomicznych i społecznych oraz historycznych. I tak stopniowo, z roku na rok coś zawsze stało na przeszkodzie tej maturze, aż nie opatrzyłem się, kiedy miałem na ukończeniu Instytut, a to mnie broniło ostatecznie od służby wojskowej z poboru i dawało prolongatę, dopóki byłem studentem. O nic więcej mi nie chodziło, bo do dyplomów nie przywiązywałem wagi, a w razie konieczno-

ści życiowej miałbym fach w ręku, o czym — żywiąc inne ambicje — nigdy na serio nie myślałem.

U Pawła zbierało się dość regularnie kółko kolegów spoza Konwentu na jakieś narady; Paweł mnie o tym uprzedzał i zwykle na ten czas wychodziłem z mieszkania. Ale kiedyś byłem chory i leżąc za przepierzeniem słyszałem mimowoli dyskusję. Uderzyła mnie jej sielankowa zaściankowość i brak szerszego podkładu. Mówiło się o chłopie, ale widać było że nie ma wśród mówiących ani chłopa, ani człowieka wsiowego (ziemianie o tej porze grali pewno w karty), a perorował najwięcej późniejszy pastor Julian M., syn piwowara, mieszczuch, i oczywiście mówił z aplombem same głupstwa. Biedne to było wszystko, jakieś przyziemne, anemiczne, chociaż już od dwu lat wychodził w Warszawie G ł o s podporządkowujący wszystko interesom chłopów, i mieliśmy na emigracji po 1831 r. Towarzystwo Demokratyczne z hasłami jakże radykalnymi; czytałem właśnie Heltmana. Żal mi się zrobiło Pawła dla tego bezpłodnego kółkowania i tym żarliwiej zabrałem się do jego przekonywania.

Jesień była ciepła i piękna, nie miałem dokąd chodzić, a brak mi było ruchu, więc brałem łódkę i wiosłowałem, udając się w górę Embachu o kilka kilometrów do karczmy Kwistental. Drewniane, szare miasto, obcy język ludu, płaskie bagniste brzegi, smutne świerkowe lasy, szare głazy naniesione lodowcami z północy, senna przymglona cisza nad stogami siana nawiniętego na maszty — wszystko to napawało mnie melancholią i budziło tęsknotę za naszą złotą jesienią i krajobrazem pełnym urozmaiconego czaru, roześmianym białością chat. Z powrotem łódź płynęła sama z prądem, kładłem się na jej dno i oddawałem się myślom, a częściej marzeniom. Te ostatnie snuły się dookoła tego, czego mi tu było brak — dokoła miłości. Zerwałem był tamte pasma purpurowe, którymi tak słodko opasywało się moje biedne sztubackie życie, zerwałem przez rozum, po doktrynersku może, po męsku, jak się mówi, ale słodycz doznanych wzruszeń pierwszej miłości pozostała w całym jestestwie. I ile razy ustawała praca myśli, ilekroć przerywał się nacisk faktów i wrażeń zewnętrznych, wnet w tworzący się tą chwilową pustką interwał wciskał się utajony na dnie jestestwa nurt miłośny, przeklęty i błogosławiony.

Z wielkim opóźnieniem zjawił się wreszcie Kazio z ogromnym koszem wyładowanym książkami i nutami, z wiolonczelą i kufrem, w którym były niestudenckie elegancje i przybory. Do Instytutu się nie zapisał, wynalazł dwu Hłasków, z którymi miał się przygotowywać do matury, pokręcił się wśród studenterii polskiej, bardzo dobrze widzia-

ny jako elegancki i zamożny panek, pograł na wiolonczeli, poblagował snobizmem i, zabawiwszy niedługo, wyjechał. Nawet nie wiem dokąd, bo pod koniec jego pobytu w naszym mieszkaniu poróżniliśmy się, tak że nie mówiliśmy do siebie. Westchnąłem z ulgą, gdy odjechał ten przyjaciel z ławy szkolnej.

Przeminęła jesień 1888 r. i nadeszła zima. Na święta nie pojechałem do domu, gdyż sama podróż tam i z powrotem trwała cały tydzień, a ferie były krótkie. Wyruszyłem do Warszawy, gdzie zamieszkałem u stryjenki. Mieszkanie było w bocznej oficynie na pierwszym piętrze przy ul. Wareckiej 9; naprzeciwko w podwórzu na parterze mieściła się redakcja Głosu i widać było przy stojącym biurku brodatą głowę Bohusza (Józefa Potockiego). Mieszkanie stryjenki składało się z trzech pokojów w amfiladzie, z przedpokoju i kuchni. W pierwszym stołowym ja spałem na otomanie, w następnym stryjenka z młodszą córką, w ostatnim starsza Marylka, studentka genewska, która z powodu złych interesów rodziców musiała przerwać czasowo przyrodnicze studia i mieszkała przy matce, zarabiając korepetycjami. Ojciec jej siedział na wsi w swoim dawnym majątku jako dzierżawca, wiecznie osaczony wierzycielami i nigdy nie mający grosza przy duszy; matka miała wprawdzie swoją schedę posagową w dzierżawie u braci, ale, nie wiem czemu, też nie opływała w pieniądze, dość że atmosfera panowała kwaśna i niewesoła.

Pogoda była, jak zwykle w Warszawie, fatalna, śnieg na przemian z deszczem, błoto na ulicach, sarkofagi z czarnego śniegu, zgniła wilgoć. Marylka, latając po mieście za lekcjami, zaziębiła się i musiała przesiedzieć w domu, a ja ofiarowałem się ją zastąpić i poznałem wtedy rozkosze belferki. Wieczorami zdawałem sprawę Marylce. Raz chodziliśmy po pokoju — miała się już lepiej — z narzuconą na ramiona ciepłą chustą, z żałośnymi kosmykami włosów, wyglądała skulona i zbiedzona; uczułem tkliwą żałość nad nią i niespodzianie dla samego siebie położyłem jej rękę na ramieniu. Z tego mimowolnego gestu jak utajony płomień wybuchnęła nagle bliskość. Rozmowa toczyła się dalej. Ręki nie zdejmowałem, pozornie nie zaszła żadna zmiana, a jednak oboje czuliśmy, że staliśmy się w jakiś inny niż dotąd sposób sobie potrzebni i bliscy. Nic o tym nie mówiliśmy wtedy z sobą. Dopiero w parę dni przypomniałem jej wakacyjną eskapadę sprzed roku, jak to odprowadzaliśmy ją wesołą gromadką w trzęsącej i hałaśliwej bryce i wśród wykrzykników, śpiewu i śmiechu spojrzałem na nią uważnie i spotkały się nasze oczy, i pomyślałem wtedy po raz pierwszy, że nie jest tylko moją siostrą, ale kobietą, którą mógłbym pokochać. Błysnęło i przemi-

nęło. Teraz przypomniało mi się jak proroctwo. I ona też pamiętała. Tyle tylko było słów o tej tajemnicy, która między nami wynikła. Oboje bowiem byliśmy dziećmi tego czasu pozytywizmu, przyrodoznawstwa i pogardy dla poezji. Wstydziliśmy się tkliwych uczuć, nie umieliśmy mówić słów miłośnych, nosiliśmy maski ludzi twardych i obojętnych na uroki i czary, które roztacza miłość wśród ludzi.

Tym razem w Warszawie, zajęty sprawą sercową i korepetycjami, nie nawiązałem żadnych nowych znajomości, nie byłem nawet u p. Ludwika, bo i z czym? Powróciwszy do Dorpatu znalazłem się naraz wśród skłębionego wiru namiętności ludzkich. Zwołany został do „Concordii" sąd nad Kosmenką, który znieważył był czynnie studenta Wyrzykowskiego. Okazało się, że zatarg ten sięgał głęboko w jakieś zadawnione animozje pomiędzy dwiema grupami studentów Rosjan. Sceny sądu, który ciągnął się z przerwami kilka dni, przypominały zgromadzenia Konwentu z rewolucji 1793 r.

Sąd odbywał się w stołówce „Concordii" publicznie i każdy z widzów mógł zabierać głos — coś w rodzaju trybunału ludowego. Tak świetnych mów jeszczem nie słyszał. Przyglądałem się tym porywającym postaciom trybunów. Sprawa Kosmenki odeszła właściwie w cień, mówiono o rzeczach ważniejszych — o rewolucji, o strasznej nocy reakcji, o rozruchach studenckich, o konieczności walki itp. Wszystko to było dla mnie nowe i porywające! Jakże bladziutko wyglądało kółko polskich ludowców, jak śmieszne były sprawy honorowe polskich burszów wobec tego trybunału płomiennych mówców, stawiających nikłą sprawę na szerokim podłożu walki o wolność i sprawiedliwość społeczną!

Na tych to zgromadzeniach trwających niekiedy do rana, do kresu sił stojącego noc całą tłumu w dymie, ciasnocie i roznamiętnieniu, zwróciło moją uwagę szczególnie dwu mówców, którzy występowali odważnie przeciwko wrzaskliwej demagogii oklaskiwanych oratorów, przeważnie jurystów i świetnych dialektyków, a więc przeciwko rozjuszonemu tłumowi. Obaj mówili spokojnie wbrew łatwym i popularnym rozstrzygnięciom. Jeden był mi znany ze słyszenia, gdyż pochodził z Kamieńca, był synem wicegubernatora, a zasłynął wśród nas, młodszych o lat 8 sztubaków, że po skończeniu gimnazjum był więziony i zesłany, a dzięki staraniom rodziny, jako choremu na gruźlicę, pozwolono skończyć uniwersytet w Dorpacie, gdzie studiował botanikę. Nazywał się Nikołaj Fiedorowicz Omirow. Drugim był Stratonow, medyk zdający ostateczne egzaminy, syn prokuratora z Kaukazu. Były to dwa kontrasty fizyczne i duchowe, ale obaj szli do jednego celu, wspierali się

wzajemnie w tej samotnej walce z roznamiętnionym motłochem studenckim. Omirow, blondyn, z długą brodą i długimi włosami, które mu nadawały podobieństwo do twarzy Chrystusa, o łagodnym wyrazie dużych niebieskich oczu, z sfałdowanym czołem cierpiącego i nad czymś ciężko zadumanego człowieka, mówił głosem śpiewnym, nieco nosowym, z wysiłkiem i wzruszeniem, jak gdyby serce swe otwierał. Potęga uczucia, którym przepojone były jego śliczne słowa, udzielała się bezpośrednio, jak muzyka. Stratonow, brunet z krótkim czubem nad białym gładkim czołem, z rozdętymi nozdrzami kształtnego nosa, z czarnym wąsikiem nad szerokimi szczerymi ustami, głosem stalowym, dźwięcznym i mocnym unicestwiał przeciwników logiczną prostotą krótkich, dobitnych zdań. Władcze spojrzenie śmiałych, szarych oczu miał zwyczaj przysłaniać długimi, czarnymi rzęsami, gdy zadawał przeciwnikowi najdotkliwszy cios, jak gdyby przymrużonymi oczyma badał efekt swoich słów. Tamten był wcielonym uczuciem, ten — wolą, ale znać było, że obaj stoją na wysokim poziomie intelektualnym i moralnym. Toteż wywodów ich słuchano w ciszy i z szacunkiem. Przedstawiłem się Omirowowi, powołując się na Kamieniec i na wspólnych znajomych, starszych moich kolegów, moich mistrzów, którzy znali jeszcze Omirowa. Poznałem też i Stratonowa. Z tej znajomości wynikły dla mnie przeżycia, o których będzie mowa dalej.

W drugim roku naszego współżycia z Pawłem przybył mi niespodzianie sukurs w nawracaniu go na socjalizm, w obrzydzaniu mu świata konwentowego. Oto któregoś dnia zajechał do nas na Holmstrasse z tłumokami przysadkowaty, rumiany młodzieniec, krótko ostrzyżony, o twarzy okrągłej, w binoklach, i powołując się na kogoś prosił o kilkodniową gościnę, zanim znajdzie sobie mieszkanie. Był to Bronisław Kułakowski, wnuk Feliksa z *Dziadów*, świeżo wydalony za rozruchy z uniwersytetu petersburskiego. Wstąpił tu na medycynę i wszedł do Konwentu. W eleganckim, jak wszystko na nim, kuferku, wśród podręczników, było kilka zeszytów genewskiej W a l k i k l a s i parę numerów P r z e d ś w i t u, które wyłożył na stół. Po raz pierwszy zobaczyłem polskie wydawnictwa socjalistyczne, rzuciłem się więc na nie z ciekawością i na wstępie olśnił mnie artykuł (jak się później dowiedziałem St. Mendelsona) pt. *Nec locus ubi Troia fuit* o tym, że nie ma już szlacheckiej Polski — i chwała Bogu! To była i moja postawa wobec „ginącego świata" szlachecko-ziemiańskiego. To był pierwszy podbój duszy mojej przez Polskę, jeśli nie liczyć wylanych w dzieciństwie łez nad opowiadaniem Jana Sobolewskiego w *Dziadach* i nad *Kasprem*

Karlińskim Syrokomli. Więc jest Polska inna, jest dla czego żyć i jak zajdzie potrzeba — za co ginąć.

Właściciel tych rewelacyjnych zeszytów był bardzo inteligentny, oczytany, kulturalny i, chociaż nie miał wymowy, był niezwykle dowcipny i cięty w dyskusji. Miał i talent literacki. Lubił i szukał towarzystwa, a że był zamożny (właśnie z działu otrzymał w spadku po ojcu spłatę 10 tysięcy rb.), od razu trafił do towarzystwa hulaków i oczajduszów. Ale stosunek jego do Konwentu był krytyczny i dowcipami swoimi ścigał kołtuństwo i pyszałkowatość konwentowiczów. Doprowadziło to do zatargów „honorowych" i nawet do pojedynków, ale że strzelał znakomicie, zaczęto obchodzić się z nim ostrożnie i nawet bać się go. W dyskusjach moich z Pawłem popierał mnie, a że nie hulałem, nie piłem i trzymałem się samotnie, czuł dla mnie, chociaż młodszego wiekiem, niepojęty jakiś szacunek. Może imponował mu mój nieokiełzany radykalizm i teoretyczny i życiowy. Kilka razy poszedł ze mną na obiad do „Concordii" i tam to *pandemonium* nihilizmu po prostu go zachwyciło i wywarło wpływ na jego wrażliwą i chwytną naturę. Wprawdzie nie przywdział, jak ja, granatowej bluzy przepasanej sznurem, ale idąc na burzliwe wiece do „Concordii" umyślnie kładł na siebie brudną koszulę i zrzucał krawat, żeby, jak twierdził, nie razić ich swym wyglądem.

Istotnie, było na co chodzić i patrzeć. Przez całą Rosję od Tomska po Kijów i Odessę przewalała się od kilku lat nieustanna fala rozruchów studenckich, podsycana z jednej strony reakcją Aleksandra III i Pobiedonoscewa, z drugiej przez partię rewolucyjną, która w ten sposób werbowała sobie prozelitów wśród wypędzonej i niezadowolonej młodzieży. Takie wypędki z wilczymi biletami nie mogli być przyjęci do żadnych zakładów naukowych w państwie. Jeden Dorpat ze swoim autonomicznym ustrojem niemieckim, leżący na uboczu wśród obcej językowo ludności estońskiej, stanowił wyjątek. Władze zarówno Uniwersytetu jak i Instytutu Weterynaryjnego przyjmowały liberalnie wszystkich najbardziej skompromitowanych politycznie ludzi. Tak np. w Instytucie był studentem 40-letni Konstanty Szamarin z procesu 193-ch (1877 r.), znany z próby ucieczki wraz z Bardiną z Syberii przez Chiny. Można było powiedzieć, że wśród Rosjan w Dorpacie każdy trzeci student był „przestępcą politycznym". Spróbuję przypomnieć tu sobie ich nazwiska, zanim zapomnę na zawsze: Prisiołkow, Ernst, Bystrickij, Szatajew, Martynow, Hugo, Mołożawyj, Szaryj, Listow, Silin, Krym, Diamandi itd. Był medyk Lesowoj, który podczas rozruchów w Moskwie, gdy policja pędziła studentów do maneżu, podskoczył na

ulicy do policmajstra i poklepał go po ramieniu mówiąc: — Padlec, wasze prawoschoditielstwo! — Można powiedzieć, że pod względem siły charakteru (nie zawsze inteligencji) i malowniczości biografii był to zaiste kwiat młodzieży rosyjskiej. Toteż nic dziwnego, że po dziewięciu latach straszliwej niewoli gimnazjalnej, gdzie uchronić się od zguby można było jedynie kłamstwem i obłudą, ci ludzie śmiało stawiający czoło przemocy imponowali mi. Pociągały mnie ponadto egzotyka i rozmaitość typów i ich malowniczość.

Znudziło mi się wkrótce chodzenie na obiady do „Concordii" z jej nieładem, niechlujstwem i brudem, przeniosłem się do jadłodajni Towarzystwa Studentów Rosjan na Erbsenstrasse; trochę daleko ode mnie, ale czysto tam było i spokojnie. Wkrótce Omirow, stały tam bywalec, zaproponował mi należenie do ich kółka konspiracyjnego. Zgodziłem się chętnie. Z Polaków należałem tylko ja jeden, z Rosjan — Omirow, Stratonow, Sinicki, Mikołaj Wasilenko z bratem Konstantym i Szamarin. Zagadnień teoretycznych nie poruszano tam, jak to bywa w zwyczaju u Rosjan. Rozmowy toczyły się dokoła możliwości i sposobów obalenia caratu i wywołania rewolucji. Wszystko to było dla mnie nowe, milczałem i przysłuchiwałem się. To snać spodobało się Stratonowowi, który również mało mówił i przyglądał mi się bacznie, jak gdyby badał. Kiedyś zaprosił mnie do siebie i w cztery oczy zaproponował mi pracę zecerską na ręcznej drukarence, którą miał schowaną w kanapie. Oczywiście bardzo mi pochlebił ten wybór, który z całego naszego kółka padł właśnie na mnie, najmłodszego. Zgodziłem się i gdy zdarzała się potrzeba złożenia i odbicia jakiejś odezwy lub broszury, przesiadywałem nocami w mieszkaniu Stratonowa. Odbijaliśmy razem. Ta wspólna praca nocna, tajemnica i niebezpieczeństwo zbliżyły nas bardzo, ale była to bliskość pomiędzy uczniem a mistrzem, który budził podziw i szacunek. Był dla mnie uosobieniem rycerskiej odwagi i woli, gdy ja byłem raczej poszukiwaczem wrażeń i kontemplatorem-smakoszem. Wiedziałem z opowiadań, że w 1885 r. w mieszkaniu studenta Pierelajewa, zmarłego nagle na atak epileptyczny, wykryta została tajna drukarnia, na której latem 1884 roku Piotr Jakubowicz,[1] skazany potem na katorgę w procesie Łopatina, wydrukował był nr 10 czasopisma Народная Воля. Nasza tedy drukarenka była wznowieniem przerwanej przed trzema laty roboty.

---

[1] P. Jakubowicz z Kijowa, autor zbiorku poezji pod pseudonimem Ramszów, a potem autor powieści z życia katorżników pt. Из мира отверженных, wydanej pod pseudonimem Mielszin.

W kółku naszym był jeden tylko teoretyk Mikołaj Wasilenko, historyk, który dowodził nam stale, że nie chłop, nie robotnik i nie inteligent-rewolucjonista, na którego właśnie najwięcej w owej dobie liczono, dokonają obalenia caratu, lecz jedynie sprawi to przewrót pałacowy (dworcowyj pieroworot). Opracował był nawet uczony elaborat, w którym dowodził, że taki obrót rzeczy zgodny jest z duchem narodu rosyjskiego i z jego dziejami. Najbardziej elokwentnym w kółku był prawnik Sinicki, zwolennik zdecentralizowanego terroru, mówiący okrągłymi i pięknymi zdaniami. Pamiętam jedną zabawną scenę w naszym kółku, które się odbywało w moim mieszkaniu (Paweł wychodził na ten czas). Starego Szamarina sadzaliśmy zwykle w wygodnym fotelu i okrywaliśmy mu nogi pledem, gdyż w wędrówkach po więzieniach i Syberii miał je zreumatyzmowane. Otóż podczas ożywionej dyskusji Wasilenko, mający zwyczaj chodzenia niedźwiedzim krokiem po przekątni pokoju, nachylił się nad nieruchomo siedzącym Szamarinem i zawołał: — A wy, Kostinka, tak rewoluciju diełajete?! — staruszek bowiem spał w najlepsze.

Ten Szamarin miał twarz wybitnie „kacapską", rumianą i nabrzękłą, z kozią, rzadką bródką, a wyblakłe, wiecznie załzawione oczy i zająkliwa mowa nadawały temu poczciwemu inwalidzie piętno bożego głuptasa raczej, niż inteligenta-rewolucjonisty. Istotnie był bardzo mało wykształcony, o Polsce tyle tylko wiedział, że tam sama szlachta, która ciemięży biedny lud i dopiero „my wam daliśmy naszych najlepszych ludzi, Milutina i Czerkaskiego". Takie odezwanie się i ignorancja moich „przyjaciół Moskali" w sprawach polskich działały na mnie daleko silniej niż cała tzw. patriotyczna literatura gloryfikująca przeszłość. I ja, który wśród Polaków nie mogłem znaleźć sobie odpowiedniego środowiska duchowego i patrzyłem na moich rówieśników Polaków krytycznie, uświadamiany byłem i utwierdzany w mojej polskości właśnie przez Rosjan. Ale wkrótce miały się moje sprawy z Rosjanami odmienić.

Przybył do Dorpatu z Berna szwajcarskiego doktor Maksymilian Leśnik, który miał się tu nostryfikować na wydziale lekarskim. Był rodem z Suwałk, poznajomił mnie z nim Stefan Powalko, który też stamtąd pochodził. Leśnik, starszy człowiek, był farmaceutą na uniwersytecie w Warszawie i został wraz z innymi wydalony za Apuchtina. Był ubogi, pracował dla chleba w jakiejś warszawskiej aptece, nocował tam pod ladą i wskutek wybuchu syfona miał uszkodzone jedno oko. Znał oczywiście i Krzywickiego, i całą radykalię emigracyjną. W Dorpacie żył jak samotnik, uczył się w domu, nie bywał na żadnych studenckich

zebraniach. Traf chciał, że ze względu na brak podręczników a zwłaszcza kursów litografowanych, które drogo kosztowały, Leśnik uczył się wspólnie ze Stratonowem, również składającym ostateczne egzaminy. Widocznie od niego usłyszał coś pochlebnego o mnie, bo zaczął zapraszać mnie do siebie. Był socjalistą, zachęcał mnie do pracy nad poznaniem teorii socjalizmu „naukowego" i obiecał swoją pomoc. Przywiózł był trochę niemieckiej literatury socjalistycznej i kilkanaście zeszytów sztutgardzkiej Neue Zeit. Pod wpływem Leśnika zacząłem rozczytywać się w literaturze niemieckiej (Kautskyego *Karl Marx oekonomische Lehre, Thomas Morus und seine Utopie;* Rudolfa Meyera *Emanzipazionskampf des vierten Standes,* itd). Leśnik zaproponował mi, żebym zebrał kółko chętnych i zaczął pod jego kierownictwem studiować systematycznie, rozdział po rozdziale, *Kapitał* Marksa. Wciągnąłem wtedy do tej roboty Pawła, Kułaka, Ponceta z Podola i Mieczysława Kaufmana z Łodzi.[2] Po kolei każdy musiał przestudiować i zreferować rozdział *Kapitału,* po czym następowała dyskusja i objaśnienia Leśnika. Był już wtedy przekład polski tomu pierwszego *Kapitału,* wydany w Lipsku pod redakcją Ludwika Krzywickiego.

Już przedtem dał mi Paweł dowód, że przeszedł do mojego świata. Mianowicie w Konwencie, zapewne pod wpływem Kułaka i Pawła, zaczęły się nieporozumienia na tle już nie wyłącznie „honorowym". Były głosy żądające np. usunięcia teologów z Konwentu jako elementu niekatolickiego, a więc niepolskiego. Od tego się zaczęło i stopniowo zachłanność reakcji, na której czele stali ziemiański syn Rymsza z Litwy i Bolesław Epsztein (tzw. Boulanger) z Warszawy, rozszerzyła się i na inne odmiany człowieka, jako niegodne szczęścia należenia do Konwentu. Przeszła uchwała żądająca od wszystkich nowowstępujących oświadczenia na piśmie, że nie należą i należeć nie będą do żadnych stowarzyszeń „nihilistyczno-socjalistycznych". Było to w duchu reform szkolnych ministra oświaty Dymitra Tołstoja! Po tej uchwale opuściła Konwent cała grupa studentów z Pawłem i Kułakiem. Pamiętam, jak ci dwaj, rozjątrzeni tylko co stoczoną walką i rozgoryczeni przegraną, wpadli do mnie i jak pocieszałem ich, że właśnie dobrze się stało, gdyż stworzymy nareszcie jakąś przeciwwagę konwentowemu monopolowi polskości w Dorpacie. Jakoż zakrzątnął się koło stworzenia takiej instytucji Bronisław Natanson, prawnik, człowiek bardzo zamożny, wyrzucony z uniwersytetu petersburskiego, gdzie nawet siedział w „Pried-

---

[2] Kaufman, medyk na ukończeniu, był starszy, inteligentny, drobny i śmieszny chłopaczek; już wtedy był autorem drukowanych w Prawdzie artykułów jak: *Dziedziczność i teoria doboru, Homo Sapiens ferus, Kantyzm i przyrodoznawstwo.*

wariłce". Miał on swoje koło oświatowo-patriotyczne ludzi, którzy dawniej opuścili Konwent.

Utworzona została jadłodajnia polska tylko dla członków, tzw. Kuchnia, a członków jej urągliwie przezwano kucharzami. Gospodynią naszą była Estonka, żona Natansonowego służącego, którego od żony, baby, nazywaliśmy Babem. Baba gotowała, a chodził z nią po zakupy i prowadził rachunki i zapisy na obiad każdy z nas przez tydzień po kolei. Usługiwali dyżurni też po kolei. Dwuizbowe mieszkanie z kuchnią i pokojem dla Baby wynajęliśmy na Erbsenstrasse; z czasem do tego lokalu dał swoje pianino dr Henryk Hellin z Warszawy, który grywał podczas urządzanych w Kuchni obchodów rocznicowych; przy tym pianinie szkolił nas w śpiewie. Na gorąco wsypali się do naszej Kuchni i teolodzy wyrzuceni z Konwentu (Machlajd, Szepiatys, Jastrzębski oraz ich bliscy, piękny Kosarzewski), ale rychło spostrzegli, że im z nami nie po drodze, wycofali się, założyli swoją jadłodajnię, która jednak żadnej roli w życiu Polaków dorpackich nie odegrała.

Na stałe zadomowili się w Kuchni i przetrwali do końca studenci, których wyliczę tu; zasłużyli na upamiętnienie, pierwsi bowiem odważyli się nie tylko zerwać z pyszałkowatym kołtuństwem Konwentu, ale stworzyli ognisko pracy duchowej i myśli niezależnej dla rozproszonej poza Konwentem młodzieży polskiej. Wielu spośród nich zapisało potem swe imiona wśród zasłużonych działaczy polskich, wreszcie byli to moi najbliżsi przyjaciele, z którymi w dalszym życiu utrzymywałem łączność. Byli to: Bouffałł Stanisław, Bruner Ludwik (Jan Sten), Cumft Konstanty, Czekanowski Stanisław, Ejsmont Jan, Hellin Henryk, Higier Henryk, Ketat, Konopczyński Karol, Korbut Gabriel, Korzon Tadeusz, Kułakowski Bronisław, Lohrer Edward, Łuszczewski Włodzimierz, Marcinkiewicz Kazimierz, Nastopka, Natanson Bronisław, Pilchowski, Poncet de Sandon Sobiesław, Powalko Stefan, Szulc Stanisław, Zaborowski Bolesław i Zaorski Paweł.

Poza tymi stałymi członkami bywali na urządzanych przez nas odczytach i obchodach jako goście studenci weterynarze: Bujalski i Żenczykowski Aleksander; teolodzy: Machlejd i Szepiatys; medyk Dąbrowski Romuald, zruszczony Polak z Połtawy, źle mówiący po polsku (np. „oprzeciwiało mi wszystko człowieckie").

Na wiosnę 1890 r. zdarzył się wypadek, który skierował moje życie na inne tory. Któregoś wieczora siedziałem w moim mieszkaniu z Kułakiem nad jakąś niemiecką broszurą, gdy wpadł do nas Leśnik wzburzony i oświadczył, że przed chwilą w jego pokoju zastrzelił się Stratonow. Leśnik czytał głośno jakiś kurs do egzaminu, a Stratonow chodził

słuchając po pokoju i naraz strzelił do siebie. Leśnik dał mi klucze od swojego mieszkania i prosił, żebym zaraz udał się tam, oczyścił jego biurko z papierów i listów, wziął z kieszeni zmarłego klucze od jego mieszkania i uprzątnął z niego tak samo wszelkie kompromitujące rzeczy, a on pójdzie do Rosjan, żeby zrobili u siebie porządek i czekali na moje przyjście przed mieszkaniem Stratonowa. Potem musi jak najprędzej zawiadomić policję o samobójstwie.

Wziąłem z sobą Kułaka. Droga była daleka. Leśnik mieszkał na drugim końcu miasta. Była już noc. Widziałem, że Kułak nie miał chęci wchodzić do mieszkania, zostawiłem go więc na czatach. W pokoju paliła się lampa. Stratonow leżał przy progu, nogami do drzwi, trzeba było przez ciało przestąpić. Schyliłem się, był jeszcze ciepły. Wyjąłem z kieszeni spodni klucze i sprawdziłem, czy nie ma jakich listów w kieszeniach. Potem zabrałem z biurka Leśnika listy, fotografie i kilka książek zakazanych, zamknąłem drzwi na klucz i wyszedłem. Kułaka posłałem, żeby to, co wyniosłem, złożył gdzieś w bezpiecznym miejscu i obiegł z wiadomością o samobójstwie tych, którzy mogli być zainteresowani. Przed mieszkaniem Stratonowa czekali na mnie Omirow i Wasilenko, snać wtajemniczeni w sprawy drukarniane. Pomogli mi uprzątnąć prasę, czcionki, ramę i farbę oraz uporządkowali szuflady. Spieszyliśmy się bardzo, gdyż Leśnik miał już być o tej porze w policji.

Pomimo że samobójstwo popełnione było na tle czysto osobistym, żandarmi dokonali rewizji u Leśnika i w mieszkaniu Stratonowa; a także u kilku studentów Rosjan, oczywiście nigdzie nic nie znaleźli i na tym sprawa się skończyła. Byłem na sekcji zwłok, której dokonał profesor medycyny sądowej Koerber. Pierwszy raz widziałem obnażony mózg ludzki i wnętrzności. Olśniony byłem pięknem cieleśnym zmarłego przyjaciela. Harmonijne, boskie, wysmukłe, złocisto-smagłe ciało leżało na stole obnażone i zgroza przejmowała na myśl, że oto przemieni się w cuchnący ochłap zgnilizny. Czyste, śliczne, lśniące organy wewnętrzne i koronkowe jelita mówiły o długim, radośnym życiu, do którego były przeznaczone. A rzeźba mózgu była wprost zachwycająca. Tylko ściąganie owłosionej części skóry na twarz, poprzedzone grymasem kurczącej się brutalnie twarzy, zrobiło na mnie przykre wrażenie — mówiło o okrutnej nicości ciała; właśnie na ten widok uczułem, że już nie mam przyjaciela. Widziałem potem w trumnie tę twarz żółtą już i trupio skamieniałą — było to już coś obcego, z tamtej strony życia. Długi czas miałem fotografię Stratonowa w trumnie, po 3-ch latach w Hucie matka przed rewizją żandarmską spaliła ją i na jej popiołach posadziła białe lilie.

Po śmierci Stratonowa przerwała się moja praca w drukarni, zarazem rozwiązało się i nasze kółko, zabrakło jego duszy a i celu praktycznego, które reprezentował milczący Stratonow. Kółko Leśnika natomiast pracowało nawet intensywniej; z tej pracy wynikły dwie sprawy praktyczne, którym się oddałem całą duszą. Oto postanowiliśmy, prócz referowania rozdziałów *Kapitału*, tłumaczyć na język polski niektóre artykuły z Neue Zeit. Tak przełożyłem wespół z Kułakiem Lafargue'a *Pracę umysłową wobec maszyny* (Warszawa 1890, s. 75) oraz Kautsky'ego *Narodowość i jej początki* (Warszawa 1891, s. 52). Pieniądze na wydanie czerpaliśmy z funduszu wydawniczego, stworzonego z naszych miesięcznych składek — odwoziłem je razem z rękopisami do Krzywickiego, który stworzył był taki sam fundusz K. O. R. (Koło Oświaty Robotniczej) i wydał właśnie przekład Bellamy'ego. Skład tych wydawnictw i ich administracja mieściły się na trzecim piętrze przy ulicy Wilczej u Leopolda Bajna.

Druga sprawa praktyczna była to konieczność sprowadzania literatury socjalistycznej z zagranicy. Do tego celu posłużył nam dr Henryk Hellin, członek naszej Kuchni. Był ukończonym medykiem, zamożny, prowadził własny dom. Ponieważ mógł u siebie przyjmować gości, więc bywał i u profesorów i w tzw. towarzystwie miejscowym. Grał doskonale w szachy i m. in. grywał z miejscowym cenzorem Janzenem. Hellin zaczął sprowadzać z Niemiec dużymi pakami podręczniki i książki lekarskie i przyrodnicze dla siebie i kolegów. Z naszej inicjatywy miał umowę z dostawcą niemieckim, że ten będzie zdzierał okładki i karty tytułowe z książek o treści zakazanej i będzie natomiast wklejał tytuły książek lekarskich. Janzen, jako dobry znajomy, był przy otwieraniu paczek, przeglądał je zrazu bardzo pobieżnie, po okładkach, a później przy dalszych transportach nabrał takiego zaufania, że sztutgarckie wydawnictwa Dietza (Internazionale Bibliothek) w czerwonych oprawach szły zupełnie jawnie. Ale wszystko ma swój koniec. Z wyjazdem Hellina, zacnego kolegi (nie był już socjalistą ani rewolucjonistą, jeno dobrym człowiekiem, uczynnym i łagodnym, dlatego przezwałem go „Plastrem") urwały się transporty legalne.

Wkrótce znalazła się inna droga. Przy Instytucie Weterynaryjnym ministerium wojny urządziło dla własnych celów, a przeważnie dla walki z nosacizną i karbunkułem, naukową stację bakteriologiczną, gdzie szkolili się i pracowali stypendyści, lekarze wojskowi oraz pracować mogli studenci, doktoranci, o ile temat ich dysertacji dotyczył zaraźliwych chorób zwierząt. Kierownikiem tej stacji był docent Instytutu Eliasz Noniewicz, Polak, wilnianin, radykał. Był on towarzyszem

burd i pijatyk, którymi wsławił się był w Dorpacie Witold Jodko (późniejsza znakomitość, Jowisz). Założyli oni we trójkę z nałogowym pijakiem Piwowarowem „Towarzystwo Trzeźwości", którego posiedzenia odbywały się po pijanemu wobec stojącej na stole butelki z napisem *Aqua Fontis*. Była i dowcipnie napisana ustawa tego Towarzystwa. Z jego członków ani Jodki, ani Andrzeja Niemojewskiego, ani Rafała Radziwiłłowicza już nie zastałem w Dorpacie, ale sława o nich jeszcze żyła.

Z Noniewiczem nie pamiętam już, jak się poznajomiłem, dość, że zbliżyliśmy się na gruncie konspiracyjnym. Miał on stosunki w Wilnie, Petersburgu i w Rydze. Właśnie do niego przyjechał kiedyś student Politechniki Ryskiej August Wróblewski,[3] którego przyprowadził do nas. (Z Pawłem byliśmy już jedna dusza). Ten Gucio mieszkał razem z Mościckim i Pikielem i we trzech zajmowali się litografowaniem wydawnictw socjalistycznych (małe książeczki w brązowej okładce, pamiętam kilka z utworami Gabriela Devilla, Pawła Lafargue'a, Augusta Bebla, Benoit Malona). Zajmowali się również przemycaniem przy pomocy marynarzy łotewskich większych transportów polskiej bibuły socjalistycznej dla Warszawy i innych miast uniwersyteckich. Ta nowa znajomość bardzo się nam przydała i odtąd zacnego Hellina zastąpiła Ryga; ale już na większą skalę szły wydawnictwa nie tylko niemieckie, lecz przede wszystkim polskie. To był znów moment mojego powrotu do polskości. Po transporty jeździłem sam do Rygi i raz przywiozłem podarowany mi kamień litograficzny wraz z bardzo skomplikowaną instrukcją manipulacji przy odbijaniu. Praktyczną lekcję odbyłem w Rydze pod kierunkiem Pikiela. Na tej litografii odbiłem potem m. in. opis pogromu zesłańców w Jakucku, odtworzony na podstawie listu Michała

[3] Ciekawy jest dalszy los Gucia. Został on wkrótce aresztowany i wypuszczony za poręką brata, znanego adwokata w Wilnie. Przejeżdżając przez Wilno, wpadłem do Gucia wprost z kolei. Otworzył mi drzwi sam Tadeusz i kiedy zapytałem o Gucia, odrzekł, że właśnie zabrali go tej nocy — i z pretensją do mnie, jak gdybym ja tu był winien, jął mi wymyślać i krzyczeć, dopytując się o moje nazwisko. Odburknąłem pierwsze lepsze i zbiegłem ze schodów, unosząc przykre wrażenie z tego spotkania ze znakomitym obrońcą politycznym. Gucia zesłano do Taszkientu do dyscyplinarnego batalionu. Słuch o nim zaginął, służba tam była twarda, jak w aresztanckich rotach. Był to nowy sposób karania studentów — szło się np. na medycynę, a trafiało do wojska. Później wypłynął Gucio aż w Krakowie, jako brodaty Augustyn, docent chemii biologicznej w Uniw. Jagiellońskim. Wkrótce stał się głośnym propagatorem walki z alkoholizmem i prostytucją, redagował pismo Czystość i Przyszłość, poświęcone zwalczaniu tych dwu klęsk społecznych. Walka z alkoholizmem stała się dla Gucia osią jego życia i przerodziła się w chorobliwą manię, która i jego, i bronioną przezeń sprawę narażała na drwiny i śmieszność. Taszkient spaczył niewątpliwie ten trzeźwy i jasny umysł i dzielny charakter skierował na maniackie tory. Przypomina się los zapowiadającego się świetnie autora *Szkiców syberyjskich*, Adama Szymańskiego, po powrocie jego z zesłania.

Gotza, późniejszego emigranta. Żeby już nie wracać do historii tego kamienia, powiem, że nauczyłem obchodzenia się z nim dwu Polaków z paczki Bronka Natansona, którzy brali czasem kamień dla celów swej grupy; brał go i Rosjanin, prawa ręka Noniewicza w sprawach konspiracyjnych Iwan Jenochin. Do przenoszenia ciężkiego i grubego kamienia skonstruowałem siatkę z mocnego szpagatu, którą zawieszało się na szyi, tak że kamień leżał na piersiach i brzuchu pod płaszczem. Na wiosnę 1892 r. oddałem tę litografię Ukraińcom i pojechała do Kijowa. Był to więc kamień zaiste międzynarodowy i braterski.

Wiosną 1890 r. przyjechał z Petersburga do Noniusa student Medyko-chirurgicznej Akademii Stefan Fojnicki, brat senatora i profesora, znanego przeciwnika kary śmierci (piękne i mocne stronice w jego kursie prawa karnego). Objeżdżał on wtedy miasta uniwersyteckie w celu zawiązania stosunków i zorganizowania odrodzonej partii terrorystycznej. Noniewicz przyprowadził go do mnie, po czym udaliśmy się z Fojnickim do Rygi. Tam rozstaliśmy się ustaliwszy adresy konspiracyjne. Za jego wskazówką pojechałem do Wilna, gdzie miałem tajemnicze spotkanie z jakimś rudym jegomościem na pałąkowatych nogach, który minął mnie siedzącego na ławie w Cielętniku (ogród miejski), zrobił umówiony gest i podążyłem za nim w odpowiednim dystansie za miasto, by otrzymać od niego jakieś sprawozdanie i powiedzieć mu polecenia Fojnickiego. Wszystko to było jak z Sherloka Holmesa, nęcące młodzieńczą chęć przygód, ale zabawa ta skończyła się smutno dla biednego Fojnickiego a także dla Noniusa. W organizacji bowiem Fojnickiego była zdrajczyni Zofia Ginsburg, a co gorsza — prowokator, słynny Heckelman-Landeisen, występujący tu jako emigrant Miller z polecenia terrorystów paryskich. (W parę lat potem wychrzcił się ten łajdak i przybrał nazwisko Hartinga). Fojnickiego wkrótce aresztowano wraz ze stukilkudziesięciu osobami. O wyprawie jego do Dorpatu opowiedziała Ginsburg i ofiarą tej zdrady padł Noniewicz, którego aresztowano i wywieziono do Petersburga. Wtedy, pamiętam, przybiegł do mnie raniutko z tą wiadomością wierny Jenochin, który widział, jak wieźli Noniusa żandarmi na dworzec. Udaliśmy się wnet do mieszkania Noniewicza i po raz pierwszy widziałem wtedy, jak wygląda lokal po nocnej rewizji. Wszystkie szuflady, szafy, biurka, komody były wysunięte i rozwarte, pośrodku pokoju leżała góra pościeli, bielizny, ubrań, książek, papierów, a dokoła stały gołe ściany i porozwalane meble. Że też żaden malarz nie wymalował tak wymownie krzyczącej o pohańbieniu człowieka „martwej natury"! Wyniosłem stamtąd i pewną naukę na przyszłość, że rzeczy najdowcipniej ukryte najczęściej zostają znale-

zione, a rzeczy leżące na wierzchu uchodzą uwagi szukających. Na biurku wysuniętym na środek pokoju pod stosem wyrzuconych z szuflad i skrytek listów, papierów i fotografii znalazłem i zabrałem kilkanaście numerów londyńskiego Przedświtu!

Ja ocalałem, gdyż o mnie, prócz Fojnickiego, nikt w Petersburgu nie wiedział. Fojnicki pomimo zabiegów brata-senatora już nie wyszedł z więzienia i wkrótce zmarł na gruźlicę. Był biedak bardzo brzydki: twarz długa, chuda, koścista, z wydatną dolną szczęką i zielonymi, głęboko osadzonymi oczyma, wysokiego wzrostu, cery ziemistej. Zwracał na siebie uwagę brzydotą i wzrostem, a jednak lubował się w konspiracji. Spędziłem z nim noc w hotelu w Rydze. Zajechaliśmy każdy oddzielnie i niby poznaliśmy się przy tabldocie w hotelowej restauracji. Kazał służbie wstawić wieczorem do swego pokoju stolik karciany i przynieść dwie nowe talie kart, podać herbatę itd. Zaprosił mnie i obaj nie grający udawaliśmy długo w nocy zawziętych graczów, prowadząc potrzebne nam rozmowy, a rzeczy dla pamięci kreśląc kredą na suknie i zaraz ścierając. Taka była moja rosyjska szkoła konspiracji!

Noniewicz już nie wrócił do Dorpatu na swoje stanowisko. W jakiś rok potem widziałem się z nim, kiedy po drodze z więzienia wracał do domu pod Wilno i zajechał, żeby likwidować swoje sprawy urzędowe w Instytucie. Był zupełnie złamany śledztwem, nic nie chciał mówić, tylko wciąż powtarzał: — Stempek, porzuć te wszystkie roboty, bo zginiesz marnie! Po 10-ciu latach odwiedził mnie już w Warszawie jako weterynarz miejski Wilna, o rewolucji już nie mówił, został zjadaczem chleba.

Tymczasem Kuchnia nasza rozwijała się doskonale. Fundusze składały się z naszych miesięcznych wkładek, których wysokość określał każdy sam według tego, co otrzymywał z domu. Oczywiście najwięcej dawali zamożni, jak Bronek Natanson, Hellin, oni też dali obsługę, umeblowanie, pianino itp. Wśród nas było kilku zupełnie ubogich, był np. taki medyk, który otrzymywał z domu 10 rb. miesięcznie. Tacy oczywiście wolni byli od płacenia składek, a ponadto dostawali obiady darmo; nikt jednak z nas o tym nie wiedział, kto płaci, a kto je darmo, wiedział o tym tylko skarbnik, którym był dożywotnio dr Henryk Hellin, słodki, zacny człowiek i kolega. Cena obiadu z dwu dań była bardzo niska, 25 kop., sama zupa 5 kop., chleb *à discrétion;* były tylko kwestie co do musztardy i papryki, których Bruner zjadał sam niemożliwe ilości. Po obiedzie zostawaliśmy chętnie na rozmowy, muzykę lub grę w szachy w saloniku. Godne zanotowania, że z nas, „kucharzy", nikt nie grał w karty. Na tych poobiednich sjestach, a także na dyskusjach po

odczytach, ujawniły się między nami różnice ideowe, łączył nas jednak negatywny stosunek do kołtuńsko-szlacheckiego Konwentu. Większość była, jak wówczas mówiono, „patriotnikami", endecji jeszcze nie było, ale była Liga Narodowa, Balicki z Dmowskim, Pobudka z orłem białym, Skarb narodowy Jeża — to były ich źródła ideologiczne. Do nich należeli: Bouffałł, Natanson, Zaborowski, Korbut i młody narybek. Ja należałem do grupy socjalistycznej z Kułakiem, Pawłem, Kaufmanem, Marcinkiewiczem; sprzyjali nam Bruner, Pilchowski, Powalko. A była jeszcze nieliczna grupa tzw. anarchistów, dla której nasz socjalizm był za mało radykalny, byli to: Poncet, Szulc, Lohrer, Ketat, Ejsmont — trzymali się zawsze razem i żyli w bliskiej z sobą przyjaźni, lubili wypić, a wtedy chłop białoruski Ketat puszczał się w prysiudy.

Dziwna rzecz jednak: pomimo tych różnic i dość ostrych nawet sporów Bronek Natanson zaczął nawiązywać ze mną coraz serdeczniejszy stosunek. Czułem, że chce mnie, którego uważał za herszta opozycji kuchennej, przeciągnąć na swoją stronę; w wyniku nie doszło pomiędzy nami do porozumienia ideowego jak z Pawłem, ale zbliżyliśmy się na gruncie wspólnego zamiłowania do literatury francuskiej oraz towarzysko. Poza tym nie było walki i przekonywań, lecz daleko posunięta tolerancja i wzajemny życzliwy stosunek. Nigdy np. nie zaczepiał mojego stosunku do Leśnika, nawet po awanturze, jaka wynikła na jego odczycie w moim mieszkaniu, gdy Leśnik w zapale nazwał Polskę szlachecką dobitnym słowem i kilku słuchaczy opuściło demonstracyjnie zebranie. Potem rzucono się na mnie, gdyż Leśnik nigdzie nie bywał i z nikim się nie widywał. Właśnie po tej hecy, podjętej przeciwko mnie wśród patriotników, zbliżyliśmy się z Bronkiem. Drugim momentem czysto uczuciowym było jego zachowanie się względem mnie po aresztowaniu Noniusa, kiedy wpadłem w jakąś prostrację duchową — przychodził i siadywał ze mną wieczorami.

Na drugą zimę pojechałem na święta do Warszawy. Zawiozłem Krzywemu pieniądze na wydawnictwa oraz rękopisy tłumaczeń. Wydawał on wtedy ze Stanisławem Narutowiczem Tygodnik Powszechny, pierwszą próbę robotniczego pisma legalnego. Tego pisma wyszło tylko 14, zdaje się, numerów, po czym zostało ono zawieszone i znalezione przy rewizjach numery żandarmi konfiskowali jako materiał obciążający. Podczas tej bytności nawiązałem stosunki z wielu działaczami socjalistycznymi, jak Edward Abramowski, Zygmunt Pietkiewicz, Badior, Dembiński, Janusz Tański i inni, zarówno ze „Zjednoczenia" jak ze „Związku", które współzawodniczyły z sobą.

W powrotnej drodze zdarzyła mi się przygoda bardzo nieprzyjemna, wynikająca z mojego niedoświadczenia konspiracyjnego (chociaż tak dobrą szkołę odbyłem z Fojnickim!) oraz stąd, że literaci nie powinni zajmować się praktyczną działalnością konspiracyjną. Abramowski i Pietkiewicz chcieli skorzystać z tego, że jadę do Dorpatu przez Białystok, i dali mi walizkę napełnioną świeżo odbitymi proklamacjami, przygotowanymi na pierwszego maja. Wskazali mi ulicę Starobojarską i numer domu, w którym była pracownia modniarska; tam miałem się zapytać o p. Lenczewskiego, brodacza, starego działacza robotniczego, i doręczyć jemu walizkę. Otóż przybywszy do Białegostoku zatrzymałem się w hoteliku przy dworcu, powiedziałem, że odjeżdżam wieczorem, więc nie meldowano mnie. Zostawiłem walizkę i swój tłumoczek i pojechałem do oddalonego miasta pod wskazany adres. Wszystko było tak, jak mi powiedziano, nawet trzy schodki przed wejściowymi drzwiami, zaś pani Lenczewska powiedziała, że mąż jej będzie dopiero około trzeciej. Na tę godzinę przyjechałem już z walizką, wpuszczono mnie do stołowego pokoju, gdzie wypadło mi trochę czekać. Wreszcie zjawił się brodacz. Powiedziałem mu z czym przyjechałem. Zrobił zdumioną minę. — To jakieś nieporozumienie! Od kogo pan przyjeżdża? Wymieniłem Abramowskiego i Pietkiewicza. — Nie znam takich! I proszę pana zaraz wynosić się ze swoimi walizkami. Takimi sprawami się nie zajmuję i źle pan do mnie trafił. Wtedy wyjąłem swoją studencką legitymację, że niby ja znam jego nazwisko, a on mojego nie zna, i żeby były równe szanse, i jąłem go zaklinać, że sprawa jest czysta i że ja tej walizki brać nie mogę, bo przeznaczona jest na Białystok. Snać szczera prawda biła z moich słów i oczu, bo Lenczewski pomyślał chwilę i krótko rzekł — Pan tu zaczeka — wyszedł, zamknął za sobą drzwi na klucz; po chwili szczęknął zamek i w drugich drzwiach od kuchni i zamknięto okiennicę w jedynym oknie od podwórza. Dłużył mi się czas w tym ciemnym więzieniu. Dopiero o szóstej, gdy ozwały się syreny fabryczne po ukończonym dniu pracy, usłyszałem stąpania kilku ludzi. Drzwi się otwarły i wszedł gospodarz w towarzystwie dwu umorusanych robociarzy. Zadali mi we trzech szereg pytań, pytali o rozmaite pseudonimy, których nie znałem, gdyż byłem przygodnym tylko posłańcem, a oni nazwisk moich mocodawców też nie znali. Skończyło się jednak na tym, że robotnicy zabrali walizkę, a mnie znów zamknięto. Dopiero wieczorem wyrwałem się i ledwie zdążyłem na pociąg, klnąc warszawskich konspiratorów.

W drugim roku mojego pobytu w Dorpacie Paweł właściwie miał ukończone studia i drugi rok mieszkał ze mną niepotrzebnie, pod pozo-

rem, że pisze pracę u swego ukochanego prof. Lemberga, mineraloga. Ów Lemberg był samotnikiem, z profesorami ani korporantami się nie zadawał i, jak twierdził Paweł, był radykalnych poglądów i skłaniał się ku socjalizmowi. Z rozmów i zamyślań się Pawła wymiarkowałem, że siedział w Dorpacie z lęku przed wejściem w życie. Zżycie się z kolegami, praca w kółku Leśnika nad samokształceniem, ruch ideowy wzniecony przez nasz zespół „kuchenny", może i kiełkująca przyjaźń serdeczna ze mną, Kułakiem, Aleksandrem Żenczykowskim — wszystko to sprawiło, że ciężko mu było rozstawać się z tym życiem beztroskim a pełnym treści i wprzęgać się do kieratu zarobkowego, bo w domu nie przelewało się. Zresztą i atmosfera dorpacka sprzyjała wytwarzaniu się typu „wiecznego studenta". Byli np. tacy, co kończąc jeden wydział przechodzili na drugi, byle mieć pretekst do dalszego pozostawania w Dorpacie. Taki Heinrich (zostawił swoje wspomnienia) przesiedział prawie całe swoje życie w Dorpacie; był Iwański, który powrócił na starość i zamieszkał tu; był Omirow itd. A takich, co studiowali po 10 i więcej lat, było bez liku. Oczywiście mogli sobie na to pozwolić tylko synowie zamożnych rodziców. Paweł nie miał ich, więc wreszcie zbliżył się dzień jego wyjazdu. Posmutniał, wpadł w rodzaj melancholii, tak że zacząłem obawiać się, żeby sobie czego nie zrobił, i tajemnie pilnowaliśmy go z Kułakiem. Dziwna rzecz: w młodości, na początku życia, po trzykroć staje mężczyzna o włos od śmierci — wystarczy najbłahsze pchnięcie, by padł jej ofiarą. Te trzy momenty to dojrzewanie płciowe, pierwsza miłość i chwila wejścia w życie praktyczne. Przeszedłem je sam ciężko i widziałem, jakie spustoszenia czyniły w otaczającym mnie świecie kolegów (Taniec młodości i śmierci!). Ocaliła jednak Pawła idea. Dostał posadę chemika w cynkowej hucie w Zagórzu pod Sosnowcem, gdzie miał nadzieję pracowania wśród robotników i gdzie obiecałem go odwiedzić.

Po powrocie z wakacji ogarnęła mnie pustka uczuciowa w braku Pawła. Zwinąłem nasze za obszerne dla mnie mieszkanie na Holm i przeniosłem się za miasto na Revalsche 16. Ulica była niebrukowana, wysadzona różowymi kasztanami, ostatni dom za koszarami, ostatnia latarnia. Dalej szła pusta aleja, przy końcu której stał zakład dla obłąkanych. Miejsce nastrojowe, w sam raz dla Edgara Poe. Tam też zaznałem, co to jest paniczny, niczym nie dający się opanować strach. Powstaje on w zetknięciu się z czymś dla nas niepojętym, niezrozumiałym i niespodzianym. Wracałem późno z jakiegoś zebrania w pochmurną i wietrzną noc marcową. (Bezpieczeństwo w tym cichym mieście było zupełne, nie słychać było ani o kradzieżach, ani o napadach,

policja była jeszcze średniowieczna, municypalna, pachołkowie miejscy z halabardami, jak na waletach karowych; właśnie wprowadzano dopiero policję państwową). Szedłem zamyślony o tylko co odbytej dyskusji, minąłem szyldwacha przy koszarach i dochodziłem właśnie do ostatniej latarni. Stąd droga szła już piaskiem do góry i kiedy miałem latarnię za sobą i cień mój zabiegał przede mnie z prawej strony, spostrzegłem, że do mojego cienia dołączył się nagle jakiś inny. Obejrzałem się i zobaczyłem tuż przy mnie potworną maszkarę kosmatą z wyszczerzonymi zębami i wytrzeszczonymi białkami oczu. Stwór zagulgotał chrapliwie, a mnie jak wicher pchnęło naprzód i pomknąłem jak zając pod górę, zjeżony i z zimnym dreszczem na plecach. Żeby nie tracić tempa nie oglądałem się za siebie, zaciskałem w ręku klucz od furtki, z troską, czy trafię od razu po ciemku w zamek kluczem i czy zdążę zamknąć za sobą furtkę, zanim goniący dobiegnie. Takiego dzikiego strachu nigdy już nie zaznałem. Nazajutrz, gdy opowiedziałem przy obiedzie o moim zdarzeniu, okazało się, że w zapusty Estończycy mają zwyczaj urządzania zabaw z przebieraniem się, malowaniem twarzy, wywracaniem kożucha itp. i że zapewne taki powracający z maskarady drab zechciał dogonić mnie na pustkowiu i nastraszyć.

Pokój na Revalsche miałem obszerny, z alkową, na piętrze, z dużym krytym balkonem, skąd był rozległy widok na miasto i ogród. Latem na balkonie można było mieszkać. Tylko podczas kwitnięcia różowych kasztanów cierpiałem od dławiącego i ckliwego ich zapachu, przed którym nie chroniły nawet zamknięte okna. W tym też czasie nastawały i białe noce (kwiecień, maj), kiedy po zapadłym nagle o 9-tej zmroku już około 11-tej zaczynało robić się jasno. Jasność ta była przykra i niepokojąca, gdyż wypełniała cały przestwór nie zdradzając źródła, z którego pochodzi. Światło było rozsiane, wypełniało wszystkie zakamarki i wgłębienia zwykle zaciemnione i nie dawało cienia — przedmioty stały bez cienia, zagubiły swój cień. Spać było trudno. W białe noce przeczytałem całego Hercena i całego Heinego. Trzeba przyznać, że czyta się w tym niepokoju bez cienia niezwykle chłonnie; przeżyłem z tymi pisarzami plastycznie ich tragedie (jakże różne!) i rozstałem się z nimi bez sympatii: uleczyli mnie na zawsze — pierwszy z mesjanizmu słowiańskiego, drugi — z kpiarskiego dowcipkowania, które nie jest żadną postawą wobec życia i zwłaszcza wobec śmierci.

Z domu przywoziłem, a i od czasu do czasu przysyłała mi matka rozmaite specjały domowe, jak szynki, półgęski, powidła, owoce smażone, a zwłaszcza bulion w kostkach, który cieszył się wśród kolegów największym powodzeniem. Wobec tych obfitości, a także wobec tego,

że miałem rzecz niezwykłą w studenckim gospodarstwie — prawdziwy mosiężny samowar, zapraszano się do mnie i musiałem od czasu do czasu urządzać przyjęcia. Przychodzili na wyżerkę nasi anarchiści i przynosili zwykle z sobą beczułkę piwa z miejscowego browaru; to znowu zapraszał się dr Szaryj z sybirakami Rosjanami — ci wypijali kilka samowarów i oddawali się wspomnieniom z zesłania. Pamiętam zabawną ich dyskusję na temat, czy Komitet Wykonawczy Narodnej Woli rozporządzał dostatecznymi siłami, by nazajutrz po zabiciu cara proklamować w Rosji socjalizm. Naiwna scholastyka! Przychodzili i w pojedynkę różni nieszczęśliwcy pokrzepiać się i spowiadać. Bywał np. nieszczęsny nałogowy rozpustnik i neurastenik Radowicz, Bułgar podobny do Pugaczowa. Przywiązał się do mnie, spowiadał się ze swych grzechów i poddał się mojemu wpływowi: zerwał z dawnym trybem życia wykolejeńca, zaczął się uczyć — mógł się uczyć tylko wśród hałasu i rozmów! — a gdy obsiadły go znów pokusy, uciekał do mnie i tygodniami sypiał na werandzie. Przychodził i zruszczony Polak z Białorusi Durowicz (tzw. Dudru-Odro), radykał, na którego wywarł pewien wpływ rosyjski socjalizm, śliczny chłopak o długich falistych włosach, panieńskich rumieńcach na delikatnej cerze, o powłóczystym spod długich rzęs spojrzeniu i małej dziewiczej bródce Jana Apostoła. Tego nawróciłem na polskość przeczytawszy mu na głos *Kordiana* i *Dziadów, część III*, a także Wiktora Heltmana *Demokrację polską na emigracji*. Straszny był ten młyn carski, który fałszem, urąganiem podbitemu narodowi, ignorancją mas i świetnymi talentami literackimi i publicystycznymi mełł na jednorodną miazgę obałamucone jednostki spośród wszystkich narodów, ras i plemion, z których się ten kolos państwowy składał. Sam byłem już w tych żarnach i wiedziałem dobrze, przez jakie szczeliny wciska się ten wróg godności i honoru człowieka do dusz młodych. Pierwsze wzruszenia matczynego głośnego czytania, przytłumione tyloletnim działaniem wschodniego czaru, znów zaczęły ożywać od zetknięcia z obałamuceniem Polaków i ignorancją Rosjan w sprawach polskich.

Te bolesne szamotania się duszy polskiej przybierały niekiedy potworne i obrzydliwe formy. Oto podczas jednego z moich wyjazdów do Warszawy spotkałem na wieczornej herbacie u Krzywickich W. M. Kozłowskiego. Powrócił był właśnie z 10-cioletniego zesłania na Syberię i dowiedziawszy się o mnie od p. Ludwika, chciał zasięgnąć informacji o uniwersytecie dorpackim, gdyż zamierzał kończyć swoje studia przerwane zesłaniem. Pochodził z Kijowa, był synem lekarza. Kończył już fakultet medyczny, gdy w 1879 r. został aresztowany w sprawie Na-

rodnej Woli, a więc należał do rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. Miał na Sybirze termin zesłania przedłużony do 10 lat za udział w przygotowaniu ucieczki. Ponieważ w braku lekarzy okazywał ludności pomoc lekarską, pozwolono mu pod koniec zesłania osiąść w Tomsku, gdzie wydrukował parę prac o florze syberyjskiej (m. in. o syberyjskich storczykach). Obecnie chciał swoje prace botaniczne złożyć jako dysertację i doktoryzować się na wydziale przyrodniczym. Tego mógł dokonać tylko w Dorpacie, gdzie uniwersytet kierował się względami naukowymi a nie politycznymi i gdzie mógł nawet w ciągu jednego roku zdać i *philosophicum* i *rigorosum*.

Wysokie czoło, płomienne czarne oczy, czarna rzadka bródka i namiętna mowa podobały mi się i zaofiarowałem mu wspólne ze mną mieszkanie, zanim wyjaśni swoje sprawy z uniwersytetem i znajdzie sobie kwaterę. Przyjechał wkrótce i mieszkał u mnie cały jeden semestr. Podziwiałem jego pracowitość i genialną pamięć — po 10 latach przerwy, w ciągu kilku miesięcy przerzucania kursów i podręczników ten człowiek zdał doskonale półkursowy egzamin i to w niemieckim, obcym mu języku. Nigdzie nie chodził, nikogo nie znał, o zesłaniu swoim nie wspominał — uczył się z benedyktyńską cierpliwością. Miał tylko dwie przywary, które mnie odpychały od niego. Cierpiał na satyriazę. Na widok kobiety nos mu się zaostrzał drapieżnie i zaczynał rżeć jak źrebiec. Nie podobna było z nim chodzić po ulicy, zaczepiał zwłaszcza młodziutkie dziewczęta. Drugą jego manią była po prostu opętana nienawiść do mowy rosyjskiej, do rosyjskiej pieśni. Kiedyś przyszli do mnie nasi anarchiści i jeden z nich zanucił jakąś rosyjską piosenkę. Kozłowski skoczył jak oparzony, dziko wykrzykując zatupał nogami i wyleciał z pokoju, nie wrócił przez cały ten wieczór.

Dopiero później zrozumiałem tę dziwną manię u późniejszego filozofa, profesora i moralisty. Na drugi semestr przeniósł się do profesorostwa Baudouinów, którzy mieli wolny pokój do wynajęcia, i sprowadził tam swoją żonę i córeczkę 9-letnią ułomną. Miała ona bezwładne nogi, cicha była, miła i śliczna. Żona z domu Subotin była Rosjanką. Poznali się na Syberii, dokąd była zesłana wraz z matką, siostrą i wychowanką matki za działalność oświatową i rewolucyjną wśród ludu — były sądzone w pierwszym wielkim procesie politycznym tzw. 193-ch. Majątek ziemski matki został skonfiskowany, a matka skazana na katorgę. Poznałem potem staruszkę, której pozwolono z amnestii wrócić i osiąść w Rydze pod jawnym dozorem policji tj. z ciągłym meldowaniem się i bez prawa wydalania się z miasta. Na prośbę Kozłowskiej jeździłem do tej staruszki drobnej, pomarszczonej, z żałośnym kocz-

kiem siwych włosów na głowie, przypominającej mi moją babcię — „Marmoladkę". Zaprzyjaźniliśmy się, miała bowiem umysł żywy, pełna była niezłomnego ducha wiary w prawość sprawy, za którą tyle wycierpiała. Przegadaliśmy dzień cały i na pożegnanie, ku jej wielkiemu zdziwieniu, bo u nich nie znali tego zwyczaju — pocałowałem ją w rękę, a ona mnie w głowę. Mówiliśmy po rosyjsku.

Żona Kozłowskiego miała twarz łagodną, przyjemną choć zniszczoną, niebieskie oczy wyblakłe, jakby zapłakane. Cicha była, mówiła doskonale po polsku, bez błędów i bez akcentu, znała świetnie polską literaturę. Córeczka wychowana była po polsku. Zdawało się, wszystko w tym stadle było w porządku. Dopiero gdy po roku pan doktor filozofii W. M. Kozłowski przeniósł się z rodziną do Warszawy, wracając z wakacji odszukałem ich na ul. Nowogrodzkiej i wstąpiłem odwiedzić. Mieszkanie parterowe było obskurne, sień ciemna; deszcze wtedy padały i w pokojach stały wiadra i miednice na kapiącą z sufitu wodę. Otworzyła mi babcia. Powitałem ją radośnie po rosyjsku, ale ścisnęła mnie za rękę i łamaną polszczyzną oświadczyła, że Władysław jest w domu. Istotnie w trzecim pokoju przy oknie siedział Kozłowski i majstrował jakiś przyrząd fizyczny — utrzymywał się z wykładów fizyki i przyrody na „latającym uniwersytecie". Zrobiło mi się przykro, że ta czcigodna staruszka żyje pod terrorem fanatyka, dla którego na Syberii Subotiny były opatrznością, a tu, pomimo całej ich delikatności i poświęcenia, były zawadą... w doskonałości patriotycznej! Ale z czasem okazało się, że tu nie tylko o patriotyzm chodziło temu nadwrażliwemu na Dubinuszkę filozofowi. Decydowała satyriaza. Jeździł do Berlina, żądając od partyjnego soc. dem. adwokata, aby mu jako „też socjaliście" przeprowadził rozwód (wykładał wtedy filozofię we Lwowie), a gdy mu odmówiono, załatwił to jakoś inaczej, gdyż ożenił się. Trzy opuszczone, bez środków, kobiety wyjechały na południe Rosji do krewnych.

Pomimo mojego coraz bardziej krytycznego stosunku do niekulturalnej masy studentów w „Concordii", jedno, co mnie z nimi godziło i pozwalało brać udział w ich wieczorynkach, to cudowny śpiew chóralny. Nasz biedny Hellin mozolił się przy pianinie, żeby na Listopadówkę nauczyć nas kilku pieśni, które wychodziły ostatecznie bardzo nietęgo. A tu zbiera się przypadkiem 3—4 ludzi i gotowy chór. Plątał się wśród studentów Rosjan pijaczyna — nikt nie wiedział co on studiował — kozak doński Pigrow, brzydki, o szerokiej płaskiej twarzy kałmuckiej, łysawy, z rzadką bródką i wąsikami jak u Chińczyka, absolutnie pozbawiony głosu (syfilis, wódka), ale posiadający absolutny

słuch. Gdzie tylko się zjawił, wnet powstawał chór — ciągnął, błagał, krzyczał, ustawiał i stając przed szeregiem bez kamertonu ani instrumentu poddawał swym rozbitym głosikiem ton. I wnet ten brzydal przeistaczał się w natchnionego, wniebowziętego dyrygenta. Upajał się dźwiękami, gestami rąk i całego tułowia wyciągając to z basów, to z tenorów wpatrzonych w jego tańcującą figurkę potrzebne mu dźwięki i to ściszał je, to rozdymał. Za tę muzykalną namiętność przezwano go Pigrini. Basy, których miał dwa potężne, cenił wysoko i umiał nimi dokazywać cudów harmonijnych. Jednym był młody weterynarz Rusanow — o takim basie powiada Bylina, że gdy się odezwał, to liście sypały się z drzew; potężny a przytem gęsty i miękki jak miód i aksamit. Drugim był medyk Archangielskij — wydymał górną wargę i puszczał głos ostrożnie, żeby nie ogłuszyć, bo miał głos chrapliwy, jak ryk burzy. Lubiłem patrzeć jak Pigrow wpatrywał się w niego i skoro tylko górna warga się wydłużała, składał modlitewnie ręce, żeby aby nie za głośno. Tenorów było więcej, solowe piękne tenory w chórze ginęły i Pigrow cenił zwłaszcza te, które mogły w pewnych momentach na jego skinienie wzbijać się ponad wszystkie głosy w górę i tam, w zawrotnej już wyżynie, haftować dowolnie modyfikacje danej melodii. Taki wysoki i silny tenor miał Mikołaj Prisiołkow, chudy wysoki suchotnik o długiej szyi. Nie śpiewał, tylko na znak Pigrowa raptem wzbijał się ponad wszystkie głosy i pokołysawszy się, jak orzeł na wysokości — urywał. A dalej chór grał jak bór, jak organy. Czasem soliści urządzali duety, tria, kwartety na głosy — i to wszystko było na bardzo wysokim poziomie.

Z wyjazdem Pawła Kułak trochę się był rozpuścił: zaczął hulać i dokazywać po dorpacku. Zaprzyjaźnił się z takim samym jak on oczajduszą Starzeńskim z Podola. Nie mówiąc już o pojedynkach, po których Kułak zjawiał się u mnie skruszony, by wysłuchać ode mnie reprymendy, urządzali np. takie zabawy: łódką płynęli do karczmy Kwistental i tam stawali naprzeciwko siebie o 15 kroków, wychylali z szampańskich kieliszków po „turku" (koniak, cytryna, likier, żółtko z jajka nalane warstwami), po czym jeden drugiemu strącał kieliszek z głowy wystrzałem z pistoletu. Ten co nie trafił, płacił za wypite „turki". Czasem ta zabawa trwała tak długo, aż obaj byli pijani, ale jakoś ci przyjaciele wychodzili cało. Tak się bawili, aż Starzeński zamiast kieliszka pacnął kolegę korporanta Niemca w czoło i zabił go na miejscu. Skazany został na rok więzienia i pokutę klasztorną, jako że zabił po pijanemu w dobrej woli i sam mógł być zabity.

Wsławił się Kułak na cały Dorpat pewnym niesłychanym wyczynem, który tu muszę opisać. Wynajmował on w maneżu konia na godziny i jeździł na nim za miasto na spacery — takie pańskie fanaberie! Otóż kiedyś wprowadził tego konia po schodach do swego mieszkania na pierwsze piętro. A mieszkał na cichej profesorskiej ulicy w drewnianym domu wespół z miłym kolegą Cumftem. Koń wejść wszedł, ale zejść nie chciał w żaden sposób po schodach. Musieli go przenocować w mieszkaniu. Nazajutrz rano zjawił się właściciel z żądaniem zwrotu konia. Nie było innej rady, tylko Kułak musiał nająć cieśli, zbudować na ulicy pomost, rozebrać ścianę przy oknie i tak konia na dół sprowadzić. Tymczasem koń, karmiony i pojony, chodził sobie po mieszkaniu i wyglądał przez okno ku wielkiej uciesze gapiów z całego miasta. Na uroczyste wyprowadzenie zbiegły się tłumy i zaległy ulicę, a Kułak ostentacyjnie pożegnał konia.

Prowadził Kułak podwójne życie. W polskich regionach był biboszem, awanturnikiem i zamożnym studentem, od czasu do czasu zaś przy moim pośrednictwie zapuszczał się w gąszcz rosyjskiej studenterii i wtedy chodził w brudnej koszuli, bez krawata, rozczochrany i zaniedbany, bawił się doskonale widokiem takich osobliwości jak Pigrow, Riwosz, Ajgustow, Miakiniu itp. albo wszczynał dysputy na tematy ekonomiczne i wtedy był zaciekłym marksistą, doprowadzającym marksizm do ostatecznych, nawet absurdalnych konsekwencji. Wśród Rosjan nie było jeszcze marksistów, dopiero ten ruch kiełkował i to dzięki tym tonom bibuły, którą przez Rygę przemycaliśmy, i miał licznych oponentów. Te walki słowne znalazły swoje odzwierciedlenie w pamflecie napisanym dość dowcipnie przez esera Kraszeninnikowa, gdzie Kułak był przedstawiony jako optymista Panglos, za którego pracuje dialektyka dziejów, a on ze swymi uczniami przeżywa z kolei okresy dzikości, barbarzyństwa, cywilizacji, kapitalizmu. Zawziętymi oponentami marksistów byli bracia Czernowy, z których starszy był zwolennikiem głośnego socjologa N. K. Michajłowskiego i kierunku reprezentowanego przez miesięcznik Русское богатство, a młodszy Wiktor, późniejszy minister rolnictwa w Rządzie Tymczasowym, był jeszcze aspirantem do matury. Stronnikami marksizmu byli Anders, Dunajewski, Rabinowicz, Salomon Polak i Żmudzini Marcinkiewicz i Twarianowicz.

W przedostatnim roku mojego pobytu w Dorpacie zjawił się student z Kijowa Bohdan Kiśtiakowski, który okazał się Ukraińcem. Zwrócił on na siebie od razu uwagę swoim zewnętrznym wyglądem: wysoki, cienki, z ogolonymi wąsami — co było w tym czasie rzadkością, a stało

sie pospolite po wojnie — jasny, różowy blondyn z okrągłą twarzyczką i zmrużonymi oczami, a czub miał koloru jasnożółtego, stąd przezwano go natychmiast moczałka (żółta trawa używana w rosyjskich łaźniach do szorowania ciała). Na immatrykulację do uniwersytetu stawił się we fraku i w białym krawacie, jak do ślubu, co nie było we zwyczaju.

Ponieważ Ukraińców przyznających się do tej narodowości w Dorpacie nie było, Kiśtiakowski jako kijowianin i syn znanego profesora prawa karnego w uniw. kijowskim, od razu udał się do Towarzystwa Studentów Rosjan i w ich kuchni się stołował, gdzie poznał się z Omirowem i moimi przyjaciółmi Moskalami. Od nich snać dowiedział się o mnie, bo wkrótce jakoś złożył mi wizytę. Przyznał się, że mu jest ciężko wśród Rosjan, że chciałby się nauczyć po polsku, poznać się i rozmawiać z Polakami, wreszcie że rad byłby, gdybyśmy go przyjęli do naszej Kuchni. Powiedziałem, że w zasadzie przyjmujemy tylko Polaków i to pewnego autoramentu przekonaniowego, ale że zapytam kolegów. Wkrótce został Kiśtiak przyjęty, byliśmy bowiem na ogół tolerancyjni i nienawiść polsko-ukraińska, którą dyszała ówczesna Galicja, do nas nie dotarła. Bohdan szybko się u nas zaaklimatyzował, gdyż miał sporo towarzyskiej ogłady i uprzejmości, a że był wykształcony, pracujący wciąż nad sobą i to do pedanterii systematycznie, był więc bardzo dobrym dla nas nabytkiem. Pełne humoru były jego dyskusje z Kułakiem, który twierdził, że poza Dragomanowem i jego progeniturą nie ma zgoła Ukraińców, a jedyni pisarze, Taras Szewczenko i Ołena Pcziłka, dlatego tylko do tej progenitury nie należą, że się urodzili przed nim. Bohdan zaś nazywał Kułaka, nie wiem dlaczego, „panem pułkownikiem".

W tym samym roku utworzyła się jednak w Dorpacie maleńka kolonia ukraińska, której ośrodkiem był dom małżonków Degenów. Eugeniusz Degen, syn rosyjskiego generała, rodem z Połtawszczyzny, ożeniony był z wnuczką Dragomanowa (Kułaka intuicja była słuszna?). Typowa Ukrainka o dużych czarnych oczach i szerokiej twarzy dom urządziła w stylu ludowym ukraińskim, jaskrawo barwnie, z haftowanymi ręcznikami, kilimami itp. Bywając tam z Bohdanem nauczyłem się literackiej mowy ukraińskiej, bo znałem tylko gwarę „chłopską". Do tej grupki należał jeszcze student, astronom, Kosacz, syn zamożnego ziemianina spod Kowla, krewny Łesi Ukrainki. Był to błękitnooki brodacz, utalentowany opowiadacz. Zwykle chodziliśmy z nim i z Bohdanem do łaźni i potem trzeba było ostygać z pół godziny w przestronnej sali, popijając zimne piwo po połowie z metem (rodzaj patoki miodnej). Wtedy Kosacz, którego przezwałem Pantiuszką, opowiadał

dykteryjki o charakterze etnograficznym (wszyscy Ukraińcy są po trosze etnografami!). Były tam opowiadania cygańskie, kacapskie, żydowskie, chłopskie, pańskie, popowskie, żołnierskie itp. Zwiedziano się o tych naszych sjestach łaziebnych i zaczęły na nie ściągać coraz liczniejsze zastępy słuchaczy.

Dziwnym trafem żaden z tych trzech Ukraińców nie miał ani słuchu, ani głosu. Ale dojeżdżał z Petersburga niejaki Arabażyn (Ukrainiec z Kijowa, doktoryzował się napisawszy rozprawę o Brodzińskim) figura, jak się później okazało, bardzo nieciekawa. Za każdym jego przyjazdem Degenowie urządzali wieczorne przyjęcia, Arabażyn układny i towarzyski śpiewał ładnym tenorem ukraińskie pieśni ludowe, Bohdan deklamował Szewczenkę i Iwana Frankę, a Pantiuszka produkował swą zabawną etnografię.

W 1890 r., jadąc na wakacje do rodziców, wstąpiłem do Warszawy, a stamtąd pojechałem pod Sosnowiec odwiedzić Pawła. Był pochłonięty pracą zawodową i konspiracyjną wśród robotników. Ogromne, decydujące wrażenie zrobiło na mnie zetknięcie się z robotnikami na tle koszmarnego pejzażu: piece dymiące w dzień i dyszące ogniem w nocy, otoczone hałdami wyrzyganej szlaki, pustynia nieuprawnych pól pokrytych dołami i złowrogo łyskających czarną wodą, drzewa z poschniętymi wierzchołkami, a nad głową, zamiast nieba, sunące po drutach wagonetki z rudą żelazną lub cynkową. Drogami suną sznurem w sinych bluzach z blaszankami kawy w jedną stronę czyści, w drugą czarni od węgla robotnicy. Milczą, ale niosą w sobie dostojeństwo pracy i tego niewidzialnego bohaterstwa, które utajone jest w ciągłym obcowaniu z czyhającą w kopalni śmiercią. Przynosił mi wodę do mycia i opiekował się mną przez kilka dni gościny u Pawła ojciec Oset, siwy Ślązak; już nie pracował w kopalni, ale takim wyobrażałem sobie starego górnika z *Germinalu*, który lata całe, aż do śmierci, wypluwał z płuc pył węglowy. Z trudem mogliśmy się porozumieć, ale po raz pierwszy odczułem prapolskość gwary śląskiej. Ta wizyta umocniła we mnie teoretyczny socjalizm i ukazała zupełnie inną, nieznaną mi Polskę. I pogłębiła mój sentyment do Pawła.

Letnie dwa miesiące spędzałem u rodziców na wsi. Zanurzałem się w zgoła inny świat, nie mający nic wspólnego z tymi ideami i przeżyciami, które pochłaniały mnie w Dorpacie. Ten kontrast był jednak wypoczynkiem psychicznym. Żadne nici nie łączyły wątpliwości, walk duchowych, knowań rewolucyjnych z tą ciszą sennych pól i lasów, z tymi włościanami idącymi i powracającymi od pracy z pieśnią, ze skrzypie-

niem ciężkich wozów naładowanych snopami, ze spokojem, z odwiecznym trybem życia wsi. Od czasów moich gimnazjalnych jeszcze zachwytów nad Tołstojem pozostało mi zainteresowanie pracą fizyczną i nawet zamiłowanie do niej. Nauczyłem się był żąć sierpem, kosić, chodzić za pługiem, z bronami, z siewnikiem, umiałem nawet siać ręcznie. Któregoś lata podjąłem się sam wykosić trawę w dębinie przy parku. Nie wiedziałem, że w dębinach trawa (tzw. silanka) jest wprawdzie cienka i wiotka, ale twarda i bardzo trudna do koszenia; podniecony jednak żartami ojca zawziąłem się. Na szczęście zaczęła się słota i ja, w koszuli tylko i gaciach kosiłem zawzięcie mokrą trawę i skończyłem w kilka dni tę parę morgów, ale nadwerężyłem sobie widocznie mięśnie w krzyżu i musiałem położyć się do łóżka ze straszliwymi bólami.

Najmilszą dla mnie pracą fizyczną było łowienie ryb więcierzami. Żeby zasilić moją kasę rewolucyjną zaproponowałem ojcu, by na lato nie brał jak zwykle rybaka, a że ja będę pełnić jego czynności i dochód ze sprzedaży ryb będę dzielić z ojcem po połowie. Kupione w Litynie 40 par więcierzy poobsadzałem na obręcze, pospinałem pary poprzecznymi siatkami, pozastrugiwałem tyczki, w dodatku poreperowałem iglicą stare więcierze. Staw był ogromny, ciągnął się z półtorej wiorsty, zarośnięty, pełen pływających wysepek (tzw. spławów) i przesmyków, którymi ryby lubiły przepływać zwłaszcza w okresach tarła. Z czasem poznałem ich zwyczaje i ulubione przejścia. Codziennie około 3—4 po południu trzeba było objeżdżać łodzią staw i stawiać więcierze. Łódkę pędziło się nie wiosłem, lecz sochorem (drąg rosochaty); specjalna była umiejętność stawiania więcierzy „po sochorze", inaczej trudno było prawidłowo więcierz naciągnąć, chyba wlazłszy do wody. Praca była nielada i zajmowała zwykle kilka godzin, zwłaszcza że trzeba było przed postawieniem więcierz opatrzeć i dziury załatać. Nazajutrz przed świtem szło się boso, z podwiniętymi do kolan nogawkami, po chłodnej rosistej trawie, z sochorem na ramieniu, chłopskimi ogrodami nad staw do słupa, przy którym stała zamknięta na łańcuch łódka. Cierpki i miły zapach konopi unosił się w przedrannej mgiełce, cisza tajemnicza wisiała nad stawem, po którym sunęły lekko ukośne welony mgieł. Drewnianym czerpakiem wyczerpywało się wodę z łódki i nalewało świeżej dla ryby. Stojąc jechałem od więcierza do więcierza, odnajdując je po dwu tyczkach sterczących z wody na dwu końcach więcierza. Poznawało się, czy jest ryba po drganiu tyczek. Czasem, jak złowił się niespokojny szczupak lub nawalił kondukt weselny, tyczka szamotała się jak szalona, a serce na ten widok biło mocno. Wytrząsałem rybę do łodzi, więcierz składałem na wbite na płytkim miejscu tyczki, żeby do

wieczora wysechł. Kiedy połów był obfity, to się po kilka razy jechało do kosza, wpuszczonego na mocnych drągach pośrodku stawu na głębinie i wrzucało do niego ryby. Kosz był zamknięty na kłódkę, dwa razy w tygodniu przyjeżdżał wieczorem umówiony kupiec, dostawał słomę i lód, pakował żywą rybę warstwami i wiózł w nocy na targ. Z tej spółki z ojcem wywoziłem po wakacjach po 150—200 rb. nie licząc radości i zdrowia, a także zjedzonych karasiów w śmietanie, okoni z jajami, szczupaków faszerowanych i linów zastudzanych z czosnkiem.

Podczas tych wakacji zdarzyły mi się aż dwa wypadki, kiedy musiałem występować w roli chirurga. Przywieźli do matki z sąsiedniej wsi Kłopotowiec chorego. Towarzyszyłem matce do wozu, na którym leżał w gorączce chłop z obwiązaną stopą. Wyganiał był krowę z ogrodu i wbił sobie między wielkim a drugim palcem u nogi kijek nadpróchniały, który się złamał, tak że go nie można było wyciągnąć. Noga spuchła i posiniała, już i w pachwinie gruczoły były nabrzmiałe i bolesne. Stopa pokryta była grubą warstwą zeschniętego krowieńca kładzionego dla ochłodzenia (!). Z trudem udało mi się usunąć tę skorupę mydłem i ciepłą wodą i wysondować ranę. Nie mieliśmy z matką nic do roboty i skierowaliśmy chorego do ziemskiego szpitala. Dzień był roboczy, furmanka najęta, oni biedni — żona powiedziała, że nie wie, czy dostanie jeszcze raz konie. Nazajutrz matka posłała mnie do Kłopotowiec dowiedzieć się o chorego. Nazywał się Witruk. Na wszelki wypadek wziąłem torbę z narzędziami i opatrunkami. Oczywiście chory leżał w domu, gdyż w żniwa nikt nie chciał go wieźć. Miotał się w gorączce i jęczał, wstrząsany dreszczami. Widziałem, że sprawa groźna i że jeśli się nie usunie zapaskudzonej drzazgi i nie oczyści rany, chory zginie. Uważałem, że już i tak jest za późno i niewiele ryzykuję, jeżeli spróbuję dokonać niewprawną ręką operacji. Kazałem zawołać sąsiadów i powiedziałem im jak jest. Na to odezwała się żona, że nie pozwoli go krajać, niech tak umiera. Widząc, że obecni, których się naschodziło sporo, byli po mojej stronie, poleciłem babę usunąć z chaty i przy pomocy paru rozsądniejszych gospodarzy, którzy trzymali chorego, zrobiłem lancetem głębokie cięcie aż do drugiego końca drzazgi i szczypczykami wyciągnąłem ją, gdyż było już dokoła niej sporo ropy, przemyłem szprycą ranę na wylot, z gazy jodoformowej zrobiłem dren i obandażowałem. Nazajutrz znów przewinąłem ranę, chory miał się lepiej, po paru tygodniach już mógł chodzić po chacie. Zabawne, że gdy przyjeżdżałem na opatrunki, schodzili się do mnie pacjenci i nawet był jeden proszący, żeby mu wyrwać ząb.

Drugą operację miałem trudniejszą. Pod wieczór poszedłem na spa-

cer do lasu i mijając chatę naszego pobereżnika zobaczyłem na podwórzu parę furmanek i usłyszałem w chacie gwar licznych głosów. Na moje zapytanie odpowiedziano mi, że żona pobereżnika powiła dziecko, które nie może ssać, więc przywieźli popa, żeby je ochrzcił „na śmierć", a matka leży w gorączce. Zaszedłem zobaczyć chorą, rozpalona była, piersi nabrzmiałe, twarde, koszula zlana wyciekającym mlekiem. Kazałem dziecko przyłożyć do piersi, próbowało ssać na próżno i brzęczało słabo, jak komar. Zajrzałem do ust, gdy kwiliło, i zobaczyłem, że język wygina się w kabłąk, ale koniec jego jest jakby przyrośnięty i dlatego nie może objąć przy ssaniu brodawki. Jak ma umrzeć, pomyślałem, to sprobuję je ocalić. Wróciłem do domu, wziąłem mój neseser z narzędziami i świecę, bo wieczór zapadał i w chacie było już ciemnawo. Nie było komu mi pomagać, bo całe towarzystwo było już pijane, a pop odjechał. Wybrałem co trzeźwiejsze baby do trzymania, wyciągnąłem szczypczykami języczek i jąłem ostrożnie podcinać zrośnięcia, bo wiedziałem z anatomii, że w uzdeczce językowej przechodzi arteria (*profunda linguae*). W półmroku, w odorze wódczanym, z chwiejącymi się i czkającymi pomocnicami operowałem w ciasnym otworze niemowlęcych ust ze strachem, żeby nie przeciąć arterii. Czułem, że mi z wysiłku pot spływa po plecach i że mam go już pełno w butach. W jakiejś chwili języczek wysunął się jak z procy i przystawiłem dziecko do piersi, ściągnąwszy przedtem za pomocą gumowego balonu trochę mleka i wymywszy brodawki. Dziecko ssało. Poleciłem ostrożnie je karmić po trochu i wyszedłem. Ale złapał mnie w sieni gospodarz, zmusił, jak to pijany, do powrotu i do wypicia z nim za zdrowie ocalonej córki. Korzystałem z półmroku i wylewałem wódkę nieznacznie na ziemię, ale od pocałunków nie mogłem się obronić. Z małej Kateryny wyrosła potem ładna dziewczyna i miałem od niej pięknie wyhaftowaną koszulę nocną.

Trzeci mój występ chirurgiczny, zdaje się, był chronologicznie najwcześniejszy, bodaj że w pierwszym roku Dorpatu i był połączony z pierwszą życiową porażką tzw. zasadniczych przekonań. Zostałem w Hucie sam na gospodarstwie, gdyż rodzice wyjechali na kurację do Teplic. Któregoś dnia otrzymałem z Czernelowiec list zawiadamiający, że Adrian Bieńkiewicz świeżo ożeniony odwiedza rodzinę z młodą żoną; mieli być w Hucie, ale wobec wyjazdu rodziców zatrzymali się na kilka dni u stryjostwa Rafałostwa i proszą, żebym ich tam odwiedził. Adrian zawsze, jeszcze za czasów uczniowskich, działał na mnie podniecająco swą umiejętnością inteligentnego prowadzenia dysput. Teraz obecność jego młodej, miłej i pięknej żony obudziła we mnie jeszcze próżną chęć okazania się mądrzejszym, niż byłem. Dzień był piękny, letni, siedzieli-

śmy na ogrodowej werandzie przy poobiedniej herbacie. Mówiono, nie pamiętam z jakiego powodu, o samobójcach. Dowodziłem, że jak nikt nie ma prawa odbierać nikomu życia, tak też nie ma prawa zmuszać kogoś do życia, gdy ten postanowił z nim się rozstać, czyli że nie mą się prawa ratować samobójcy, skazywać go na znoszenie mąk życia, od których uciekł był lub na powtórne przeżycie strasznej chwili zadawania sobie śmierci. Oburzałem się przy tym na ustawodawstwo rosyjskie karzące niedoszłego samobójcę jako przestępcę, który zamierzał pozbawić państwo płatnika podatków, żołnierza oraz uszczuplić statystykę ludności.

Dziwne bywają zbiegi okoliczności! Dysputa nie była skończona, gdy wszedł lokaj Nahum i coś powiedział na ucho stryjence. Popatrzyła na mnie z uśmiechem i rzekła: — Przyjechał wozem po ciebie gospodarz, którego syn poderżnął sobie gardło. Prosi o ratunek. Wszyscy w jeden głos orzekli, że muszę jechać. Zabrałem z domowej apteki środki opatrunkowe i pojechałem. Chłop zgnębiony był i zawstydzony niebywałym w świecie chłopskim postępkiem syna. Opowiedział mi, że syn liczy około 20 lat, że po szkarlatynie ogłuchł i z ucha mu ciecze, brzydziły się nim dziewczęta, żartowali z niego rówieśnicy, odpędzano go od wspólnych zabaw w święta. Był zawsze smutny i małomówny.

Zastałem w pustej chacie, bo wszyscy byli w polu, leżącego na łóżku parobka z owiniętą w krwawą szmatę szyją. Unosiły się nad nim roje much, na podłodze leżał długi nóż kuchenny. Rana na szyi była nie cięta lecz szarpana, odwalony był trójkątny płat skóry spod ucha do grdyki. Cięcie snać było stanowcze i mocne, ale nóż niezbyt ostry, ruchomej skóry nie przeciął, zagarnął ją wystającą nad trzonkiem częścią i darł, aż zsunął się na grdyce. Arteria i nerw zostały nie naruszone, tylko tchawica obnażona. Przemyłem ranę, nałożyłem czysty opatrunek; nazajutrz przyjechałem nie tyle dla samobójcy, co dla miłej kuzynki, i zeszyłem ranę. Wygoiła się prędko.

Po kilku latach przejeżdżałem przez Czernelowce; przy drodze na jesiennych polach pasła się wiejska trzoda i stał wsparty na lasce gromadzki pastuch. Poznałem w nim mojego samobójcę, który tak sromotnie zadał kłam moim zielonym teoriom. Przybliżył się na moje skinienie. Spokojna, spalona od słońca twarz, długie włosy — pastuch gromadzki nie strzyże się od wiosny do późnej jesieni — krzywy pastorał w ręku świadczyły, że znalazł zawód, który mu przywrócił szacunek ludzki i dał poważne stanowisko w stadzie ludzkim; może już był nawet znachorem, umiał „odczyniać" i leczyć, jak to u pastuchów bywa. Był nieżonaty, żył przy rodzinie i był zadowolony z życia.

W 1891 r. po drodze do rodziców zajechałem do Radziwiłłowa na Wołyniu, gdzie Żenczykowski służył w pogranicznej straży jako weterynarz. W Dorpacie uczył się był za pieniądze zamożnej właścicielki fabryki w Łodzi, skąd był rodem. Uczył się dobrze, skończył Instytut jako magister, był zawsze rozsądny, żył jak mnich i wydawał na siebie bardzo mało. Po ukończeniu Instytutu wrócił do Łodzi i zobaczył, że owa jego dobrodziejka szykuje go na męża dla swojej jedynaczki i na przyszłego właściciela swej fabryki. Prawa i głęboko moralna natura Żenczyka na taką kombinację, bez udziału uczucia do 17-letniej kozy, nie mogła się zgodzić. Toteż chwycił pierwszą-lepszą posadę rządową, żeby jak najprędzej móc spłacić owej dobrodziejce pieniądze, które wydała na jego naukę w Dorpacie. O tej tragedii naszego „Chrystusa" dowiedziałem się właśnie teraz podczas pobytu w Radziwiłłowie, gdzie całych dwa dni gościł mnie, jak rodzonego. Omówiliśmy z nim sprawę urządzenia transportów bibuły z zagranicy. Lato było cudowne. Żeby być ze mną dłużej, zaproponował mi Żenczyk jazdę końmi wzdłuż granicy, przez Wiśniowiec i Białozierkę do Wołoczysk, skąd już koleją mogłem się dostać do swych Wołkowiniec. Była to dla nas obu pamiętna podróż. Nie mogliśmy się światem, życiem, młodością i przyjaźnią nacieszyć. Wózek toczył się samym pasmem granicznym — tuż po prawej ręce leżał kraj wolny, taki sam piękny w rozdołach, pagórkach i dąbrowach jak Wołyń, a nam się zdawało, że wszystko tam inne, jakby odświętne i radosne, nawet słońce i białe chmury. Uczucie radości potęgowało we mnie, konspiratorze, i to, że groźne posterunki straży pogranicznej salutowały nam. W drodze zdarzyła się zabawna przygoda, z której śmieliśmy się jak dzieci: zmoczył nas przelotny, ale rzęsisty deszcz i po pewnym czasie, gdy już obeschliśmy, poczuł mój „Chrystus", że coś mu za ciasno w ramionach i pod pachami; miał na sobie nowy płócienny płaszcz od kurzu i ten mu od deszczu tak się zbiegł, że musiałem scyzorykiem rozpruwać, żeby go z więzów uwolnić. W Wołoczyskach na stacji, gdy jedliśmy kolację, musiałem poznać całą starszyznę pograniczną i żandarmską, która nas obsiadła i „objeszczyk" zaniósł mi moją walizkę do wagonu.

W następnym roku miałem znów odwiedzić Żenczyka, pisał bowiem do mnie smutne i nawet alarmujące listy, których nie rozumiałem, ale czułem, że przeżywa jakąś tragedię i że ja mu jestem potrzebny. (Do dziś nie mogę sobie przebaczyć, żem nie pojechał!). Ale że to był mój ostatni rok na ukończeniu i wakacje miałem bardzo krótkie, umyśliłem, że pojadę zaraz po otrzymaniu dyplomu i zabawię u niego dłużej, a może zabiorę go do siebie na wieś, żeby go wyrwać z tej obcej, wro-

giej atmosfery i z tej jego samotności. Tymczasem zdarzyła się okazja do Radziwiłłowa. Bohdan Kiśtiakowski zwierzył mi się, że ma polecenie z Kijowa zorganizowania transportów bibuły ukraińskiej ze Lwowa, a zwłaszcza wychodzącego tam podówczas pisma Н а р о д, organu radykalnej partii, redagowanego przez Iwana Frankę i Michajła Pawlika. Dałem mu tedy list polecający do Żenczyka, pisany konspiracyjnie zmienionym charakterem i podpisany „Gałka" (moje przezwisko), w którym m. in. zapowiadałem swój przyjazd po egzaminach.

W połowie lipca 1892 r. przybył Bohdan do Radziwiłłowa, udał się do mieszkania Żenczyka, ale go nie zastał. Ordynans oświadczył, że pan jest w objeździe i powróci za dwa dni, ale się spodziewał gościa i jeżeli pan jest tym gościem, to pokój dla pana przygotowany.

Mówiono mi nieraz, że z Ukraińców marni konspiratorzy, gdyż są nieostrożni, poetyczni, nie umieją milczeć i że robota z nimi najczęściej kończy się „wsypą". Zdarzyło się tym razem, że wieczór był piękny, księżycowy i Bohdan zamiast siedzieć przezornie w mieszkaniu i nie pokazywać się na ulicach nieznanego nadgranicznego miasteczka, wyszedł... na spacer. W tym swoim eleganckim jasnym stroju i z tą niezwykłą na owe czasy wygoloną twarzą! Zresztą nie wiedział o tym, że przed miesiącem w tym samym Radziwiłłowie wytropiona została szpiegowska organizacja austriackiego sztabu generalnego i żandarmeria rozwinęła nadzwyczajną czujność. Nocny spacer Bohdana w kierunku Poczajowa zakończył się oczywiście aresztem, a ponieważ nie chciał powiedzieć ani swego nazwiska, ani gdzie się zatrzymał, poprowadzono go na policję; tam miał przenocować do rannego pociągu, którym mieli go wieźć do Kijowa. Pokój był na piętrze. Na noc postawiono strażników, jednego przy nim w pokoju, drugiego na dole przy wyjściu. Bohdan wnet się położył i udał, że śpi. Kiedy strażnik leżący w poprzek drzwi zachrapał, Bohdan ubrał się szybko, kamasze wziął w zęby i przez lufcik wylazł na gzyms, po gzymsie przesunął się na balkon i wyczekawszy chwilę, kiedy drugi strażnik siedzący pod balkonem zasnął, spuścił się po żelaznej kolumnie i drapnął. Plan jego był taki: przedostać się na przełaj, omijając Równe, do linii kolejowej Równe — Kijów i idąc torem dostać się do Kijowa. A przede wszystkim chciał tą ucieczką zatrzeć ślad pobytu w mieszkaniu Żenczyka. Ale tak samo jak o odkryciu organizacji szpiegowskiej, nie wiedział również o tym, co się stało w Radziwiłłowie po jego aresztowaniu. Policji wnet stało się wiadome, że jakiś nieznajomy przyjechał do Żenczykowskiego. Zrobiono rewizję w jego mieszkaniu i kiedy Żenczyk powrócił z objazdu, zastał szafy i biurko opieczętowane. Zobaczywszy, że w mieszkaniu była policja i będąc

pewny, że to ja, którego się spodziewał, zostałem aresztowany, wpadł w stan przygnębienia, zażył trucizny i zmarł.

Dziwne dla policji zachowanie się Bohdana, jego ucieczka, śmierć Żenczykowskiego, domniemany związek z niedawno odkrytą organizacją szpiegowską — wszystko to podnieciło gorliwość władz. Poleciały depesze na wszystkie strony, wyznaczona została nagroda za schwytanie zbiega, po wsiach wypędzano ludność na obławę. Tymczasem Bohdan nie wiedząc o tym wszystkim, szedł nocami, omijając drogi i wsie. A że głód mu doskwierał, przypomniał sobie z *Dziejów Anglii* Macaulaya opowieść o Monmouth'ie, synu Karola II, jak po przegranej bitwie krył się po lasach żywiąc się roztartym ziarnem z kłosów, i czynił to samo. W dzień odpoczywał w zaroślach lub zbożu, w nocy szedł; ale na trzeci dzień i on spostrzegł, że dokoła niego coś niezwykłego się dzieje — drogami i lasami idą ludzie, nawołują się, czegoś szukają. Wkrótce, gdy brnął przez żyto, usłyszał na drodze zbliżający się dzwonek pocztowy. Przykucnął, żeby przeczekać, ale ku jego przerażeniu bryczka zatrzymała się nieopodal i jakiś głos stanowczy rzekł: — Nie, on tu! Wychylając ostrożnie swą płową głowę z żyta zobaczył dwóch policjantów i woźnicę, którzy wysiadłszy z bryczki idą obławą wprost na niego. Kiedy postacie napastników zarysowały się wyraźnie poprzez żyto, Bohdan zerwał się jak zając i zaczął uciekać. Policjanci, czepiając się szablami o zboże, nie mogli biec, tylko woźnicy udało się cisnąć w Bohdana grubym biczyskiem, które uderzyło go po karku. Ale już dopadł lasu. Las był dębowy, rzadki i, co gorsza, nieduży, schować się w nim trudno, przeszukać łatwo. Przebiegł Bohdan przez las i wyszedł na okopaną drogę wiodącą do pobliskiej wsi. Między wsią a lasem, nad rowem, rósł duży krzak głogu oskubywany przez przechodzące bydło i dzięki temu gęsto uliściony aż do samej ziemi. Nie było wyboru — wlazł Bohdan w ten krzak i tu postanowił przeczekać grożące niebezpieczeństwo. Z krzaku widział jak przetrząsano las, jak drogą biegli i jechali ludzie. Największym strachem napawała go myśl o psach, które mogłyby go wywęszyć. Przelatujące sroki krążyły zatrwożone nad krzakiem skrzecząc natarczywie.

Tak skulony przesiedział Bohdan w krzaku do wieczora i znużony powziął rozpaczliwą decyzję iść śmiało przed siebie — niech będzie, co ma być. I poszedł. Już o świcie usłyszał, że ktoś na koniu go dogania, krzycząc: stój! Bohdan stanął. Jeździec podjechawszy zeskoczył z konia. Bohdan w nogi. Tamten znów na konia; podjedzie, zeskoczy, a Bohdan znów w nogi. Rozpoczęła się ostatnia gonitwa. Żeby ją zakończyć, jeździec zawołał: — I tak nie uciekniesz, będę cię gnał do wsi! i jął

z całej siły krzyczeć. Nadbiegli ludzie, przyprowadzili Bohdana do wsi, skrępowali go powrozami, położyli pod płotem i postawili przy nim straż. Zanim dano znać władzy, Bohdan słyszał jak bracia jego, ukraińscy włościanie, którym chciał przez Radziwiłłów nieść żywe słowo Franki i Pawlika, prowadzili rozmowę w jego rodzonym języku podobną do tej, jaką ongi prowadziła straż rzucająca losy, komu się dostanie odzież Jezusa. — Ot, szczęście trafiło się Trochimowi! Będzie miał za te pieniądze dobre trzy krowy. No, a nam też należy się mohorycz.

Powyższą przygodę opowiedział mi Bohdan w kilka lat później, gdy odsiedziawszy więzienie spotkaliśmy się w Berlinie, gdzie chodził na wykłady Georga Simmla i przygotowywał się do doktoratu. Muszę tu stwierdzić, że chociaż ten epizod z rewolucyjnej praktyki przyszłego profesora świadczy o jego słabych uzdolnieniach konspiracyjnych, na śledztwie jednak trzymał się Bohdan znakomicie, odmówił zeznań i nie „zasypał” nikogo. Do mnie dobrali się żandarmi zupełnie inną drogą.

GUSTAW MORCINEK

W ONDRASZKOWEJ DZIEDZINIE

Żeby dostać się do dalekiej Istebnej, a w Istebnej do osławionego Kolumbusa, trzeba przewędrować najpierw kęs drogi, przemierzyć ten szlak, po którym chadzał legendarny już dzisiaj zbójnik beskidzki Ondraszek, i przejść Kubalonkę.

Kubalonka jest przełęczą między Baranią a Stożkiem i Kiczerą. Odgranicza dwie doliny: wiślańską i istebniańską, odgradza dwa światy zamieszkałe przez dwie odrębne gromady ludzkie i dwa zlewiska wodne. Od północnej strony Kubalonki rzeka Wisła cieknie do Bałtyku, od południowej naśladuje ją „święta rzeka Ślązaków" Olza, zmierzająca Odrą również do Bałtyku, lecz skromna Czadeczka odwraca się w przeciwnym kierunku i wędruje przez Słowaczyznę do Morza Czarnego.

Droga na Kubalonkę prowadzi wdzięcznymi serpentynami. Zanim ją zbudowano, wiodła po stromym upłazie w prostej linii na przełęcz, kamienista i wyboista, po której przez kilka wieków mozoliły się chude chabetki góralskie wlokące z wysiłkiem naładowane wozy, gdzie łamały się koła pańskich kolas i narzekały po francusku przeróżne „mamzele" czy zgoła frejliny dworskie lub klęli po niemiecku wielmoże z cieszyńskiego zamku.

Stary Mojeścik również narzekał żałośnie i koniec świata przepowiadał lecz wtedy, gdy za polskich czasów zaczęto budować nową drogę na Kubalonkę. Dawniej bowiem siedział na ławie pod ścianą, wygrzewał się w słońcu, pykał fajkę i czekał na istebniańskich gazdów wracających wozami z Cieszyna lub ze Skoczowa. Opodal zaś pasły się jego dwa woły. Przyjechał taki wóz z doliny, gazda podchodził do Mojeścika i prosił, by pomógł wyjechać na Kubalonkę. Mojeścik zaprzęgał woły do wozu przed konie i teraz pospólnie wlokły one ciężar pod górę. Za tę sąsiedzką przysługę sypały się do Mojeścikowej kalety cwancygiery i szóstki. Gazdowie klęli szpetnie, oburzeni wyzyskiem chytrego

Mojeścika, Mojeścik zaś klepał dłonią po kalecie i schodził z wołami w dolinę, gdzie już czekał drugi gazda istebniański ze swym wozem.

— Dobry to był interes, lecz go potem Mojeścikowi diabli wzięli! — tłumaczył mi powoli stary Kolumbus, trochę już dychawiczny, suchy na twarzy, z haczykowatym nosem zbójeckim, w starym „kłapiastym kłobuku" góralskim.

Stary Kolumbus lubi opowiadać. Jest to chyba chodząca kronika Beskidu Śląskiego, w której rzeczywistość pomieszała się z legendą, zatraciła w nich swe granice, poprzesuwał się czas, a wspaniała mądrość życiowa skojarzyła się z naiwną wiarą w czary i gusła. Czasem lubi zagrać na kobzie, zwłaszcza gdy pojawią się w Istebnej „panowie z paniczkami" z doliny. Miewa ich w lekkiej pogardzie, zwłaszcza gdy spostrzeże, że przychodzą wiedzeni czczą ciekawością, gdy go poklepują protekcjonalnie po ramieniu, gdy zauważy, że ich rozmowa z nim nabiera charakteru dobrotliwej i łaskawej jałmużny, gdy każde słowo wycedzone „z pańska" posiada wartość wytartego grosika rzucanego żebrakowi.

— Pierońscy fraczkorze! — mruczy wtedy, lecz nie przestaje być grzecznym i dobrze wychowanym, chociaż ta układność posiada wyraźne cechy lekceważenia.

A czasem mruknie po angielsku swoje: — Goddamm!... — i zagra im na kobzie i zaśpiewa taką frywolną piosenkę góralską, że „paniczki" i „panoczkowie" patrzą zakłopotani, nie wiedząc, co z tym fantem począć. Jeżeli mu zaś do serca przypadną, przemienia się w gładkiego światowca, co to już z niejednego pieca chleb jadał i niejedno widział, i nie z byle kim rozmawiał. Bawi ich rozmową, a czasem to nawet z takimi „paniczkami" zatańczy w gospodzie u Legierskiego. Bo chociaż już liczy sobie lat sporo ponad osiemdziesiąt i głowa jego biała, a w piersiach „dycha", to nogi jeszcze krzepkie, które dobrze niosą w przeróżnym tanecznym „zwyrtaniu", a we krwi jeszcze nie byle jaki wigor. Ho, ho!... Przygarnie, uszczypnie, wykrzesze hołubca, „zawyska" hulaszczo, zatoczy „paniczką" ogniście, że aż spódnica wysoko się podnosi w zadzierzystym wirze, coś niecoś odsłoni, „paniczka" zapiszczy uradowana, Kolumbus zaś przygarnie jeszcze mocniej, narobi zamętu w niewieściej krwi, huknie raz i drugi po zbójnicku, a potem w dworskich lansadach odprowadza wniebowziętą tancerkę na ławę pod ścianą.

— Ho, ho! Paniczko!... Gdybych był tak jeszcze kapke młodszy!... Ho, ho!... — tłumaczy się niepotrzebnie.

Stary Kolumbus był trzy razy w Ameryce i trzy razy wracał do swoich Beskidów.

— Wiecie, co wóm powiem! Wszędzie dobrze, ale najlepiej doma!... Ameryka piekno i wielko, ale stokroć piekniejszy i więcej świata na moich groniach!... Trzy razy tam jechołech, trzy razy żech wracoł, bo nie lza wydzierżeć bez mojej baby i mojej Istebnej!...

Stary Kolumbus jest obyty w świecie i oczytany. Lubi przede wszystkim czytać książki dyrektora Franciszka Popiołka, mówiące mu o jego Beskidach. Dyrektor Popiołek, w tym samym wieku co Kolumbus i z tą samą żywotnością, ślęczy wciąż jeszcze nad starymi szpargałami Komory Arcyksiążęcej, nad przeróżnymi urbarzami i kronikami, zapisanymi wyblakłym już inkaustem i wyławia z nich osobliwą historię beskidzkiej góralszczyzny. A co wyłowi, spisuje skrzętnie i wypuszcza w świat. W dawnej kamienicy śląskiego potentata Larischa, gdzie dzisiaj mieści się Cieszyńskie Muzeum i ogromna biblioteka jezuity Szersznika, Kraszewskiego i Muzeum Cieszyńskiego, między białymi krukami, katowskimi mieczami i grającymi zegarami błąkają się dawni Piastowie cieszyńscy, a przede wszystkim blada „Czarna Księżna", ostatnia Piastówna, Elżbieta Lukrecja i napuszeni arcyksiążęta Habsburgowie, a dyrektor Popiołek z nimi gada, spiera się, wymyśla im potem w książkach od „kapitalistycznych pijawek" i bierze w obronę wszelką dworską i pańszczyźnianą biedotę, użera się z Habsburgami o beskidzkie „sałasze", wykazuje krzywdę ludzką, a Kolumbus czyta to wszystko i przytakuje z uznaniem.

— Ha, wiecie, bo tak temu było... Jeszcze mój starzyk, a przedtem jeszcze ojciec mojego starzyka... — zaczyna opowiadać. I snuje się przedziwna opowieść, zatrącająca w swym stylu trochę Homerem, w swej treści trochę Dantem. Z tą różnicą, że w Kolumbusowej *Boskiej Komedii* jest więcej „Piekła" aniżeli „Nieba".

Przed słuchaczem roztacza się stubarwny film o swoistej egzotyce beskidzkiej, zaludniony całym Olimpem śląskim, rojącym się od czarownic, wiergułów, strzyg, nocznic, jaroszków, utopców, podciepów, diabłów, mor i strzygoniów. Wszystkie te bajeczne stwory kłębią się na beskidzkich groniach, wałęsają się, baraszkują, wyprawiają dziwyprzedziwy, zakopują i warują Ondraszkowych skarbów, wodzą pijaków po „barzynach" nadolziańskich, czynią ludziom na paskudę, żenią się, kocą, biją, awanturują, czasem przyjdą z pomocą, odgradzają się od świata czarodziejskimi zaklęciami i powoli wymierają w pamięci ludzkiej, podobnie jak już ci wiergułowie istebniańscy, którzy dopraszali się od swego księdza proboszcza „okapów" ze świec ołtarzowych, by móc z nich ulepić grubą świecę. Pomoże im ona bowiem swym płomykiem znaleźć owe tajemnicze dukaty Ondraszkowe. Obiecywali nawet

księdzu proboszczowi, że podzielą się z nim po sąsiedzku połową odkrytych skarbów.

— Lecz wiecie, nasz faroż to mądry człowiek. Nie doł „okapków", jeszcze sklął wiergułów, bo to wszystko konina!... — dodaje sceptycznie.

Albo ten Imko Wisełka.

— Wiecie, jak powstała Wisła?

— Nie wiem, gazdo. Powiedźcie!...

Kolumbus przeto opowiada romantyczną historię o Imce Wisełce. Był to dworzanin książęcy, urodziwy pacholik, w którym zadurzyła się któraś z Piastówien cieszyńskich. Tak długo trwało to miłowanie, aż w końcu Piastówna przyznała się matce, że „chodzi nie sama". To znaczy, że będzie matką!... Stary Piast niewiadomego już imienia wpadł w okrutną złość i byłby biedaczysko Imko Wisełka skończył na szubienicy albo jeszcze gorzej, bo może na męczarniach, lecz Piastówna przekupiła straże i uciekła z nim w beskidzkie lasy. Zaszyli się w ostępach, zbudowali sobie chałupkę i żyli pięknie. Imko wychodził na zbóje na Słowaczyznę, przywiódł owce i krowy, dzieci się rodziły i powoli ściągali się do nich różni ludzie, którym działa się krzywda. Osada rosła i rosła, aż powstała w ten sposób wieś Wisła.

— Wynikałoby stąd, gazdo, że Wiślanie pochodzą z książęcego rodu?

— Diaska tam! Wiecie, to jeny tako powiarka! — dodaje znowu sceptycznie.

Okazuje się, że Kolumbus opowiada chętnie o tamtych wszystkich duchach i bożkach beskidzkich gwoli sprawienia przyjemności dzieciom i „gościom". Przychodzą bowiem z doliny przeróżni „fraczkorze", siadają, prowokują i spisują.

Niektórzy proszą, żeby śpiewał, jak na ten przykład prosił Feliks Nowowiejski, człek mądry i uczony, umiejący grać na organach w istebniańskim kościele jak nikt inny i umiejący także układać przeróżne pieśni i melodie.

— Jakie to pieśni i melodie, gazdo?...

— Jakie? A wszelijakie. Przyszedł do nas, strzapaty i gadatliwy, wałęsoł się po chałupach, bywoł na „szkubaczkach", przynosił babom cukierki i rozolkę w butelce i prosił, by mu śpiewały. Ha, jaki mi tam babski śpiew!... Jakby myszy piszczały. Potem trafił do mnie!...

Długo Kolumbus opowiada o swej przyjaźni z Feliksem Nowowiejskim. Kolumbus mu śpiewał, a Nowowiejski słuchał i notował. A potem wracał uradowany do nadleśniczówki, gdzie mieszkał, i grał na fortepianie. A raczej tworzył operę o motywach śląskich, opartą na legendzie o Ondraszku. Lubił grywać o zmroku, sam jeden w zamkniętej

izbie. Okna były jednak otwarte. Dziewczyny, łakome muzyki, podchodziły pod okno i słuchały. Lecz rychło z piskiem uciekały, przerażone bardzo, bo Nowowiejski lubił monologować podczas grania. Przebiegł palcami po klawiaturze, rozleciał się jakiś perlisty pasaż, nastała cisza, a w tej ciszy mruczał:

— To jest pierwsza gromada duchów!...

Następował drugi pasaż, potem cisza i znowu głośna jego uwaga:

— To jest druga gromada duchów!...

Głupie dziewczyny uciekały, a stary Kolumbus chichotał pod oknem i radował się, że tylko on jeden rozumie mistrza Nowowiejskiego. Już go nie ma. Umarł po wojnie, a szkoda chłopa, bo to był zacny człowiek i szczery przyjaciel starego Kolumbusa. Uważali się za kolegów. Nowowiejski na fortepianie, Kolumbus na kobzie wygrywali swoje radości i smutki. I tak grali sobie razem w nadleśniczówce, i razem układali ową śpiewaną historię o Ondraszku!...

Kolumbus mówi z tym samym szacunkiem o Ondraszku co o Feliksie Nowowiejskim. Gdy przy tamtym opowiadaniu o duchach i o Imce Wisełce nie omieszka przemycić drobnej uwagi sceptycznej, określając to zbyt mocnym słowem: — Konina!... — to o Ondraszku opowiada z prawdziwym nabożeństwem i szacunkiem.

— To był, wiecie, porządny zbójnik!... To był taki nasz człowiek, co chcioł sprawiedliwości dlo biednego narodu. Broł bogatym, a rozdowoł ubogim... Ale cóż!... Jak dycki, baba winna jego niesławnej śmierci!...

— Powiedzcie mi, gazdo, o tym Ondraszku?...

— To wyście nic o nim nie słyszeli? — pyta z niedowierzeniem.

— Ha, kiedyś mi tam moja nieboga mamulka opowiadała, ale niewiele!

— To wóm powiem!... Tóż to było tak... — zaczyna. Jego siwe oczy błądzą po rozległej dolinie Istebnej, sucha twarz ożywia się, głos staje się pełny i dźwięczny. Wszak zaczyna głosić chwałę herosa ludowego, radosnego zbójnika beskidzkiego, karlusa nad karlusami, o którym szedł hyr po całym świecie beskidzkim i dotarł aż do samego Wiednia, do rakuskiego cesarza Karola IV. W opowiadaniu Kolumbusa, osadzonym mocno w ścisłych datach i szczegółach kronikarskich, postać Ondraszka urasta do symbolu wolności góralskiej. Urodził się w roku 1680, zginął w roku 1715 jako syn wolnego, dziedzicznego wójta w Janowicach pod Frydkiem, w „państwie" grafa Prażmy na Frydku. Burzliwy był jego żywot. Liznąwszy trochę nauki w szlacheckiej szkole średniej w Przyborze na Morawach, rychło wszedł w kolizję z różnego rodzaju

przepisami i ograniczeniami wolności studenckiej, uciekł z domu, dostał się na zamek starego grafa Prażmy, zadurzył w sobie jego młodziutką żonę, odegrał przed nią tę samą rolę, jaką odegrał kiedyś biblijny Józef przed żoną Putyfara i od tej chwili stał się zbójnikiem. Lecz jeszcze nie od razu. Wyprowadzony podstępnie do lasu, osaczony sługami grafa Prażmy, przywiązany do drzewa i zesmagany do utraty przytomności, czeka na śmierć. Ratuje go wiedźma Luca. Pielęgnuje, przywraca do zdrowia naparami i maściami z ziół, po czym Ondraszek przystaje do przemytników. Przemytniczą bandę przekształca na bandę zbójecką i wtedy zaczyna się mścić. I za swoją krzywdę i za krzywdy chłopów śląskich. Nikogo nie zabija, lecz dociera na Morawy, na Słowaczyznę, nawet do Lanckorony, wpada do zamków, zabiera dukaty i wraca na swoją Łysą Górę, rozdając łup po drodze potrzebującym chłopom. Potem napada na samego grafa Prażmę. Wymusza u niego szlachecki parol za cenę darowanego mu życia, że wprowadzi ulgi w poddaństwie, że będzie zwalniał chłopów z pańszczyzny, że nie będzie ich krzywdził. Graf Prażma był honorowym człowiekiem. Słowa dotrzymał. Lecz równocześnie władze zwierzchnie w Wiedniu domagały się by ukrócił swawole rebelianta Ondraszka. Prażma nie chciał złamać słowa danego Ondraszkowi. Cesarz Karol IV wyznaczył nagrodę w wysokości stu talarów za głowę owego „hultaja i zbója". Złakomił się na nią jego przyjaciel i druh Juroszek. Zabił go jego własnym obuszkiem!...

Hrabia Prażma został zwolniony ze słowa, rozpoczął się nowy ucisk chłopów. Chłopi zaś śpiewali żałosne elegie i ballady, proste w swej formie, lecz rzewne i pełne serdecznego żalu w swej treści, iż „pominął się" ich opiekun i obrońca.

Rebeliancki posiew niewykrystalizowanej idei Ondraszka przyjął się, zakiełkował nieśmiało wśród chłopskiej i pasterskiej biedoty beskidzkiej. Zetknięcie się z Braćmi Czeskimi, docierającymi na przygraniczny teren Śląska beskidzkiego, spowodował prawdopodobnie, że Ondraszek przyswoił sobie ich ideologię komunistyczną i usiłował ją urzeczywistnić w codziennym życiu, wypaczając ją na swój sposób półinteligencki (był uczniem szkoły średniej w Przyborze). Jego myśl o sprowadzeniu „Królestwa Bożego" na ziemię, przejęta pośrednio czy bezpośrednio — trudno tego dowieść — od Braci Czeskich, przybrała osobliwy kształt i wyrażała się w formie „zabierania bogatym, a rozdawania ubogim" oraz na wymuszaniu ulg pańszczyźnianych i poddańczych u ówczesnego namiestnika cesarskiego na Śląsku, na grafie Prażmie na Frydku.

Ondraszek był odosobniony.

Wszystkie inne „bandy zbójnickie", grasujące na Podhalu czy w Żywiecczyźnie, miały charakter wyraźnie zbójnicki, łupieżczy, trochę buntowniczy, jako protest aktywniejszych jednostek przeciwko uciskowi obszarników i jako ucieczka przed wojskową branką. Przede wszystkim zaś były to rogate dusze, awanturnicze, „ślebodne", duszące się w ciasnym kręgu niewoli chłopskiej, u których pojęcie wolności wyradzało się w zwykłe łotrzykostwo.

Nie było wśród nich nikogo, kto by umiał jak Kostka Napierski z rektorem Łętowskim zorganizować zbiorowy i krwawy bunt przeciwko ówczesnym wielmożom. Nie umiał tego uczynić i śląski Ondraszek. Być może, że jego przedwczesna tragiczna śmierć — zginął bowiem w 35 roku życia — była przeszkodą w urzeczywistnieniu tych rebelianckich planów.

Ondraszek w opowiadaniu Kolumbusa urasta istotnie na „rycerza bez zmazy", na wspaniałego herosa ludowego, wybijającego się tak dalece ponad przeciętną miarę, że z łatwością obdarzono go mocami i cechami, przypisywanymi już postaciom mitycznym. Kolumbus wyrażał się o nich znowu sceptycznie, lecz nie odmawiał Ondraszkowi owej niecodzienności i olśniewającego heroizmu. Umiał nawet podkreślić tragizm jego ideologii. Bo gdy w roku 1713 wybuchła na Śląsku cholera i ludność z Cieszyna i dolin uciekała w popłochu w lasy beskidzkie, ówczesna propaganda rządowa jęła głosić za pośrednictwem urzędników i ambon, że to kara boska za „Ondraszkowe łotrostwa". Przerażeni ludzie łatwo uwierzyli i ci, co przed rokiem jeszcze ubóstwiali Ondraszka i dobrorzeczyli jemu, teraz mu złorzeczyli i nastawali na jego życie. A gdy Ondraszek zginął i przez dziwny zbieg okoliczności w tym samym czasie zaraza wygasła, ówczesne wstecznictwo triumfowało. Bo ów zbieg wypadków jeszcze bardziej umocnił biedotę chłopską w przekonaniu, że Ondraszek był winien morowemu powietrzu na Śląsku.

Posiew jednak przyjął się i gdy rozgorączkowane umysły jęły się powoli uciszać, i następowały coraz większe uciski i „ciężoba", postać Ondraszka stała się teraz symbolem walki o wolność i o sprawiedliwość społeczną.

Piastowie śląscy, a po przejęciu ich dziedzictwa przez Habsburgów arcyksiążęta cieszyńscy sprowadzali osadników w lasy beskidzkie z Polski i z obecnego Górnego Śląska. Wydzielano im w wieczystą dzierżawę drobne połacie lasu, osadnicy zaś karczowali je i zamieniali w uprawne pola. Częstokroć takich osadników zwalniano na określony czas od wszelkich świadczeń i danin na rzecz właściciela. Osady nosiły wtedy nazwę Ligot (z morawskiego *lhota*, ulga) lub Woleństw, osadnicy zaś

uważali się za wolnych chłopów. Lecz rychło kończyły się owe „wolelenstwa" i „ligoty", gdyż żadna ustawa nie umiała ograniczać samowoli panów cieszyńskich.

W tym samym okresie jęli się schodzić w lasy beskidzkie pasterze wołoscy, wędrujący groniami poprzez całe Karpaty od Rumunii aż na Śląsk Cieszyński. Po drodze mieszali się z Łemkami, Bojkami, Hucułami, Słowakami i Węgrami, by w końcu spolszczyć się w zupełności na Śląsku. W obecnym narzeczu góralskim, jakim chętnie posługuje się Kolumbus, raz po raz wydźwięknie obok królewskiej staropolszczyzny Reja i Kochanowskiego obcy wyraz wołoski, zwłaszcza w słownictwie pasterskim.

Cieszyńscy panowie osadzali ich również w lasach, Wołosi zaś, przezwani z biegiem czasu Wałachami, karczowali je i zamieniali na gromadzkie pastwiska, przezwane z wołoska „sałaszami".

I odtąd rozpoczyna się przez całe wieki trwająca walka górali z cieszyńskimi panami o wspomniane sałasze. Panowie i ich dworscy służebnicy podrabiali urbarze, księgi zawierające spisane umowy sałasznicze oraz powinności i obowiązki górali, zmieniali dowolnie ich treść, przepisywali tekst, fałszowali daty, podnosili czynsze z „wieczystej dzierżawy", zaprowadzali opłaty od bydła, zwiększali robociznę, nakładali dziesięciny i meszne, a w końcu podatki państwowe, które miała płacić Komora Cieszyńska, przerzucali na chłopów.

Następnie nie wydawano chłopom dokumentów, tyczących się dokonywanych umów, nie wydawano pokwitowań, narzucano wysoki kontyngent wódki, którą dotycząca osada musiała wypić, czyli — mówiąc innymi słowy — wielmoże cieszyńscy rozpijali poddanych chłopów i górali w swych 141 wsiach śląskich i śląsko-morawskich. Wojna trzydziestoletnia, walki religijne w okresie reformacji i kontrreformacji, zarazy, pijaństwo, nędza, zabieranie sałaszów wbrew zawartym umowom, domaganie się powtórnych zapłat, podwyższanie czynszów i robocizny, wyzysk do ostatnich granic, ucisk religijny w stosunku do chłopów protestanckich oraz brak instancji, w której chłopi mogliby doprosić się sprawiedliwości — wszystko to spowodowało ucieczkę bardziej przedsiębiorczych jednostek do Polski i na Węgry, u innych zaś przywiązanych uczuciowo do swej ziemi, wywoływało sporadyczne bunty i pisanie pokornych petycji i memoriałów do cesarza w Wiedniu. „Z sercem głęboko zasmuconym i z płaczącymi oczami" kreślono na nocnych chłopskich naradach owe żałosne suplikacje, podpisani wójtowie zaś i wszyscy zebrani przyrzekali „modlić się o zdrowie dla Waszej Cesarskiej Mości i Łaskawego Ojca i o najświetniejsze zwycięstwo nad Francuzami" (w ro-

ku 1796). Lecz i te przyrzeczenia nie skutkowały. Pisano więc po raz drugi, potem trzeci, posuwając się w owych prośbach nawet do groźby!...

„Jeżeli my, biedni poddani, i teraz jeszcze nie uzyskamy ulg, to niechybnie spotkają nas ze strony urzędników kameralnych jeszcze większy ucisk i kary, a wtedy możemy w rozpaczy zwrócić się nie przeciw Waszej Cesarskiej Mości ani też księciu, lecz przeciw dokuczliwym urzędnikom i wywołać jaki b u n t, skoro już i tak jest wrzenie".

I doigrali się!

W odpowiedzi przyszli honwedzi i okupowali „buntownicze" wsi, wójtów wysłano do Mirowa lub Szpilbergu, gdzie skonali w kazamatach, chłopów pobrano do wojska, a cesarsko-królewscy honwedzi hulali po wsiach, zarażając je syfilisem. Klęskę tę zdołano opanować i unieszkodliwić dopiero w kilkadziesiąt lat później dzięki ofiarnym wysiłkom kilku lekarzy śląskich, synów chłopskich i góralskich.

Chłopi zaś, zabrani do wojska jako „gemajni" i wysłani na front do Italii, by tam walczyć przeciwko wojskom francuskim, uciekali z szeregów austriackich do Legionów Dąbrowskiego.

I rzecz dziwna. Ten chłop śląski, który nigdy nie słyszał o Polsce, wędruje w Legionach po italskiej ziemi, moszcząc ją szczodrze krwią i wytyczając swoimi kośćmi drogę swym współtowarzyszom do owej dziwnej Polski, o której śpiewał w takt marszu:

Jeszcze Polska nie zginęła,
Marsz, marsz Dąbrowski!...

Mało. Rebeliancki duch, zaszczepiony przez Ondraszka, odzywa się i tutaj, na obczyźnie, gdy ów legionista beskidzki, dotknięty na godności ludzkiej i skrzywdzony przez oficerów legionowych, pisze znowu memoriał do swego komendanta, generała i protektora, obywatela Dąbrowskiego we wspaniałym stylu biblijnym:

> ...na które to morderstwa i krzywdy przyznajemy wszyscy i dopraszamy się od obywatela Generała jako Protektora i Komendanta naszego o uczynienie nam sprawiedliwości.

Nie doprosili się „uczynienia im sprawiedliwości"!...

Ich protest zaginął w tumulcie zdarzeń, podobnie jak zginął w roku 1766, gdy po raz pierwszy zdobyli się na bierny opór, „nie stawiając się na pańskie". Widocznie ruch był groźny, gdyż mimo zapowiedzi, że opornych ukarze się śmiercią, w rezultacie Wiedeń przesłał komisję, by zbadała położenie chłopów na Śląsku. Komisja zjechała, jeden z jej

członków, Blanc, napisał obszerny memoriał, przedstawił krzywdy chłopa i komisja urbarialna opracowała nowe spisy powinności poddańczych, lecz — jak dodaje historyk śląski, dr Fr. Popiołek — system ucisku i wyzysku pozostał dalej.

Nie skutkowały następne, drobne, lokalne bunty chłopskie, próby „uczynienia sobie samemu sprawiedliwości", zmienianie „okrzasów" czyli znaków granicznych na drzewach w lesie, przepędzanie służby dworskiej, a nawet taka forma buntu, jaką notuje kronikarz zamkowy, że gdy „urzędnicy leśni przystąpili w Jaworzynce do sadzenia lasu na góralskim sałaszu, żony górali zasiadły dołki przygotowane do sadzonki, lecz zostały pobite przez urzędników, kilkudziesięciu górali wsadzono do więzienia, a na całą wieś nasłano egzekucję wojskową" — nawet taka forma buntu na nic się nie zdała.

Musiał przyjść rok 1848, poprzedzony ponurą klęską głodu w roku 1847, by góral beskidzki, porwany wichrem Wiosny Ludów, dokołatał się sprawiedliwości. Była to sprawiedliwość połowiczna. Wprawdzie patent cesarski z dnia 7 września 1848 roku zniósł poddaństwo i pańszczyznę, lecz górale i chłopi musieli się z nich najpierw wykupić.

Sprawa sałaszów zaś nie została uregulowana. Zagadnienie to wciąż domagało się rozwiązania, nawet wtedy, gdy ogromne dobra Komory Arcyksiążęcej przypadły na rzecz państwa polskiego po pierwszej wojnie światowej.

— A jak jest dzisiaj, gazdo? — zapytałem. Długo mi bowiem opowiadał Kolumbus o odysei góralskiej, wiele krzywd wypomniał z goryczą. I rozumiałem jego dumę, gdy mi mówił, że ojciec jego starzyka „chodził na zbóje" z Ondraszkiem jako młody „chaśnik" oraz że jego starzyk służył w Legionach Dąbrowskiego i wrócił z dalekiej wojny bez nogi, w wyszarzałym kabacie wojskowym, obwieszony orderami francuskimi i legionowymi. Czasami nucił, wygrzewając się w słońcu na przyzbie, tamtą dziwną pieśń o Polsce, co jeszcze nie zginęła, lub opowiadał o dziwnym kraju italskim, o walkach, o winie i o czerwonych ustach dziewczęcych. A ojciec jego zaś brał udział w rebelii w roku 1848...

— A wy, gazdo?...

— Hm, ja?... — zamyślił się. — Uciekłech trzy razy od tej biedy góralskiej do Ameryki i trzy razy wracołech!... Bo to, wiecie, u nas w górach „początek wody, a koniec chleba". Tóż nic dziwnego!... — Lecz dycki wierzyłech w sprawiedliwość i raduję się, że się jej doczekom na stare roki...

— Nie rozumiem...

— Wiecie, to jest tak! Gdy ojciec mojego starzyka wandrowoł z Legionami Dąbrowskiego po italskiej ziemi i śpiewoł o Polsce, co jeszcze nie zginęła, to nie wiedzioł, że ta Polska bydzie „pańską Polską". On ją sobie inakszy wyobrażał — ciągnął dalej, przechodząc powoli z gwary śląskiej na język literacki. — On ją sobie wyobrażał, że to taki kraj, gdzie wszystko inne i lepsze. I sprawiedliwość sprawiedliwsza od naszej sprawiedliwości na Śląsku, i ludzie inni, i ziemia inna, i gdzie dzieją się cuda na Jasnej Górze, i gdzie z pewnością człekowi lżej umierać. Wrócił i za to, że dla tej Polski stracił młode lata i nogę, czekały go kije w Cieszynie na zamku... Tak, kije!... Wrzepili mu dwacet pięć odlewanych buczków za to, że „huncwot uciekł z cesarskiego wojska i walczył przeciw prawowitej i przez Boga ustanowionej władzy". Na stare lata wysiadywał pod kościołem i prosił o wsparcie... Ojciec mi o tym nieraz mawiał... A dzisiaj?... Ha, dzisiaj!... Dzisiaj nasza Polska nazywa się Polską ludową. Już ta nazwa gwarantuje nam sprawiedliwość. I tyle mogę wam powiedzieć, że sprawa sałaszów będzie nareszcie załatwiona. Cała Barania Góra będzie zamieniona na gromadzki sałasz... Wiecie, jakie to dziwne i śmieszne. Przy tyle sta roków musieliśmy się użerać z panami, iluż to ludzi skończyło w biedzie i w kazamatach Szpilbergu czy Mirowa, a tu naroz wszystko dobrze poszło. Ogromny sałasz na Baraniej wystarczy dla wszystkich!... — i zakreślił ramieniem szerokie koło po dolinie Istebnej.

— Wiecie — zaczął znowu, gdy zgaszoną fajkę zapalił — bo ten Złoty Groń nazywo się barzo pieknie, ale to jest nie złoty, lecz kamienisty Groń. Nie do nóm wiela chleba. A sałasz na Baraniej da nam chleb...

Marcowe słońce złociło się na Złotym Groniu, a nędzne poletka znaczone miedzami szczerzyły szarymi kamieniami w jego świetle.

— A wiecie, co wóm jeszcze powiem? Nasz noród jest twardy i wytrzymały. To znaczy — noród góralski. Wielu z nas wyjechało w świat już w dawnych czasach i w tym świecie nie zginęli. Z naszych górali wyszło wielu ludzi uczonych, lekarzy, inżynierów. Oto bai taki artysta malarz Wałach!... Albo ta Oleńka Małyszówna!... Pamiętom dobrze, małe to było dziewczę, kozy pasało koło drogi, na chłopców ciskało kamieniami, do proboszczowego ogrodu zakradało się z pasterzami na śliwki, a dzisio!... Ho, ho!... Gdzieś w Szczecinie uczy się śpiewać u profesora Prawdzica w Konserwatorium... Downiej „helokowała" na groniach przy kozach, a teraz wyśpiewuje jakieś arie, a gazety piszą o niej bardzo pieknie. Wiecie, o tych jej koncertach szczecińskich...

— Albo taki Hadyna! — dorzuciłem.

— Hadyna?... A tak, słyszołech!... Lecz to już w Wiśle. Ale też gorol!... Stanisław Hadyna! W „zroślokach" chodził, grywoł na piszczołce, jak go jeszcze pamiętom. Bywołech nieroz w Wiśle u ujca... A co dzisio z nim?... Też się wybijo jak ta nasza Oleńka Małyszówna?...

Teraz ja tłumaczyłem Kolumbusowi, on zaś słuchał i pęczniał z dumy. Oto młody Stanisław Hadyna, góral wiślański, wstępuje w ślady Feliksa Nowowiejskiego. Skończył konserwatorium, stał się „chopenistą", tworzy, urządza już swoje koncerty w Polsce, a równocześnie para się piórem. Ostatnio zdobył pierwszą nagrodę literacką na konkursie Filmu Polskiego za powieść filmową o Chopinie pt. *Niezatarte ślady*.

— Hm, hm!... — mruczał wniebowzięty Kolumbus i pykał mocno fajkę, pragnąc ukryć wzruszenie.

— Albo ten nauczyciel w Wiśle, jak on się to nazywoł?... Zginął w obozie koncentracyjnym... — zaczął.

— Sztwiertnia?...

— Sztwiertnia!... Wiecie, to był też nasz człowiek, a wielki człowiek!... — tłumaczył mi. — Wychowoł się w sierocińcu, bez matki i bez ojca, a już od dziecka nic u niego, jak jeny ta muzyka i muzyka...

— Taki Janko muzykant? — rzuciłem chytrze.

— Dobrzeście powiedzieli! Janko muzykant, taki sam, jak u Sienkiewicza!

Zrozumiałem, że stary Kolumbus jest oczytany.

— A słyszeliście, gazdo, jego *Suitę beskidzką*?...

— Słyszołech, słyszołech!... Stary ze mnie chłop, ale płakać mi się chciało, jak żech słyszoł jego muzyke. Jak on to pieknie umioł wygrać te nasze Beskidy!... Hej, gronie nasze, gronie!... — zanucił i urwał jakby zawstydzony, że dał się porwać wzruszeniu.

— Wiecie, bo jo też se grywom na tej swojej dychawicznej kobzie, ale ta moja kobza, to jak ćwierkot wróbla podle słowiczego śpiewanio!... Wiecie, podle tej muzyki Sztwiertni!... Ha, szkoda człeka, aże szkoda!... No, ale zaś urosną inni i zaś bydzie nowy... Teraz taki Hadyna, a potem inszy Jónek czy Jura spod Złotego Gronia!... Dziśka to już inaczej, jak hań downij!... Władze przychodzą z pomocą, a hań downij to sie boczyli... Dyć dobrze wiem... A nasze koronki już widzieliście? — zapytał znienacka, jakby pragnął przejść na inny temat, mniej go wzruszający.

Widziałem i znam je doskonale, lecz poszliśmy do Koniakowa, do gaździny Rabinowej, by jemu i sobie sprawić przyjemność.

— Wiecie, to jest babsko robota, te koronki, lecz mnie się bardzo podobają. Nawet wóm powiem, że chłopi też je robią i to piekniejsze,

aniżeli baby!... Jo już też próbował je robić, ale wiecie, palce móm twarde... — uniewinniał się niepotrzebnie.

U gaździny Rabinowej zastaliśmy trzy starsze góralki. Siedziały za stołem i oglądały rozłożone koronki. Przysiedliśmy do nich. Śliczne to były rzeczy!... Delikatne, subtelne, jakby utkane z pajęczyny, wdzięczne, wywołujące u Kolumbusa i u mnie szczery podziw. Gaździny kraśniały z dumy.

Gaździna Rabinowa, starsza, krzepka kobieta o mądrej twarzy, o siwych oczach pełnych życia i inteligencji, zaczęła objaśniać. Posypały się przeróżne nazwy techniczne określające szczegóły szydełkowej roboty na wykładanych przede mną okazach. Były więc przede wszystkim wspaniałe „róże", serwetki przeznaczone na sprzedaż w Polsce i dla zagranicy, wspaniałe rozety przypominające brabanckie czy osiemnastowieczne walansjenki. Jęły sypać się takie nazwy jak krzyżyczki, dziureczki, pąpki, pająączki, jabłka, kralki, przeróżne listki, śmierćne żoberka, sierotki, winohradki, śnieśniszki, gwiozdki, koluszka, rzetoski, obłączki, półmiesiączki, ślimoczki, rybichwosty, zawijoki i mirwy. Dużo tego było i trudno mi było nastarczyć z zapisywaniem. Zdołałem zanotować tylko owe osobliwe nazwy gwarowe z typowym dla Istebnej i Koniakowa przekształcaniem samogłoski „y" na „i", lecz do czego odnosiły się owe pojęcia — już nie zdołałem zapamiętać. Przesuwały mi się bowiem przed oczami rzeczy tak piękne i tak bardzo subtelne w swym kształcie, że trudno było pogodzić się z myślą, iż to zrobione palcami góralek o twardych odciskach, a nie drobnymi paluszkami eterycznych dziewic z prowansalskich ballad rycerskich. Nic dziwnego przeto, że koronki istebniańskie i koniakowskie rychło zdobyły rynek w Polsce i za granicą, że znajdują nabywców nie tylko u nas, lecz w Anglii i w Ameryce, budząc wszędzie ten sam zachwyt, jaki zauważyłem u starego Kolumbusa, nie mówiąc już o sobie.

Gaździna Rabinowa, sprawująca jakoby dozór nad owym artystycznym rzemiosłem chałupniczym — jeżeli można by tak określić ową twórczość ludową o wysokich walorach formalnych — objaśniła mnie, że prawdopodobnie w twórczości tej można by się dopatrzeć wpływów francuskich i niderlandzkich, przeniesionych poprzez kraje niemieckie i czeskie na Śląsk. Lecz o ile tamte wzory, również niedościgłe w swym pięknie, posiadają charakter sztuki mieszczańskiej o pewnych sztywnych i powtarzających się formach, koronka beskidzka zdołała rozwinąć się w formy już niepowtarzalne, na wskroś oryginalne, czerpane nie z gotowych czy wyuczonych wzorów, lecz „z głowy". I przekonała mnie, wykładając przede mną nieprzeliczone wzory koronek, przygotowanych

już do wysyłki do katowickiej Spółdzielni Artystycznej, a stamtąd do Centrali Spółdzielczej w Warszawie. W żadnej koronce nie znalazłem tego samego motywu. Każdy był inny. Powtarzały się owe koluszka, ślimoczki, rybichwosty i inne przeróżne winohradki czy sierotki lub zgoła śmierćne żoberka, lecz ujęcie ich zawsze było inne, nie powtarzające się. Czasem drobny ścieżek nitką, czasem jakiś misterny ząbek przekształcał tamte cuda i nadawał im charakter wybitnie artystycznej oryginalności, czerpanej „z głowy" — jak to określiła gościnna gaździna Rabinowa.

Koronkarstwem zajmują się małe dziewczynki, dorosłe dziewczyny, mężatki, gaździnki, starki, ba nawet sami górale. Jak mnie wciąż zapewniał Kolumbus, a czemu nie przeczyły obecne w izbie cztery gaździny, górale parający się koronkarstwem w czas zimowych wieczorów wykonują nieraz piękniejsze wzory i bardziej oryginalne i pomysłowsze w swych formach, aniżeli kobiety.

Ów przemysł artystyczny zapoczątkowała zmarła już Maria Urbaczkowa, która nauczyła owej sztuki Jadwigę i Marię Legierskie. Obecnie około stu kobiet i kilkunastu górali tworzy koronki, znajdując pełne poparcie i zrozumienie wśród sfer rządowych. Uważam, że założenie szkoły przemysłu artystycznego w Istebnej lub w Koniakowie, uwzględniającej przede wszystkim koronkarstwo miejscowe, przyczyniłoby się w wielkiej mierze do rozwinięcia tego rodzaju chałupnictwa artystycznego.

U gaździny Rabinowej dowiedziałem się dopiero, jak po prawdzie nazywa się Kolumbus. Michał Wawrzacz!...

Wyszliśmy na drogę. Kolumbus-Wawrzacz uparł się, że musi mnie odprowadzić. Gdy przechodziliśmy koło protestanckiego kościoła, wziął mnie pod ramię i zaprowadził do chałupy niedaleko drogi.

— Pójdziemy sie jeszcze podziwać do starego Śliwki!...

Poszliśmy. Przyjął nas typowy gazda istebniański o twardych rysach jakby z grubsza wyciosanych, o wyrazistych oczach, mądrych i ciepłych. I teraz dopiero zrozumiałem Kolumbusa. Chodziło mu o uzupełnienie swego opowiadania o przeszłości góralskiego rodu.

— Wiecie, bo jo wóm tylko mówił o tym, jak my się użerali z panami. A oto stary Śliwka wóm opowie, jak góral bronił swego ducha... — rzekł z namaszczeniem.

Śliwka w odpowiedzi poszedł do zamczystej półki i wydobył z niej gruby foliał podobny do potężnego mszału, oprawnego w świńską skórę, zamkniętego na srebrne skuwki. Księga była czarna i osmalona, po prostu uwędzona w dymie w dawnej kurnej chałupie. Okazało się, że ów

dym zakonserwował księgę, uchronił ją przed zniszczeniem przez robaki. Śliwka otworzył na pierwszej tytułowej stronie i podał mi ją z jakimś hieratycznym gestem. Była to *Biblia* z wieku XVI!... Wspaniały gotycki druk, piękne słowa Wujkowe, grube kartki o kolorze kości słoniowej, na rogach mocno wytarte na skutek czterowiekowego przewracania ich chropowatymi palcami.

A więc biały kruk!...

W związku z ową *Biblią* dowiedziałem się, że po chałupach góralskich w Istebnej, w Wiśle i w Ustroniu było sporo takich książek dewocyjnych z XVI wieku, które przybłąkały się na Śląsk w okresie walk religijnych, a zwłaszcza w okresie kontrreformacji za czasów konwertyty Adama Wacława, Piasta cieszyńskiego (1579—1617). Prześladowani protestanci musieli kryć się ze swoim wyznaniem po lasach, odprawiać swe nabożeństwa w ukryciu, biblie zaś i postylle stały się dla nich „świętymi księgami", które czytano pospólnie głośno. I dzięki tym księgom przechował się wśród chłopów i górali na Śląsku nieuszczknięty język polski.

Dziś już mało z tych zabytków staropolskiego piśmiennictwa można znaleźć na Śląsku. Dwie wojny zdołały wiele zniszczyć, a co nie zniszczyły, wykupili łakomi na takie rzeczy bibliofile. Śliwka nie sprzedał!...

Pomyśleć! Przez cztery wieki przechowywana w jednym rodzie *Biblia* polska! I przez cztery wieki czytana głośno. Nic więc dziwnego, że potem Berent w swym *Nurcie*, pisząc o memoriale chłopów śląskich, służących w Legionach Dąbrowskiego, dziwi się ich biblijnemu stylowi i pięknej staropolszczyźnie. Nie wiedział, że chłopi śląscy swój język kształtowali i utwierdzali na owych heretyckich, ariańskich polskich bibliach Radziwiłła i Leopolity i na Postyllach Mikołaja Reja.

— A byliście już u starego Wantuły w Ustroniu na Gojce? — zapytał Śliwka. — Idźcie do niego! Tam dopiero znajdziecie skarby!...

Któż by nie słyszał o Janie Wantule, znanym chłopskim bibliofilu na Śląsku i chyba jedynym w Polsce?... Do niego można zawsze przychodzić, by usiąść w głębokim fotelu i obłożywszy się starymi drukami rozkoszować się ich językiem, treścią, drukiem, zdobnikami i drzeworytami. Już byłem u niego kilka razy, lecz zachęcony przez Kolumbusa-Wawrzacza i Śliwkę postanowiłem znowu pójść.

Kolumbus, Śliwka, Wałach, Oleńka Małyszówna, Stanisław Hadyna, Urbaczkowa, Rabinowa i cały ród Legierskich, Sztwiertnia, Jan Wantuła — nie chodzi tu o hierarchię nazwisk — to wszystko postacie wy-

rastające z tej kamienistej gleby, spadkobiercy Ondraszkowej idei walki z ludzką krzywdą, ludzie twardzi i piękni.

Gdy Piastowie śląscy jęli ubożeć, gdy tacy Piastowie cieszyńscy, zupełnie już zniemczeni, schodzili „na dziady", jak to dobitnie określił Kolumbus, z tej polskiej mierzwy, z *polnisches Düngungsvolk* — zamkowi kronikarze nazywali tak chłopa śląskiego — jęli wyrastać ludzie, wnoszący nowe wartości w życie chłopa i robotnika polskiego. Piastowie cieszyńscy zaś do tego stopnia „zeszli na dziady" — że znowu posłużę się zwrotem Kolumbusa — iż jeden z nich włóczył się od zamku do zamku i grywał tam na gąśliczkach. Nie dlatego, że zachciało mu się naśladować romantycznych minnesingerów czy zakochanych trubadurów, lecz po prostu dlatego, że nie miał co jeść. A drugi znowu, żeniąc się we Frysztacie, pożyczył od mieszczan zastawę stołową, której nie oddał.

Skończył się świat Piastów, skończył się świat szlachty śląskiej, wszyscy wymarli doszczętnie, tylko nagrobki kamienne po nich zostały i dalekie wspominki o złych panach, których dusze pokutują na rozstajnych drogach i proszą o ludzkie i boskie zmiłowanie — jak bajali starzy. Skończył się wreszcie świat Habsburgów cieszyńskich, a na ich miejsce przychodzą do głosu chłopi beskidzcy.

Chociażby taki Wantuła, Jan Wantuła spod Gojki, a raczej spod Czantorii, który zbudował sobie chałupę pod bokiem legendarnych rycerzy śpiących. Był on tak samo bity biedą i prowadził tak samo ciężkie życie, jak wszyscy chłopi śląscy. Nazwisko jego zaś można by wyprowadzić etymologicznie od gwarowego „w a n t u l a" czyli od miejsca zawalonego kamieniami, od skalnego złomu, od „skolitej ziemi".

Nomen — omen!... Wszak Wantuła urodził się chyba na kamieniu i w przenośni, i w szerokim tego słowa znaczeniu. Zanim bowiem przodkowie jego wykarczowali las i zanim zdołali kamieniste pole przemienić jako tako w uprawną ziemię, musieli się sporo namozolić. A że owej ziemi nie starczyło na wyżywienie, dorabiali się chleba na tkackim warsztacie domowym. I tak nie zostawili w dziedzictwie dostatków, boć i młodość Jana Wantuły była kamienista...

Ukończył trzyklasową szkołę ewangelicką w Ustroniu, do której rzadko zaglądał, gdyż nie miałby kto paść krów. Lecz matka jego pilnowała, żeby synka nauczyć porządnie czytać i wychować na porządnego człowieka. Wantuła pisze o sobie w pamiętniku, że dzięki książkom, jakie były w domu, zwłaszcza dzięki *Biblii*, wcześniej znał historię narodu żydowskiego, aniżeli polskiego. Po opuszczeniu szkoły, mając lat 14, zaczął pracować w hucie ustrońskiej, w ostatnich latach przeniesiony ze

względów politycznych do huty trzynieckiej. Przepracował więc jako hutnik 34 lata, gospodarując równocześnie na 4-hektarowym poletku, odziedziczonym po ojcu.

I jak wspomina — w pacholęcym już wieku „zakaził się miłością do książek, gdyż książki są jadowite". I miłość ta rosła, przekształcając się w szlachetną namiętność, w radosne bibliofilstwo, w umiłowanie starych druków, zwłaszcza druków związanych ze Śląskiem.

Janowi Wantule chodziło bowiem przede wszystkim o Śląsk.

Miłość do książek nauczyła go miłości do Polski, gromadzone zaś przez niego książki, drukowane na Śląsku, w Brzegu, Toruniu i Wrocławiu, lub przybłąkane z „dalekiej" Polski, a wszystkie pisane w szlachetnej staropolszczyźnie, miały przekonać niewiernych i zbijać twierdzenia ludzi złej woli, rzekomych uczonych niemieckich, że Ślązak — posługujący się przez cztery wieki polskim drukiem, nie może być ani „spolszczonym Morawcem" ani jakimś „Wasserpolakiem" — lecz tylko Polakiem.

Wystarczy przyjść dzisiaj do niego i wstąpić w jego schludny domek pod Czantorią, a z miejsca owionie przybysza ów przedziwny urok, który wzrusza, a który zna tylko człowiek rozmiłowany w książce. W ogromnych szafach piętrzą się foliały, białe kruki, elzewiry, *Postylle*, *Biblie*, księgi oprawne w świńską i kozią skórę, zamykane na przeróżne skuwki, księgi nieraz mocno „sfatygowane", o wytartych brzegach kartek, czasem nadkruszone paskudnym robactwem, zanim dostały się do jego dłoni, księgi pożółkłe i księgi „uwędzone" w kurnych chałupach góralskich, mądre rozprawy naukowe, książki z ekslibrisami, z dedykacjami znamienitych pisarzy polskich z ubiegłej doby, z serdecznymi uwagami ich autorów, księgi wielkie i grube, książeczki małe i filigranowe, jedne zdobione inicjałami i drzeworytami lub zgoła sztychami, inne zasię skromniutkie, drukowane szwabachą i „łacińskimi literami"; czasem przypląta się jakiś cenny rękopis z XVII wieku; a wszystko stanowi ogromny skarb, którego nie sposób przeliczyć na obiegową wartość.

Puszy się z lekka Jan Wantuła, szare oczy zapalają się złotymi płomykami, usta rozchylają się w uśmiechu, gdy widzi, że jego książkowe żniwo, owoc całożyciowego skrzętnego zbierania, wywołuje radosne zdumienie u zwiedzającego.

Jest on chytry i przezorny, dbający pilnie, by nie „rzucać pereł wieprzom". Gdy zauważy, że zwykły snobizm spowodował czyjeś odwiedziny, jest grzeczny i układny, lecz zbywa od niechcenia jakimś tam pośledniejszym drukiem i nic nie mówiącym gestem. Lecz gdy zauważy, że ten ktoś rozpala się, że zaczyna go ogarniać „bibliofilska gorączka", że zdumiony patrzy jakby z niedowierzeniem na pokazany — jak na

przynętę — stary druk wrocławski, czy zgoła gdański lub krakowski, wtedy Wantuła zmienia swój stosunek. Sam promienieje z radości, że może komuś sprawić radość i z tajemniczym uśmiechem zaczyna sięgać poza uszeregowane grzbiety szarej hołoty książkowej.

— A to znacie? — pyta chytrze i podaje na dłoniach *Triumph po spokoyney Electiey Naiaśnieyszego Władysława Zigmunta Krola Polskiego y Szwedskiego, Wielkiego X. Lit., obranego Wielkiego Cara Moskiewskiego etc. etc. etc. w Wilnie, w kościele Confes. Ausb. roku 1632, Kazanie triumphalne.*

Słodki, miodny zapach dojrzałych jabłek na szafie miesza się z zapachem starych druków, szelest przewracanych kartek pergaminowych i jarmarczny harmider wróbli za oknem tworzy jakieś osobliwe zestawienie dosytnych dźwięków, nasycona słońcem cisza i powolne tykanie zegara na ścianie; — wszystko to stwarza nastrój zamierzchłej epoki kołłątajowskiej.

— A to znacie? — pyta znowu i wyciąga spoza pierwszego rzędu powieści znowu inny cenny druk. Pytanie retoryczne. Skądże znałbym, jeżeli jeden egzemplarz znajduje się tylko w Bibliotece Jagiellońskiej, a drugi u Jana Wantuły pod Czantorią?... Wszak zachodziły takie wypadki, że akademicy Ślązacy przyjeżdżali z Krakowa i Warszawy do starego Wantuły „pod Gojką", by grzebać w jego drukach i przygotowywać się u niego do egzaminów z historii literatury.

A czasem ukaże się w moich dłoniach istotnie biały kruk, w jednym tylko istniejący egzemplarzu, jak na przykład kopia rękopisu cieszyńskiego Trzanowskiego, *Polonorum celebri de stirpe* — jak się przyznaje z przechwałką, że pochodzi „ze sławnego szczepu Polaków", rękopis pod tytułem *Komentarze do objawienia św. Jana*, przetłumaczony z tego samego helweckiego kalwina Bullingera, z którego korzystał Mikołaj Rej w *Wykładzie Apokalipsy*. I rzecz osobliwa. Jest to rękopis nauczyciela ustrońskiego z roku 1820, wykonany na zamówienie trzech chłopów ustrońskich, którzy utworzyli ową przedziwną spółkę czytelniczą czy biblioteczną, korzystając na przemian z rękopisu i wspólnie przekazując w testamentach swym dzieciom ową zbiorową własność tak długo, aż Jan Wantuła wygrzebał ją w starej „trówle" u ostatniej spadkobierczyni i wykupił dla swej biblioteki.

— A to znacie? — pada znowu pytanie, osaczone ujmującym uśmiechem człowieka mądrego i dobrego. I znowu z jego dłoni wędruje do moich dłoni wspaniała *Korona na szczęśliwą Koronatie Nayaśn. Władysława IV. z łaski Bożey Krola Polskiego etc. etc. etc.* „drukowano w Lubczy w Drukarni Jana Kmity R. P. 1633".

Albo ten *Triumph po szczęśliwej Viktoryey, którą K. I. M. Władysław IV. nad Szeynem Hetmanem Moskiewskim i Woyskiem jego wielkim Smoleńskiem odniósł etc. etc.* „Druk w Thoruniu anno 1653"!...

Rzecz niezwykła. Oto wiek Władysławowy zabłąkał się „pod strzechy chłopskie"! Boć wszystkie te książki — a jest ich sporo — nie pozbierał Wantuła z dworów szlacheckich, lecz z chałup chłopów śląskich. Szlachta w całej Polsce i na Śląsku przechowywała z pokolenia w pokolenie stare pergaminy, prawiące o ich klejnocie szlacheckim. Chłop śląski przez cztery wieki przechowywał u siebie „klejnot chłopski", stare druki, książki i rękopisy. Przekazywał je w dziedzictwie dzieciom, wnukom, prawnukom i praprawnukom, wymieniając je ze czcią w testamencie, strzegąc zazdrośnie przed ogniem i złodziejem. Ha, zacni to byli złodzieje, jeżeli łakomili się na książki!... Nie tkwiły w szafie dla ozdoby mieszkania, lecz przechowywane na półce pod sufitem były czytane pilnie przez wszystkie tamte cztery czy pięć lub zgoła sześć pokoleń!...

Wychodziła za mąż córka lub żenił się syn, otrzymywal w wianie książkę!

— Oto mosz, ceruszko, pierzynę, krowę, jałówkę, srebrny pas po matce i wileńską Dambrówkę! — mawiali do swej córki uroczystymi słowy.

— Oto mosz, roztomiły synu, porę koni, tyle a tyle pola i trzy książki! Jednego Reja, jednego Leopolitę i biblię Radziwiłłowską!... A strzeż ich jako oka w głowie!...

Inaczej sobie poczynał góral z Cisownicy, Jura G a y d z i c a, który furmanił z wojskami napoleońskimi, włóczył się za nimi po świecie i co widział i słyszał, spisał w swoim pamiętniku. Był to chyba pierwszy chłopski diariusz, odkryty znowu przez Jana Wantułę. Osobliwy tytuł jego: *Dlo pamięci rodu ludzkiego* zapowiadał zbiór wiadomości o charakterze dydaktycznym.

Charakterystyczną cechą owego diariusza był ekslibris Jury Gaydzicy. Polscy bibliofile i znawcy ekslibrisów długo się zastanawiali, czy to robota drukarza czy też samego autora. Okazało się, że autor, Jura z Cisownicy Gaydzica własnoręcznie wykonywał je na każdej swojej książce gotyckim drukiem, do złudzenia naśladując prace artysty-grafika czy typografa.

I gdy Jura z Cisownicy wianował swoje dzieci, ofiarował im przede wszystkim książki zaopatrując je w podobne ekslibrisy.

Piękny był ten „klejnot chłopski"!

Jan Wantuła opowiada i wyciąga wciąż swoje skarby z głębi szafy. A więc kancjonały z XVI wieku, polemiczne dzieła Zasadyusza z Klucz-

borka, kontrwersyjne *Drogi jedzine do Nieba z Pisma świętego dokazane*, różne *Gorzkie ale zdrowe Kapki*, *Postylle*, *Biblie*, a następnie książki pisane już przez miejscowych, śląskich autorów, „pismaków", jak siebie nazywają, i jeszcze jeden rzadki okaz: Rejowa *Apocalipsa* z roku 1565 u Macieja Wierzbięty w Krakowie wydana.

— W jaki sposób zebraliście te książki?

Wantuła uśmiecha się nieznacznie.

— Ha, w różny sposób. Miały się poniewierać po strychach czy po „trówłach", miały je zjeść robaki lub w ogóle przepaść, szukałem ich, dowiadywałem się, wykupywałem... Różnie to się działo. Czasem wystarczył mieszek jabłek, czasem wór kartofli, czasem trzeba było kupić inną książkę i ofiarować za starą, a czasem — jak to się zdarzyło ze starym Glajcem — wycyganiłem stary kancjonał za... butelkę wódki!...

Widząc zdumienie w moich oczach i jakby lekko zakłopotany swoim przyznaniem się do tej dziwnej transakcji, zaczął nam tłumaczyć:

— Stary Glajc był pijakiem. A wiedziałem, że posiada ów kancjonał. Długo przekonywałem go, że powinien mi tę książkę sprzedać, lecz on nie chciał o niczym słyszeć.

— Liter gorzoły dejcie, to wóm dóm kancjonał!... Inaczej go spolę!... — upierał się stary pijaczyna.

— Nie było więc rady. Kupiłem litr wódki, dałem Glajcowi, on mi dał kancjonał i już po wszystkim!... Za tę cenę uratowałem rzadki egzemplarz polski!... — dodał jakby na uniewinnienie.

Wantuła musiał się długo łamać, zanim zgodził się na tego rodzaju handel, zważywszy, że przez całe życie zwalczał alkoholizm słowem, przykładem i niezliczoną ilością artykułów w prasie i kalendarzach. Uważał jednak, że w tym wypadku jest to jego *felix culpa*. I chyba słusznie.

Po „białych krukach" przyszła kolej na książki z dedykacjami.

Kogóż nie gościł u siebie stary Wantuła? Przeglądając je, widzimy, że bywali u niego przede wszystkim Orkan, potem Ochorowicz, Bolesław Prus, Zofia Daszyńska-Golińska, Wróblewski, Benedykt Dybowski, Wincenty Lutosławski, Wysłouchowa, Karol Ludwik Koniński — że wymienię tylko głośniejsze nazwiska, a opuszczę nazwiska współczesnych pisarzy i uczonych. Wantuła korespondował z nimi, udzielał gościny, u niego Orkan rozpoczął ostatnią swoją powieść pt. *Czantoria*, której nie dozwoliła mu dokończyć śmierć, u niego przebywał długo Koniński, zachodzili do niego akademicy i profesorowie uniwersyteccy.

I co najciekawsze w jego stosunku do umiłowanej książki? Utarło się wśród nas przekonanie, że taki bibliofil — to kutwa, trzęsący się z pożądliwości na widok jakiegoś rzadkiego druku, patrzący podejrzli-

wie na palce gościa oglądającego jego skarby, wietrzący koło siebie złodziei książkowych, zamykający je w zamczystych skrzyniach na siedem spustów, słowem, że bibliofil to to samo — co bibliotaf, zaniedbany dziwak, sknera, podejrzliwy mizantrop, człowiek biedny, śmieszny i pożałowania godny. Tymczasem Wantuła jest inny. Wantuła patrzy na świat książki szarymi, dziecięcymi oczami i posiada również ową dziecięcą ufność do człowieka miłującego książkę. Chętnie pożycza, bo wierzy, że wróci do niego.

Lecz niestety wiele już nie wróciło. Nie martwi się z tego powodu.

Jan Wantuła jest również znanym pomologiem i jego sad w jesieni kusi bogactwem jabłek. Stare drzewa wycina, sadzi nowe. Zdarzy się, że jakiś łajdak przyjdzie w nocy i ukradnie mu je, także się nie martwi.

— Widać, że to porządny złodziej!... — powiada.

— Dlaczego porządny?

— Bo mi ukradł drzewko, taką śliczną jabłonkę! Widać, że lubi drzewa owocowe, a nie ma ich za co kupić. Teraz będzie rodziła owoce u niego, a co na jedno wychodzi, czy u mnie, czy u złodzieja...

Tę samą filozofię wyznaje w stosunku do tych, co pożyczą od niego książkę i nie odniosą jej nigdy.

— Ha, widać, że lubi książki!... Byleby tylko nie leżała u niego po daremnicy. Jeżeli chodzi między ludźmi, wszystko w porządku!...

Jest jednakże na tyle przezorny, że „białych kruków" nie pożycza byle komu. To byłaby strata zbyt bolesna dla niego i dla społeczeństwa. A był okres, że groziło mu postradanie wszystkich książek. W czasie okupacji niemieckiej dobrzy ludziska ostrzegli go, że Niemcy mają zamiar zabrać jego bibliotekę, spalić, a cenniejsze książki wywieźć. Wtedy Wantuła rozparcelował ją po znajomkach, a wszystkie cenniejsze druki i inkunabuły włożył do skrzyni obitej szczelnie blachą i zakopał w ziemi pod podłogą. I w ten sposób uratował cały swój księgozbiór. Przyszli bowiem Niemcy i zastali trochę szpargałów i książek pośledniejszego gatunku, stare pisma i kalendarze bezwartościowe. Poszli i dali mu spokój.

Lecz po wojnie, z radości, że uratował swoich 2300 tomów, ofiarował bibliotece ustrońskiej 350 tomów powieści, poezji i dzieł popularnonaukowych.

— Czy przeczytaliście wszystkie swoje książki?

Popatrzył na mnie lekko zdziwiony. Przecież nie trzyma u siebie książek od parady. A pewnie, że przeczytał!...

— Lecz kiedy?...

— Po pracy! Gdy wróciłem z pracy, brałem książkę i czytałem. Przypuszczam, że nie mitrężyłem nigdy wolnego czasu!...

Jan Wantuła jest skromny i nie lubi mówić o sobie. Skądinąd musiałem się dowiedzieć, że ofiarowano mu stałą współpracę z wielu pismami w Polsce, lecz odmówił. Oferowano mu nawet redaktorstwo. Także nie przyjął.

— Bałem się, że przestanę być chłopem, wobec chłopów i robotników nie chciałem uchodzić za panka! — zwierzył się przed Konińskim, autorem książki *Pisarze ludowi*.

Wyszedłem od niego z uczuciem radości.

Oto ci *humiles et fideles subditi* — pokorni i wierni poddani — jak ich nazywali kronikarze wielmożów z wieku XVII i XVIII, nie posiadają w sobie nic z owej pokory i wiernopoddaństwa. Ani nie posiadali. Buntowali się przez tyle wieków, lecz że nie było nikogo, kto by potrafił ich bunt zorganizować, ulegali przemocy.

Chłop śląski wyszedł jednak z tej walki twardy i zahartowany. W dziedzictwie wyniósł od swych „starzyków" i ojców „starzyków" ów cenny klejnot chłopski, pasujący go dzisiaj na pełnowartościowego obywatela Polski ludowej, na obywatela świadomego swych obowiązków społecznych, o wysokiej kulturze umysłowej.

Tacy ludzie jak Jan Wantuła czy Kolumbus-Michał Wawrzacz — to jakby słoneczne sprawdziany wartości owej góralskiej społeczności, z której wyrośli. Z takiej społeczności Polska jest dumna!

KUO MO-ŻO

CZÜ - JÜAN

AKT III

Sceneria jak w akcie I. Czas — wczesne popołudnie.

Sung Jü zamiata bambusową szczotką przednie schody w ogrodzie. Potem kładzie szczotkę przed schody pawilonu, opiera się o drzewo pomarańczy, wyjmuje z zanadrza manuskrypt wiersza o pomarańczy i czyta spokojnym głosem.

SUNG JÜ:

Jak sama królowa, dostojne drzewo
Z pomarańczami w dłoniach.
Chociaż zrodzone w kraju południa,
Dolę swą dźwigasz mężnie.
W trudne warunki przesadzone,
Nie tracisz pogody ducha.
Zielenią liści, jasnością kwiecia
Zdajesz się radość w krąg budzić.

W tym miejscu przerywa czytanie i powtarzając wiersz w myśli spaceruje z przymkniętymi oczami. Przy słowach „zdajesz się radość w krąg budzić" zawodzi go pamięć, otwiera więc znowu oczy i czyta, potem je znowu zamyka i recytuje wiersz po raz drugi. Znowu oczy otwiera i czyta dalej:

Smukłe gałęzie kryją
Okrągłe i gładkie owoce,
Zielone, żółte, rozliczne, miłe,
Piękne jak dźwięczny wiersz,
Piękne na zewnątrz i wewnątrz bez skazy,
Świetne, przymilne, łagodne,
Obraz skupienia, dobroci, czystości,
Powabu, a przy tym szczerości.

Przymyka znowu oczy. Przy słowach „piękne na zewnątrz i wewnątrz bez skazy" znowu nie potrafi przypomnieć sobie tekstu, otwiera oczy, czyta, znowu recytuje z zamkniętymi oczyma i chociaż na ogół potyka się, udaje mu się jednak dopowiedzieć przeczytany fragment do końca. Z kolei czyta dalej co następuje:

W młodzieńczych swych dążeniach bądź niepospolity,
Samemu stać, a mocno, co za szczęście!
Gdy w trudnych znajdziesz się okolicznościach,
Wytęż swe siły bardziej, zwiększ starania,
Samotnie stój pośród zgniłego świata,
Przegnij się na bok, ale nie upadnij!
Zachowaj spokój ducha i działaj z rozwagą,
A nie popadniesz w winę ni w szaleństwo.
Staraj się od młodości być niepospolitym,
Ucz się poprzestawać na małym,
A jeśliś stanął w blaskach,
Nie daj się ponieść rozpuście,
Bądź sprawiedliwy i zachowaj rozsądek,
Nawet mimo młodości
Możesz zostać wodzem,
Trzymaj się prawej drogi jak Po I,
Ów nieustraszony bohater,
On niech ci świeci przykładem!

Doczytawszy do tego miejsca zamyka oczy i powtarza wiersz w myślach. Prawymi drzwiami wchodzi frywolnie królewicz Dze Lan; lekko kulejąc idzie obok Sung Jü, który go nie zauważył. Dze Lan łapie go nagle za lewą nogę szczekając przy tym jak pies, tak że Sung Jü zląkł się.

SUNG JÜ: Ale mnie przestraszyłeś!

DZE LAN (*trzyma się za brzuch, śmiejąc się*): Ha, ha, ha!

SUNG JÜ: Jak tu wszedłeś?

DZE LAN: Mistrz odbywa z mamą w „Hali Blasku" naradę na temat śpiewów i tańców *Kiu ko*. Byłbym z przyjemnością oglądnął te tańce, bo właśnie miała się odbyć generalna próba, ale mama mi nie pozwoliła. Co prawda dotychczas zawsze mi na to pozwalała. Dzisiaj jednak powiedziała „nie". Skorzystałem więc ze sposobności i potajemnie wymknąłem się z domu.

SUNG JÜ: A nie boisz się matki?

DZE LAN: Boję się. Przecież ojciec boi się jej także. Wiesz, wydaje mi się, że na zamku nie ma nikogo, kto by się jej nie bał. Nawet Szang Kuan Ta Fu — chociaż pozostaje z nią w tak dobrych stosunkach — boi się jej. Słucha jej przecież w każdej sprawie jak wyroczni.

SUNG JÜ: Ale nasz mistrz nie boi się jej. Takie odnoszę wrażenie.

DZE LAN: Zgadzam się z tobą. On jeden nie boi się jej. I on też jest poza mamą jedynym człowiekiem, który we mnie budzi strach.

SUNG JÜ: Ma autorytet, a nie jest gwałtowny. Królowa zaś jest porywcza, a nie ma tego autorytetu.

DZE LAN: Co?! Ty masz czelność wobec mnie obrażać mamę?!

SUNG JÜ (*składając ręce i przepraszając*): Ach, wybacz mi, proszę. Nie umiem trzymać języka za zębami.

DZE LAN: Wyraziłeś się bardzo niestosownie w mojej obecności. Ostrzegam cię: zachowaj swoje zdanie dla siebie. Cóż to czytasz?

SUNG JÜ (*pokazując mu wiersz o pomarańczy*): To nowy wiersz naszego mistrza. Dziś rano go napisał.

DZE LAN (*rzuca przelotne spojrzenie na wiersz, następnie zwraca się do Sung Jü*): Hm? Pochwała pomarańczy!? Dlaczego mistrz nie napisze wiersza na cześć orchidei, której imię ja noszę[1]. Wtedy miałbym i ja jakąś satysfakcję.

SUNG JÜ: Ale przecież mistrz opiewał już nieraz w swoich poezjach orchideę. Uważam więc, że masz stąd niemało satysfakcji.

DZE LAN: Racja. Pan bardzo lubi orchidee, ale niestety nie lubi mnie, który noszę ich miano. Mówi stale, że jestem leniwy, zarzuca mi, że jestem chwiejny jak trzcina i twierdzi, że mam dziwny charakter. Nosiłem się już nieraz z zamiarem zmiany imienia.

SUNG JÜ: Twój brak pilności wypływa przecież ze specjalnych okoliczności. Mnie się wydaje, że ty wcale nie potrzebujesz być pilnym, bo przecież jesteś królewiczem.

DZE LAN: A widzisz! Posłuchaj tylko. Orchidea, której imię ja noszę, wydaje królewską woń. To przecież chyba oznacza, że będę królem Czu.

SUNG JÜ: Jakże to? Przecież twój starszy brat jest następcą tronu. Przebywa teraz w Tsin, nie umarł przecie...

DZE LAN: Skąd wiesz, że nie umarł? Czy to takie pewne? A poza tym... ojciec przecież kocha mamę, a mama kocha mnie. Mama by się bardzo ucieszyła, gdybym został królem. Uważasz, że nie mógłbym nim zostać?

---

[1] Lan znaczy orchidea.

SUNG JÜ (*udaje dla żartu, że trzymany w ręku manuskrypt jest tabliczką dostojnika i oddaje Dze Lanowi hołd*): Padam przed tobą na kolana, królu! Twój najuniżeńszy sługa w najgłębszej pokorze bije przed tobą czołem i pozdrawia twoją królewską mość.

DZE LAN (*przybierając majestatyczną postawę*): Prawda, że dobrze? Wiesz, jak zostanę królem, zrobię cię na pewno moim „Ling-Czün", albo też obdarzę cię godnością „Tso Pu". To jest obecny urząd naszego mistrza. Poza tym powierzę ci specjalne stanowisko, dzięki któremu będziesz mógł decydować w sprawach literackich.

SUNG JÜ: Ależ to byłoby wspaniałe! Takiego stanowiska życzyłbym sobie bardzo. Znam się przecież doskonale na formie wiersza. Prawdę powiedziawszy muszę stwierdzić, że wiersze naszego mistrza są dla mnie zbyt proste i za mało oryginalne. Gdyby wiersz pt. *Pomarańcza* został napisany przeze mnie, to by na pewno wszyscy powiedzieli, że to utwór młodego poety.

DZE LAN (*przeskakuje nagle na inny temat*): Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, gdzie też podziewa się Czan Czüan? Nigdzie jej jakoś nie widać.

SUNG JÜ: Jest zajęta na przedzie. Czy tylko dlatego przyszedłeś, aby ją zobaczyć?

DZE LAN: A gdyby tak było, to — czy byś był na mnie obrażony?

SUNG JÜ: Nie rozumiem, dlaczego miałbym się na ciebie obrażać?! Wydaje ci się, że jestem zakochany? No nie, żartujesz chyba! Wszak ty i ja to dwaj biegunowo różni ludzie, różnimy się przecież między sobą pochodzeniem. Ty jako syn królewski i książę możesz sobie w danym wypadku pozwolić na tego rodzaju ekstrawagancję jak flirt z nisko urodzoną dziewczyną. Ale my, pochodzący z biednych i pospolitych rodzin, musimy z trudem piąć się w górę.

DZE LAN: Naprawdę? Więc ty nie kochasz Czan Czüan?

SUNG JÜ: Ja? Skądże. Nie kocham jej ani odrobinę. Bo i za cóż ja miałbym ją kochać?! Na cóż mogłaby mi się przydać ta jej ustawiczna krzątanina?! Tak, to urodzona służąca! Wraz z całą swą babską gadatliwością byłaby mi jedynie przeszkodą w karierze.

DZE LAN: Ha, ha, ha! Jesteś naprawdę wspaniały! Od dzisiaj uważam cię za swego przyjaciela! Nie cieszysz się?

SUNG JÜ: Naturalnie, że się cieszę. Zwłaszcza teraz, kiedy twój ojciec tak bardzo faworyzuje mistrza, liczę na twoją protekcję. Spodziewam się, że szczególnie na polu literatury doznam twego poparcia.

W tej chwili przez furtkę ogrodową wchodzi Czü Jüan. Włosy ma rozczochrane, wlecze za sobą szaty po ziemi i jest dziwnie wzburzony. Kiedy Sung Jü i Dze Lan spostrzegają go, przestraszeni idą mu naprzeciw.

SUNG JÜ: Mistrzu! Co ci jest?

DZE LAN (*równocześnie*): Co się stało, mistrzu?

CZÜ JÜAN (*w ogóle ich nie zauważa i z wyrazem rozgoryczenia na twarzy biegnie w kierunku schodów pawilonu i nagle zatrzymuje się*): O, nigdy bym nie był pomyślał, ażebyś była zdolna taką mi zgotować zgubę. Lecz ty nie mnie zgubę gotujesz, ale naszemu państwu.

Sung Jü i Dze Lan przestraszeni idą obok Czü Jüana nie mając odwagi zapytać go, co się stało.

CZÜ JÜAN: Nie zbliżajcie się do mnie, bo nie panuję nad sobą!

Wskazuje na schody i siada na balustradzie. Obiema rękami chwyta się za głowę wyrywając sobie z rozpaczy włosy. Przez chwilę siedzi bez słowa, następnie bije się pięścią po głowie, po czym wstaje i wzburzony chodzi dookoła po pawilonie. Obaj uczniowie nie mają odwagi zbliżyć się do niego.

O, ja nie pobłażam sobie czyniąc rachunek sumienia. Nie boję się śmierci, w której widzę wyzwolenie. Królowo! Zaklinam cię! Ty nie mnie gotujesz zgubę, ale naszemu państwu Czu i całym Chinom!

Za płotem bambusowym gromadzi się tłum ludzi, którzy patrzą zza sztachet, ale nie mają śmiałości wejść do ogrodu. Kiedy Czü Jüan zauważa ludzi za ogrodzeniem, zbiega ze schodów i idzie ku przedniej furtce.

SUNG JÜ (*nieśmiało*): Może ci w czym pomóc, mistrzu?

CZÜ JÜAN: Nie pragnę widzieć nikogo. Wszystko napełnia mnie grozą. (*Rozgoryczony odchodzi. Sung Jü i Dze Lan stoją zmieszani. Tłum za ogrodzeniem okazuje zainteresowanie dla tego, co dzieje się na scenie, jedni dziwią się, drudzy się śmieją*).

SUNG JÜ: Nic nie rozumiem. Co się właściwie stało?

DZE LAN: Wygląda na to, jakby nasz mistrz zmysły postradał.

SUNG JÜ: Co?! A może by pójść za nim i przyprowadzić z powrotem?

DZE LAN: Jakie to wszystko dziwne!

SUNG JÜ: Wydaje mi się, że powinieneś wrócić do pałacu i dowiedzieć się dokładnie, co się stało.

DZE LAN: Dobrze, to samo pomyślałem. Wiesz, przypominam sobie, że kiedy jeszcze byłem w pałacu, w rozmowie matka nie zawsze zgadzała się z Czü Jüanem.

Tłum otwiera drzwi ogrodu. Wchodzi Czang Kin Ta Fu. Sung Jü i Dze Lan wychodzą mu naprzeciw.

KIN (*idąc pyta*): Co? Ty tutaj, królewiczu Dze Lan? Czy wasz pan i mistrz wrócił?

SUNG JÜ: Był tu przed chwilą. Nie chciał nikogo widzieć i mówił, że nie panuje nad sobą i że wybuchnie.

KIN: Zdarzyła się niesłychana rzecz!

SUNG JÜ i DZE LAN (*równocześnie*): Co się stało?

KIN: Kto tego nie widział, nie uwierzy.

SUNG JÜ i DZE LAN: Ale co się stało?

KIN: Jak już tak koniecznie chcecie wiedzieć, to wam powiem. Tobie to powiem, Dze Lan. (*Szepce mu coś do ucha*).

DZE LAN: Co?! Nasz mistrz byłby do tego zdolny.

KIN: Powiedziałem przecież zaraz na początku, że kto tego nie widział na własne oczy, nie uwierzy. (*Wchodzi na taras i zajmuje miejsce w pobliżu tłoczącego się za płotem tłumu*).

DZE LAN: Opowiedz dokładnie, jak to się wszystko stało?

KIN: Pozwólcie, że wam wszystko powoli i szczegółowo opowiem. Ale nie nalegajcie zbytnio!

SUNG JÜ (*odwraca się do napierającego tłumu*): Ludzie! Nie hałasujcie! Rozejdźcie się! Tu nie ma dla was nic ciekawego.

KIN (*powstrzymując go*): Dajże im spokój, Sung Jü! Niech słyszą! Wieść o dzisiejszym zdarzeniu i tak już na pewno rozeszła się po mieście. Prędzej, czy później i tak wszyscy dowiedzą się o nim. Pozwól, że ja jako naoczny świadek opowiem im wszystko. Będzie to o tyle korzystne, że zapobiegnie szerzeniu się fałszywych wiadomości. Uważam też, że najlepiej wpuścić wszystkich do ogrodu.

Kiedy tłum słyszy słowa Kina, wtacza się do ogrodu. Sung Jü nie jest w stanie zatrzymać go. Biegnie jednak do przedniej furtki ogrodowej i zamyka ją.

TŁUM: Co się stało z San Lo Ta Fu? Prosimy, opowiedz nam!

KIN (*wstaje i wstępuje na schody pawilonu*): Sąsiedzi! Starszyzno wiejska! Wszyscy wiecie, że San Lo Ta Fu jest bardzo cnotliwym człowiekiem.

TŁUM: Zgadza się. Jest przecież mędrcem naszych krajów południowych.

KIN: Wiecie również, że San Lo Ta Fu jest wielkim poetą.

TŁUM: Wiemy. Wiemy też, że San Lo Ta Fu jest największym uczonym w naszym państwie Czu.

KIN: Wiecie także, że w ostatnim czasie przerobił on na nowo 10 inwokacji do duchów *Kiu Ko*?

TŁUM: Potrafimy przecież śpiewać jego nowe pieśni.

KIN: W takim razie dobrze. A teraz posłuchajcie, co wam opowiem nowego o San Lo Ta Fu!

TŁUM: Dobrze! Chętnie posłuchamy.

KIN: Nasza królowa podjęła się przygotowania inscenizacji pieśni *Kiu Ko*, których autorem jest San Lo Ta Fu. Inscenizacja ta miała uświetnić uroczystość pożegnalną, jaką królowa miała zamiar urządzić na cześć premiera Czang I.

GŁOSY Z TŁUMU: Królowa potrafi bardzo dobrze przygotowywać tego rodzaju inscenizacje.

KIN: Prosiła ona San Lo Ta Fu o uwagi na temat inscenizacji pieśni *Kiu Ko*. Królewicza Dze Lana wysłała w tym czasie tutaj.

GŁOSY Z TŁUMU: A co było potem?

KIN: Podczas przeprowadzania z San Lo Ta Fu prób w pałacu poleciła mi królowa, abym udał się do domu Ling Czüna i prosił króla, by wrócił do domu. Król i Ling Czün rozmawiali o ważnych sprawach. Kiedy przybyłem do Ling Czüna, był tam także Czang I. Wróciliśmy tedy wszyscy razem, a więc król, Ling Czün, Czang I i ja, do pałacu.

NIEKTÓRZY: I co było dalej?

KIN: Wtedy zdarzyło się to najbardziej nieprawdopodobne. Kiedy wróciliśmy do pałacu, skończył się właśnie taniec *Li Hun*. W pierwszej chwili w ogóle nie zauważyliśmy San Lo Ta Fu. Czy potraficie odgadnąć, co z nim było?

TŁUM: Jakże nam coś takiego odgadnąć?! To przecież dla nas, prostych ludzi, za trudne! Jakże nam to odgadnąć?!

JAKIŚ STARZEC: Czyżby z nadmiaru radości postradał zmysły?

KIN: Niewiele brakuje, aby zgadnąć. A jednak nikt nie odgadnie całkowitej prawdy. Kto tego nie widział na własne oczy, nigdyby na to nie wpadł. A nawet, kto wie, czy uwierzycie, kiedy wam wszystko opowiem.

TŁUM: Cóż to takiego?

KIN (*bardzo powoli*): Było więc tak. Kiedy nasz król przybył do pałacu, skończył się właśnie taniec *Li Hun*. Najpierw wszedł król, potem Czang I, za nim Ling Czün Dze Kiao, a ja na końcu. Wtedy zobaczyliśmy na własne oczy, jak San Lo Ta Fu stał na stopniach „Hali Blasku"

i trzymał mocno w objęciach naszą królową chcąc na niej wymusić pocałunek.

TŁUM: Co?! San Lo Ta Fu był do czegoś podobnego zdolny?!

KIN: Powiedziałem przecież zaraz na początku, że gdybym tego nie widział na własne oczy, nigdybym w to nie uwierzył. San Lo Ta Fu jest człowiekiem tak prawego charakteru, miejscem zdarzenia jest uważany nieomal za świątynię dziedziniec pałacowy, chodzi zaś w tej całej historii o samą królową, którą tak wszyscy czcimy. Jakże więc mogło się coś podobnego zdarzyć?! (*Widzi śpieszącego z dala w kierunku tylnej furtki ogrodowej Ling Czün Dze Kiao*): O, proszę! Nadchodzi Ling Czün. On również był naocznym świadkiem tego, co się zdarzyło.

Tłum odwraca się i równocześnie rozstępuje. Ling Czün Dze Kiao wchodzi, Sung Jü wita go przy furtce przedniej.

KIAO: Czy San Lo Ta Fu nie wrócił?

SUNG JÜ: Czcigodny Ling Czün! Mistrz wrócił, ale coś niezupełnie zdrowy na umyśle. Mówił, że nie chce widzieć żadnej ludzkiej twarzy.

KIAO (*zauważa Kin Czanga i Dze Lana*): Wy obaj także byliście tu przede mną. Czy widzieliście San Lo Ta Fu?

(*Wstępuje na stopnie pawilonu, Sung Jü idzie za nim*).

DZE LAN: Owszem, widzieliśmy. Widok jego był pożałowania godny. Szaty w nieładzie, głowa bez nakrycia. Był bardzo wzburzony; mówił, że nie zapanuje nad sobą i że wybuchnie. Mówił jeszcze, że ktoś mu zgotował zgubę, ale nie tylko jemu, lecz także i państwu Czu.

KIAO: Widzicie teraz, jak wielkie jest jego szaleństwo. (*Do Kin Czanga*): A ty nie widziałeś go? Kiedy tu przyszedłeś?

KIN: Szczególnie się o niego zmartwiłem. Toteż przybiegłem tu od razu, ale go już nie zastałem.

KIAO (*do Sung Jü*): Należałoby coś przedsięwziąć. Sądzę, że najlepiej byłoby poprosić jakiegoś czarodzieja, aby przywołał z powrotem jego ducha. To jednak straszne nieszczęście stracić rozum!

SUNG JÜ: Ling Czün, czy to rzeczywiście prawda, że mistrz znieważył naszą królowę?

KIAO: Tak, prawda. Ja i Czang Kin Ta Fu widzieliśmy to na własne oczy. Zresztą nie tylko my, ale i król i premier państwa Tsin, Czang I. Na szczęście, nadeszliśmy w samą porę. Stanęliśmy jak wryci. kiedy zobaczyliśmy jak Czü Jüan obejmował królowę i usiłował wymusić na niej pocałunek. Widzieliśmy, jak królowa głośno krzycząc usiłowała za wszelką cenę uwolnić się od niego i jak w końcu udało jej się odepchnąć jego rękę. W tej chwili Czü Jüan zobaczył króla. Kró-

lowa szarpnęła się i uniknęła w ten sposób jego pocałunku. Co za szczęście, że zjawiliśmy się w samą porę! Gdybyśmy się byli bodaj o ćwierć godziny spóźnili, byłby San Lo Ta Fu nie tylko jako osoba urzędowa popełnił zbrodnię, ale w ogóle pogwałcił wolę nieba. Jak sądzisz? Czy król powinien mu ze względu na jego stanowisko wybaczyć? Albo czy królowa powinna mu wybaczyć? Nie, to przecież stanowiłoby prawdziwy triumf, byłoby równoznaczne ze zwycięstwem zbrodni.

SUNG JÜ: Nie mogę sobie w ogóle wytłumaczyć, jak nasz mistrz mógł się czegoś podobnego dopuścić.

KIAO: Proszę sobie wyobrazić, że ja już dawno próbowałem go przekonać i udzielałem mu dobrych rad. Kiedy jego małżonka przed dwoma laty umarła, radziłem mu, aby oglądnął się za inną kobietą! Przecież każdy ma swoje naturalne potrzeby! On jednak machnął na to ręką. A przecież, czy nie sądzisz, że 40-letni wdowiec — jeszcze w dodatku w tak wspaniały dzień wiosenny — mógł się zapomnieć? No cóż? Zasadniczo nie widzę powodu, dla którego miałbym go przestać odwiedzać, mimo że utracił swoje stanowisko. Pracowaliśmy razem! Skoro jednak w tej chwili nie chce on nikogo widzieć, nie będę mu się naprzykrzał swoją osobą. (*Do Sung Jü*): Posłuchaj mnie, Sung Jü! Ty jesteś inteligentny chłopak, więc zrozumiesz moje intencje. Powinieneś usilnie zabiegać o przywołanie jego duszy. Można przecież spowodować, aby znowu odzyskał rozum. Pracowałem z nim tyle lat, więc nie dziw się mojemu przywiązaniu! Zresztą i ty przecież przez wiele lat byłeś jego uczniem, więc doskonale mnie rozumiesz.

JAKIŚ STARZEC: Wszyscy mu współczujemy. Jesteśmy jego sąsiadami. (*Do tłumu*): Sąsiedzi, posłuchajcie! Kilku z nas musi koniecznie udać się na poszukiwanie czarodzieja. Trzeba go jak najprędzej sprowadzić. (*Dwóch albo trzech z tłumu usłuchało go i wychodzi*).

STARZEC (*zwraca się do Sung Jü*): Sung Jü! Braciszku mój! Przynieś co rychło jakąś szatę mistrza!

SUNG JÜ (*waha się*).

KIAO: Musisz, kochany Sung Jü, kierować całym obrządkiem. Jesteś wszak takim uczniem mistrza, jakiego on sam sobie życzy. Wypada ci na pierwszym miejscu wykazać się swoją wdzięcznością wobec mistrza.

SUNG JÜ: Ale przecież mistrz wpadnie w gniew, jak się o tym dowie.

KIAO: Jeżeli masz jakiekolwiek obawy, każ sobie przez Czan Czüan doręczyć szatę. Ona nie musi znać powodu.

SUNG JÜ: Jedynie z głębokiego poczucia obowiązku wezmę na siebie prowadzenie obrządku przywołania duszy.

KIAO: Bardzo dobrze. No, ale ja już nie mogę tutaj dłużej pozostać, niestety muszę już odejść.

KIN: Idę w tym samym kierunku.

SUNG JÜ (*zwracając się do Dze Lana*): A jak to jest z tobą?

DZE LAN: Ja pozostanę tutaj. Obejrzę sobie wraz z tobą przywołanie duszy. Muszę przecież również w jakiś sposób okazać swoje przywiązanie do mistrza.

KIAO: Bardzo dobrze, bardzo dobrze! Jesteś wszak również uczniem mistrza, masz więc te same obowiązki. Jak przyjdzie królowa, wstawię się u niej za tobą i wytłumaczę jej twoją nieobecność. A teraz do was słówko, sąsiedzi i starszyzno wiejska! Starajcie się, aby wszystko wypadło jak najlepiej.

STARZEC WRAZ Z CAŁYM TŁUMEM: To przecież jasne! Wszyscy się o to postaramy. Proszę się o to nie martwić!

KIAO: No, dobrze. Możemy więc iść.

Dze Kiao idzie przodem, za nim Kin Czang. Idąc po schodach pawilonu rozmawiają, po czym znikają za furtką ogrodową.

KIAO: Popatrz, jakie wielkie chmury zbierają się na niebie. Wiesz, na Czü Jüanie sprawdza się najzupełniej twierdzenie, że im się wyżej sięga, tym głębiej się upada.

KIN: Pojmuję, że przy jego butnym usposobieniu nie było dla ciebie wcale łatwą rzeczą radzić mu powtórny ożenek. Sięga on zawsze po rzeczy nieosiągalne i w tym wypadku chciał od razu mieć boginię. Nigdy nie zadowala się tym, co mu się normalnie należy.

KIAO: Tak. I to jest właściwa przyczyna całego nieszczęścia. Utalentowani pisarze w ogóle mają bujną wyobraźnię. Przeholują w marzeniach, a potem cierpią.

KIN: Słuszna uwaga. Człowiek, który nie zna miary, sam sobie gotuje zgubę. (*Obaj wychodzą*).

STARZEC (*czeka aż wyjdą*): Braciszku Sung Jü! Chodźno prędzej! Przynieś już te szaty mistrza!

SUNG JÜ (*do Dze Lana*): Królewiczu Dze Lan! Proszę cię, przejmij straż przy przedniej furtce!

(*Przez chwilę obaj spacerują przy przedniej furtce ogrodowej*).

DZE LAN: Skoro idziesz do domu, zawołaj także Czan Czüan.

SUNG JÜ: Mogę to oczywiście dla ciebie zrobić, ale czy ona wyjdzie, nie gwarantuję. Wydaje mi się, że powinieneś prosić starego, aby i twoją duszę przywołał.

DZE LAN: O, ty niedobry! Cieszysz się, że mistrz zwariował i że już nie masz lepszego od siebie.

SUNG JÜ: Poczekaj, ty filucie! (*odchodzi*).

STARZEC (*potrząsając głową*): Och, ta młodzież! Że też nie ma w niej ani za grosz szacunku! Ale oto przybył czarodziej. Pośpiesz się!

Przez tylną furtkę ogrodową wchodzą szybkim krokiem „trawiarze" (pomocnicy czarodzieja) i przyprowadzają chochołą-czarodzieja.

JEDEN Z NICH: No, można zaczynać.

STARZEC: Teraz trzeba prędko działać. Im prędzej, tym lepiej. (*Bierze czarodzieja za rękę, prowadzi go do pawilonu i sadowi na balustradzie. Potem wraca znowu do tłumu*). Ludzie, przygotujcie się. Najpierw utworzycie koło i zaczekacie, aż zacznę ceremonie. Podczas ceremonii będziecie śpiewać pieśń *Li Hun* i tańczyć.

Tłum tworzy koło. Przednią furtką ogrodową wchodzi Sung Jü niosąc białą szatę i Czan Czüan. Starzec zbiega po stopniach pawilonu w dół, odbiera białą szatę i biegnie znowu do pawilonu.

STARZEC: Trzeba bryznąć na czarodzieja parę kropel krwi jakiegoś krewnego lub też krwi jakiegoś chłopca albo dziewczynki. Ponieważ San Lo Ta Fu nie ma tu żadnych krewnych, myślę, że można by użyć krwi młodej dziewczyny, Czan Czüan. Czan Czüan, zadraśnij się w koniuszek palca i pokrop odrobiną krwi głowę czarodzieja!

TŁUM (*widząc, że Czan Czüan nie może się zdecydować*): Czyż nie masz nabożnego serca? Pomóżże nam co prędzej!

Czan Czüan śpieszy do pawilonu.

STARZEC (*śpiewając zwraca się do tłumu*): Zaczynamy przywoływać duszę. Zaśpiewajcie przedtem pieśń *Li Hun*. (*Trzyma szatę przed czarodziejem składając przy tym nabożnie obie ręce. Tłum śpiewa pieśń i powtarza ją trzy razy. Skończywszy śpiewać i tańczyć stoi w rozsypce przed pawilonem*).

STARZEC (*śpiewając*): Pieśń *Li Hun* skończyła się. Proszę teraz Czan Czüan o pokropienie krwią czarodzieja.

Czan Czüan wychodzi naprzód, nacina sobie scyzorykiem palec prawej ręki i upuszcza kroplę krwi na głowę czarodzieja. Potem schodzi po stopniach pawilonu do Sung Jü.

STARZEC (*trzymając szatę woła*): Tung Huang Tai I, płonący czerwony blasku! Wielki i mały Sü Ling, królujące moce niebieskie! Jün Czung Czy Czün! Skłońcie się ku nam łaskawie! Dusza Ta Fu Czü

Jüana z Czu błądzi po sąsiednich okolicach. Przywołujemy ją! Wzywamy wszystkie potężne duchy! Zmiłujcie się i sprawcie, ażeby dusza Czü Jüana wróciła znowu do ojczyzny!

Po zawezwaniu bogów kładzie szatę na łonie czarodzieja i pozdrawia go z szacunkiem. W odpowiedzi na to czarodziej podnosi się i zwracając się najpierw na wschód woła donośnym, przeciągłym głosem:

CZARODZIEJ: San Lo Ta Fu! Wracaj! (*Lud wtóruje mu*): Nie wolno ci udawać się na wschód! Na wschodzie jest 10 słońc, parzą roztopione kamienie. Roi się tam od potężnych demonów, które tylko czyhają na to, aby móc rozszarpać twoją duszę. (*Zwraca się na południe*): San Lo Ta Fu, wracaj! (*Tłum wtóruje mu*): Nie wolno ci iść na południe, grasują tam ludożercze potwory ze szczepów Man o tatuowanych głowach i czarnych zębach. Oprócz tego czyhają tam na ludzi żarłoczne węże — boa dusiciele, jakieś potworne lisy i ludożercze, dziewięciogłowe żmije. (*Zwracając się na zachód*): San Lo Ta Fu! Wracaj! (*Tłum wtóruje mu*): Nie chodź na zachód! Na zachodzie są bardzo długie rzeki, które czekają tylko na to, aby pogrążyć cię w swoich odmętach, gdy tylko do nich dotrzesz. Są tam jeszcze wielkie jak słonie, potworne mrówki i potężne muchy o kształcie dyń, które zakłują cię na śmierć. (*Zwracając się na północ*): San Lo Ta Fu! Wracaj! (*Tłum wtóruje mu*): Nie chodź na północ. Na północy są morza śniegu i góry lodowców, gdzie ani trawa ani drzewo róść nie chce. Zginiesz tam marnie. (*Stojąc w samym środku pawilonu patrzy w niebo i woła*): San Lo Ta Fu! Wracaj! (*Tłum wtóruje mu*): Nie chodź do nieba! W niebie jest dziewięć ciężkich bram, których pilnują tygrysy. Szaleją tam jeszcze dziewięciogłowe demony i gonią w kółko potworne szakale, które czyhają tylko na człowieka, aby go strącić w przepaść. Największy cesarz nie jest tam dostatecznie potężnym władcą. (*Podchodząc do drzwi pawilonu nachyla się ku ziemi i woła*): San Lo Ta Fu! Wracaj! (*Tłum wtóruje mu*): Nie schodź do wnętrza ziemi! We wnętrzu ziemi trzymają straż książęta, mający troje oczu i po dwie paszcze. Ich głowy podobne są do głów tygrysów, a ciała do byków. Porywają one człowieka niepostrzeżenie, powalają na ziemię i rozszarpują. Nie, tam w ogóle nie wolno ci iść. (*Zaczyna kręcić się w kółko*): San Lo Ta Fu! Wracaj! (*Tłum wtóruje mu*): Wracaj do swej ojczyzny, do swego pomarańczowego ogrodu, do tego tutaj ogrodu, do swoich sąsiadów i do swojej Czan Czüan! San Lo Ta Fu! Wracaj, proszę, jak najrychlej! Wracaj rychło! (*Śpiewa coraz szybciej, lud razem z nim w tym samym tempie*).

Przednią furtką ogrodową wpada Czü Jüan, ubrany w białą szatę, z rozczochranymi włosami, nie zauważony jednak ani przez tłum, ani przez kręcącego się Sung Jü, ani przez czyniącego to samo Dze Lana, ani też przez Czan Czüan, której uwaga udzieliła się praktykom tłumu.

CZÜ JÜAN (*rozgniewany*): Cóż wy tu urządzacie za czary?!

Sung Jü, Czan Czüan, Dze Lan i lud cofają się w popłochu. Czü Jüan śpieszy do pawilonu.

TŁUM (*biegnie przed pawilon i pozdrawia z szacunkiem Czü Jüana*): San Lo Ta Fu! Przywoływaliśmy twoją duszę!

CZÜ JÜAN: Wy przywoływaliście moją duszę?! Wy — bezrozumni! Wy słuchający takich czarnoksięskich zaklęć i głupich skojarzeń jak „feniks-kura", „owcza wiewiórka", „smocza żmija", „rybi demon", wy chcieliście przywołać moją duszę?! To wy postradaliście zmysły!

Starzec chwyta czarodzieja za rękę i ciągnie go za sobą.

STARZEC (*przerażony ucieka*): Wariat! Wariat! Łapcie go!

TŁUM (*ucieka w popłochu — przepychając się przez tylną furtkę. Jeden przez drugiego krzyczy przy tym przeraźliwie*): Wariat! Wariat! Łapcie go! (*Wszyscy rozpraszają się*).

CZÜ JÜAN (*rozgniewany patrzy na pierzchający tłum, następnie wpada na czarodzieja*): Ty mnie chcesz zgubić?! Mnie?! Ale pamiętaj, nie mnie gotujecie zgubę, ale naszemu państwu Czu! (*Łapie się za głowę, odwraca się i śpiesznie wychodzi przednią furtką*).

Sung Jü i Czan Czüan stoją przez chwilę jak wryci i milcząc patrzą w stronę furtki. Sung Jü podnosi czarodzieja, idzie z nim do pawilonu i opiera go o balustradę. Następnie pogrąża się w myślach i chodzi tam i nazad.

DZE LAN: Ale się przestraszyłem! W ogóle głupstwo zrobiłem, że tu przyszedłem. Czan Czüan, a jak ty się czujesz?

CZAN CZÜAN: Ja?

DZE LAN: Nie boisz się szaleńca?

CZAN CZÜAN: To ty jesteś szaleniec! Nie wierzę ci.

DZE LAN: Widziałaś przecież, co się tu działo i pomimo to nie chcesz uwierzyć?!

CZAN CZÜAN: Powiedziałam już raz. Nie wierzę i nie uwierzę w to nigdy. Czy mistrz nie mówił całkiem wyraźnie, że się go chce zgubić?! Nie mam tylko śmiałości zapytać go, co się właściwie stało.

DZE LAN: Przed chwilą poszedł Ling Czün Dze Kiao i Czang Kin Ta Fu. Obaj byli świadkami zajścia i opowiedzieli wszystko ze szczegółami. Szkoda, żeś tego nie słyszała razem z nami.

CZAN CZÜAN: Cóż oni takiego opowiadali?

DZE LAN: Przybyli oni tutaj właściwie po to, aby odwiedzić mistrza. Ponieważ jednak nie było go w domu, opowiedzieli naszym ludziom całe zajście.

CZAN CZÜAN: Ale co oni mówili?

DZE LAN: Mówili, że widzieli na własne oczy, jak mistrz trzymał w pałacu moją mamę w objęciach i chciał ją pocałować.

CZAN CZÜAN: Kłamstwo, jakiego świat nie słyszał! I ja miałabym w tę potwarz uwierzyć?!

DZE LAN: Dla ciebie wszystko kłamstwo! Nawet jeśli ci wszystko dokładnie opowiem, nie uwierzysz. Ale to chyba wiesz, że dziś rano byłem u mistrza z poleceniem, aby przybył do pałacu. Mama prosiła go o krytyczne uwagi do inscenizacji jego pieśni *Kiu-Ko*, którą przygotowała na uroczystość pożegnalną ku czci Czang I. Kiedy mama w pałacu przeprowadzała z mistrzem próby, ojciec był z wizytą u Ling Czün Dze Kiao. W pewnej chwili mama poprosiła Czang Kin Ta Fu, aby poszedł po ojca. Przypadkowo był także Czang I u Ling Czün Dze Kiao. Wrócili tedy wszyscy razem do pałacu. Zaledwie jednak weszli do środka, zobaczyli, jak mistrz trzymał mamę w ten sposób... (*czyni ruch, jakby chciał objąć Czan Czüan, ale ona wymyka mu się*). Kiedy on w ten sposób trzymał mamę w ramionach, usiłowała ona w śmiertelnej trwodze wyrwać się z jego objęć. I ty uważasz, że tu wszystko jest w porządku. Że to nic zdrożnego?! Ale posłuchaj dalej! Kiedy mistrz zobaczył ojca, wtedy prędko odepchnął matkę od siebie. Ojciec oczywiście wściekł się i przepędził mistrza na cztery wiatry. Ling Czün Dze Kiao powiedział przed chwilą, że wrócili w samą porę i że gdyby się byli bodaj o ćwierć godzinki spóźnili, byłoby się mistrzowi prawdopodobnie udało dokonać swego haniebnego postępku.

CZAN CZÜAN: Czy to naprawdę ich własne słowa?

DZE LAN: Oczywiście. Zresztą zapytaj Sung Jü. Ja jeszcze mam pilne sprawy do załatwienia. (*Wychodzi przednią furtką*).

CZAN CZÜAN (*idzie w stronę pawilonu*): Czy to prawda? Czy oni to samo mówili?

SUNG JÜ: Tak. Mówili to samo. A poza tym trzeba by jeszcze dodać, że nie przybyli tu równocześnie i że nie obaj razem opowiadali przebieg całego zajścia, ale jeden po drugim. Pomimo to słowa ich sprawiały wrażenie, jakby się obaj umówili.

CZAN CZÜAN: Powiedz mi, czy ty potrafisz w to uwierzyć?

SUNG JÜ: Nie rozumiem, dlaczego miałbym mieć wątpliwości. Czy może dlatego, że ty w to nie wierzysz? Mistrz jest od dwóch lat wdowcem. No, a te piękne wiosenne dni też mają pewien wpływ...

CZAN CZÜAN: Mówiąc tak nierozsądnie wyrządzasz panu wielką krzywdę. Dawno już zauważyłam, że w ogóle w swoim postępowaniu jesteś chwiejny.

SUNG JÜ: Ty na mnie z buzią, a ja tymczasem jeszcze mam nadzieję, że nie będę musiał w to wszystko uwierzyć. Jakie możesz mi przedłożyć dowody na poparcie swego stanowiska?

CZAN CZÜAN: Jeżeli czegoś nie widziałam na własne oczy, nie muszę w to uwierzyć. Tym bardziej, jeżeli mi to mówi byle kto. Pomyśl tylko. Kiedy ja wieczorem usługuję panu, traktuje on mnie zupełnie tak samo, jak gdybym była jego rodzoną córką. Jeszcze nigdy nie pozwolił sobie na żadne frywolne słowo w stosunku do mnie. Czy to nie jest dostatecznie przekonywający dowód?

SUNG JÜ: Panno Czan Czüan, jesteś za wielką idealistką.

CZAN CZÜAN: Gdyby nawet! Ale ty naprawdę sprzeniewierzyłeś się panu, wypowiadając takie sądy.

SUNG JÜ: Wstydzę się sam za siebie, ale doprawdy nie potrafię być inny. Żałuję także, że będę musiał stąd odejść. Okażę się niewdzięcznikiem w stosunku do swego mistrza, który mnie wychował. A przecież cenię sobie bardzo wysoko jego naukę. Czan Czüan, podejdź tylko bliżej, chcę ci coś dać.

CZAN CZÜAN: Cóż to takiego?

SUNG JÜ: Coś, co mistrz dla mnie napisał.

CZAN CZÜAN (*szybko biegnąc po stopniach do pawilonu*): Coś, co pan napisał?

SUNG JÜ (*wyjmując z zanadrza wiersz o pomarańczy*): Mistrz napisał ten wiersz dzisiaj wczesnym rankiem. (*Podaje go Czan Czüan*).

CZAN CZÜAN (*bierze wiersz do ręki i podziwia go z radosnym wyrazem twarzy*): O proszę, wiersz o pomarańczy! Hymn pochwalny na cześć pięknej pomarańczy! Pomarańcza to mój ulubiony owoc.

SUNG JÜ: Mistrz dał mi go dzisiaj rano w pawilonie. Przy tej okazji wygłosił także do niego długie pouczenie.

CZAN CZÜAN: Czy możesz mi powtórzyć to pouczenie?

SUNG JÜ: Było ono trochę przydługie. Nie pamiętam go już dokładnie. Wysłuchanie takiego długiego pouczenia zajęłoby ci teraz zbyt wiele czasu. Na mnie osobiście zrobiło ono wielkie wrażenie. Ale w pa-

mięci utkwiły mi tylko główne myśli. Mistrz przytoczył mi drzewo pomarańczowe jako przykład. Podkreślił pewne jego właściwości, a więc to, że nie jest ani bojaźliwe, ani leniwe, ani chwiejne, i te myśli rozwinął szerzej w wierszu.

CZAN CZÜAN: Czy jeszcze coś powiedział?

SUNG JÜ: Później opowiadał mi o wielkich ludziach, którzy żyli w przeszłości. Postawił mi za wzór wielkiego Po I, który, aby tylko zachować swój wysoki poziom moralny, wolał umrzeć z głodu na górze Szou Jang. Takie wybitne postacie powinniśmy stale mieć przed oczami. Powinniśmy żyć w blasku i czystości, a kiedy nam przyjdzie umrzeć, powinniśmy się starać, aby śmierć nasza była piękna.

CZAN CZÜAN: Tak, to były piękne słowa.

SUNG JÜ: Kiedy ich rano słuchałem, postanowiłem sobie w głębi duszy, że nie zapomnę ich nigdy. Ale teraz widzę jasno: powiedzieć nie jest tak trudno, ale postępować według tego, co się powiedziało, nie jest bynajmniej łatwo.

CZAN CZÜAN: Czy chcesz przez to powiedzieć, że słowa i czyny mistrza nie zgadzają się ze sobą?

SUNG JÜ: Mówię, co czuję. Nie chcę bynajmniej umniejszać wielkości mistrza. Niejedno słowo, wypowiedziane przez niego, jest tego rodzaju, że nie chciałbym doprawdy pojmować go powierzchownie.

CZAN CZÜAN: Cóż to za słowo?

SUNG JÜ: Mistrz powiedział, że wytęży wszystkie siły, ażeby się uczyć od ludu i od dzieci. Zwracał mi także uwagę, abym go nie przeceniał i abym nie przesadzał w niedocenianiu siebie.

CZAN CZÜAN: Prawdopodobnie cenisz teraz wyżej siebie, aniżeli mistrza?

SUNG JÜ: E, z tobą to w ogóle nie można gadać, Czan Czüan! A to naprawdę jest dobre zalecenie: ażebyśmy się uczyli od ludu. Wiesz, kiedy widziałem jak starzec przywoływał duszę mistrza, wpadłem na pomysł napisania wspaniałego poematu. Chcę go napisać w ciągu dwóch dni. Zatytułuję go *Przywołanie duszy*. Bardzo sobie po nim dużo obiecuję i mam nadzieję, że wytrzyma on porównanie z *Kiu Ko* naszego mistrza.

CZAN CZÜAN: No to gratuluję. Uważaj tylko, abyś nie przywołał własnej duszy.

SUNG JÜ: Jeżeli masz ochotę kpić sobie ze mnie, proszę bardzo! (*Schodzi po stopniach pawilonu*).

W tej chwili wchodzi przednią furtką Dze Lan, niosąc stare księgi. Za nim idą z bagażem na plecach: odźwierna Czü Jüana, Ko Czu i stara strażniczka ogniska Ko Huang.

CZAN CZÜAN (*woła z pawilonu*): Ko Czu! Ko Huang! Dokąd to się wybieracie?

CZU: Niestety muszę stąd odejść.

HUANG: Ja się tu boję pozostać, panno Czan Czüan.

CZAN CZÜAN: Tam idziecie?

HUANG: Królewicz Dze Lan dał nam zapłatę.

CZU: Mamy udać się do pałacu króla.

SUNG JÜ (*schodzi po stopniach i idzie do Dze Lana):* Królewiczu Dze Lan! Pozwólcie mi także przeprowadzić się do pałacu.

DZE LAN: Ależ oczywiście! Moja mama bardzo cię lubi i na pewno bardzo się ucieszy.

SUNG JÜ: Ze wszystkich rzeczy mistrza nie zabiorę ze sobą nic oprócz Kin Ko.

DZE LAN: Ależ weźże coś! Przecież tu jest dużo rzeczy, które ci się mogą przydać. Przyniosę ci niektóre! (*Pokazuje mu zwoje, które ma przy sobie*): Miałeś na nie szczególną ochotę. O proszę. Historia państwa *Czu Tao Wu.*

SUNG JÜ: Pozwól, że poniosę jedną część *Tao Wu.*

DZE LAN: Dobrze (*dzieli na dwie części i jedną mu daje*).

Czan Czüan stoi u wejścia do pawilonu. Zacisnęła zęby i widać jak na jej twarzy odmalowuje się już to smutek, już to nienawiść, już to gorycz.

DZE LAN (*zbliża się do pawilonu i z udaną powagą podchodzi do Czan Czüan*): Panno Czan Czüan! Chciałbym się z tobą pożegnać. Podejdź no bliżej, chcę ci coś powiedzieć. Czy chcesz?

CZAN CZÜAN (*stoi nieruchoma i nie mówi ani słowa*).

DZE LAN: Dzisiaj rano, kiedy siedziałem u ciebie w pawilonie, zapytałem cię, kogo naprawdę kochasz. Śmiejąc się odpowiedziałaś mi, że kochasz tego, kto ciebie kocha. Teraz dopiero rozumiem sens twojego powiedzenia. Ty nie kochasz mnie, kulejącego królewicza. Ty kochasz tego szaleńca!

CZAN CZÜAN (*gotowa rozpłakać się ze złości*): Wszyscy jesteście bez serca!

DZE LAN: Powstrzymaj swój gniew. Pragnę ci jeszcze oznajmić pewną nowość. Twój pan wziął nogi za pas.

CZAN CZÜAN (*przerażona*): Co?!

CZU: Tak. Właśnie wyszedł z domu.

HUANG: Zaraz po wyjściu z ogrodu zaczął iść bardzo szybko. Miał na głowie wysokie nakrycie i bardzo kosztowny miecz u pasa.

CZAN CZÜAN: Czy nic nie mówił, dokąd idzie?

HUANG: Robił wrażenie straszne. Nie mówił nic.

CZU: Nie byłabym się nigdy ośmieliła pytać!

SUNG JÜ (*przerażony*): Jestem pewien, że mistrz wyszedł z domu nie po to, aby zabić kogoś, ale samego siebie.

CZAN CZÜAN (*biegnie w dół po stopniach pawilonu, wybiega przednią furtką ogrodową i woła*): Panie! Panie! (*Jeszcze po zapadnięciu kurtyny słychać jej nieustanne wołanie*).

POZOSTALI: Biegnijcie! Szybko! Trzeba obezwładnić szaleńca! (*Wybiegają przednią furtką ogrodową*).

KURTYNA

Z ORYGINAŁU CHIŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁ JAN WYPLER PRZY WSPÓŁPRACY LITERACKIEJ ALEKSANRDA WIDERY.

KUO MO-ŻO

Autorem dramatu, którego fragment drukujemy w przekładzie polskiego sinologa, jest premier Chin Ludowych, Kuo Mo-Żo. Sztuka nosi tytuł *Czü-Jüan* albo *W imię ludu* i została napisana w 1942 roku. Czü-Jüan to postać autentyczna. Żył w wieku III i IV przed n. e. Przez pewien czas zajmował w państwie Czu ważne stanowisko i wywierał decydujący wpływ na rządy kraju, działając — nawet wbrew panującemu — dla dobra ojczyzny i ludu. Na skutek intryg i oszczerstw musiał pójść na wygnanie. Drukowany akt obrazuje właśnie pewien etap owych intryg. W rzeczywistości wygnanie złamało Czü-Jüana (bohater zwątpiwszy w przyszłość ojczyzny po kilku latach popełnia samobójstwo), Kuo Mo-Żo daje jednak dramatowi zakończenie pozytywne. Przekonany przez prostych ludzi Czü-Jüan postanawia żyć i walczyć dalej o swoje ideały.

Główna postać dramatu jest aktualna nie tylko dzięki założeniom dydaktycznym sztuki. Czü-Jüan, minister i poeta, który język Chin Południowych wprowadził po raz pierwszy do poezji chińskiej, do dziś cieszy się popularnością. Na jego cześć co roku nad Yang Tse odbywa się w dniu 5 maja „Uroczystość smoczych barek". Przystrojone łodzie pływają po wodach rzeki jakby w poszukiwaniu ciała poety (Czü-Jüan się utopił). Świętujący rzucają w głębiny ciasto ryżowe owinięte w bambusowe liście. Poeta stał się postacią do tego stopnia mityczną, że dawne święto słońca przekształciło się stopniowo w święto Czü-Jüana.

(Podane informacje pochodzą z referatu, jaki na temat sztuki Kuo Mo-Żo wygłosiła w Katowicach dr Aleksandra Mianowska).

„MŁODZI IDĄ NAPRZÓD!"

Мы все за мир!
Клятву дают народы.
Мы все за мир!
Пусть зеленеют всходы.
Мы все за мир!
Реют знамена свободы.
Молодость цветет,
Молодость зовет,
Молодость идет вперед.

Z pieśni S. Tulikowa, która zdobyła pierwszą nagrodę na Festiwalu w Berlinie.

Pisząc zamieszczone niżej wspomienia nie usiłowałem sprostać trudnemu zadaniu całościowego ujęcia wrażeń z III Zlotu Młodych Bojowników o Pokój w Berlinie. Nie usiłowałem również dać jakiejś wyczerpującej oceny politycznej Zlotu Berlińskiego i stąd może ewentualne braki w doborze zagadnień. Fragmenty te są natomiast próbą pokazania kilku bardziej zindywidualizowanych obrazów naszego życia na Zlocie oraz własnych refleksji i wniosków, jakie nasuwały mi się jeszcze w Berlinie, bądź już po powrocie do kraju. Być może, uda mi się przybliżyć trochę czytelnikowi atmosferę, tak trudną do przekazania tym, którzy nie mieli szczęścia być w te wielkie dni w Berlinie.

*

Jadąc do Berlina wierzyłem w przemiany, jakie dokonały się w Niemczech Wschodnich, wierzyłem w nowych ludzi i w młodzież Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Naoczne zetknięcie się z nowymi Niemcami nie tylko potwierdziło, ale i przerosło moje dotychczasowe wyobrażenia. Toteż wspomnienia o faszyzmie niemieckim były tylko wspomnieniami, była to pamięć tragicznej lekcji historii, jaką przeżył naród niemiecki.

Byłem w Berlinie po raz pierwszy. Znałem go dotąd jedynie z własnych wyobrażeń. I choć od sześciu lat przestał już być stolicą faszyzmu niemieckiego i powiewają nad nim czerwone flagi ludzi budujących nowy świat, często i natrętnie zjawiał mi się przed oczami obraz, jaki stworzyłem sobie w czasie okupacji, obraz faszystowskiego Berlina. Więc to właśnie tymi ulicami przechadzali się oficerowie Gestapo i SS. Więc po tych właśnie ulicach jeździły lśniące samochody wiozące dygnitarzy NSDAP i rządu faszystowskiego.

To była niedawna rzeczywistość. Ale wystarczyło szeroko otworzyć oczy, by tamten obraz, wracający siłą przypomnienia, utrwalony niegdyś ostro na kliszy myśli, by ten obraz znikał i odpływał jak coś, co nie może już być ani potworną prawdą, ani nawet koszmarną wizją. Wokoło roześmiani chłopcy i dziewczęta. Pełno narodowych strojów, kwiaty wyrastające na chodnikach i asfalcie jezdni. Domy ubrane flagami i transparentami, których napisy mówią we wszystkich językach słowa: „Pokój" i „Przyjaźń"! Oto nowy obraz Berlina, jaki utkwił mi i pozostał na zawsze w pamięci.

W Berlinie rozmawiano w setkach języków, rozumiejąc i nie rozumiejąc słów. Rozmawialiśmy najczęściej po rosyjsku, niemiecku, francusku, angielsku. Ale te właśnie słowa: „Pokój" i „Przyjaźń" znaliśmy w wielu, wielu językach. Spotkałem się kiedyś z Finami. Przyjacielski uścisk ręki. Później próby rozmowy. Przyjaciele z Finlandii, z którymi się spotkałem, nie mówili żadnym ze znanych mi języków zachodnioeuropejskich. Nie znali rosyjskiego. A przecież po kilku chwilach z dumą powtarzałem „pokój" i „przyjaźń" po fińsku: *„Rauha, ystävyys"*. Młodzi poznali na Zlocie te dwa słowa ludzkiej, wielojęzycznej mowy. Nie tylko w słowniku. Poznali je w wyrazie młodych twarzy, w spojrzeniu płonących oczu, w uścisku ludzkich dłoni.

Ale jednak są w Berlinie ulice, po których jeżdżą oficerowie SS i Gestapo, po których przechadzają się ponure postacie policjantów z pałkami. Jeśli podejść pod Bramę Brandenburską, która stoi na granicy demokratycznego sektora, oczy napotykają pustkę jakby wymarłego miasta, przyzwyczajone do barwy flag błądzą po szarych murach. Tam właśnie jeżdżą oficerowie SS i Gestapo. Najczęściej autentyczni, w mundurach policji zachodnio-niemieckiej. Wysocy dygnitarze zmienili wozy, jeżdżą amerykańskimi limuzynami lub w amerykańskich wojskowych „łazikach". Noszą na sobie angielskie czy amerykańskie mundury. To okupanci oblewający krwią młodych chłopców i dziewcząt przymierze z ukrytym na krótki czas i wydobytym znowu faszyzmem za-

chodnio-niemieckim. Ponura pieczęć przyjaźni barbarzyńców dwudziestego wieku.

Prowokacja władz okupacyjnych zachodniego sektora wobec młodzieży FDJ-owskiej jest znana. Kilkanaście tysięcy młodych chłopców i dziewcząt, którzy na zaproszenie burmistrza Reutera udali się na tamtą stronę, by manifestować sprawę pokoju i przyjaźni, zostało zmasakrowanych przez policję zachodnio-niemiecką. Ponad czterysta osób przenieśli na rękach koledzy wycofujący się pod pałkami policji, pod ogniem pistoletów i petard. Wytoczono nawet karabiny maszynowe... Policjanci wrzucali ludzi do szybów prowadzących na tory metra. Ktoś lękając się możliwej śmierci pod kołami pociągu elektrycznego chwycił się rękami za drabinkę żelazną. Zmiażdżono mu je kolbami. Dziewczęta bili gumowymi pałkami w piersi. Z precyzją używali również pałek drewnianych. Jakiś inwalida pokazywał kulę, na której było wgłębienie od uderzenia pałką. Takie uderzenie potrafiłoby mu złamać nogę, gdyby ją posiadał. Z ponad czterystu zmasakrowanych chłopców i dziewcząt, którzy znaleźli się w szpitalu, cztery osoby zmarły w kilka dni.

Chociaż więc w myśl ulotek rzucanych co dzień przez Amerykanów na wschodni sektor panuje u nich wolność, to jednak każdy z nas lękał się, by przypadkowo nie przejechać metrem granicy demokratycznego sektora. Sprawdzaliśmy kilkakrotnie przystanki na planie Berlina, choć na końcowych stacjach ostrzegano przez megafony: *„Die letzte Station des demokratischen Sektors. Alle Teilnehmer der dritten Weltfestspielen aussteigen!"*

Z powodu wielkiego przeciążenia komunikacji w dni wielkich manifestacji część stacji U- oraz S-Bahn'u była zamknięta. Wielu uczestników nie orientując się w tym zarządzeniu przeżyło chwile lęku, gdy pociąg mijał parę stacji bez zatrzymania. A jeśli już się nie zatrzyma? Koledzy mówili mi potem, że byli zdecydowani użyć w takim razie hamulców bezpieczeństwa.

Pamiętam grupkę delegatów francuskich, którzy znaleźli się w takim samym położeniu jak ja. Nasza stacja przeznaczenia była zamknięta. Staliśmy na peronie w *Stadtmitte* informując się szczegółowo o połączenie i stację, na której trzeba wysiąść.

— Jeszcze dwie stacje, a na trzeciej są faszyści — powiedział wysoki brunet z chustą „picassowską" na szyi.

Nie, nikt z delegatów, nikt z nas nie chciał się znaleźć twarzą w twarz z faszystą niemieckim czy amerykańskim. W Berlinie bardziej się czuje faszyzm. Jest o wiele bliżej. O jedną stację metra. Po krwawej masakrze

młodzieży 15 sierpnia jeszcze raz zobaczyłem w całej ohydzie twarz faszysty. Twarz w kształcie dolara ociekającego krwią.

Noc idzie, czarna noc z twarzą dolara...

— pisał poeta.

Właśnie dlatego młode dziewczęta i chłopcy z FDJ mają na ramionach i znaczkach godło wschodzącego słońca: *Die aufstehende Sonne*. Po to, by przebić blaskiem i zwyciężyć czarną noc faszyzmu.

*

Idziemy przez *Stalinallee* w stronę metra.

— Patrz — mówię do dziennikarki Joanny — jak wspaniale wygląda ta ulica tonąca w niekończącej się perspektywie flag wszystkich narodów.

Z boku idzie i patrzy na nas jakiś staruszek. W pewnej chwili decyduje się. Podchodzi.

— *Polen?* — pyta. Za chwilę idziemy już razem.

— Jestem z zachodniego sektora — mówi nam — ale co dzień, co dzień jestem tutaj. Muszę to wszystko oglądać i podziwiać. Całe moje życie, całe moje serce i nadzieja są tutaj.

Mówi, opowiada. Ma się wrażenie, że to nie starzec siedemdziesięcioletni. Że to jest właśnie zaciętość, żywość i polot młodego chłopca z FDJ. A może i tak jest? Młodzież niemiecka, nowa młodzież zgrupowana w Związku Wolnej Młodzieży Niemieckiej, ma wielką zasługę w odbudowaniu nie tylko wielu zburzonych części swej ojczyzny, ale również w odbudowaniu wielu zniszczonych wnętrz ludzkich, którym wróciła pogodę i nadzieję.

Dochodzimy do metra. Po drugiej stronie ulicy stoi wspaniała hala sportowa, ukończona na parę dni przed rozpoczęciem Festiwalu.

— Patrzcie — mówi staruszek w ożywieniu — kilka miesięcy temu stał tu taki grubas z fajką, przyglądał się. Mówił mi: ,,Prędzej stanę na głowie, niż wybudujecie tę halę''. I patrzcie, hala ukończona, a on z pewnością nie stanął na głowie. Zatrzymać — trzęsie głową — zatrzymać nowego życia nie potrafią nasi wrogowie, choć chcieliby to zrobić.

— No, a w zachodnim Berlinie — pyta w pewnej chwili Joanna — nie ma nic do obejrzenia?

— Tak — pada natychmiastowa odpowiedź — można oglądać czołgi amerykańskie.

Uśmiech znika z jego twarzy. Przypomina mi się wystawa odbudowującego się Berlina. Na wielkim planie miasta na zachodnim sektorze

widnieje napis: „*Vorsicht! Lebensgefahr!*", a niżej namalowano kontury czołgów.

Żegnamy się. Ten stary człowiek ma dziwnie gorący uścisk dłoni. Przyjaźń! *Freundschaft!* O tym mówią nam nie tylko jego usta. O tym mówi nam jego znowu młoda twarz. Nie wierzcie, skoro będą wam mówić o zewnętrznej tylko przemianie narodu niemieckiego. Tak mogą mówić tylko ci, co nie rozumieją historii. Ta przemiana zstąpiła do serc. Obserwujemy ją w czynach.

Zapamiętałem twarz starego człowieka. Jedna z wielu twarzy nowych Niemiec.

*

Do Köpenick, gdzie miało się odbyć spotkanie delegacji polskiej z młodzieżą zachodnio-niemiecką, przyjechaliśmy autokarami. Nieprzeliczony tłum młodych czekających na nas. Idziemy szpalerem, obrzucani kwiatami. Chciałoby się je zatrzymać przy sobie, gdyż mówią o miłości i przyjaźni. „*Freundschaft für immer!*" — takimi słowami wita nas młodzież zachodnio-niemiecka. Odrzucamy kwiaty niemieckim kolegom i towarzyszom.

Stoimy objąwszy się ramionami. Przemawia Max Reimann, przewodnik klasy robotniczej Niemiec zachodnich. Niesposób oderwać oczu od tej twarzy, która płonie i drży. Reimann mówi o młodych, pomordowanych przez policję zachodnio-niemiecką podczas przekraczania granicy. Ten człowiek się spala. I nagle na twarz jego wypływa wyraz niepohamowanej pogardy. „*Ach so, Herr Adenauer...*" — zaczyna. Nie, klasa robotnicza Niemiec zachodnich nie podniesie broni przeciw tej polskiej młodzieży, która stoi tutaj wraz z niemieckimi towarzyszami. Nie, panie Adenauer, ludzie, z których chciałeś stworzyć armię neofaszystowską, którym chciałeś dać do ręki faszystowski bagnet i karabin, są tutaj! Dwadzieścia sześć tysięcy młodzieży zachodnio-niemieckiej jest w Berlinie!

Na rękach zetempowców Reimann płynie nad tłumem. I kwiaty, znowu kwiaty. Ci, co stoją dalej, podają bukiety i wiązanki kolegom i koleżankom znajdującym się na przodzie. Siwy mężczyzna o pooranej bruzdami twarzy jest wzruszony. Nieśmiało, ruchem dziecka zasłania twarz przed padającymi kwiatami.

Mała polska pionierka zastanawia się chwilę. Potem podchodzi do Maxa Reimanna, zdejmuje swój znaczek pionierski i z poważną miną przykręca mu go do klapy marynarki. Chyba nie rozumie jeszcze całej wymowy tego, co robi, nie rozumie jeszcze tak głęboko, jak my. Ten mężczyzna o siwych włosach, który mógłby przecież być jej ojcem,

zrozumiał dar. Uśmiecha się, przygarnia małą i całuje serdecznie. Jakaż wielka jest potęga przyjaźni! Polskiej pionierki i niemieckiego komunisty osiwiałego przedwcześnie w walce, w kazamatach faszystów.

Koło mnie stoi kolega z FDJ o kuli. Nie ma nogi. Spogląda na Reimanna i małą pionierkę. W pewnej chwili dotyka lekko ręką mego ramienia.

— *Das war in Warschau* — pokazuje na kulę. — *Ich war nur ein einfaches Soldat.* — W oczach ma łzy. — Nigdy, nigdy Warszawa nie zobaczy już żadnego niemieckiego żołnierza z bronią w ręku!

Wierzę ci, przyjacielu! Wierzę wam, wszyscy niemieccy przyjaciele, prowadzący trudną walkę w Niemczech zachodnich. Wierzę słowom Maxa Reimanna. Wierzę zaciśniętym ustom młodego FDJ-owca, gdy rozmawiam z nim o ich trudnej walce. Oni, stamtąd, uśmiechają się rzadziej. Ale skoro poczują się chwilę na wolnej niemieckiej ziemi, uśmiech wraca na ich usta. Wierzę uśmiechowi szczęścia młodej dziewczyny. Wasze szczęście w dni Zlotu znaczy: nieubłagana walka potem. „Prości ludzie znają mordercę. Prości ludzie obetną mu ręce" — tłumaczę naprędce na niemieckie słowa poety.

— Tak — mówią niemieccy towarzysze.

Była noc. Musieliśmy już jechać z powrotem. Dopiero kilkakrotne wezwanie przez megafony kończy manifestację.

W autokarze koleżanka pokazuje nam znaczek z gołąbkiem pokoju.

— Czy wiecie — pyta — jaką cenę ma ten znaczek? Dostałam go od kierownika grupy Helgolandu.

Każdy z nas pełny jest przeżyć i wrażeń. Przez ramię kolegi, plastyka, patrzę na świeżo zrobiony portret Reimanna. Są rysy w twarzach ludzi walczących, które je różnią od innych. Kreśliła je walka ciężkich lat. To one tworzą tajemnicę piękna tych twarzy. Tajemnicę piękna prawdziwego człowieka...

*

Rozmawiam z młodą komunistką angielską, którą poznałem kilka minut temu na koncercie. Mówimy o literaturze. Dyskutuję z nią nad pojęciem realizmu. Nie zgadzam się trochę z jej sądem. W końcu dochodzi do porozumienia. Opowiadam jej o nowej literaturze polskiej, o literaturze radzieckiej. Literatury polskiej nie zna, radziecką trochę z zeszytów S o v j e t l i t e r a t u r. Zresztą teraz zaczęła uczyć się po rosyjsku. Przekręca, a jednak z dumą wypowiada poszczególne słowa. Idziemy ulicą *Unter den Linden* — to jedna z najpiękniejszych ulic Berlina.

— Popatrz — mówi do mnie Mary — w kraju zapewniano mnie, że nigdzie nie będę mogła się poruszać swobodnie. A tymczasem chodzimy, gdzie chcemy, nie krępowani przez nikogo.

— Pewnie wam mówiono, że każdego delegata zagranicznego będzie pilnował agent?

Mary się śmieje. — Właśnie tak mówili.

— Obejrzyj się — rzucam — a może za tobą chodzi agent?

Moja koleżanka śmieje się jeszcze bardziej. — Ileż tysięcy agentów byłoby potrzeba — powiada.

Zapada letni zmierzch. Powoli nikną kolory flag, którymi obwieszone są wszystkie mury, każdy dom, każdy maszt.

— Jakaż niespodzianka — mówi Mary — te flagi. U nas nie wywiesza się flag państw demokratycznych. Chiny są reprezentowane przez nędzną flagę kuomintangowską. A u was i angielskie, i amerykańskie.

— One nie mówią nam o faszystach anglo-amerykańskich — odpowiadam. — Mówią nam o wielkich narodach z ogromną kulturą: angielskim i amerykańskim. Trumani przychodzą i odchodzą...

— Odejdą — wybucha z pasją Mary — oni muszą odejść. I to jak najprędzej!

— Przyjedziesz do domu — mówię — będziesz opowiadać o tym, co widziałaś tutaj.

— Wielu nie uwierzy mi. Nie będą chcieli zmieniać swych przekonań, z którymi im tak wygodnie.

— To będzie po prostu zwykłe kłamstwo „komunistki"!?

Potakuje głową.

— Nie masz pojęcia, co pisze się w naszej reakcyjnej prasie o Związku Radzieckim i krajach demokracji ludowej. A w amerykańskiej!? Tam jest jeszcze gorzej...

Słuchając Mary przypominam sobie, że poprzedniego dnia opowiadał mi kolega o Dunkach, które ze śmiechem pokazywały duńskie gazety donoszące, że uczestnicy Zlotu cierpią głód...

— Jak wrócę do kraju — mówi cicho Mary — być może zostanę usunięta z pracy za to, że jestem tutaj z wami...

Z głośników płynie melodia popularnych masowych piosenek wszystkich narodów.

In Berlin, in Berlin blühn die Rosen
In August, in August in Berlin...

„Einheit, Freiheit, Frieden" — mówi inna piosenka. *„Frieden wollen alle guten Menschen — wir rufen Frieden!"*

— *So* — odwraca się do nas koleżanka z FDJ — *Frieden wollen alle guten Menschen. Wir rufen Frieden!*

— Pisz — mówi do mnie przy rozstaniu Mary. — Pisz do mnie. Te listy będą dla mnie czymś takim, jak listy od ludzi wolnych do więźnia. Do więźnia w ponurej celi kapitalistycznego świata.

*

Siedzę na parterze w *Komische Oper*. Za chwilę ma się rozpocząć francuski program artystyczny. Zawiązuję znajomości z sąsiadami. Nawet przelotne słowa wymieniane w krótkich przerwach programu mają pełne brzmienie; ileż treści, pełnego zrozumienia, ile poczucia jedności idei i walki. Z jednej strony siedzą Włosi, z drugiej jakiś Kanadyjczyk, z którym porozumiewam się w łamanym żargonie rosyjsko-ukraińskim. Jego rodzice byli Ukraińcami i stąd zna trochę język.

— Ile u was było podpisów pod apelem Rady Pokoju? — pyta mnie Włoch po francusku.

Wymieniam cyfrę.

— Tak — zachmurzył się. — U nas mniej, o wiele mniej. Ale — dodaje — my mamy faszyzm, a wy socjalizm.

Tkwi w tych słowach radość z naszych osiągnięć, ale i głęboka troska o swoją ojczyznę.

— Ilu u was komunistów? — pytam, by zatrzeć bruzdy na jego twarzy, choć znam doskonale tę liczbę.

— Cztery miliony — odpowiada z dumą. — To jest potęga. Mamy za sobą naród. Komuniści dawno otrzymaliby z jego rąk władzę i potrafiliby ją utrzymać, gdyby nie faszyści i okupacja amerykańska.

Spod jego słów wypowiadanych z właściwym Włochom temperamentem wyłania się sytuacja społeczna i polityczna tego kraju wielkich sprzeczności, jeszcze feudalnej własności obszarniczej i rewolucyjnego proletariatu, zrewoltowanego chłopstwa. A z drugiej strony faszyści i okupanci amerykańscy.

Opowiadam włoskiemu koledze o naszym życiu, o naszej walce i trudnościach, jakże innego rodzaju, walce o plan, o naszych sukcesach. Chcę mu przekazać nadzieję, że i u nich zwycięży niedługo czerwony sztandar ludu. Oczy jego się rozjaśniają. — *Bandiera rossa trionfera... Si...* — szepnął po włosku.

Za nami zaczyna się nagle jakieś ożywienie, poruszenie. Głowy się odwracają, kierują w jedno miejsce.

— Raymonde Dien — mówi ktoś głośno.

Niedaleko nas stoi szczupła, uśmiechnięta dziewczyna, którą w tej chwili zaczynają otaczać delegaci wielu krajów. Patrzę i trudno mi uwierzyć w pierwszej chwili. Więc to właśnie ta uśmiechnięta, trochę zakłopotana owacjami dziewczyna zdobyła się na odwagę zrobienia ze siebie żywej zapory na drodze pociągu z amerykańską bronią? Być może tysiącom pocisków odebrała prawo spadnięcia na domy mieszkalne i pogrzebania pod nimi bezbronnych dzieci. Setki czołgów nie przejadą nigdy przez piersi pomordowanych żołnierzy. Za przykładem jej walki dokerzy Francji i Włoch odmawiają wyładunku amerykańskich statków-widm.

Naokoło wiele wzruszonych twarzy, pałających spojrzeń. Imię Raymonde jest na wszystkich ustach. Bo ono znaczy dla nas w tej chwili to samo, co słowo „pokój". Gdyż taka jest właśnie jego cena, cena walki i niestrudzonego, codziennego bohaterstwa milionów prostych ludzi, dla których wśród innych bojowników i Raymonde stała się żywym wskazaniem walki.

— Patrz — włoski kolega bierze mnie za rękę — patrz, jak wielka jest miłość prostych ludzi do tych, którzy walczą o ich szczęście.

— U nas — mówi do mnie kolega z Kanady patrząc na Raymonde — bandy faszystowskie napadają na domy, w których mieszkają ludzie biorący udział w akcji obrony pokoju.

— U nas — mówię — budujemy nowe wsie i miasta, szkoły i huty, by potęgą naszego socjalistycznego państwa skuteczniej walczyć o pokój.

Tu i tam, wszędzie, gdzie wymawiane jest imię człowieka, leży front. Często jest on prawdziwym frontem. Na pierwszym piętrze dostrzegam dziewczęta koreańskie. Wyróżniają się prostym, lecz przedziwnie pięknym strojem narodowym. Piękne, choć inne od naszych rysy twarzy. Twarze dziewcząt są uśmiechnięte i ręce wyciągnięte w stronę Raymonde. Jeszcze tak niedawno spoglądały z trwogą i nienawiścią na złowrogie cienie faszystowskich samolotów poruszających się po niebie nad ich ojczyzną. Więc spod bomb i pocisków można wynieść taką wolę życia i radość życia?

Wierzcie, stamtąd wynosi się jej najwięcej, jeśli zna się sens tej okrutnej walki. Jest to prawda, którą poznaliśmy patrząc na kolegów i towarzyszy ze wszystkich tych miejsc świata, gdzie najbardziej bezwstydnie i krwiożerczo panuje faszyzm. Ten młodziutki, może piętnasto czy szesnastoletni Koreańczyk o piersi pokrytej medalami, bohater walki — czyż to właśnie nie wspaniałe świadectwo woli i radości życia?

I gdzie tylko zwrócę oczy, spotykam ręce podniesione do góry. Te ręce pozdrawiające Raymonde mówią zarazem NIE! nowej wojnie. Miliony rąk prostych ludzi, mocne i natchnione, kochające życie i groźne dla wroga człowieka, zatrzymają wojnę.

Nigdy, nigdy nie wierzyłem w to tak głęboko i mocno, nie miałem tak bezwzględnej pewności tego, jak w dni berlińskiego Zlotu. Ten Koreańczyk, Włoch, Komsomolec, Kanadyjczyk, FDJ-owiec — opowiedzą swoim, co widzieli i przeżyli. Słuchając ich ludzie będą napełniać się wiarą w zwycięstwo i nieubłaganą wolą walki.

Siadamy. Wracamy do przerwanej rozmowy. Tylko siedzący niedaleko mnie kolega, rzeźbiarz, który otrzymał w tym roku państwową nagrodę artystyczną za rzeźbę Raymonde Dien, nie spuszcza z niej jeszcze oczu. Jeszcze raz kontroluje widocznie swoją wizję, którą wydobył w swej pracowni z niekształtnego bloku.

*

Prości ludzie całego świata zwyciężą wojnę, jeśli połączą swe ręce. Potrafimy przeciwstawić się każdej próbie podpalenia świata. Wiemy, że faszyści chcieliby zapalić potworny fajerwerk odchodzącej klasie. Ale jej rola historyczna skończyła się dawno. Klasa robotnicza jest zwycięskim promotorem dziejów, a pod jej sztandary przechodzi cała postępowa ludzkość, wszyscy gnębieni i uciskani. Ludzie tworzą historię. Na naszym etapie zaczynają ją tworzyć świadomie w skali światowej. Decyzja należy do nas. I zwycięstwo będzie po naszej stronie. Bo taka jest właśnie dialektyka historii, dialektyka historii naszego czasu.

Tego nauczyliśmy się na Zlocie. I wierzymy w to.

Jacek Trznadel

SUPLEMENT Z R. 1789 W R. 1951

Z początkiem maja br. ukazał się specjalny *Suplement* do pism czytelnikowskich opatrzony datą 1789. Opracował go zespół czterech ludzi „ku uczczeniu Dni Oświaty, Książki i Prasy".

Można by przejść nad tym *Suplementem* do porządku dziennego, gdyby potraktowano go jako ciekawą próbę uczniów szkoły dziennikarskiej, zrobioną dla celów ćwiczebnych, mającą wykazać na materiale historycznym, w jaki sposób należy umieszczać opis wydarzeń na szpaltach dziennika, aby jak najbardziej frapująco zaspokoić głód wiadomości i wychować czytelnika w duchu postępowej ideologii.

Niestety, dodatek potraktowany został poważnie, zasługuje przeto na spojrzenie surowe.

„Niniejszy *Suplement* — czytamy w notatce informacyjnej — złożony jest całkowicie z autentycznych tekstów wybranych z prasy warszawskiej z maja 1789 roku oraz z autentycznych tekstów literackich tej epoki. Powiązanie z chwilą dzisiejszą zostało pomyślane przy pomocy tytułów".

Nie zestawiając jeszcze poszczególnych artykułów z materiałem osiemnastowiecznym, chwytamy wydawców na niekonsekwencji już na pierwszej stronicy. Nie pomylimy się chyba twierdząc, że redaktorzy *Suplementu* wjechali w epokę stanisławowską lokomotywą. Nie do pomyślenia jest przecież, aby lekkobieżną nawet soliterką wieziona, dotarła do Warszawy jeszcze w maju wiadomość, datowana w Londynie 22 tego miesiąca, o wyborze Washingtona na prezydenta Ameryki albo wiadomość z Paryża, opatrzona datą 25 maja, o karze wymierzonej przywódcy „buntu głodnych" na przedmieściu St. Antoine.

Przy ówczesnych możliwościach komunikacyjnych wiadomość z Londynu wędrowała do Warszawy przynajmniej trzy tygodnie, z Paryża o tydzień krócej. Tak było istotnie. I nie „z prasy warszawskiej z maja" przepisano te wiadomości, ale z miesiąca następnego. Wiadomość z Londynu podała G a z e t a W a r s z a w s k a 17 czerwca 1789 roku; w tymże dniu zamieściła ona również wspomnianą wieść z Paryża.

W *Suplemencie* znajduje się — jakby na przekór — najmniej wiadomości z maja. Notujemy zaledwie kilka pozycji: o locie balonem Blancharda, o debacie sejmowej nad niebezpieczeństwem buntów chłopskich na Ukrainie i o wystąpieniu stanu trzeciego w Paryżu. Zdecydowana większość materiału jest wydobyta z G a z e t y W a r s z a w s k i e j z czerwca 1789 roku. Artykuł czołówkowy pt. *Sprawiedliwy głos kasztelana Jezierskiego* przepisany został z G a z e t y W a r s z a w s k i e j z dnia 11 kwietnia 1789 roku. Z tego miesiąca notujemy również parę innych pozycji.

Ale nie te sprostowania są najistotniejsze. Interesuje nas, dlaczego z reakcyjnej na wylot gazety łuskinowskiej wydawcy *Suplementu* zrobili postępowy, rewolucyjny nieomal organ prasowy? Tu tkwi zarzut najpoważniejszy. Warszawa w roku 1789 nie posiadała dziennika o podobnym obliczu. Do P a m i ę t n i k a H i s t o r y c z n o-P o-

litycznego i Ekonomicznego, miesięcznika, o którym można powiedzieć, że w tym właśnie czasie był nieoficjalnym organem prasowym Kuźnicy Kołłątajowskiej i Warszawy mieszczańskiej, wydawcy *Suplementu* nie dotarli.

Dlatego *Suplement* daje obraz prasy warszawskiej tego czasu jak najbardziej fałszywy. Tytułowanie wyciągniętych z reakcyjnego kontekstu fragmentów gazety łuskinowskiej sprowadziło wydawców *Suplementu* w sposób nieunikniony do niedorzeczności. Za taką uważać należy przecież ogłoszenie z dnia 10 i 24 czerwca 1789 roku o ucieczce służby, opatrzone nagłówkiem satyrycznym: *Łapaj człowieka dla nagrody 10 zł,* bo tekst ten był pisany zupełnie serio z innej pozycji ideologicznej.

Dalszym zagadnieniem domagającym się pedagogicznej chłosty jest problem skrótu cudzego tekstu. Na tego rodzaju zabieg można sobie pozwolić, szczególnie trzeba go uprawiać w dziennikarstwie, tylko należy o tym odpowiednio powiadomić czytelnika. Podobnie przedstawia się sprawa z zagadnieniem kompilacji. Mieszanie słów własnych z tekstem zapożyczonym wymaga dla zachowania cudzej własności, użycia cudzysłowu.

Nie pamiętali o tych zasadach wydawcy *Suplementu*. I tak w artykule czołówkowym opuścili oni bez znaku zdanie Jezierskiego, w którym znany ten działacz domagał się, „ażeby srebra kościelne i dzwony nadto zbywające na potrzeby wojska obrócone zostały". Artykulik opatrzony tytułem: *Do gwałtownych kroków doszło w Marsylii,* jest dużym skrótem i kompilacją wiadomości w Suplemencie do Gazety Warszawskiej z 3 czerwca i 10 czerwca 1789 roku. I tego w *Suplemencie* nie zaznaczono. Okrutne cięcia, deformujące tekst osiemnastowieczny, zrobiono w artykule *Angielskie hultaje koloniści Nową Holandię założyli.* Artykulik składa się z trzech zdań, z których środkowe, informujące o założeniu świeżej kolonii, jest nie wyróżnionym płodem redaktorów *Suplementu,* opartym na obszernym opisie w Suplemencie do Gazety Warszawskiej z 29 kwietnia 1789 roku. W sprawozdaniu z jubileuszu obchodzonego w Szkole Głównej Koronnej opuszczono bez znaku informację, że prof. Trzciński był „kanonikiem koadj. krak.". Z Gazety Warszawskiej z 17 czerwca 1789 r. wyjęto tylko pierwsze zdanie z obszerniejszego wstępu traktującego o sojuszu turecko-szwedzkim: „Nowy turecki cesarz Selim III cały tchnie duchem wojennym". Wiadomość o synowcu starego cesarza (Abdul Hamid umarł 7 kwietnia 1789 roku) jest jedyną wzmianką o konflikcie turecko-rosyjskim, który został wznowiony wojną właśnie w miesiącu maju 1789 roku.

Podobnych wyliczonych powyżej dowodów na niewłaściwe posługiwanie się wypożyczanym tekstem moglibyśmy wykazać więcej. Ograniczamy się tutaj do zdań podanych dla przykładu.

Z kolei wypada się zastanowić, czy *Suplement* jest istotnie odbiciem najistotniejszych wydarzeń zaszłych w maju 1789 roku. I tutaj zgłosimy swoje zastrzeżenia. Nie znajdujemy w nim wzmianki dotyczącej najważniejszej w tym miesiącu uchwały sejmowej w sprawie wybierania dziesiątego grosza z dóbr dziedzicznych i z miast. Wydano zarządzenia o lustracji majątków. W związku z tą uchwałą pisał Świtkowski (Pamiętnik Historyczno-Polityczny i Ekonomiczny, Warszawa 1789, roku VIII część 5, s. 533): „Chwalebnej i wielkiej wdzięczności od miłośników statystyki godny jest przepis dla przyszłych lustratorów, aby przy wyciąganiu intrat po miastach i wsiach dochodzili i zapisywali także, wiele by gdzie było kominów, ludzi, wiele fabryk, manufaktur itd. Gdyby pilność i przezorność lustratorów rozciągnęła się jeszcze do zapisania w adnotacjach swoich, wiele gdzie jest koni, wołów i krów, świń, owiec, rząd miałby przeto dokładniejsze wyobrażenie powszechnego krajowego majątku i prawdziwej potęgi jego".

Ani słowem nie wzmiankuje *Suplement* o „pierwszym w Polsce festynie narodowym", urządzonym z okazji imienin Stanisława Małachowskiego przez króla, marszałka Sapiehę i stany sejmujące w Pałacu i Ogrodzie Rzeczypospolitej, chociaż jego opisowi Łuskina poświęcił oddzielny dodatek. Obok lotu balonem Blancharda (10 maja) festyn ten był w maju 1789 roku największą atrakcją stolicy. Trzecim wydarzeniem było przywiezienie pod strażą do Warszawy 25 maja, dyzunickiego episkopa słuckiego z jego oficjałem i pięcioma duchownymi, oskarżonych o podburzanie chłopów do buntu. Wydarzenie to, jak głosi świadectwo ówczesne, „niezmiernego ludu ciekawość pociągnęło na siebie".

Skoro mowa o informacji, chcielibyśmy przeczytać w *Suplemencie* wzmiankę o Lucchesinim, który w tym miesiącu został mianowany posłem pruskim u dworu Stanisława Augusta i Rzeczypospolitej w Warszawie.

Wiadomości te można było zamieścić kosztem niektórych tanich i efekciarskich ogłoszeń, którymi zapełniono kartę trzecią *Suplementu*.

Obok strony informacyjnej zwraca naszą uwagę w tym osiemnastowiecznym dodatku czytelnikowskim — literatura.

Fragmenty z dzieła Staszica *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego* zostały wykorzystane do dwóch artykułów. Pierwszy z nich pt. *Przeciw monopolium kupiectwa* umieszczono w rubryce: *W świetle dnia*, chociaż — *Uwagi* wyszły drukiem w roku 1787. Artykuł drugi pomyślano w formie wywiadu z autorem. Redaktorzy poprzedzili go wstępem: „Publiczną jest wiadomością, że Stanisław Staszic, gdy przed niedawnym czasem na sejmie dyskutowany był kodeks imć Jana Zamoyskiego, za nim się opowiadał. Kodeks ów przez posłów szlacheckich obalony został, jako że duch wolności zawierał. Niedawno właśnie drukiem ogłoszono Stanisława Staszica *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*".

„Przed niedawnym czasem" ... dziewięciu lat; kodeks dyskutowany był bowiem w roku 1780, a autorem jego nie był „imć Jan", ale Andrzej Zamoyski. Jego kodeks został istotnie obalony przez posłów szlacheckich, ale też z szlacheckich posłów składał się sejm współczesny *Suplementowi*. Skąd też ta pozycja plebejska w czasopiśmie oficjalnym z roku 1789? „Duch wolności" uprasza się łaskawie o przeniesienie go z przypadku czwartego do drugiego zgodnie z konwencją naszego języka obowiązującą w wieku osiemnastym i dzisiaj. *Uwagi* — jak już zaznaczyliśmy — ukazały się drukiem po raz pierwszy w roku 1787. Bibliografie (Estreicher, Korbut) podają mylnie rok 1785. Dopiero Władysław Konopczyński (*Wśród błędów*, Przegląd Powszechny, Warszawa 1950, t. 230, nr 7—8, s. 46) ustalił datę właściwą. Sprostowanie bardzo ważne, ale należy wątpić, czy w oparciu o nie redaktorzy *Suplementu* pisali o *Uwagach* jako dziele „niedawno drukiem ogłoszonym". Chciejmy wierzyć, że mieli na względzie wzmiankowane przez bibliografie wydanie drugie *Uwag* z roku 1788. Wywiad przeprowadzono więc z opóźnieniem rocznym. Jak na gazetę nowoczesną, zaniedbanie to duże.

Nad wybranymi w sposób swawolny fragmentami odezwy *Do prześwietnej deputacji* widnieje nazwisko drugiego czołowego pisarza politycznego epoki, Hugona Kołłątaja. Czy zgodziłby się je współcześnie przywódca Kuźnicy dekonspirować dla kilku zdań zamieszczonych w gazecie, należy mocno wątpić, tym bardziej, że wydanie odezwy drukiem oddzielnie i — po raz drugi — we wstępie do *Prawa politycznego* nastąpiło po ukazaniu się *Suplementu*. *Prawo polityczne* wyszło drukiem — jak wiadomo — w roku 1790.

Reprezentowana jest w *Suplemencie* również literatura piękna. Wydobywamy

nazwiska Krasickiego i Węgierskiego. I tutaj zdumiewa nas niżej niż gimnazjalna kompetencja obywateli redaktorów. Na stronie drugiej *Suplementu* oprawiono w ramkę pierwszą strofę z pieśni piątej *Monomachii* (tak!) oraz bajkę *Owieczka i pasterz*. Obydwie pozycje opatrzono wspólnym tytułem: *Bajki*.

Na stronie czwartej utwory K. Węgierskiego i I. Krasickiego opatrzono równie przylegającym do zamieszczonych tekstów tytułem *Fraszki*. *Nagrobek Stanisławowi Konarskiemu* wymyka się z systematyki redaktorów *Suplementu* już w rozumowaniu ucznia czytającego literacki elementarz. Wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli w ręce utwory I. Krasickiego, wiedzą, że *Pan nie wart sługi* nie jest fraszką, ale satyrą. *Moja ekskuza* Węgierskiego prosiłaby się również o przeniesienie jej w miejsce strofy z piątej księgi *Monomachii* (!), albowiem sam autor zaliczył ją do bajek.

Pan Podstoli Krasickiego awansował po raz pierwszy w *Suplemencie* na powieść odcinkową. Na uwagę podawców zasłużył fragment poruszający problem edukacji niewiast z rozdziału X księgi III części II *Podstolego*. Część tę wydał autor po raz pierwszy drukiem wraz z reedytowaną częścią pierwszą w roku 1784. Nosiła ona już bardzo wyraźne znamiona uwstecznienia ideologicznego pisarza i z pewnością postępowa redakcja nie zgodziłaby się drukować tego dzieła w całości w roku 1789. Sądzimy przeto, że ciąg jej dalszy mimo zapowiedzi *Suplementu* — nie nastąpi.

Literatura piękna umieszczona w *Suplemencie* jest charakterystyczna dla lat poprzedzających dyskusję sejmową nad kodeksem Andrzeja Zamoyskiego. W roku 1789 Krasicki należy już jako pisarz postępowy do przeszłości; z listy żywych skreślono też K. Węgierskiego, który ostatnie swoje lata spędził w oderwaniu od kraju. Na Parnasie warszawskim czołowe miejsca w tym czasie zajmują: Zabłocki i Niemcewicz — żeby wymienić tylko nazwiska znane potocznie. Literatura tego okresu nosi charakter wybitnie polityczny — tak poezja jak i romans. Aktualne czasopismo winno przeto było zamieścić wiersze współczesne, przyniesione do drukarni bezpośrednio z warsztatu poety. Tak wówczas robiono. Jeżeli chodzi o powieść, reprezentatywnym pisarzem tego czasu będzie już nie Krasicki, ale Jezierski.

Wykazanych powyżej błędów i skażeń nie potrafi nagrodzić w *Suplemencie* świetna dziennikarska technika, przykuwająca wzrok do tekstu, zwłaszcza kiedy uprzytomnimy sobie, za jaką cenę ją przeprowadzono.

Wydawcy wykorzystali w dodatku stusześćdziesięcioletnie doświadczenie dziennikarskie. Od gazety osiemnastowiecznej różni się też *Suplement* formatem, w wieku Stanisława Augusta nieznanym, różnią go tytuły, które w gazecie czasów sejmu czteroletniego nie występowały, różni ilustracja pisma (w *Suplemencie* znajdujemy pięć fotografii i cztery rysunki), jak również podział materiału na pewne rubryki. I tak ogłoszenia, zamieszczane w S u p l e m e n c i e łuskinowskim zazwyczaj na ostatniej stronie, rozbili wydawcy czytelnikowskiego dodatku na działy: 1) *Spacerkiem po Warszawie*, 2) *Łapaj człowieka*, 3) *Ogłoszenia*, 4) *Książki nowe* — uzyskując tym sposobem duży efekt dziennikarski. Rewelacją jest powieść odcinkowa, której nie znajdujemy w żadnym innym czasopiśmie osiemnastowiecznym.

Te — wymienione z grubsza — osiągnięcia gazety dzisiejszej wprowadzone w czasy sejmu czteroletniego, zła łuskinowskiego nie naprawią, choćby dlatego, że minionej epoce podają wzór w sposób wybitnie niedialektyczny.

Dlatego *Suplement* nie spełnił roli pozytywnej w społeczeństwie. Wprost przeciwnie, uczynił on dużą szkodę nauczycielowi dziejów ojczystych przez zafałszowanie obrazu rzeczywistości historycznej.

Roman Kaleta

PRZEZ MOST IDŹ, JOANNO

Teatr Polski we Wrocławiu podjął cenną inicjatywę wzbogacenia naszego repertuaru klasycznego niewątpliwie wartościową pozycją, jaką stanowi grana od 22 lipca br. — po raz pierwszy w Polsce — komedia Lope de Vegi, *Przez most idź, Joanno*. Jest to tym bardziej godne podkreślenia, że wielki dramaturg hiszpański aż do r. 1948 był znany szerszej publiczności polskiej najczęściej tylko z nazwiska. Fakt ten pozostaje w tak rażącej sprzeczności z jego pozycją w literaturze światowej i z istotną wartością jego sztuk, że staje się zrozumiały jedynie jako wynik działania czynników pozaliterackich. Nie należy oczywiście negować takich okoliczności, jak np. trudność przekładu (świadczy o tym chociażby wykorzystane przez Teatr Polski tłumaczenie Ireny Bołtuć-Staszewskiej), słaba znajomość języka i kultury hiszpańskiej w Polsce itp., ale decydującą rolę odegrał tu z pewnością czynnik klasowy. Burżuazji polskiej bynajmniej nie zależało na wydobywaniu i popularyzowaniu literatury wyrastającej z nurtu plebejskiego. Szekspir był zbyt wielki, by go w ogóle ignorować, można było tylko robić zeń oderwanego od rzeczywistości marzyciela i fantastę; wobec Lope de Vegi zastosowano taktykę przemilczania.

Twórczość jego, stanowiąca najwyższe osiągnięcie hiszpańskiego Odrodzenia w dziedzinie dramaturgii, odzwierciedla całą jego specyfikę i bogactwo. Wyjątkowemu stanowisku, jakie podówczas zajmowała Hiszpania w Europie, zawdzięcza literatura hiszpańska tego okresu silniejsze niż gdziekolwiek indziej nasycenie elementami narodowymi i ludowymi. Wskazują na to nawet zewnętrzne szczegóły: bohaterowie Szekspira mogą występować w kostiumach greckich, francuskich, duńskich itp., u Lope de Vegi spotykamy jedynie Hiszpanów z krwi i kości. I jedni, i drudzy są ludźmi Renesansu, ale postaci z komedii Lope de Vegi są przy tym markizami, damami itp. i nigdy o tym nie zapominają. Zadecydowała o tym słabość mieszczaństwa i wynikający stąd szlachecki charakter Odrodzenia hiszpańskiego. Nie mieszczaństwo, lecz tzw. *hidalgia* (drobna i średnia szlachta) była w Hiszpanii bazą społeczną absolutyzmu, łudząc się pozorem władzy ponadklasowej, idealnie sprawiedliwej i mądrej. Złudzeniom tym uległ i Lope de Vega, co z jednej strony pozwoliło mu zachować optymistyczne spojrzenie na świat, z drugiej — stało się źródłem pewnych skrzywień w odbiciu rzeczywistości.

W sztuce, o której mowa, nie ma wprawdzie króla, ale do pewnego stopnia jego funkcje pełni markiz de Villena. Do niego bowiem zwraca się Joanna i on, jako najwyższa instancja, decyduje o losach jej i don Diega. Takie zakończenie nie wynika organicznie z akcji komedii i nie jest uzasadnione psychologicznie; konflikt wewnętrzny dwojga kochanków rozstrzyga ktoś trzeci w sposób czysto „administracyjny". Zaważyła tu wspomniana wyżej koncepcja dobrego władcy.

Na jej karb skłonni jesteśmy także złożyć pozorną idealizację markiza w końcowej scenie. Tu jednak trzeba być ostrożnym, gdyż właściwie markiz tam się nie zmienia. Zmienia się jedynie sytuacja społeczna Joanny, a tym samym i jego stosunek do niej. W tym sensie scena ta demaskuje go raczej niż idealizuje, dopełniając zarysowanego już w toku akcji obrazu podwójnej moralności. Motyw przebrania bohaterki nie jest tu bowiem czysto formalną sztuczką, lecz ma swą określoną funkcję ideologiczną. Zabieg ten ma tę dobrą stronę, że pozwala przeprowadzić w ramach komedii ostrą krytykę obyczajową, stwarzając wygodne wyjście z sytuacji i uwalniając tym samym pisarza od obowiązku ukazania jej konsekwencji społecznych. Bo nie ulega wątpliwości, że gdyby Joanna była tylko Joanną a nie Izabelą de Nevares, konflikt nie dałby się tak łatwo rozwiązać, a właściwie po prostu usunąć, jak to ma miejsce w zakończeniu sztuki. Wprowadzenie na scenę prawdziwych bohaterów z ludu wymagało od pisarza większego zaangażowania politycznego, zajęcia jasnej i zdecydowanej postawy, na którą już w okresie pisania *Joanny* trudno mu się było zdobyć, mimo zachowanych do końca życia sympatii demokratycznych. Wystarczy porównać tę sztukę np. z *Owczym źródłem*, by stwierdzić wycofywanie się Lope de Vegi z zajmowanych tam pozycji. Zamiast zwartej gromady walczących o swe prawa chłopów — dama przebrana za wiejską dziewczynę, zamiast płynącego z poczucia siły optymizmu — *happy end* uzyskany za cenę uchylenia konfliktu. Zachodzi pytanie, jakimi kryteriami kierowała się dyrekcja Teatru Polskiego wybierając z nieprzebranej skarbnicy Lope de Vegi tę właśnie sztukę, która mimo niezaprzeczalnych wartości nie należy jednak do szczytowych osiągnięć autora *Owczego źródła*?

Plebejski charakter komedyj Lope de Vegi wycisnął swe piętno na ich stronie artystycznej. Wywodząc się z tradycji ludowej w pewnym stopniu zbliżają się one do komedii *dell'arte*, stanowiąc jakby wyższy, jakościowo różny etap jej rozwoju. Komedie Lope de Vegi operują już wprawdzie tekstem literackim, ale sama ich ilość (ok. 2000) wskazuje na to, że nie wycyzelowanie poszczególnych kwestii aktorskich było w nich najważniejsze. Ważna była konstrukcja losu bohaterów i ogólny sens ich wypowiedzi. Ze względu na ten właśnie specyficzny charakter sztuk Lope de Vegi wydaje mi się dopuszczalna, a nawet wskazana — wobec szczególnych trudności wynikających w znacznej mierze z odrębności języków i kultur narodowych — większa niż w innych wypadkach dowolność przekładu. Przekład Staszewskiej wskazuje, do czego może doprowadzić słuszny w zasadzie postulat wierności; tekst obfituje w partie nieraz wręcz niezrozumiałe, co chyba nie jest właściwością stylu oryginału. Bo co znaczy np. takie zdanie:

Żegnajcie, żyły krwi pełne,
Duszo i ty piersi mocna,
W jej wiernych ramionach żyj.

Albo:

Stamtąd zaś posłałam giermka,
By w Toledo szukał ciebie
Widząc, że w powodzi zmartwień
Stał się krukiem, przyszłam sama.

Domyślamy się wprawdzie, o co chodzi; giermek po prostu przepadł bez wieści, ale po co ten kruk? Być może, że jest to przejrzysta dla Hiszpana aluzja do jakiejś popularnej tam historii o kruku; w polskim tekście figuruje chyba tylko po to, „żeby trudniej było zgadnąć".

Niektóre partie nie są nawet wolne od błędów językowych. Np. taki fragment monologu Joanny:

Szczęśliwa jestem, widząc, jak kochany
Swym niepokojem moje noce spłaca,
Których bezsenność sam przeżywać z d a n y.

Albo trudny nawet do wymówienia zestrój akcentowy: „i s i ę z d a j e". Dalej spotykamy błędy z dziedziny składni. Np. nagła, nieuzasadniona zmiana podmiotu gramatycznego (logiczny pozostaje ten sam): „W e ź to pismo... — i w tym samym zdaniu nieco dalej — ...n i e c h w y b a c z y", albo: „Przyznaję zobowiązania moje" itp. Inaczej mówiąc — „dużo w tej mowie niegramatyczności". Ponadto rymy częstochowskie („byłaś — przybyłaś", „zatrudnienie — pożywienie" itp.) nie są chyba nieodzownym elementem stylu Lope de Vegi i można ich było uniknąć.

Braki przekładu stawiają w wyjątkowo trudnej sytuacji aktorów. Wytwarza się bowiem sprzeczność pomiędzy postulowanym przez reżysera (Czesław Staszewski) — zgodnie z charakterem sztuki — swobodnym stylem gry, a sztucznością i zawiłością tękstu. Sprzeczność ta najmniej razi w słowach Stefana (Michalak), któremu wolno mówić nawet całkiem bez sensu; natomiast wyraźnie komplikuje i tak niełatwą rolę Joanny, a także większości pozostałych postaci. Obronną ręką wychodzi z tych trudności Maria Zbyszewska-Benoit, odtwarzająca w roli Inez postać naiwnej i sprytnej zarazem służebnej (warto przypomnieć np. jej pełne szczerego przerażenia „och!" w odpowiedzi na groźne słowa Joanny dotyczące don Diega: „Wydrzeć mu duszę"). Krystyna Ciechomska (Joanna) miała rolę o wiele trudniejszą, gdyż w postaci tej współistnieją niejako dwie natury — prawdziwa i przybrana — walczące ze sobą o pierwszeństwo. Może dlatego Joanna jest chwilami blada i nieprzekonywająca, podobnie jak don Diego. W ogóle można powiedzieć śmiało, że najlepiej wypadły sceny zbiorowe, np. scena nad rzeką. Być może, że wpłynęło na to ograniczenie w tych scenach roli tekstu na korzyść innych elementów przedstawienia, jak gesty, mimika, tło muzyczne, a zwłaszcza — dekoracje. Złożone z niewielu stałych motywów (most nad Tajo, miasto w perspektywie, fragment zamku markiza) dzięki nieznacznym obrotom i dwuplanowej kompozycji stwarzały coraz to nową oprawę dla poszczególnych scen komedii.

Tytuł *Przez most idź, Joanno* — brzmi nieco ekscentrycznie, jak wszystkie tytuły w formie wołacza. Niezbyt się on do tej funkcji nadaje. W tym wypadku — przetłumaczony dosłownie z oryginału (*Por la puente, Juana*) — ma zresztą swoją wymowę. Są to pierwsze słowa piosenki śpiewanej w punkcie kulminacyjnym sztuki i mającej ostrzec Joannę przed niebezpieczeństwem. Umieszczenie ich w tytule służy podkreśleniu dramatyczności akcji, która jest dość rzadką zaletą i której brak położył niejedną sztukę pod innymi względami bardzo wartościową.

Przemysława Matuszewska

W BŁĘDOMIERZU

Polityka kulturalna Polski powojennej uległa w pierwszym okresie częściowo gustom drobnomieszczańskim. Jednakże w ciągu kilku zaledwie lat nastąpiło przewartościowanie kultury i skierowanie jej na drogę wytyczoną w słowach Prezydenta Bieruta. Definitywnie znikły ze scen polskich *Seanse*, *Kobiety we mgle* itp. Teatr przejął swą właściwą funkcję: stał się ważnym czynnikiem w „przełamywaniu najstraszliwszej siły milionów" (według Lenina), tzn. w rewolucji kulturalnej.

W takiej sytuacji repertuar, sięgający jedynie do dzieł klasycznych, okazał się niewystarczający. Na równi z poezją, która zwalczyła resztki tkwiących w niej do niedawna pierwiastków dekadentyzmu: grozy, symboliki, katastrofizmu, oraz prozą, „chlubiącą" się przed rokiem 1939 podobnymi elementami, wznosi się sztuka do godności realnego odtwarzania życia doby dzisiejszej. Niełatwą drogę musi przejść artysta, aby z zaświatów, w których chronił się przed faszyzacją i złem, zejść na pozycje walczącego, pracującego człowieka. Nie zawsze mu się to udaje.

Jarosław Iwaszkiewicz, sięgając po nową problematykę, obciążony był całym balastem sztuki dekadenckiej. Nowa treść społeczna zatraciła swoją wyrazistość przez wstawienie jej w ramy konstrukcji psychologistycznej. Konflikt społeczny został rzucony na tło zagmatwań osobisto-erotycznych, wysuwających się stale na plan pierwszy. Z tych powodów *W Błędomierzu*, niewątpliwe osiągnięcie Iwaszkiewicza na drodze do realizmu socjalistycznego, zagubiło się częściowo w psychologizmie i w analizie (nietypowej) atmosfery domu inteligenckiego.

W skrócie życie głównego bohatera sztuki zamknąć można w słowach: przed wojną endek, antysemita, uwodziciel narzeczonej brata i defraudant. W zamierzonej przez autora samokrytyce, bardziej przypominającej spowiedź, Konrad Siwicki przemilcza swą działalność polityczną sprzed roku 1939; oskarża siebie jedynie o brudne sprawki, związane z bratem. Konrad nie rozumie jeszcze winy wyrządzonej społeczeństwu. Postawa jego sugeruje, iż praca stała się dlań jeszcze jedną maską oportunizmu. Z małymi odchyleniami (jak np. nie zrealizowana próba ucieczki z domu, od żony i matki) ulegał on w zupełności atmosferze domu stworzonej przez rodziców.

Obrachunki inteligenckie trwają długo. Przeobrażenie dokonuje się dopiero w r. 1945. Pozytywnemu ich zakończeniu dopomaga przyjazd brata, Stanisława, i rozmowa z młodym ZWM-owcem, Rysiem. Konrad Siwicki zrozumiał, że musi oczyścić sobie ręce z plam przeszłości.

Wadliwe wydaje się uwarunkowanie przemiany wewnętrznej bohatera czynnikami osobistymi, przy jednoczesnym ukazaniu bogatej problematyki społecznej, która mogłaby być wykorzystana jako źródło tej przemiany. Krzywdy wyrządzone społeczeństwu, niejasno sformułowane, a stale zamykane w słowach „brudne ręce" i odrodzenie wewnętrzne, które będzie gdzieś, kiedyś dokonane, przerzucają to ważne zagadnienie w jakiś metafizyczny krąg winy i kary.

Błędne ujęcie tego problemu zaważyło negatywnie na całości sztuki, wzbudzając w widzu uczucie, które nie powinno tu mieć miejsca, uczucie litości dla Konrada. Potęguje je jeszcze nastrojowo-liryczne zakończenie, wyjazd eks-burmistrza z żoną i małą córeczką w deszczową noc. Nie zdobył się tu Iwaszkiewicz na zupełne odejście od dotychczasowych pozycji: katastrofizmu i spojrzenia na człowieka, jako na jednostkę zagubioną w życiu. Należało wyraźnie sprecyzować zarzuty dotyczące Siwickiego i następnie dać mu możność naprawienia tego zła w środowisku, w którym je wyrządził. Inżynier Siwicki — nie burmistrz, ale inżynier musiał pozostać w Błędo-

mierzu, tym bardziej, iż jako jedyny fachowiec niezbędny był w odbudowie miasta. Wyjazd w nowe, nie znające jego przeszłości środowisko nie sprzyja zmaganiom wewnętrznym słabego człowieka; przeciwnie, może się stać zwyczajną ucieczką, zbyt łatwym wymazaniem win.

Dwie osoby uświadamiają Siwickiemu konieczność całkowitego przeobrażenia się: Stanisław i Rysio. Autor uniknął tu szablonowego i fałszywego konfliktu dwu pokoleń. Na ironiczne słowa burmistrza o walce młodych ze starymi pada odpowiedź Rysia: „walka młodych ze złem". Pozytywne jednostki to nie tylko Rysio i Wala. Obok nich stoją i starsi: Stanisław, Księżyna, aptekarz, częściowo i Staniewicz. Nie udało się tylko Iwaszkiewiczowi uniknąć drugiej, często zagrażającej łatwizny: typy negatywne (zwłaszcza matka Konrada) są realnymi, żywymi ludźmi, w przeciwstawieniu do bardziej papierowych pozytywów. Wśród tych drugich na uwagę zasługują jedynie młodzi. Rysio wchodzi do nowego życia z młodzieńczym optymizmem, bez obciążeń inteligenckich. Wala natomiast, produkt dusznej atmosfery domu „królowej Błędomierza", nad którym zawisło jakieś „fatum", musi przejść ciężką walkę ze sobą. Uświadomienie klasowe (należy do ZWM), zmagające się z głęboką miłością do ojca, dają w efekcie dobrą, realistyczną scenę.

Owo „fatum", prześladujące dom państwa Siwickich, widoczna reminiscencja Ibsena (*Podpory społeczeństwa*), nie zawisło jednak po ibsenowsku, bez przyczyny. Zostało wykazane podłoże warunkujące jego powstanie.

Pozostali bohaterowie pozytywni to przeważnie tzw. „dobrzy ludzie". Cecha papierowości i nijakości zaciążyła zwłaszcza na lekarzu Stanisławie, który miał wszelkie dane ku temu, by stać się naprawdę żywym człowiekiem. Nieliczne określenia, jakie słyszymy o nim: „Komunista, bolszewik" — niewystarczająco argumentują fakt przejęcia przez niego stanowiska burmistrza Błędomierza. Jeszcze słabiej wypadła postać Staniewicza, obecnego przewodniczącego M. R. N., którego najlepiej scharakteryzował jego własny syn: „robotnik z powiastek przedwojennych dla dzieci".

Z pozostałych osób słyszymy tylko wzmiankę o aptekarzu, który kiedyś przebywał w więzieniu razem ze Stanisławem.

Na uboczu, poza głównym konfliktem, znajdują się dwie postaci: stara nauczycielka języka niemieckiego i jej wnuk-poeta. Panna Urszula Wolffke niewiele rozumie z przemian zachodzących w jej najbliższym otoczeniu. Stanowi ona jaskrawy kontrast do „starszej pani" Siwickiej. (Pani doktorowa wręcz wrogo nastawiona jest do nowych rządów spoczywających w rękach ludzi podobnych do „jakiegoś tam bolszewika", jak się wyrażała zawsze o Stanisławie). Głęboka wiara w ludzi p. Wolffke została załamana przez jej rodaków. Błędem autora jest skierowanie zarzutu pod adresem wszystkich Niemców, ujmowanie całego narodu niemieckiego jako narodu wrogiego Polsce.

W postaci Klemensa intryguje jego poezja, której dekadentyzmem upajają się młodzi ZWM-owcy. Sam Klemens natomiast jest odarty z maski bohatera wyrastającego ponad rzeczywistość i szukającego dla siebie wód, portów, kanałów *etc.* za zieloną granicą.

Dramat Iwaszkiewicza, podobnie jak jego proza, budzi mimo psychologizowania głęboki oddźwięk. Pozwolę sobie zacytować wypowiedź robotnicy poznańskiej umieszczoną w pamiętniku z okresu okupacji (II nagroda na konkursie KCZZ). Irena Nieznaniec pisze m. in.: „Czytałam wszystko, co mi przypadkowo wpadło do ręki, bez wyboru i bez planu. Sienkiewicza, Prusa, Reymonta... lecz nade wszystko Iwaszkiewicza. Wyda się Wam to może dziwne, lecz Iwaszkiewicz jest moim najbardziej

ulubionym pisarzem. Dlaczego? Może dlatego, że jest obcy, daleki, nie z tego świata, a mimo to na każdej stronicy jego książki mogłam siebie odnaleźć. Nawet jego bezradność wobec ludzi i świata była częstokroć moją bezradnością. Jakże długo każdy z nas był tak samo bezradny, zanim zrozumiał, o co i dlaczego powinien walczyć".

W ostatecznej ocenie sztuka *W Błędomierzu*, napisana w roku 1951, stanowi poważny krok naprzód na drodze do ukazania człowieka rozumiejącego już swą rolę w społeczeństwie, cel swej walki i jej przyczynę. *W Błędomierzu* wiązania między rzeczywistością a psychologią rwą się jeszcze, ale odnajdujemy już ich wiele.

Na zakończenie jeszcze parę słów o realizacji scenicznej. Reżyseria Marii Wiercińskiej rozbudowywała sugestie autora. Uwydatniło się to zwłaszcza w nastrojowo-lirycznym zakończeniu. Poza tym wprowadzone zostały nie zaznaczone w scenariuszu elementy humorystyczne: dog (Izolda) Klemensa, oświetlenie „czułego młodzieńca" kryjącego się w mroku pokoju i inne.

Janusz Mazanek grał trudną rolę inżyniera Siwickiego. Postawa powściągliwości zaważyła niepotrzebnie w momentach, które powinny były, według autora, wzruszać. Feliks Żukowski usiłował ratować papierową postać Stanisława (w tekście) stanowczością głosu, nadmiarem gestykulacji. Najlepszą trójką w zespole była: Halina Drohocka, która dała świetną kreację emerytowanej nauczycielki, Stanisław Jasiukiewicz i Barbara Krafftówna. Stanisław Jasiukiewicz szczerze i bezpośrednio zagrał rolę Rysia; podobnie wywiązała się ze swego zadania Krafftówna (Wala Siwicka). Minimalne zastrzeżenie budzić może zbyt hałaśliwy sposób wyrażania się Rysia i Wali. Nazbyt demoniczna była doktorowa Siwicka (Antonina Dunajewska). Postać Oli (Zofia Komorowska) została przejaskrawiona w swej prostoduszności, wbrew intencjom autora. Ola Siwicka, nie tak dawno porucznik Wojska Polskiego, musi wiedzieć, na czym polega jej rola w świecie.

Dekoracja Jadwigi Przeradzkiej plastycznie ukazuje wnętrze dość zamożnego mieszkania inteligenckiego. Charakterystyczną cechą tego domu są stale otwarte drzwi, które jako symbol gościnności (a w istocie pozostałość po wymaganiach nie żyjącego już doktora Siwickiego) nie bardzo godzą się z odpychającym despotyzmem ekskrólowej miasta, Walentyny Siwickiej.

Elżbieta Rogalska

KLASYCY LITERATURY POWSZECHNEJ

Franciszek Villon, WIELKI TESTAMENT. Przełożył Tadeusz Boy-Żeleński. Zdobiła drzeworytami Maria Hiszpańska. Warszawa 1950, Książka i Wiedza.

„Człowiek, który usiłuje pojąć siebie i nie potrafi, szuka drogi i jej nie znajduje". Dla tej impresji „znad Villona" znajdziemy pełną dokumentację w jego zaskakującej bogactwem artystycznego rzemiosła poezji. Bogactwo uczuć ludzkich, którym zachwycali się dwaj odkrywcy Villona, dla Francji cygan paryski Gautier, dla Polski krakowski cygan Boy, i ścieranie się sprzecznych wyobrażeń, pogłosy ascezy obok humanistycznego uwielbienia życia, są znamionami kryzysu średniowiecznego światopoglądu.

Zewnętrznym objawem przemiany problematyki literackiej i zmiany adresata jest Villonowska ballada, która zachowując ogólną strukturę ballady przystosowuje ją do nowej koncepcji poetyckiej. Przystosowanie wyraża się zasadniczo w dwu nowacjach. Przede wszystkim we wprowadzeniu ludowego słownictwa (czasem nawet żargonu złodziejskiego), mowy potocznej, która jedynie mogła wyrazić charakterystyczne sądy poetyckie, wreszcie w przełamaniu schematu przesłania kończącego balladę. W tym drugim wypadku istnieją bardzo wymowne różnice. Ballady najbliższe humanistycznym tendencjom w przesłaniu wyrażającym adres ballady kierowane są do nieokreślonego, przypadkowego odbiorcy, dla niego są pisane. Inaczej wyglądają przesłania w utworach, których problematyka wiąże się z zagadnieniami religijnymi. Tradycyjnie pojawia się w pierwszym wierszu słowo „Książę" rozpoczynające w dawnych utworach tego typu apostrofę dedykacyjną. W *Wielkim Testamencie* niekiedy chwyt ten jest parodiowany np. w *Balladzie służącej na zakończenie* czy w *Liście do przyjaciół w formie ballady*.

Przebudowa formy poetyckiej jest tylko skutkiem zawartej w utworze nowej wiedzy o życiu. Zdobywanie jej u Villona odbywa się drogą przełamywania przyjętych i utrwalonych na paryskiej wszechnicy nauk. Uniwersytety francuskie posiadały specjalności. Dla Paryża były nią teologia i dialektyka. Studia uniwersyteckie, wychowanie w klasztorze św. Benedykta u stryja, który przygarnął młodego chłopca, umacniały w poecie resztki średniowiecznego światopoglądu i one to stanęły na przeszkodzie pełnemu rozwojowi jego humanistycznej filozofii, mimo że w świadomości Villona ostro odcinała się fałszywa wiedza od rzeczywistej prawdy zdobywanej w praktyce życiowej.

Po ciężkich smutkach, wielkich mękach,
mozołach długich i włóczędze,
cierpienie, bakalarstwo wraże,
rozum otwarło mi, do biesa,
barziey niż wszystkie komentarze
nad Arystotem Awerresa.

To przekonanie o wyższości wiedzy praktycznej nad ówczesną teoretyczną wiedzą uniwersytecką, tak charakterystyczne dla pierwszych bojowników humanizmu, załamuje się przy zbliżeniu do pewnych dziedzin. Taką dziedziną jest przede wszystkim zespół zagadnień religijnych. Tu Villon nie odważył się zastosować w pełni swego realistycznego kryterium prawdy. Nie można go jednak nawet na tej podstawie zakwalifikować do epoki schyłku średniowiecza. Villon skrupulatnie podkreślając swą przynależność do Kościoła, równocześnie wprowadza nowy pierwiastek do twórczości religijnej, pierwiastek relatywizacji dogmatów. Usiłuje religię przystosowywać do własnych poglądów na instytucję Kościoła, który u niego zachowuje zwarty związek z życiem ziemskim i, co ważniejsze, staje się uzupełnieniem praw tego życia. A prawa ziemskie dla poety były zupełnie nie średniowieczne. Stąd powstaje rozterka filozoficzna, pojawiają się oczywiste sprzeczności, których pogodzenie staje się niemożliwe w coraz bliższej realizmu świadomości pisarza młodohumanistycznego. Villon nie odważył się odrzucić mitotwórczej części swojej wiedzy. Nie pozbył się jednak ryzykownego liberalizmu w rozpatrywaniu drażliwych spraw dogmatyki. Dla swego stanowiska szukał argumentów i odnajdywał je usiłując oddzielić oficjalne chrześcijaństwo średniowiecza — nie akceptowane przez niego w całym skostniałym ustroju społeczno-religijnym — od innej wiary, której twierdzenia bliższe były pauperskim założeniom Villona. Oto wymowny cytat:

A gdyby rzekł ktoś: „Skąd tak śmiele
ważysz się prawić swoje baśnie,
nie będąc zacnym czym w Kościele —
Tobież to o tym sądzić właśnie!"
— Mówię to w Jezusowym duchu,
który położył Bogatego
w ogniu, nie wcale w miętkim puchu,
zaś Trędowatych wyżej niego.

Odkrywanie sprzeczności w oficjalnej nauce Kościoła wiąże się u Villona ze stwierdzeniem zależności sprzecznych sądów w nauce kościelnej z przeciwieństwami życia społecznego. Symbole bogacza i Łazarza w *Ewangelii* są odwrotnością hierarchii średniowiecznej. Łazarz — pozytywny bohater *Ewangelii,* jest stale nędzarzem w życiu. O prawdach wiary decyduje wciąż bogacz ziemski, nad którego spokojnym żywotem wisi opieka boska:

Możnym Bóg zsyła moc dobrego,
żyją w spokoju i swobodzie;
w nich nie ma przeinaczać czego
ani co rzec o tym narodzie;
Lecz biedakowi, co wpółżywy,
jak ja, do gęby czego włożyć
nie ma, Bóg winien być cierpliwy:
nad takim jakże mu się srożyć?

Reguły uczciwego życia przystosowane dla bogatych musiała odrzucić praktyka nędzarza, w którego losie bez mała wszystko trzeba by ulepszyć. Poeta rozumując realistycznie zmieniał etykę chrześcijańską, której wymagania muszą być inne dla pana i biskupa, a inne, bardzo liberalne, dla żyjących w nędzy. Ów wielostronny liberalizm nie jest czymś nieokreślonym, jest zalążkiem narzędzia walki, który w dalszym etapie historycznego rozwoju rozbije cały rozbudowany system pojęć feudalizmu. I nie jest to bez znaczenia, że wyrośnie on właśnie wśród zagadnień religijnych. W późniejszym

średniowieczu wierzenia religijne cementowały układ społeczny, dostarczały argumentów, usprawiedliwiały władzę królewską i mimo stałych rozterek broniły sojuszu świeckiego i kościelnego feudała. Z chwilą gdy rozwój społeczeństwa, nowa, wyrastająca klasa mieszczańska zaczyna rozsadzać dawny system, rozpoczyna się walka o wolną, swobodną egzegezę *Pisma*, bowiem właśnie nowe odczytanie obu *Testamentów* mogło przynieść zachwianie się starego schematu pojęć.

Kształt filozoficzny poezji Villona dojrzewał wśród zmiennych losów szajki zbiegłych chłopów, żołnierzy i wykolejeńców Paryża. Stawiając sobie pytanie, dlaczego po latach jedni z nich są panami, inni żebrakami, jedni żyją z sutej prebendy w pobożnym zakonie, inni stoją przed groźbą szubienicy, poeta wracał ponownie do przyczyn warunkujących kształtowanie się ludzkiego losu. Nie wystarczało mu prawo opatrzności. Wyrastał z ogólnych już w XV w., po wojnie stuletniej, tendencji francuskiego mieszczaństwa. W urządzeniu społeczeństwa szuka prawidłowości i rozsądku. Współtowarzysze wypraw, których granice zakreślać trzeba wśród domów publicznych, napadów, szubienic, wpływali na kształtowanie się poetyckiego obrazu będąc zarówno modelem losu, jak i odbiorcą obrazu. W poszukiwaniu dobrych praw społecznych Villon odkrywa rzecz wprost przeciwną ujętą w skrót podania o Diomedesie:

Ten ci Diomedes, nic dobrego,
zgarniał po morzu co dołapił:
za to był stawion przed sędziego,
iżby na śmierć się szpetną kwapił.
Cysarz tak ozwie się surowo —
„Czemuś jest zbojcą morskim, bracie?"
Aż tamten mało robiąc głową —
„Czemu mnie zbojcą nazywacie?
Dlatego że na jednej łodzi?
Gdybych miał statków choć ze dwieście
Nie byłbych, jako jestem, złodziej,
Lecz cysarz, jako wy jesteście.
Ale co chcecie z dolej mojej...
płynie to, co wam we mnie wadzi..."
Gdy cysarz dobrze to rzeczenie
Diomedesowe w myśli zważył:
„Dolę twą — prawi — wnet odmienię,
Lichą na dobrą". I tak zdarzył...

Porównując swoje życie z żywotem Diomedesa poeta wyraża ostateczny morał przypowieści:

Potrzeba ludzi pcha do zbrodni,
A głód wywabia wilki z boru.

W cytowanej historii do wyboru były dwie interpretacje losu ludzkiego: racjonalna i chrześcijańska, mitotwórcza. Villon wybierając pierwszą nie pozbywa się drugiej, bowiem tłumaczyła ona zjawiska, których na tym etapie historycznym nie potrafił rozszyfrować. Uzależniając rozwiązanie swojej historii podobnej do Diomedesa od zrządzenia boskiego, równocześnie dokonuje racjonalnej analizy zjawiska — cesarz jest najmożniejszym złodziejem, można łotrostwo mierzyć ilością posiadanych okrętów. Następne odkrycie tkwi w poincie fabuły, z której wynika, że ludzie najubożsi stają się zbrodniarzami, ponieważ w takim układzie stosunków nie mogą w inny sposób zaspokajać swych potrzeb życiowych.

Wielki testament jest nie tylko usunięciem z ram obrazu hagiograficznego i wstawieniem portretu człowieka o nie kryształowych kolejach życia, jest także — i to ma swą wymowę — renesansową adaptacją spowiedzi, w której nad resztkami ascetycznej pokory zwycięża humanistyczne hasło: „nad grzech nie lża się człeku kajać". Próbujmy z testamentu życia odtworzyć marzenia poety:

Dom miałbych i posłanie miętkie...
Ci mają winka i pieczyste,
ptaszęta, rybki, leśne zwierzę,
sosy i smaki zawiesiste,
jajca kładzione z octem, świeże...

Takie marzenia utrwaliło w dwa wieki później malarstwo Holandii — kraju najbogatszego mieszczaństwa.

Nie to jest najczęstszym motywem *Testamentu*. Szczegóły „życia doczesnego" są tylko tłem dla charakterystyki kobiety. Niewątpliwie autor podjął tu tradycje szkoły prowansalskiej, jak korzystał z niej w zakresie techniki pisarskiej, nie można jednak tego stwierdzenia przeceniać. Portret kobiety u Villona jest tylko fragmentem nowej koncepcji poetyckiej. Kobieta goliardów była damą dworu. Ona rozpoczęła zwycięską rywalizację z Marią w sztuce. Kobieta Villona jest zjawiskiem nowym, pozbawionym symbolizmu, egzaltacji. Jest to kobieta, której się płaci pieniędzmi. Jej studium w *Wielkim Testamencie* bardzo zbliża się do realizmu, niekiedy zdeformowanego jeszcze przez średniowiecze.

Wobec ścierania się w średniowieczu mieszczańskiego realizmu w poznaniu z feudalno-chrześcijańskim idealizmem portret kobiety z wielu względów staje się czynnikiem rozbijającym konwencję, a równocześnie sprawdzianem realizmu w sposobie ujęcia. Opisywanie w *Żalach pięknej płatnerki dobrze już sięgniętej przez starość* więdnących wdzięków kobiety trochę jaskrawymi chwytami stylistycznymi, mimo niejakiej analogii, nie ma nic wspólnego z mizogynizmem. Villon rozwija swój portret w zgodzie z prawami natury. Villon wyraża w tym szczery żal, że dostrzegalne życie doczesne przemija, że jest nieodwracalne. I to jest w pełni humanistyczne. Jest hołdem składanym pięknu życia. Mizogynizm w utworach literackich przejawiał się przeciwnie, właśnie jako protest przeciwko pięknu i rozkoszom doczesności, a szczególnie przeciw przyczynie i narzędziu zła według etyki chrześcijańskiej — przeciwko pięknej kobiecie.

Zbierając w swej spowiedzi refleksje na temat życia, autor nie potępia miłości, mimo że w *Wielkim Testamencie* jest ona z reguły sprzeczna z etycznymi nakazami Kościoła, jest utwierdzeniem wolnych stosunków erotycznych między ludźmi. Villon co najwyżej utyskuje na nikły swój udział w dobrach ziemskich, czym jeszcze utwierdza swoją apoteozę pełni życia.

Jedna z pięknych stylizacji Marii Hiszpańskiej w omawianym tomie roztacza wokół głowy poety napis: *vanitas vanitatum et omnia vanitas*. Zdanie to zamknie obraz wczesnego humanisty francuskiego dopełniając sceptycyzmem sylwetkę wojującego poety-filozofa, który zdecydowanie opuszczał krąg pojęć średniowiecznych, lecz sytuacja historyczna, w jakiej wystąpił, nie pozwoliła mu w pełni rozwinąć humanistycznego światopoglądu.

Tłumaczenie Boy'a-Żeleńskiego ostrożnie archaizowane w tym wypadku jest dobrym egzemplarzem jego działalności jako tłumacza. W dziedzinie przekładów utworów średniowiecza i renesansu nie mamy chyba w naszej literaturze świetniejszego falsyfikatora.

Cóż powiedzieć o wstępnej gawędzie Boy'a? Czytanie Villona

Rozum otwarło mi, do biesa,
barziey niż wszystkie komentarze
nad Arystotem Awerresa...

Czesław Hernas

Lesage, DIABEŁ KULAWY. Przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Boy-Żeleński, Warszawa 1949. Książka i Wiedza.

Pewnego popołudnia, gdy Jean Baptiste Rousseau składał wizytę Boileau, ten ostatni przyłapał swojego lokaja na czytaniu *Diabła kulawego*. Uniesiony gniewem Boileau zagroził, że wyrzuci go razem z jego książką. Rousseau, autor wzniosłych ód i libertyńskich epigramów, pisał do Brossette'a o dramatycznej twórczości Lesage'a dla teatrów jarmarcznych: „Autor *Diabła kulawego* nie mógł nic lepszego uczynić, jak wejść w spółkę z linoskoczkami: jego talent znalazł się we właściwej sferze"[1].

Te dwa fakty stanowią nie tylko materiał anegdotyczny, urastają do rozmiaru symbolicznej postawy ludzi jednego kręgu literackiego wobec drugiego, i są świadectwem przełomu literackiego, który nastąpił z początkiem XVIII wieku we Francji. Na zjawisko owego przełomu zwrócił niedawno uwagę w swych krytycznych studiach J. Kott[2].

Jakiż jest zatem — pytamy — udział twórczości Alain René Lesage'a, a w szczególności *Diabła kulawego*, w owej rewolucji gatunków, gustów, idei?

Pierwsze wydanie *Diabła* ukazało się w r. 1707, pierwszy tom *Przypadków Idziego Blasa* — w 1715, w 1721 — *Listy perskie* Monteskiusza, *Manon Lescaut* Prévosta w 1731; w tym samym roku pierwsza część *Życia Marianny* Marivaux, a cztery lata później tegoż *Kariera wieśniaka* (*Le Paysan parvenu*). Wymieniam arcydzieła, a któż zliczy wszystkie notatki z podróży, pamiętniki, opowieści przygód, robinsonady, romanse pełne wysp szczęśliwych, społeczeństw idealnie doskonałych, krain „dobrego dzikusa". Pojawiały się one stale w ciągu tego półwiecza. Lefebvre[3] nazywa ten pierwszy okres francuskiego Oświecenia okresem utopijnym; utopijnym, ponieważ postępowa literatura tego czasu w formułowaniu swych społeczno-politycznych i filozoficznych postulatów stawia pierwsze kroki, a krytyka współczesności konspiruje się pod maską alegorii, przypowieści, aluzji, analogii — całego arsenału przemyślnych chwytów artystycznych. Za to jakże obfity uzyskujemy materiał doświadczenia społecznego zawarty w przebogatych realiach, a zaświadczony najpełniej w wymienionych utworach, stanowiących niewątpliwą nowość literacką w ówczesnej sytuacji piśmienniczej.

Gdy schyłek panowania Ludwika XIV ujawnił zachwianie społecznej równowagi państwa absolutnego, nurt życia społecznego komplikuje się i zagęszcza. Powolna lecz systematyczna degrengolada materialna i moralna szlachty przekształca się w fakt społeczny. Faktem społecznym staje się supremacja pieniądza, którego posiadaczem, deponentem i dystrybutorem jest wyższa burżuazja. Wzbogaciła się ona na handlu i przemyśle ze złotego okresu kolbertynizmu. Wzbogaci się zaś jeszcze bardziej na wynaturzonym merkantylizmie, na wadliwym systemie podatkowym, na spekulacjach giełdowych, na dostawach wojennych, na systemie Lawa. Agenci finansowi, poborcy podatkowi, dzierżawcy domen robią kolosalne fortuny. Tymczasem w r. 1709 generalny

---

[1] Cyt.: Sainte-Beuve, *Causeries du Lundi* (*Gil Blas*), 1858, t. II, s. 370.
[2] J. Kott, *Szkoła klasyków*, 1949.
[3] H. Lefebvre, *Diderot*, 1949, s. 39.

kontroler finansów Desmaretz pisał w raporcie do króla: „Obawa przed brakiem chleba wywołała wściekłość ludu, który chwycił za broń, by przemocą zawładnąć ziarnem; bunty miały miejsce w Rouen, Paryżu i prawie wszystkich prowincjach; stały się one czymś w rodzaju wojny, która ustała dopiero, gdy lud zajął się żniwami". A książę Ludwik Saint-Simon opowiada o skutkach podatków nałożonych na posługi religijne: „Biedota nie nosiła dzieci do kościoła, lecz chrzciła je sama; małżeństwa zawierano przed kominkiem przez obopólną zgodę wobec świadków, o ile nie znaleziono księdza, który by zechciał udzielić ślubu w domu i bez formalności"[4].

Ludzie trzeciego stanu wyłamują się lub wypadają ze swego społecznego miejsca w feudalnym systemie produkcyjnym, znajdując się nagle bądź na najwyższych szczebblach prosperity, bądź na dnie nędzy.

Jeżeli przypominam te kilka faktów historycznych, to po to by wykazać niezwykłą płynność ówczesnego układu społecznego, w którym wymowa herbu zaczyna ustępować przed wymową pieniądza. Równocześnie poszerza się krąg subiektywnego doświadczenia indywidualnego. Wraz z nim przychodzi krytyczna refleksja, zastanowienie się nad własnym losem już w oderwaniu od myślenia szablonowego, „zbiorowego", wyznaczanego ścisłym podziałem pracy. Rodzi się nowa forma świadomości — świadomość „przemyślana" — jak mówi Lefebvre[5]. I oto jednostka spragniona wszechstronnej wiedzy o złożonych zjawiskach życia i losu ludzkiego domaga się utrwalenia i przekazania jej tego, co niezwykłe i zmienne, krytyczne i negujące, codzienne a pouczające. Powiedzielibyśmy dziś, że nowy czytelnik dokonuje zamówienia społecznego na nową gatunkowo literaturę.

Tym nowym czytelnikiem Francji XVIII wieku był *roturier;* był nim zatem i lokaj pana Boileau. Tą nową gatunkowo literaturą była powieść; był nią i *Diabeł kulawy* Lesage'a.

Tym historykom literatury, którzy chętnie analizują z osobna treść i formę dzieła literackiego nie troszcząc się o wzajemne uwarunkowania, warto by polecić studiowanie genezy powieści. Może by się przekonali, jak bardzo treści poznawcze utworu powiązane są z rodzajem użytych środków artystycznych, jak jego forma tłumaczy się na język ideologii.

Nie jest rzeczą przypadkową, że powieść osiemnastowieczna przepojona mieszczańską wiedzą o życiu i ideologią przybierała najczęściej formę świadczącą już nie tylko o artystycznej realistyczności dzieła, ale wręcz o jego autentyzmie. Lesage, Marivaux, Prévost oblekają swe powieści w szatę pamiętników, listów, wyznań czy opowiadań samego autora. Chcąc wywrzeć na czytelniku wrażenie wiarygodności zdradzają tym samym źródła, z których czerpali. Ów bogaty, zaprawiony fikcją artystyczną materiał piśmienniczy, któremu dotychczasowe kanony sztuki surowo wzbroniły stanowienia kanwy literackiej, staje się nagle wielką literaturą. Obfitość i wielopłaszczyznowość realistycznej faktury życia nie mogła się pomieścić w ramach klasycystycznej poetyki. Niepomiernie poszerzone pole literackiego widzenia domagało się równie wielopłaszczyznowego i uniwersalnego gatunku zdolnego do rejestru nowego doświadczenia. Dlatego jedynie powieść mogła adekwatnie oddać niezwykły kalejdoskop charakterów, czynów i sytuacji ówczesnej rzeczywistości — wyrazić dążenia, sprzeczności i światopogląd klasy mieszczańskiej.

---

[4] Cyt.: H. L a v i s s e, *Histoire de France*, 1911, t. VIII, s. 274—275.
[5] H. L e f e b v r e, *op. cit.*, s. 200.

Idzi Blas i *Kariera wieśniaka* — owe *par excellence* powieści awansu społecznego mogą posłużyć za ilustrację naszej tezy. Odnajdziemy w nich bogate w realia losy młodego parweniusza — arrywisty, dostrzeżemy elementy motywacji psychologicznej jego czynów (głównie u Marivaux), poznamy utylitarystyczną moralność bohatera, odczujemy jego optymizm i niezwykłą pewność siebie i swojej racji. „Książka ta — pisał o *Idzim Blasie* Walter Scott — daje czytelnikowi poczucie zadowolenia z samego siebie i ze świata"[6].

Chcąc sięgnąć do literackiej genealogii Lesage'a, niesposób nawiązać do barokowej dworskiej powieści w stylu d'Urfé i pani Scudéry. Natomiast niezwłocznie wpadamy na ślad plebejskiego nurtu powieściowej literatury. Francuskie romanse obyczajowe XVII wieku i hiszpańska powieść „łotrzykowska" nie miały literackiego obywatelstwa przez długi czas, a i dziś często jeszcze brak im dostatecznego miejsca w historiach literatury[7]. Z tej wyklętej przez klasycystyczną konwencję tradycji literackiej czerpał pełną garścią Lesage. Nie korzystał z niej jednak mechanicznie, nie kopiował, lecz odkrywczo przetwarzał wzbogacony o klasowe doświadczenia momentu historycznego. Znamienne, jak opowieść obieżyświata, komedianta, filuta awansuje na odrębny gatunek literacki i ideologiczny środek mieszczańskiej opozycji. Między utworami w rodzaju *Łazika z Tormesu* a *Idzim Blasem*, mimo niewątpliwych zbieżności, istnieje głęboka różnica, różnica — powiedziałbym — w ciężarze gatunkowym, dosłownie i w przenośni. Cechą charakterystyczną romansu pikarejskiego jest to, że ujawnił swoistą moralność filuta, który chcąc utrzymać się na powierzchni życia musiał bronić się przeciw przemocy możnych jego świata chytrością, podstępem, oszustwem. Autorzy rodzącej się powieści wyzyskali spuściznę tego romansu, niepomiernie poszerzając ją tematycznie i artystycznie, odpowiednio do rozwojowych praw obiektywnej rzeczywistości.

A obrazy rzeczywistości zmieniały się szybko. Łazik z Tormesu szczęśliwy był, gdy po tułaczce o głodzie i chłodzie został woźnym magistratu. Bohaterowie Lesage'a i Marivaux po nabyciu „umiejętności" życia stają się państwowymi dostojnikami i wcale się temu nie dziwią.

Wskazując przeto na nagminne rozmiary owej oportunistycznej moralności, której niesposób uniknąć, pisarze tego okresu wykazują nieprzydatność moralności tradycyjnej. Trzeba żyć nieuczciwie, póki się jest nisko, aby żyć uczciwie, względnie udawać, że się tak żyje, gdy się będzie wysoko — taką prawdę można by wydobyć z tej lektury. Inna rzecz, że ludzie pióra dalecy są zazwyczaj od akceptacji owej prawdy. Problem wydaje się nie do rozwikłania. I dlatego skoro tylko ideolodzy wczesnego Oświecenia wysuwają pozytywne koncepcje naprawy, wnet wpadają w utopię bezludnych wysp, eldorado, czy mitów „dobrego dzikusa", podobnie jak nieco później stworzą abstrakcyjny model mieszczanina — wzorowego obywatela powstałego w drodze umowy społecznej.

Produkcja powieściowa Lesage'a nie jest także zwykłą kontynuacją twórczości Sorela i Scarrona. *Francion* czy *Roman comique* są właściwie powieściową farsą, parodią, satyrą. Środkiem ekspresji jest drwina, ironia, groteska. Inaczej w *Idzim Blasie* czy w *Diable kulawym*. Autor zajmując postawę obserwatora daje szereg realistycznych obrazów połączonych postacią głównego bohatera. I sądzę, że właśnie ten głęboki zmysł obserwacji predestynuje Lesage'a do rangi powieściopisarza. Bo konstrukcja jego utworów jest jeszcze szablonowa, mechaniczna, „filucka", bo motywacja psychologiczna

---

[6] Cyt.: G. Lukacs, Kuźnica, 1948, nr 3.

[7] Lukę tę wypełnia dziś twórcza nauka radziecka, zob. История французской литературы, т. I, Академия Наук СССР, 1946.

pominięta lub prymitywna; ale za to obyczajowa i polityczna sceneria tych utworów, odmalowana z kapitalnym humorem, stylem barwnym i soczystym, tętni życiem i urzeka.

Lintilhac[8] trafnie nazwał prototypem dzisiejszego reportera biesa Asmodeusza, który swą piekielną mocą zrywa dachy madryckich domów i ukazuje zadziwionemu studentowi, co kryje się w ich wnętrzu. Lesage posługując się tym zręcznym (zresztą zapożyczonym od Guevary) chwytem rzucił na papier wiele cennych i zwięzłych reportaży obyczajowych z Paryża, połączonych ze sobą tylko wartkim tokiem narracji. Ta reportażowość, dowód kompozycyjnej niedoskonałości utworu, stanowi niewątpliwie jego wadę. Ileż jednak z drugiej strony ma zalet. Czytelnika zaskakuje barwny montaż sytuacyj, w których pewnie a realistycznie osadzone są *personae dramatis* przyłapane *in flagranti*. Na czym? Katalog ukazanych przywar ludzkich znany jest od dawna; niewierność żon i kochanków, szarlataneria lekarzy, przekupstwo sędziów, próżność ludzi pióra (doskonale uchwycony spór między autorami komedii i tragedii), obłuda spadkobierców, chciwość mnichów i tak dalej, i tak dalej. Do owego rejestru dochodzi postać niewidziana w literaturze: typ bankiera, dzierżawcy podatków, lichwiarza, finansisty. Uczyni go wkrótce Lesage bohaterem komedii na miarę Molierowską (*Turcaret*). Bo faktycznym bohaterem życia staje się pieniądz. Stosunki rodzinne czy polityka, urząd kościelny czy wymiar sprawiedliwości, każda niemal dziedzina życia staje się przedmiotem obrotu pieniężnego. Autor *Diabła* z godną podziwu czujnością notuje te drobne fakty okresu pierwotnej akumulacji. Pod piórem Lesage'a dochodzi do głosu naiwny, żywiołowy realizm, który ujawnia nie tyle przemoc feudalnego systemu, co charakterystyczne przejawy stosunków kapitalistycznych rządzących coraz bezwzględniej społeczeństwem.

Badacze literatury na czele z Sainte-Beuve'm[9], jak jeden mąż, określili *Diabła kulawego* jako *Charaktery* La Bruyère'a w ruchu. Sąd z pewnością słuszny, lecz sugerujący niebezpieczne uproszczenia. Kunszt pisarski Lesage'a jest łatwy do odcyfrowania: snop światła rzucony na rodzajową scenkę, gdzie widać działającego aktora; kilka słów i gestów, a gdy akcja odegrana — lapidarny komentarz autorski o motywach działającego. I światło przechodzi na inną scenkę: „Nie tak się mają rzeczy w sąsiednim domu: śmierć ugodziła tam schorowanego starca. To rajca parlamentu, bezżennik, który skąpił sobie na wszystkim, aby zbić majątek — zostawia go trzem siostrzeńcom, którzy zeszli się przy nim, skoro się dowiedzieli, że dobiega końca. Okazali niezmierne strapienie i wybornie odegrali swą rolę. Ale oto zdejmują maskę i ukazują szczerą twarz spadkobiercy, porzuciwszy udany żal krewniaka. Przetrząsną cały dom. Ileż znajdą złota i srebra! »Cóż za przyjemność, powiada jeden, mieć wuja sknerę, który wyrzeka się słodyczy życia, aby ją nam zapewnić«. — »Piękna mówka pogrzebowa« — rzekł Leandro. — »Och, na honor — odparł diabeł — większość bogatych ojców, żyjących zbyt długo, nie powinna się spodziewać innej«"[10].

A ten sam temat u La Bruyère'a: „Śniadaj, wieczerzaj suto, Klearku, dokładaj drew do ognia, kupuj suknie, upiększaj swą komnatę; nie lubisz swego spadkobiercy, nie znasz go, nie masz go wcale.

„Gdyś młody, odkładasz na starość, gdyś stary, szczędzisz na śmiertelną godzinę. Rozrzutny dziedzic płaci wspaniały pogrzeb i pochłania resztę.

---

[8] E. Lintilhac, *Lesage*, 1893, s. 47.
[9] Sainte-Beuve, *op. cit.*, s. 357.
[10] Lesage, *Diabeł kulawy*, 1949.

„Skąpiec, gdy umrze, wydaje w jednym dniu więcej, aniżeli za życia przez lat dziesięć; a jego spadkobierca wyda więcej przez dziesięć miesięcy, niż dotąd potrafił wydać przez całe swoje życie.

„To co marnotrawisz, odbierasz swemu spadkobiercy, to co uciułasz odbierasz sam sobie. Lekiem staje się sprawiedliwość wymierzona sobie i bliźnim. Dzieci z pewnością bardziej kochałyby swych rodziców, a rodzice dzieci, gdyby im odjąć prawo do dziedzictwa...

„Charakterystyczną cechą tego, kto chce po kimś dziedziczyć, jest usłużność. Nikt nas bardziej za życia nie chwali i słucha, otacza i pielęgnuje, wyręcza i pieści, jak ten, kto chce skorzystać na naszej śmierci, pragnąc jej nadejścia"[11].

Rozbieżność gatunku i stylu jest uderzająca. Forma *Charakterów* złożona z maksymy i politycznej satyry, portretu i moralizatorskiej wskazówki zdolna była jeszcze pomieścić problematykę swojego czasu. Pisarzowi chodziło o oddanie tego, co najbardziej typowe, wspólne i charakterystyczne dla konkretnego obrazu życia. Wychowany, jak ludzie jego epoki, na racjonalistycznej i dedukcyjnej metodzie myślenia, La Bruyère mierzył świat kategoriami niezmienności i typowości. Stąd *Charaktery* stanowią niejako idealny wzorzec ludzkich charakterów, wzorzec mający pretensje do pełnej wiedzy o naturze człowieka, a uzyskany drogą „geometrycznej analizy wiecznych i prostych namiętności, jakie rządzą sercem ludzkim"[12]. Filozoficzny pogląd na świat La Bruyère'a nie kłóci się z jego przekonaniami politycznymi. Suma doznanego doświadczenia społecznego przypadała jeszcze na okres względnej stabilizacji reżimu. Toteż dzieło La Bruyère'a, choć nabrzmiałe ostrą krytyką feudalnej współczesności, nie wykroczyło poza racjonalistyczną wizję idealnej monarchii oświeconego absolutyzmu kierowanej przez króla-mędrca. Statyczności *Charakterów* spętanych jeszcze klasycystyczną konwencją, która nakazuje dbałość o czysty język i wierny, lecz abstrakcyjny obraz psychiki z pominięciem wątku fabularnego i realiów, przeciwstawia Lesage dynamikę zdarzenia społecznego, którą powieść tylko w pełni mogła odtworzyć. Powieść to jeszcze niedojrzała, lecz już zwiastująca przełom w literaturze francuskiej XVIII wieku. Ten nowy rodzaj literacki był wynikiem innych potrzeb kulturalnych i innych społecznych doświadczeń mieszczaństwa, niż wcześniejsze o dwadzieścia lat dzieło La Bruyère'a.

I dlatego ryzykowne wydają się zestawienia obu utworów. Wyznaczały one bowiem zupełnie różnymi środkami literackimi kolejne etapy na drodze mieszczańskiego protestu wobec rzeczywistości.

Jerzy Parvi

POWIEŚĆ POLSKA W WIEKU XIX

Teodor Tomasz Jeż, OFIARY, t. I, II, Warszawa 1950, Czytelnik.

Rzecz się dzieje „w czasach onych, bliskich epoki owej pamiętnej, w której kapucyn pewien garniec miodu wychylił i mysz wraz z miodem połknął" (s. 17, 18). Jest to druga połowa XVIII w., kilka lat po kasacie zakonu jezuitów. Akcja *Ofiar*, powieści obyczajowo-społecznej, rozgrywa się w Galicji, w środowisku szlacheckim. Powieść daje skreślony piórem satyryka obraz życia i stosunków wzajemnych zróżnicowanej stanowo, feudalnej szlachty. Najwyższy szczebel drabiny społecznej reprezentują w *Ofia-*

---

11 La Bruyère, *Les Caractères*, 1926, s. 146—147.
12 J. Kott, *Mitologia i realizm* (Stendhal), 1946, s. 30.

rach dwaj książęta: ojciec i syn Gamajdowie. Zdegenerowani fizycznie, upośledzeni umysłowo, książę Norbert i Gotfryd są symbolem zdeprawowanej i wykolejonej warstwy magnatów. Postęp rozkładu uwidocznia się nawet w tych dwu pokoleniach. Książę Norbert-ojciec przy tępocie umysłowej i nadmiernej otyłości zachowuje przeciętne cechy ludzkie. Książę Gotfryd-syn, bezkształtny kadłub z ludzką głową, okaz matołectwa, „worek w mitrze, siedzący bezmyślnie, z uśmiechem idiotycznym na obliczu i wyrazem »spodziewam się« na ustach" (s. 161) — to już potwór, nie człowiek. Obaj utytułowani bohaterowie żyją w świecie groteski, w zniszczonym majątku Krasiłowcach, gdzie czas się zatrzymał, gdzie wszystko „pozostało w takim stanie, w jakim znajdowało się w chwili zgonu dostojnego dziadka księcia Gotfryda" (s. 48). W pałacu-ruderze żywot dwóch puszczyków reguluje trzykrotny dzwonek na posiłki. Trzykrotnie w ciągu dnia książęta z trudem dźwigają się z głębokich foteli, by przejść do jadalni i pożreć niesamowicie wielkie porcje niewybrednych potraw. Ci dwaj potomkowie szlachetnego rodu żyją zaklęci w kręgu kilku powitalnych formułek i paru zdań na temat zdrowia, snu i pogody. Panującego marazmu nie zdoła ożywić nawet młoda żona księcia. Młoda księżna Ludka, która wniesionym posagiem ma uratować dobra książąt i ród ich przedłużyć, zawodzi pokładane w niej nadzieje. W Krasiłowcach, w pałacu, którego godziny istnienia są już policzone, żyje jeszcze jeden samotnik. Jest to O. Korski, jezuita, który po kasacie zakonu znalazł u książąt przytułek. Trzeba było nielada złośliwości, by w tym umierającym dworze umieścić jezuitę i uczynić go preceptorem ograniczonego umysłowo księcia Gotfryda. Takie miejsce uznał Jeż za odpowiednie dla zniesionego zakonu i jego przestarzałej metody edukacji. Symptomy śmierci widoczne wszędzie w książęcym dworze nie dały długo czekać na koniec. W czasie trzęsienia ziemi pałac-rudera wali się zasypując ostatniego potomka rodu wraz z zespoloną z życiem dworu służbą. W ten sposób autor w ciągu 30-ci kilka lat trwającej akcji powieści ukazał końcowe stadium rozkładu warstwy magnackiej i jej zagładę. Obok tej umierającej komórki społecznej umieszcza autor drugie z kolei szlacheckie środowisko zamożnych ziemian Kostrzewickich. Wszystko to, co ośmieszała satyra epoki Oświecenia, znajduje swoje miejsce w Ohrebyszczach. Podkomorzyna, „Żona modna", dająca dzieciom „francuską" edukację, trzymająca na dworze guwernera de Lurcy i guwernantkę de Maintenon — symbolizuje kosmopolityzm szlacheckiej warstwy, ślepe małpowanie zagranicy. Wiecznie cierpiąca duchowo, szukająca pociechy w romansach, pani Kostrzewicka jest despotyczna w stosunku do męża, nieludzka dla poddanych. Na starość szuka pociechy w groszowej filantropii i pełnieniu religijnych praktyk. Autor potępiając edukację stosowaną przez podkomorzynę, ukazuje zgubne jej skutki. 16-letnia Ludka — ofiara tytułomanii wychodzi za mąż za potwornego księcia, żyje niby Zuzanna wśród starców i omal nie ginie razem ze starym światem. Syn podkomorzyny Karol, świetny typ fircyka, niszczy majątek rodziców w zagranicznych wojażach, licząc na bogaty ożenek. Podkomorzy wreszcie, pantoflarz, dla świętego spokoju pozwala na niszczenie majątku i umiera w przededniu ruiny. Do świata satyry należy jeszcze grupa średniej szlachty, tu reprezentowana przez Oleckich, młode małżeństwo posiadające jedną wieś. Oleccy nie małpują ślepo zagranicznych wzorów, nie wojażują. Wzorowe stadło w miernym dostatku pędzi Rejowski „żywot człowieka poczciwego". Myliłby się jednak ktoś, kto by sądził, że tu tkwi program autora, że Oleccy — to pozytywni bohaterowie, a Frasoblówka — wzór szlacheckiego folwarku. Za lat kilka, gdy rodzina dwojga ludzi powiększa się o 9-ro młodych latorośli, staje przed rodzicami widmo podziału małej posiadłości, widmo ubóstwa i ruiny.

Z opisem życia szlachty XVIII-wiecznej autor łączy palące w drugiej połowie XIX

wieku, w chwili pisania powieści (wyd. 1874 r.), zagadnienie ruiny majątków szlacheckich. Dobra podkomorzego giną wskutek życia ponad stan i marnej administracji. Nie są to jednak główne przyczyny tego zjawiska. Oleccy, przykładni gospodarze, stoją również w obliczu klęski. Przyczyny powszechnego upadku folwarku szlacheckiego w drugiej połowie XIX w. szukał nie tylko Jeż. Pisali na ten temat pisarze i publicyści pozytywistyczni. Fakt ten stwierdzała w powieściach Orzeszkowa (*Maria*, wyd. 1876 r.). Jeż, dotykając sedna sprawy, stwierdza, że przyczyną ruiny są uniemożliwiające postęp, feudalne przesądy szlacheckie. Na to by Oleccy utrzymali folwark, trzeba usunąć przestarzały feudalny stosunek do pracy. Trzeba przestać się obawiać, by „z szeregów »urodzonych« nie wypaść i do zastępu »pracowitych« się nie dostać... Niechby jeden (z synów Oleckich, dop. mój) został stolarzem, drugi rymarzem, inny kowalem, ten architektem, ów adwokatem lub medykiem, czymkolwiek zresztą, byle nie współdziedzicem Frasoblówki..." (t. II, s. 186), a folwark zostanie uratowany i dzieci zdobędą sposób do życia. Kurczowe trzymanie się przestarzałych form obyczajowych wywołuje zjawisko rezydentów i rezydentek bezczynnie siedzących po szlacheckich dworach. Dwa takie wspaniałe typy siedzą na łasce w Frasoblówce. Jest to podstolic: „Mospaneńku serce" — herbarz chodzący, i komornik: „Diabeł wie, mocium panie", specjalizujący się w łapaniu myszy w śpiżarni dworskiej. Rehabilitacja pracy, którą w powieści przeprowadza Jeż, a w życiu ówczesnym kapitalizm, wywołuje potępienie bezczynnie po dworach siedzącej szlachty — wolnych rąk do pracy. Mianem społecznych pasożytów obdarza Jeż wszystkie grupy szlachty, poczynając od księcia kończąc na Oleckich. Przyrównuje te rody do leżących na drodze kamieni nieruchomych i nieprzydatnych. Wini ich za klęski narodowe i społeczne. Kwestia potępienia absurdalnych przesądów szlacheckich, ośmieszenia ich, stanowi cel autora, oś kompozycyjną powieści i łączy się z kreacją bohatera głównego. Życie Kacperka Mędzińskiego, którego ojciec siedział na czynszu u podkomorzego, toczy się kołem przypadku.

Przypadek sprawił, że się Kacperek narodził ubogi, przypadek chciał, że dzięki łasce pańskiej został zaliczony w poczet lokajów, wskutek przypadku także Kacperek, szuflarz zboża w magazynie odeskim, wygrywa wielki los na loterii i zostaje bogaczem. Ale ta przypadkowość losu Kacperka nie jest przypadkowa. Jest kompozycyjnie przemyślanym artystycznym chwytem pisarza. Bowiem, zaznacza wielokrotnie Jeż, obywatele także tylko wskutek przypadku są szlachetnie urodzeni, tylko wskutek przypadku dostają się im w ręce wielkie posiadłości. Kacperek wygrywający los na loterii i syn obywatelski dziedziczący po ojcu mają takie samo prawo do przypadkowo tylko zdobytego dobra. Kreacja postaci Kacperka jest niecodzienna i interesująca. Jeż nie tylko zobrazował rozkład i martwotę szlacheckiego życia, pruderię salonową i snobizm, nie tylko oskarżył tę warstwę za klęski narodowe i społeczne; chciał jeszcze naocznie ukazać śmieszność przesądów feudalnych. Kacper po to zostaje bogaczem, by stać się obywatelem ziemskim, by autor mógł wykazać, że niewielka to rzecz umieć być panem. Wystarczą lokajskie maniery, by imitować etykietę salonu, wystarczą pieniądze, by postawić dom na stopie wielkopańskiej. I nie tylko Kacper, którego ojciec był czynszowym szlachcicem, potrafi być obywatelem. Żona Mędzińskiego Kaśka, praczka u praczek z Ohrebyszcz, doskonale gra rolę wielkiej pani. Posiada od urodzenia znakomity dar — hultajstwo, niechęć do pracy. Kaśka, dziedziczka, różni się tylko tym od „urodzonych" obywatelek, że nie nudzi się próżnując. Jest zadowolona, że po latach niedoli popychadła dworskiego może spokojnie odpocząć. Tylko Kaśka jest bardziej normalnym człowiekiem, niż szlachetne sąsiadki

Ohrebyszcz. Jej organizm nie wytrzymuje nowego trybu życia. Po latach głodu przeniesiona do pałacu grzeszy obżarstwem i z przyczyny tego jednego z grzechów głównych umiera, chociaż i tak musiała umrzeć ze względów kompozycyjnych powieści, ze względu na dalszy los Kacpra. Jest jakiś realizm w cudowności towarzyszącej biegowi życia głównego bohatera. Mędziński tylko dzięki przypadkowi mógł się wydobyć z nizin społecznych i dostać do grona bogatych. Postać ta doskonale się mieści w powieściach Orzeszkowej z tego okresu. Pani Eliza stworzyłaby z Kacpra pozytywnego bohatera. Wzbogacony Mędziński nabyłby wieś i pokazałby zbawienne w skutkach przejście na gospodarkę kapitalistyczną (*Rodzina Brochwiczów*, wyd. 1876 r.). Mógłby także dotąd samotny pojąć za żonę zrujnowaną szlachciankę i uratować ją od nędzy. Wprawdzie ona zrobiłaby ofiarę z uczuć i szlachectwa, ale ocalałby szlachecki folwark (*Maria*, wyd. 1876 r.). Wprowadzonoby w fikcyjne powieściowe życie hasło sojuszu ziemiańsko-burżuazyjnego głoszone już w 1873 r. przez Świętochowskiego (*Praca u podstaw*). Jeż także na pozór kroczy torem pozytywistycznej myśli. Kacper wzbogacony wraca na wieś, nabywa zrujnowane dobra Kostrzewickich, zasila majątek kapitałem i nawet żeni się z ex-księżną. Ale Kacper nie jest typem pozytywnego bohatera. Dotąd rozsądny człowiek głupieje w obliczu jaśnie pani i ze służalczym posłuszeństwem godzi się na jej propozycję mariażu. Cechuje go brak woli, rezygnacja. Staje się małżonkiem wyrafinowanej Ludki. Powieść nie kończy się tragicznie, ale autor zostawia wyraźne pesymistyczne sugestie. Ludka zastosuje wypróbowane na księciu metody terroru, jej brat Karol przędzie misterną sieć na młodziutką córkę Kacpra Franusię, milionową pannę. Oboje z Ludką prędko roztrwonią zdobytą fortunę. Kacper zdaje się widzieć smutną przyszłość. Od pewnego czasu oboje z matką siadują w odległym pokoju w dworzyszczu i kiwają do siebie głowami. Po śmierci matki Kacper już sam do siebie głową kiwał i mawiał — „Ofiara kością mi w gardle stoi" (t. II, s. 285). Powieść kończy pesymistyczny wydźwięk. Nie udał się zamierzony sojusz, nie dał wyników i ten sposób ratowania folwarku. Zanim Orzeszkowa w *Marii* dała program sojuszu burżuazyjno-ziemiańskiego, Jeż o dwa lata wcześniej przewidział negatywny rezultat tej drogi naprawy stosunków społecznych. Dlatego Kacper nie został pozytywnym bohaterem, dlatego powieść napisana z realizmem krytycznym nie ma programu. Jest za to w zwierciadle satyry załamany projekt sojuszu. Jest kpina z gloryfikowanego przez Orzeszkową w *Marii* ofiarnictwa szlacheckiego. W powieści Jeża także roi się od ofiar i ofiarników. Podkomorzyna, podkomorzy, książę, Ludka, Kacper, wreszcie wszyscy, czynią ofiarę. Pierwsza z życia, drugi z córki i fortuny, trzeci z tytułu księcia, czwarta z młodości i urody, ostatni z kapitału. Ale Jeż demaskuje ofiarników wykazując, że ich ofiary mają jeden wspólny ołtarz, któremu na imię interes. Dlatego szlachetna Maria z powieści Orzeszkowej przekształca się w wyrafinowaną Ludkę, a sprężysty mieszczanin-kapitalista — w zrezygnowanego Kacpra. Jeż nie chciał od szlachty ofiar, domagał się pracy.

Nie podobały się Jeżowe *Ofiary* Orzeszkowej. Znalazła w powieści szlachtę w zbyt czarnych skreśloną barwach. W liście do Jeża z 1876 r.[1] doprasza się więcej litości dla tych biednych, którym wprawdzie „nie dostawało... wielu dobrych i pięknych rzeczy w umysłach i charakterach, potracili wiele z nich na drodze krzyżowej, którą szli, ale przez miłosierdzie — malując ich nie czyńmy z nich... czarnych plam atramentu... Byli ludźmi — musieli więc stać się takimi, jakimi się stali" (s. 29) — stwierdza pani Eliza i pisze dalej: „Dla tego to wszystkiego powieści Pana *Dersław z Ry-*

---

[1] Eliza Orzeszkowa, *Listy*, t. I, Warszawa — Grodno 1937.

twian, Ofiary, Wrzeciono, Emancypowana, Z pośrodka, pomimo niezliczonych piękności swych, są mniej piękne, sympatyczne i mimo wyglądania realistycznego mniej realistyczne jak *Historia praprawnuka*... i wszystkie słowiańskie powieści, w których Pan okazujesz się o wiele łaskawszym, a raczej sprawiedliwszym dla szlachciców nawet słowiańskich, niż gdzie indziej — dla polskich" (s. 30). Jeż wydał się Orzeszkowej w krytyce szlachty zbyt radykalny. Wolała jego wcześniejszą powieść o praprawnuku, gdzie autor stworzył mit dobrego szlachcica, gdzie reformę społeczną uzależnił od poprawy moralnej wartości szlachcica i w atmosferze patriarchalnych stosunków chciał zlikwidować konflikt szlachecko-chłopski. Orzeszkową zraził „demokratyzm" Jeża — ideologia drobnej szlachty. Zygmunt Miłkowski wcześniej niż autorka *Nizin* stał się realistą krytycznym.

Anna Goriaczko

Jan Zacharyasiewicz, JAREMA. STUDIUM Z WEWNĘTRZNYCH DZIEJÓW GALICJI. Wstęp i komentarz opracowała Maria Janion. Z portretem autora. Wrocław 1951, Wyd. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Powieści Polskie XIX Wieku.

Utwór nazwany przez autora w podtytule *Studium z wewnętrznych dziejów Galicji* jest w istocie króciutką powieścią. Korbut, idąc w tym może za pobieżnym biografem Zacharyasiewicza, Piotrem Chmielowskim, nie wymienia *Jaremy* „wśród najcelniejszych utworów" długowiecznego (1825 — 1906) i płodnego pisarza. Dla Chmielowskiego (*Nasi powieściopisarze*, Kraków 1887, s. 450) jedną z najlepszych powieści będzie *Na kresach*, swoista judymiada galicyjska, której zresztą fałszywą koncepcję pozytywistyczny krytyk ze swego racjonalistycznego stanowiska zupełnie wyraźnie podkreśla. Natomiast, wspominając prawie marginesowo o *Świętym Jurze* i *Jaremie*, oznacza słusznie tendencję obu powieści (oraz swoje własne zapatrywania): „Hasłem autora, jak i wszystkich dobrze myślących, jest [tu] zgoda oparta na historycznych podstawach spólnego żywota..." (*op. cit.*, s. 453).

Jaremę wznowiono na zlecenie Instytutu Badań Literackich, który piórem Marii Janion stwierdził we wstępie, że w powieści tej, „w dużej mierze wyjątkowej na tle produkcji literackiej XIX w.", Zacharyasiewicz podjął „rzadko poruszaną przez pisarzy lat pięćdziesiątych-siedemdziesiątych problematykę społecznych i politycznych przekształceń popańszczyźnianej wsi galicyjskiej" (s. VI). Pierwsze wydanie utworu ukazało się na łamach Tygodnika Ilustrowanego z r. 1863. Obecne — jest wydaniem czwartym. Od trzeciego dzieli je przeszło sześćdziesiąt lat.

W redakcji IBL tekst utworu poprzedzony został krótką notą bibliograficzną i wstępem pt. *Powieść o chłopskim buntowniku*. „Powieść chłopska stanowi jedną z najciekawszych formacji literatury polskiej" — zaczyna Janionówna (s. V). Następnie podkreśla programowy solidaryzm literatury szlacheckiej, który kazał unikać obrazu ostrych konfliktów społecznych, i uwydatnia na tym tle wyjątkowość powieści Zacharyasiewicza, galicyjskiego drobnomieszczanina. W dalszym ciągu wstępu komentatorka podaje główne szczegóły biograficzne, ilustrujące rozwój ideologiczny pisarza, i szkicuje położenie społeczno-ekonomiczne Galicji w latach 1848 — 1861. Część końcowa poświęcona jest interpretacji powieści. Ostateczny wniosek interpretacji, z którym się godzimy, wygląda następująco: „Mimo wysiłków komentarza autorskiego, zmierzających do przedstawienia rewolucyjnego ruchu chłopskiego jako ślepego narzędzia polityki austriackiej, obraz dążeń wsi sugeruje potęgę zmagającej się klasy

i potwierdza jej historyczne racje walki. Dlatego *Jarema* pozostanie w dorobku naszej literatury narodowej" (s. XVIII).

Jan Zacharyasiewicz już w siedemnastym roku życia, za rzekomy udział w zamachu na komisarza policji, dostaje się na dwa lata do Spielbergu. Po opuszczeniu więzienia (1844) wpada w fermentującą atmosferę młodzieży lwowskiej, zachęcającej się wzajemnie do pracy dla ludu, chłonącej z zapałem pisma Edwarda Dembowskiego. Mimo na wskroś rewolucyjnej aury romantycznej (w temperaturze oczywiście nie dorównującej temu, co się działo bezpośrednio wokół Dembowskiego) Zacharyasiewiczowi po latach 1846 — 1848 skrzydła opadły. W jego poezji — bo był i poetą — występują akcenty antyromantyczne; w prozie — podobnie jak Korzeniowski w *Krewnych* — głosi kult pracy. W opowiadaniu *Jednodniówki* (rok 1854 — 1855) radzi: „Zbawienia nie wyczekuj ani od wschodu, ani od zachodu, ale własną pracą i na własnym zagonie dobijaj się mety. Taka uczciwa praca czyni pojedynczych ludzi i narody wielkimi".

Z tym prepozytywistycznym punktem widzenia godzi się całkowicie występująca w *Jaremie* tendencja solidarystyczna. Solidaryzm Zacharyasiewicza nie sięgał jednak tak daleko, żeby — wzorem literatury szlacheckiej — tuszować konflikty między wsią a dworem. Przeciwnie, w powieści bardzo głośno słychać nieustępliwe wołanie wsi o лисы и пасовиска (lasy i pastwiska). Wołanie zamienia się w bunt: chłopi palą sterty i zabudowania dworskie, spasają na pniu najładniejsze zboże, tną lasy. Mimo przedstawienia wsi jako zbiorowiska groźnego i łapczywego na własność dominialną, Zacharyasiewicz wyraźnie z tym zbiorowiskiem sympatyzuje. „O! rękę karaj, nie ślepy miecz!" — wołał K. Ujejski. Autor *Jaremy* wtóruje twórcy *Chorału*. Nie ustrojowi, nie dworowi, lecz perfidii austriackiej przypisuje rozhuśtanie namiętności popańszczyźnianych chłopów. „Nie miejcie za złe temu biednemu ludowi jego przewinień bezwiednych" (s. 127) — prosi swoich kolatorów miejscowy proboszcz. Jest to prośba Zacharyasiewicza. Myśląc w ten sposób, mógł sobie autor pozwolić na pokazanie drastycznych posunięć wsi. Stopień drastyczności stanowił przecież tylko stopień oskarżenia Austrii. „Zacharyasiewicz jest marzycielem-realistą" — generalizował nie bez słuszności Piotr Chmielowski (*op. cit.*, s. 443). Jakież to lekarstwo proponował w *Jaremie* na uśmierzenie rozjątrzenia (a widział je doskonale) ludu? Dziedziczka, patrząc z okna na spalone budynki i sterty pomierzwionej pszenicy, „uśmiechnęła się boleśnie i rzekła: — Co do mnie, nie odstąpię od moich przedsięwzięć; będę nadal popierała szkółkę i co tylko sił mi starczy, będę świadczyła temu biednemu ludowi" (s. 126). Strawestujmy znaną cytatę: nie czas zakładać szkółki, gdy płoną lasy.

Oglądana od strony formalnej, powieść odsłania elementy odziedziczone po romansie grozy i romansie sentymentalnym. Okładka (zresztą bardzo przyjemna), zaprojektowana przez Stanisława Kobielskiego, w pomyśle swoim prześliznęła się koło głównego momentu utworu, uwydatniła natomiast, zapewne nieświadomie, rys romantycznej techniki pisarskiej Zacharyasiewicza: na tle rozświetlonej błyskawicą nocy Jarema wyciągniętą pięścią grozi dworowi. Znana to sceneria. Nie zwiększa ona realizmu powieści. Funkcję osłabiającą realizm posiada również czułostkowość niektórych scen (Jarema kradnie dla Nastusi kanarka; dziedziczka płacze przy egzaminowaniu dzieci w swojej szkółce), podkreślanie intuicyjności bohaterów, operowanie wyrażeniami w rodzaju: „szatański śmiech", „chłopczyna", „pastuszek" (miał 17 lat!).

Droga do napisania poprawnej historii powieści polskiej, jakże jeszcze niebliska, wiedzie przez wznowienie i omówienie tych wszystkich pozycji, które — czy to na

skutek przyćmienia przez sławy pisarskie, czy też dzięki stanowisku poprzednich historyków literatury — uległy zapomnieniu. Ich niesłuszny los zuboża i wypacza obraz literatury polskiej. Jeśli traktować sprawę okresami, szczególnie upośledzonym wydaje się pod tym względem tzw. romantyzm krajowy. Częściowemu wyrównaniu tego stanu rzeczy poświęcona jest seria wydawanych przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich reedycji, objętych tytułem zbiorczym Powieści Polskie XIX Wieku. Start wyglądał bardzo ładnie: w r. 1949 ukazał się czterotomowy *Alkhadar* Edmunda Chojeckiego, jedna z najlepszych i z najdokładniej zapomnianych powieści swego czasu. *Jarema* stanowi drugą pozycję serii. Szkoda, że tego nie uwidoczniono żadnym napisem. Od *Alkhadara* edycja ta różni się komentarzem ideologicznym, prostym, lecz ekonomiczniejszym układem graficznym strony i... objętością. Mówiąc o objętości trzeba westchnąć: niestety! Po dwóch latach, po książce czterotomowej (każdy tom równa się dwom *Jaremom*) wychodzi spod prasy chudziutki tomik Zacharyasiewicza. Serie, jak i poszczególne książki, mają swoje, często nie najszczęśliwsze, koleje; kto by się jednak odważył stawiać podobne horoskopy Wydawnictwu im. Ossolińskich? Musiałby nie słyszeć o Bibliotece Narodowej.

Jan Gawałkiewicz

NAUKA O LITERATURZE

Stanisław Witkiewicz, SZTUKA I KRYTYKA U NAS. Pisma wybrane pod redakcją Jana Zygmunta Jakubowskiego, tom I, Warszawa 1949.

„Gdy Witkiewicz mówi o polskiej sztuce, czuje się, że myśli on, czym ma się stać życie kulturalne 20-milionowego narodu, gdy mówi o tym Miriam, sprawa zwęża się do zakresu zagadnień, czy i o ile wywalczy sobie uznanie dwudziestogłowa co najwyżej gromadka twórców należąca do jednego wzrosłego w pewnych specyficznych warunkach pokolenia, które z urojeń swych tworzy postulaty filozoficzne..."[1]

Opinia Brzozowskiego o Witkiewiczu kryje w sobie zalążki naszej oceny wybitnego artysty i krytyka. Utarła się przy nim formułka: „nie co, ale jak" potwierdzana przez krytyków z aprobatą lub wyrzutem, rozdmuchana przez Witkacego do rozmiarów „czystej formy", pojawiająca się w powojennych pracach naukowych (bez zastrzeżeń przyjmuje ją Ossowski w książce *U podstaw estetyki*). Nawet w krytycznym w stosunku do wiedzy o Witkiewiczu wstępie J. Z. Jakubowskiego formułka ta nie jest w pełni rozszyfrowana. Trzeba sięgnąć do pomocniczych zagadnień, aby zrozumieć ocenę Witkiewicza stawiającą wyżej dobrze namalowaną główkę kapusty nad źle namalowaną głowę Chrystusa. To brzmi jak paradoks, ale wspomniane wyżej hasło nie jest wyznaniem artysty-cyzelatora, ale właśnie zwolennika realizmu w twórczości. Wysunięcie na pierwszy plan zagadnień techniki jest związane z programem walki zwolenników nowej problematyki artystycznej jak również i ze stanem malarstwa w kraju. Zresztą operowanie fachowym terminem malarskim, wiedzą z zakresu matematyki, geometrii, fizyki, dawało Witkiewiczowi w rękę argumenty rzeczowe, którymi nie operowała dyletancka krytyka „Nie-Apellesów". Atak uderzał w stronę najsłabszą. Ze wzajemnego związku malarskich zagadnień, jak i każdych innych, Witkiewicz zdawał sobie sprawę. Potwierdza to logika jego artykułów czy choćby wprost wyrażony sąd: „Pojęcia umysłowe nie leżą w ludzkiej duszy jak odrębne,

---

[1] Stanisław Brzozowski, *Współczesna krytyka literacka w Polsce*. Literatura i Sztuka. Monografie. t. V, s. 149—150. Stanisławów — Warszawa b. r.

martwe, niezrośnięte z nią organicznie przedmioty... Najbardziej nawet oderwane pojęcia [podkr. moje] łączą się jednak ze wszystkimi innymi władzami duszy, z całym ja ludzkim, z uczuciami, i co za tym idzie, z interesami osobistymi jednostki lub całych grup ludzi. Dlatego też walka o pojęcia przybiera zwykle wszystkie cechy każdej innej walki o istnienie" (s. I).

Walcząc z formą równocześnie atakuje pole widzenia malarza. Krytyka obejmowała zarówno warsztat artysty jak kryteria zoila. Witkiewicz podważając schematyczne oceny estetyków według rodzajów, ustalające hierarchie od malarstwa religijnego do rodzajowego, uzyskiwał równocześnie takie same prawa dla każdego tematu i zmuszał artystów do rewizji warsztatu wobec przekonującego hasła, że wartość dzieła sztuki niezależna jest od tego, czy ono przedstawia Kaśkę z rzepą, czy Jana Zamojskiego. W obu wypadkach o wartości decyduje wierność odtworzenia wyrażająca się w operowaniu środkami artystycznymi i oparta na wiedzy o przedmiocie. Dokładniej ustalić stanowisko Witkiewicza pomoże choćby pobieżna analiza stosunku jego do Taine'a:

„Taine w społeczeństwie otaczającym artystę widzi jedyną prawie przyczynę warunkującą nie tylko charakter jego dzieła, ale nawet jego wartość... Taine redukuje do zera znaczenie indywidualności i talentu" (s. 42). Witkiewicz odrzuca historiozoficzne spekulacje Taine'a nie przecząc zależności sztuki od doby dziejowej, narodu. Po krytyce powierzchownych analogii między rozwojem sztuki w społeczeństwie a rozwojem organizmów i gatunków, domaga się wprowadzenia relatywizacji. Rzeczywistość różnie załamuje się w wyobraźni artysty. Rozumiejąc znaczenie praw odkrywanych przez nową estetykę przed tą nauką widział dwa etapy rozwoju. Nieco pod wpływem Taine'a oczekiwał od psychologii teoretycznych uogólnień dotyczących człowieka, jego władz psychicznych, na podstawie których w dalszym etapie estetyka jako nauka postulująca kierowałaby pracą artysty.

Odnajdując w postulowanej przez siebie nauce przyszłą przewodniczkę talentu, zwalniał się tym samym od programu pozytywnego. Starał się zachować stanowisko krytyka walczącego o pełną swobodę artysty. Równocześnie jednak walcząc z fałszem w sztuce konsekwentnie uważał realizm za największe osiągnięcie:

„Chłopa, który żył w trudzie, biedzie, pod grozą wszystkich klęsk żywiołowych i społecznych; który cierpiał lub cieszył się naprawdę, sam dla siebie, nie dla rozczulenia widzów, który, obwieszony wójtowskim medalem, stał z garściami pełnymi papierów, nie wiedząc, co w nich stoi; ...którego siekł deszcz, wiatr szarpał i śnieg zasypywał na jesiennych drogach; który pomimo to miał dosyć fantazji i humoru do hulanki i zapraszał panny do tańca wołając: »pódzies ścierwo!« — takiego chłopa dopiero Chełmoński wprowadził do malarstwa... Kostrzewski z nich [chłopów — przyp. red.] kpił; Gerson idealizował, używał ich tylko jako znaków symbolicznych; Kossak widział tylko stronę malowniczą: zawiesistą sukmanę, kapelusz z piórami i wielkie buty" (s. 170).

W swojej walce o nową sztukę i estetykę Witkiewicz odgradzał się od szkół formalistycznych. Uważając, że opanowanie środków technicznych, środków wyrazu w sztuce, należy do zagadnień wagi pierwszorzędnej, jasno stwierdzał: ...„fałszem jest, że ja pomijam stronę psychiczną, stronę uczucia i myśli w obrazie. Wszakże starałem się wykazać, że altembas i kurdybanowe buty przeszkadzają idei w obrazach Matejki i że perłowa masa i bransoletki nie podnoszą grozy dramatycznej w »Świecznikach« Siemiradzkiego... Tylko że ja chcę, żeby psychiczna strona była w samym obrazie" (s. 213) — nie na karcie tytułowej.

Wnioski formułują się jasno — Witkiewicz nie walczy z „tematycznym" malarstwem, ale z tematyczną hierarchią, z treścią historycznej pictorii i jej nieudolnością. W tym skrócie wyraża się negatywny program artysty, program jego ostrych polemik z dyletanctwem i hieratycznością estetyki. W pogromie starej krytyki pomogły mu warunki, w jakich wystąpił. Budzący się krytycyzm wobec dążeń pozytywistycznych, załamywanie się wielkich twórców sprzyjało rozwojowi nowych koncepcji tym bardziej, że rodziły się one w atmosferze twórczych poszukiwań młodych artystów, szczególnie z grupy W ę d r o w c a — A. Gierymskiego, A. Sygietyńskiego, A. Dygasińskiego i A. Gruszeckiego. Mimo silnej opozycji, jaką wywołały artykuły cyklu *Sztuka i krytyka u nas* nie szczędzono ich autorowi aprobaty. Z końcem 1885 r. Witkiewicz pisze w listach do rodziny: „Bójcie się Boga, abyście nie zbankrutowali, woła Prus (...) Prus napiera na mnie, żebym pisał — Uważasz pan, nie bądź pan świnia i pisz, bo, jak Boga kocham, będziesz tego żałował na śmiertelnym łożu".

Równie przychylny i inspirujący jest stosunek Litwosa (Sienkiewicza).

Nie wydaje się trudne do stwierdzenia, że Witkiewicz jest zwolennikiem realizmu w sztuce. Ważniejszą rzeczą jest odpowiedź na pytanie: o jaki realizm walczył kierownik artystyczny W ę d r o w c a? Zanim szukać będziemy w jego twórczości odpowiedzi na to pytanie, trzeba stwierdzić, że więcej dowodów precyzujących problem znajdziemy w jego dziełach pisarskich niż malarskich. Pewne rozbieżności wyzyskiwali tu przeciwnicy Witkiewicza, on sam nie starał się niektórych nieudolności przemilczać. Z krytycznego przetrawienia Taine'a i obserwacji powiązań sztuki ze społeczeństwem, zrobionych w Monachium i w kraju, wyniósł sceptyczny stosunek do współczesnej sztuki, a szczególnie do możliwości jej rozwoju w społeczeństwie kapitalistycznym: „...można tylko powiedzieć tym, którzy na całym świecie stanowią o materialnej stronie istnienia sztuki, tym, którzy posiadają całe powiaty ziemi, miliony i tak zwane pałace — to jest arystokracji i plutokracji — jesteście barbarzyńcami" (s. 48). Zarzucając Matejce, że zrezygnował z samodzielnej myśli i przyjmując poglądy warstwy, wśród której żył, stał się sławnym, Witkiewicz pragnął stworzyć nowe podstawy malarstwa. „Chcąc więc sądzić sprawiedliwie i szeroko, trzeba w pierwszej linii wziąć za miarę n a t u r ę, a zarazem to, czego już w sztuce dokonano, to, w czym streszcza się dotychczas zdobyta wiedza, umiejętność i doświadczenie" (s. 53). Nawrót do studiowania natury jest bez wątpienia objawem twórczego realizmu. Aby tendencja ta oddała rzeczywisty sens programu twórczości, trzeba rozszyfrować możliwie najdokładniej pojęcie natury. Witkiewicz, aby nie popaść w błąd wytykany innym, nie próbuje wprowadzać nowej hierarchii tematu. Ogólna tendencja jest jednak jasna, wyrastająca z istniejącej wśród studiujących za granicą artystów atmosfery walki o narodowy charakter polskiego malarstwa. Pisze o Monachium, „gdzieśmy do obłędu tęsknili za krajem, robiąc z pracowni jakiś przybytek kultu, w którym chłopska sukmana lub czerwona chustka dziewczyny czciły się jako święte szaty" (s. 45).

Powrót do kraju wiąże się we wspomnieniach Witkiewicza z pojęciem wielkiego zapału, „z jakim porwaliśmy się do studiowania natury i ludu" (s. 45). Wreszcie przypomnijmy omawianą wyżej opinię o Chełmońskim, jako malarzu chłopa, ukazującą bogactwo treści i możliwości artystycznego wyrazu. Dalsze przykłady, które można by tu przytaczać, byłyby potwierdzeniem wyrażonego na wstępie sądu Brzozowskiego o Witkiewiczu. Pojęcie ludu jest jednak dosyć powierzchowne, jest przede wszystkim poszukiwaniem etnicznie odrębnych elementów kulturalnych i bogactwa modelu. Przede wszystkim, bo poza takim stanowiskiem kryje się u Witkiewicza niezbyt

wprawdzie jasne poczucie społecznej niesprawiedliwości. Uważając chłopów Chełmońskiego za kreacje realistyczne, odsłania tym samym swoje pojęcie chłopa, „...który żył w trudzie, biedzie, pod grozą wszystkich klęsk żywiołowych i społecznych". Zresztą słynny proces zakopiański artysty ujmującego się za krzywdzonym chłopem dowodzi siły przekonań realizowanych również w praktyce życiowej. To, że sprawy zróżnicowania klasowego znalazły się na drugim planie, w dużej mierze uwarunkowane było atmosferą kultu wśród współtowarzyszy krytyka, stawiających „bajecznie kolorową" sukmanę na czoło spraw wiejskich. Kolorowa sukmana zakrywała owym „ludowcom" społeczne zróżnicowanie wsi. I ta błyszcząca złuda jest granicą prawdy w pozytywnym programie Witkiewicza.

Wydanie J. Z. Jakubowskiego jest obszernym wyborem artykułów z pierwszego wydania *Sztuki i krytyki u nas*. Wznawianie najlepszych naszych krytyków i teoretyków sztuki powinno zapoczątkować pracę nad dziejami polskiej estetyki. Wstęp redaktora *Pism wybranych* odsłania nowego Witkiewicza, którego pełną sylwetkę zobaczymy dopiero po szczegółowym rozbiorze jego prac dokumentujących rozwój, jaki przeszedł. Ignacy Matuszewski pisał [2], że wartość Witkiewicza leży nie w tym, co powiedział, ale jak powiedział. Jest to oczywisty fałsz, ale prawdą jest, że polemiczny temperament pióra i bogactwo stylistyczne absorbują czytelnika na równi z nowością wyrażanych sądów.

Czesław Hernas

Stefan Żółkiewski, STARE I NOWE LITERATUROZNAWSTWO. Szkice krytyczno-naukowe. Wrocław 1950. Instytut Badań Literackich. Studia Historycznoliterackie, 1. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Stefan Żółkiewski, BADANIA NAD LITERATURĄ POLSKĄ. Dorobek, stan i potrzeby. Z powodu I. Kongresu Nauki Polskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy (1951).

Książka Stefana Żółkiewskiego *Stare i nowe literaturoznawstwo* stanowi wydarzenie polonistyczne roku bieżącego. Publikacja odbiła się głośnym echem w czasopismach literackich i ogólnych, wzięli ją do rąk naukowcy, nauczyciele, studenci. *Stare i nowe literaturoznawstwo* należy istotnie do wystąpień naukowych o charakterze przełomowym. Na przestrzeni ostatniego półwiecza książka Żółkiewskiego ma tylko niewielu poprzedników. Wspomnijmy Piotra Chmielowskiego *Metodykę historii literatury polskiej* (1900), która ustalała założenia pozytywistyczne w pracy i myśleniu historyka literatury; Manfreda Kridla *Wstęp do badań nad dziełem literackim* (1936), który uzasadniał autonomię dzieła literackiego, nadmiernie czy pozornie przysłanianego przez materiał historyczny. Książka Żółkiewskiego przynosi trzecią rewizję założeń metodycznych i argumentuje z wielką siłą na rzecz metody marksistowskiej w badaniach naukowoliterackich.

Ogólny charakter książki pochwycił doskonale Jan Kott (w recenzji, którą cytujemy z rękopisu): „Książka Żółkiewskiego wyrosła zarówno z teoretycznych zainteresowań badawczych, jak i z udziału w konkretnej walce o marksistowską humanistykę. Stąd tak znamienne dla krytyki marksistowskiej i zarazem w polskiej praktyce nauko-

---

[2] Ignacy Matuszewski, *Stanisław Witkiewicz i krytyka subiektywna*, Pisma, t. 1, Warszawa (1925), s. 105.

wej nowatorskie połączenie rozważań ściśle teoretycznych z analizą aktualnego etapu badań literackich i z zarysem planu badań oraz przemian organizacyjnych. Nauka jest tutaj stale rozpatrywana w swojej funkcji społecznej, a więc w kontekście tradycji naukowej, roli ideologicznej i sytuacji społecznej uczonego. Jest to stanowisko w naszej praktyce badawczej zupełnie nowe i wyraźnie przeciwstawiające się tradycyjnym i idealistycznym ujęciom nauki jako pewnego zespołu twierdzeń, a nie jako całokształtu bytu społecznego uczonego".

Stare i nowe literaturoznawstwo zbiera pod jedną okładką szkice krytyczno-naukowe, napisane w ciągu roku, od jesieni 1949 do jesieni 1950 r. Studia te mają za tło prace naukowe i organizacyjne Instytutu Badań Literackich, Zjazd Polonistów z maja 1950 r., przygotowania do I. Kongresu Nauki Polskiej. Powstały zatem w głównym łożysku bieżącej dyskusji naukowej. Wszystkim tym etapom pracy polonistycznej Stefan Żółkiewski towarzyszył z wielką energią intelektualną, udając się do rozmaitych form wypowiedzi, jakie daje artykuł w czasopiśmie, referat zjazdowy, żywy i słuchany zawsze uważnie głos dyskusyjny.

Stare i nowe literaturoznawstwo nie jest jednak zespołem luźnych interwencji i wystąpień, jakby wynikało z wyglądu książki. W istocie są to rozdziały bardzo zwartej i konsekwentnej całości teoretycznej, budowanej z p o w o d u wydarzeń naukowych czy organizacyjnych (jak przejęcie P a m i ę t n i k a L i t e r a c k i e g o przez IBL czy obrady pamiętnego Zjazdu Polonistów). Zapewne, studia zebrane w tej książce noszą ślady swojej genezy aktualnej (mówi o tym sam autor w *Przedmowie*: „Książka, którą otwierasz, Czytelniku, nie powstała jako zamierzona całość"). Ale konsekwencje tego stanu rzeczy sprowadzają się właściwie do pewnych powtórzeń i usterek kompozycyjnych. Formacja ideowa, naukowa, nawet stylistyczna książki jest jednolita, nie zostawia szczelin w materiale i rozumowaniu. Autor miał pełne prawo powiedzieć: „Poszczególne szkice same niejako ułożyły się w całość. O ich związku, wzajemnym dopełnianiu się, następstwie, decydowała logika walki, walki ideologicznej, walki publicystycznej o marksistowskie literaturoznawstwo w Polsce, walki z tradycyjną rutyną w nauce".

Książka ma kilka tematów, które powracają z oczywistą intencją konstrukcyjną.

To najpierw zarys marksistowskiej estetyki i teorii literatury. Zarys ten przynosi przede wszystkim rozdział wstępny, *Aktualny etap walki o marksistowskie literaturoznawstwo w Polsce*, czytany na Zjeździe Polonistów w maju 1950 r. (i drukowany także w księdze zbiorowej *O sytuacji w historii literatury polskiej* z r. 1951). Wywód ten przedstawia ze szczególną jasnością zasadę interpretacji klasowej literatury, problem stylu artystycznego, problem wartościowania. Tu właśnie daje Żółkiewski swoje ujęcie dynamiki rozwoju literatury jako podstawowego zagadnienia interpretacji dzieła literackiego i całych nurtów literackich. Do rozdziału tego weszła analiza klasycznych przykładów estetyki marksistowskiej (Lenin o twórczości Tołstoja, Engels o tragizmie dramatu Ferdynanda Lassalla *Franz von Sickingen*). W tym samym związku, w dalszych rozdziałach książki, pojawia się bardzo instruktywny przegląd ostatnich osiągnięć naukowych w literaturoznawstwie radzieckim (materiały do tego opisu zebrał autor w czasie podróży naukowej do Związku Radzieckiego, wiosną 1950 r.).

Następnym zagadnieniem książki Żółkiewskiego jest bardzo konkretna analiza i ocena polonistyki idealistycznej. Temu celowi służy obszerne studium *O literaturoznawstwie burżuazyjnym epoki imperializmu w Polsce*, którym P a m i ę t n i k L i t e r a c k i (w numerze 1 z r. 1950) otwierał nowy rozdział swojego wydawnictwa. Jest to udokumentowana, ostra, ideowa rozprawa z polonistyką tradycyjną, można istotnie

powiedzieć: „vade mecum polonisty", które uczy postępowania naukowego, przełamując z pasją polemiczną założenia i przyzwyczajenia badawcze epoki idealistycznej.

Tym podstawowym tematom książki towarzyszą sprawy organizacji i planowania badań, stale tutaj obecne i związane z doświadczeniami Instytutu Badań Literackich. Rewizja metod naukowych, uchwycenie zjawiska przełomu ideowego w polonistyce, argumentacja na rzecz metody marksistowskiej — wszystkie te elementy dyskusji popiera i wiąże czynnik planowania, który wynika nieodparcie z krytyki chałupnictwa polonistycznego w okresie dwudziestolecia i ze stylu naszej epoki, narzucającej czynności planowania także pracowni humanistycznej.

Kontynuacją *Starego i nowego literaturoznawstwa* jest późniejsza nieco książka autora *Badania nad literaturą polską. Dorobek, stan i potrzeby*, przedstawiona I Kongresowi Nauki Polskiej w czerwcu 1951 r. Ten nowy przegląd polonistyki, wczorajszej i dzisiejszej, korzysta z ustaleń teoretycznych, jakie daje *Stare i nowe literaturoznawstwo*. W materiale bibliograficznym i opisowym praca Żółkiewskiego odwołuje się raz po raz do księgi *O sytuacji w historii literatury polskiej*, która stanowi sumę Zjazdu Polonistów z r. 1950. Ze szczególnym akcentem wprowadził tutaj autor pojęcie warsztatu polonistycznego, poprzednio wzmiankowane tylko ubocznie. Warsztat polonistyczny — w jakże słusznym rozumowaniu Stefana Żółkiewskiego — zbudowali historycy literatury i bibliografowie epoki pozytywizmu, wypełniwszy całe półki biblioteczne dziełami rzetelnej i podstawowej erudycji, szeregiem kompendiów biblio- i biograficznych, słowników, źródeł i serii tekstowych. Pojęcie warsztatu polonistycznego wymierza sprawiedliwość pokoleniu pracowników nauki, które najłatwiej nam (i chyba najsłuszniej) wyrazić symbolicznie nazwiskiem Gabriela Korbuta. Tej generacji badaczy winniśmy dzieła, które otwieramy codziennie z szacunkiem i wdzięcznością. Nowa książka Żółkiewskiego, powtarzając w zasadniczych liniach przeprowadzony już rozrachunek z przeszłością polonistyczną, dopomaga bardzo pożytecznie w rozróżnieniu wartości trwałych — i wymagających rewizji. W klimacie ostrego sprzeciwu ideowego, który nasyca np. rozdział *Rozwój syntezy historii literatury polskiej*, powstało to pozytywne i bardzo ważne pojęcie warsztatu polonistycznego, które należy ze szczególną starannością pedagogiczną narzucić młodzieży polonistycznej.

My wszyscy, którzy znamy Stefana Żółkiewskiego z trybuny zjazdowej, z rozmowy w pracowni IBLowskiej, z dyskusji koleżeńskiej, widzimy zupełnie jasno: jego obie książki, wydane starannie w oficynach drukarskich Ossolineum i PIWu, zanim autor napisał je i oddał do druku, zostały najpierw wypowiedziane. I takie będą na pewno inne książki Żółkiewskiego, te, które pisze obecnie i które jeszcze napisze. Są to książki pisane „językiem mówionym" Stefana, stylem dyskusji ostrej, gwałtownej, której podmiotem ulubionym jest rzeczownik „walka", gdzie odsyłacz bibliograficzny pojawia się rzadko, bez pedanterii (jak w *Starym i nowym literaturoznawstwie*, s. 24), stylem trudnym i wymagającym zżycia się z problematyką, nasyconym formułami, terminologią, tendencją do skrótów rzeczowych. Ale ta proza niełatwa, zawęźlona, ma swoją dynamikę, nieraz urzekającą, i siłę intelektualną, która bije z każdej strony napisanej przez Żółkiewskiego. Chodząc ciężkim krokiem po katedrze, Stefan Żółkiewski przemawia bardzo głośno, tym swoim „językiem mówionym", „Do młodych polonistów", tak właśnie jak pisze w *Starym i nowym literaturoznawstwie*: „Ważną sprawą nie jest subtelne cieniowanie sądów i dosypywanie jeszcze swojej miarki uzupełnień. Ważną sprawą na dziś jest jasne zrewidowanie zasadniczych stanowisk" (s. 113).

Tadeusz Mikulski

ŹRÓDŁA HISTORYCZNE.

ALBUM STUDIOSORUM UNIVERSITATIS CRACOVIENSIS. TOMUS IV, CONTINENS NOMINA STUDIOSORUM AB ANNO 1607 AD ANNUM 1642. Editionem curavit. Georgius Zathey adiutus ab Henrico Barycz, Cracoviae 1950, Sumptibus Universitatis Jagellonicae Cracoviensis.

Wydawnictwo źródłowe, z którego zdajemy sprawę, ma już za sobą długą historię. Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego powziął u r. 1873 uchwałę wydania drukiem metryki uniwersyteckiej, obejmującej studentów krakowskich od r. 1400. Uchwałę senacką z r. 1873 wiążemy z poważnie rozbudzonym ruchem naukowym w historiografii polskiej tego okresu, która dążyła do oparcia badań historycznych na silnej i bogatej podstawie źródłowej. Właśnie w tym związku organicznym zaczyna powstawać nauka polskiego pozytywizmu, przeciwstawiająca się dowolności i nie wykształconym jeszcze rygorom postępowania naukowego — w ujęciu romantycznym.

Realizacja uchwały następowała zwolna, etapami. Dopiero w r. 1884 do pracy nad wydaniem metryki zasiadł Ignacy Żegota Pauli, uczony erudyta, pomocnik bibliotekarza w Bibliotece Jagiellońskiej. Praca nad metryką okazała się nad jego siły. Starego uczonego, który należał jeszcze do szkoły romantycznej, wspomógł Bolesław Ulanowski, młody naówczas historyk prawa. Tom pierwszy wydawnictwa *Album studiosorum* wyszedł z druku w r. 1887. Po czym wziął na siebie dzieło edytorskie Adam Chmiel i prowadził je przez dwa tomy następne: tom drugi wydany w r. 1892, i tom trzeci, ogłoszony zeszytami w latach 1896—1904. Wydawnictwo, wówczas przerwane, zamknęło rejestr studentów Akademii Krakowskiej w latach 1400—1606 i stało się podstawą źródłową do studiów nad przeszłością Uniwersytetu Jagiellońskiego (badania te zainaugurował, jak wiadomo, Kazimierz Morawski wielką księgą: *Historia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Średnie wieki i odrodzenie,* t. I—II, Kraków 1900, prowadził zaś dalej, jako spadkobierca warsztatu, Henryk Barycz, przede wszystkim w książce: *Historia Uniwersytetu Jagiellońskiego w epoce humanizmu,* Kraków 1935).

Już po wojnie 1939—1945, która pokazała (po klęsce Warszawy!) kruchość i nietrwałość dokumentu, krakowskie środowisko naukowe podjęło edytorstwo wieku XIX, *Album studiosorum Universitatis Cracoviensis.* Do pracy nad metryką zasiadł z kolei Jerzy Zathey, bibliotekarz Działu Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej, przez wiele lat pracy bibliotecznej zżyty ze starym rękopisem, jak mało kto w jego pokoleniu. Współpracę przy wydawnictwie przyjął ponadto Henryk Barycz. Trudowi obu wydawców zawdzięczamy tom czwarty *Album studiosorum,* oparty na rękopisie Biblioteki Jagiellońskiej, 261, który objął metrykę uniwersytecką z lat 1607—1642, doprowadzając poczet studentów krakowskich do połowy wieku XVII.

Znaczenie naukowe tej publikacji jest bardzo poważne. Studia nad przeszłością Uniwersytetu, przerwane u schyłku humanizmu, zyskują w tych spisach podstawę historyczną, na której można budować rozdział następny dziejów szkoły. Metryka uniwersytecka przynosi nazwiska młodzieży imatrykulowanej w uczelni, daty wpisu, notatkę o pochodzeniu (przez wskazanie imienia ojca i diecezji, z której młodzieniec przybywa), wreszcie zaznacza wysokość taksy akademickiej. Już sumaryczny szkic stosunków liczbowych panujących w Uniwersytecie, jaki daje tablica opracowana w dodatku przez Marka Badiaka, pozwala postulować gruntowne zbadanie zasięgu Uniwersytetu, składu społecznego i związków terytorialnych społeczności akademickiej.

Tablica ta, by poprzestać na jednej rubryce, przynosi ważne materiały dla historyków Śląska: z diecezji wrocławskiej imatrykuluje się w Krakowie w latach 1600—1610 25 studentów, w latach 1610—1620 27 studentów, w latach 1620—1630 16 studentów, w latach 1630—1642 33 studentów, łącznie 101 nazwisk z dopiskiem wskazującym proweniencję śląską: „*d. Wrat.*". Skomentowanie tych cyfr, wyjaśnienie wahań liczbowych, nasycenie indeksu konkretną wiedzą o ludziach, ich pracach, roli społecznej — oto zadanie studium specjalnego. Dodajmy od razu, że badania podobne przygotowali H. Barycz i W. Ogrodziński ogłaszając już *Wykaz studentów śląskich na Uniwersytecie Krakowskim w latach 1607—1780* (Zaranie Śląskie, 1936).

Niezależnie od możliwości stawiania podobnych problemów, *Album studiosorum* wzbogaca wiedzę o przeszłości długim szeregiem ważnych, konkretnych, dokumentarnych szczegółów rzeczowych. Tylko dwa przykłady z tego zakresu odnotujmy dla egzemplifikacji.

Poeta wieku XVII, ze szkoły Szymona Szymonowicza, Henryk Chełchowski, na karcie tytułowej swojej pierwszej sielanki *Uciecha bogiń parnaskich* (Kraków, Maciej Andrzejowczyk, 1630, 26 lipca) wystylizował podpis autorski następująco: „Przez St. Henryka Chełchowskiego, Nauk wyzwolonych Studenta". Na podstawie tego świadectwa przyjąłem w swojej dawnej pracy o Chełchowskim, że autor *Uciechy bogiń parnaskich* był studentem Uniwersytetu Krakowskiego.[1] Pamiętam, jak nie powiodła mi się wówczas próba sięgnięcia do rękopisu metryki krakowskiej. Chyba po raz pierwszy zetknąłem się wtedy z amplifikacją przekazu źródłowego: Franciszek Siarczyński w swoim nieporządnym *Obrazie wieku panowania Zygmunta III* (Lwów 1828, t. I, s. 64 i n.), porządkując ogólnikowo biografię Chełchowskiego, napisał: „nauki z postępkiem znacznym w Krakowie odbył"... W każdym razie sam fakt studiów akademickich Chełchowskiego wydawał się niewątpliwy. Ze zrozumiałym zaciekawieniem przeglądam teraz tom IV *Album studiosorum* szukając potwierdzenia tej wiadomości. Na próżno! W latach 1620—1632, które skontrolowałem, nie ma nazwiska St. Henryka Chełchowskiego. Oto przykład, jak nie należy dowierzać źródłom pośrednim, nawet tak konkretnym jak tekst karty tytułowej druku współczesnego, prasowanej w oficynie krakowskiej, w pobliżu Akademii! A jednocześnie wskazówka, że *Album studiosorum* może sprostować niejedną zapewne bałamutną tradycję biograficzną.

Przeglądając metrykę krakowską w poszukiwaniu Henryka Chełchowskiego, natrafiam na pozycję następującą pod rokiem 1626, *commutatione aestivali:* „Wladislaus Valentini Rozdzienskj d. Crac. s[olvit] gr[ossos] 4 $^1/_2$" (s. 104). Według wszelkiego prawdopodobieństwa to syn Walentego Roździeńskiego, autora poematu z życia górniczego, wielkiej ceny, pt. *Officina ferraria,* z r. 1612, którego odkrycie i zbadanie jest zasługą naukową Romana Pollaka. Żywot Walentego Roździeńskiego, ułożony przez prof. Pollaka z fragmentów (ostatnio we wstępie do wydania: *Officina ferraria,* wyd. II. Biblioteka Pisarzy Śląskich, ser. II, nr 2, Katowice—Wrocław 1948), ma wiele niedopowiedzeń i plam białych. Toteż zapiskę metryki krakowskiej wynotujmy skwapliwie: przydaje ona autorowi *Officina ferraria* syna, nazywa go imieniem Władysław, pomieszcza w diecezji krakowskiej, wprowadza wreszcie do akademii na semestr

---

[1] T. Mikulski, *Henryk Chełchowski. Kartka z dziejów literatury polskiej XVII w.*, Toruń 1929, s. 12, i Polski słownik biograficzny, Kraków 1937, t. III, s. 269.

letni 1626 r. Szczegóły te nie są obojętne dla dziejów rodziny pisarza pracującego na pograniczu językowym i kulturalnym.

Dyskusja nasza opiera się na materiale jednej dekady i jest zupełnie swobodna w wyborze przedmiotu. Ale wystarcza chyba do uzasadnienia tezy, że *Album studiosorum* kryje ważne korekty i uzupełnienia biograficzne, które potrzeba co prędzej wydobyć i wpisać do „Korbuta".

Tom następny metryki krakowskiej, obejmujący lata 1643—1719, spłonął zapewne w pożarze Collegium Iuridicum w r. 1719. Ale ocalał dla badań materiał z lat 1720—1780, doprowadzający ewidencję Uniwersytetu Krakowskiego do reformy Kołłątajowskiej. Można mieć nadzieję, że Jerzy Zathey, włożywszy tyle pieczołowitości naukowej w kontynuację wydawnictwa, dokończy dzieła swoich poprzedników. *„Finis coronat opus"* — mówi słusznie czytanka szkolna wszystkich wieków.

Tadeusz Mikulski

Jan Śniadecki, ŻYWOT LITERACKI HUGONA KOŁŁĄTAJA. Opracował Henryk Barycz. Wrocław (1951). Biblioteka Narodowa, seria I, nr 136.

Praca Śniadeckiego o Kołłątaju, obejmująca — i to wcale nie na marginesie — szereg innych jeszcze tematów i zagadnień, w swych partiach poświęconych wyłącznie twórcy Kuźnicy nosi charakter wystąpienia rehabilitacyjnego w dyskusji nad oceną działalności wielkiego pisarza i polityka. Tak ramowo pojęta Śniadeckiego koncepcja biografii Kołłątaja pozwala wyjaśnić luźną, publicystyczną kompozycję pracy. Z drugiej strony zastanawiać będzie szczególny sposób tej rehabilitacji, dokonany przez autora wybór faktów biograficznych i ich interpretacja.

Śmierć Kołłątaja była okazją do wznowienia trwającej od dwudziestu lat dyskusji, rozpoczętej kampanią przeciwko Kołłątajowi jeszcze przez stronników Targowicy. Już w okresie sejmu czteroletniego przywódca Kuźnicy stał się przedmiotem ataków ze strony obozu konserwatywnego, który miał w tym wypadku za sobą długi szereg wrogów Kołłątaja z czasów reformy Akademii Krakowskiej. W r. 1794 obóz jego nieprzyjaciół powiększył się o znaczną liczbę dotychczasowych sprzymierzeńców. Okrzyki ludu krakowskiego, witającego Kołłątaja w Krakowie w marcu 1794 r. jako przywódcę powstania narodowego, wzbudziły ostrożność i nieufność elity powstańczej. Rewolucyjne wypadki majowe i czerwcowe w Warszawie dopełniły reszty — Kołłątaj urósł w oczach opinii do miary trybuna ludowego, głowy jakobinów polskich, stał się groźny. Po upadku insurekcji koła reakcyjne rozpętały przeciwko niemu ostrą kampanię, biorąc za punkt wyjścia zarzut defraudacji pieniędzy skarbowych. Gdy schorowany, wyczerpany więzieniem Kołłątaj zjawił się w stolicy Księstwa Warszawskiego, odizolowano go całkowicie od życia publicznego; żyjący złudzeniem rewolucyjnej atmosfery napoleońskiej Warszawy, zobaczył tam odrodzenie najbardziej wstecznych sił politycznych w cieniu napoleońskiego cezaryzmu. Czas nie nadwątlił zaciekłości nieprzyjaciół, przeciwnie, możliwość pojawienia się Kołłątaja na nowo na arenie politycznej wywołała nową falę ataków.

Praca Śniadeckiego była pierwszą poważniejszą próbą oczyszczenia opinii twórcy Kuźnicy. Metoda rehabilitacji była jednak dosyć szczególna: polegała nie na dyskutowaniu zarzutów wysuwanych przeciwko Kołłątajowi, lecz na ukazaniu jego zasług, i to zasług z pierwszego okresu jego działalności publicznej, z okresu reformy Akademii Krakowskiej. Śniadecki pomija świadomie polityczną działalność Kołłątaja,

podkreśla natomiast jego rolę w reformie Akademii, pisze o jego zainteresowaniach naukowych i omawia jego pisma, ale tylko prawie wyłącznie od strony czystości języka i literackiej sprawności pióra. Biografia Kołłątaja pod piórem Śniadeckiego jest wyraźnie i świadomie jednostronna; rażą w niej szczególnie takie luki, jak okres sejmu czteroletniego i rok 1794.

Śniadecki wspomina w swej pracy, że różnił się w poglądach z Kołłątajem niejednokrotnie. Sam bardzo szczerze kreśli w *Żywocie* swój krytyczny stosunek do wielu zbyt dla niego radykalnych pociągnięć księdza wizytatora. Historia kontaktów osobistych obydwu mężów mówi o częstych wahaniach i przerwach, o znacznym rozluźnieniu tych kontaktów w dobie politycznej aktywności Kołłątaja. Epilogiem ich współpracy w dziele reformy Akademii Krakowskiej był udział Śniadeckiego w działalności zawiązanego przez Kołłątaja w Warszawie około r. 1789 Towarzystwa Krytycznego, które podjęło kampanię publicystyczną przeciwko reakcyjnym profesorom krakowskim, dążącym do obalenia ustanowień reformy Akademii (dlaczego nie ma wzmianki o Towarzystwie we *Wstępie* Barycza?). Kilku publicystów Towarzystwa Krytycznego miało się wkrótce dać poznać w nowej roli działaczy K u ź n i c y. Towarzystwo było dla nich wstępną próbą walki ideologicznej, od której w zaostrzonej sytuacji politycznej mieli przejść wprost do świadomej walki politycznej, do otwartego, bezpośredniego dyskutowania zagadnień politycznych, społecznych, gospodarczych. Śniadecki nie znalazł się w K u ź n i c y. Nie ważyła tu chyba odległość do Warszawy z Krakowa, gdzie mieszkał Śniadecki, ani jakaś apolityczność wybitnego uczonego. Śniadecki żywo interesował się polityką; bywając w Warszawie brał często udział w dyskusjach politycznych w domu Kołłątaja. Reprezentował stanowisko bardziej nawet postępowe niż wielu posłów Stronnictwa Patriotycznego: oceniając konstytucję majową zarzucał jej połowiczne rozwiązanie kwestii chłopskiej; do właściwego K u ź n i c y radykalizmu nigdy jednak nie doszedł. O tym odcinku znajomości z przywódcą K u ź n i c y nic nie ma w *Żywocie*. Liberalnym poglądom Śniadeckiego wystarczył po upadku Polski program współpracy z liberalizującą polityką Aleksandra. Miało to swoje konsekwencje: trzeba było potępić powstanie i wszelkie usiłowania rewolucyjne, trzeba było wymazać z życiorysu lata postępowej aktywności politycznej. Musiało to wpłynąć również na kompozycję portretu Kołłątaja w *Żywocie*. Z perspektywy dwudziestu przeszło lat bliższy się wydał Śniadeckiemu w biografii Kołłątaja okres reformy Akademii i z tego właśnie materiału zbudował apologię przyjaciela. Wszystkie możliwe zarzuty natury politycznej odpiera *en bloc* usprawiedliwiając Kołłątaja jako ofiarę „nieuchronnej wypadków kolei", jako bezwolne narzędzie w rękach jakichś złych sił i burzy politycznej, która go ostatecznie musiała zniszczyć i zniszczyła. „Uważając nawet — pisze Śniadecki w zakończeniu — usiłowanie Polaków w sprawie narodowej jako błąd polityczny, wiemy, że go Kołłątaj nie popełnił, ale w odmęt już popełnionego był zagarniony". Ów rzadki w *Żywocie* komentarz polityczny, przy równoczesnym uświadomieniu sobie stanowiska politycznego Śniadeckiego z jego wrogością wobec rewolucji, pozwala zrozumieć niechęć autora *Żywota* do nasyconych politycznie fragmentów życia Kołłątaja, do tych wszystkich momentów, w których — nawet w latach młodszych, dla Śniadeckiego również w dużym stopniu radykalnych — drogi ich się rozchodziły. Lata pobytu Kołłątaja na Wołyniu przyniosły bardzo serdeczne kontakty, choć niemal wyłącznie korespondencyjne, zadokumentowane bogatym zbiorem listów. Program polityczny Kołłątaja w tym okresie nie różnił się wiele od linii Śniadeckiego. Utworzenie Księstwa Warszawskiego i pojawienie się w związku z tym możliwości powrotu Kołłątaja do życia politycznego w zjakobinizo-

wanej — oczywiście tylko w oczach wileńskiego profesora — Warszawie zaniepokoiły Śniadeckiego. W r. 1809 pisał w liście do Kołłątaja: „Śmiem mu [ci] radzić, abyś (...) zrzekł się na zawsze politycznych zatrudnień i nawet nie przyjmował żadnego krajowego urzędu, do którego dają mu prawo zasługi, prace i talenta". Nakłania go do poświęcenia się wyłącznie pracy naukowej. „Lepiej być Tacytem jak pierwszym ministrem swego narodu" — pisze nieco dalej w tymże liście. Obok niewątpliwej troski o przyjaciela oraz wrogości do Napoleona i niechęci do Księstwa Warszawskiego, przemówiła tu obawa przed nowym rozejściem się dróg politycznych.

Mimo oczywistych dowodów przyjaźni i przywiązania nie ten czynnik miał podstawowe znaczenie w genezie *Żywota*. Apologia Kołłątaja zajmuje część tylko całej pracy; właściwy „żywot" sprawia wrażenie jedynie kręgosłupa literackiego dla szerszej koncepcji publicystycznej. Ciężar materiału historycznego i jego kierunkowość przeważają na korzyść drugiego, bardziej może zasadniczego niż pierwszy problemu — dziejów oświaty w Polsce w w. XVIII. Rolę, jaką ten temat pełni w *Żywocie*, stwierdza sam Śniadecki pisząc, że praca powstała z chęci utrwalenia ważnego okresu dziejów oświaty polskiej. Nie jest to jednak beznamiętna, kronikarska relacja historyka. Tok informacyjny przerywany jest ciągle dłuższymi dygresjami w tonie dyskusyjnym, polemicznym. Spoza drobnych szczegółów ukazują się niekiedy szersze koncepcje polityczne, rzadko zachowane ślady politycznie aktywnego, postępowego okresu życia Śniadeckiego. Pisze o swej wspólnej z Kołłątajem walce o realizację przywileju Zygmunta Starego z r. 1535, przyrzekającego nobilitację za wieloletnią pracę nauczycielską. Nowoczesne jest tu podejście do kwestii szlachectwa, przywilejów i zasług: prawo awansu drogą kształcenia się przeciwstawia Śniadecki tradycyjnemu kultowi przywilejów stanowych czy rodowych i tytułów szlacheckich.

Żywy, emocjonalny stosunek autora do materiału, łatwo poznawalna autorska sugestia aktualności, wyraźny charakter publicystyczny — wszystko każe doszukiwać się jakichś aktualnych, publicystycznych założeń *Żywota Kołłątaja*. Nie był to zapewne — a to proponuje Barycz we *Wstępie* — „testament oświatowy". Mylna jest nieco sugestia tej nazwy; nie dla potomności i nie przez całkiem odchodzącego napisana została ta broszura. Swą wymową i ostrzem publicystycznym praca ta, której erudycyjny materiał historyczny z okresu walki o świecką oświatę w Koronie każe podejrzewać autora o próbę historycznej paraleli, należy w całości do postępowej publicystyki środowiska wileńskiego, toczącego ciężkie zmagania z jezuitami o świecki charakter szkolnictwa na Litwie. Zdobycze reformy systemu edukacyjnego na Litwie były od samego początku zagrożone przez usiłowania jezuitów — po kasacie zachowanych na ziemiach imperium rosyjskiego — zmierzające do przywrócenia dawnego stanu rzeczy i odzyskania dawnego przeważającego wpływu na oświatę. Wysiłki zakonu zostały w styczniu 1812 r. uwieńczone dużym sukcesem, uzyskaniem przez jezuitów podniesienia kolegium zakonnego w Połocku do rangi akademii. Fakt ten, wskazujący na oczywisty wzrost sił zakonu jezuickiego w imperium, pozwalał wnioskować o groźbie dla utrzymującego się jeszcze od czasów reformy Komisji Edukacyjnej systemu, ugruntowanego w latach następnych. Odżył na Litwie stary, w Koronie w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku dyskutowany problem oświaty kościelnej, tak wówczas żywo absorbujący literaturę od traktatów naukowych po poematy heroikomiczne. Szczególną wymowę ma fakt publikacji pracy, przypominającej dzieje zmagań o zaprowadzenie świeckiej oświaty w Polsce, w takim momencie sytuacji oświatowej na Litwie. Wymowę ma ostry antyjezuityzm, wyzierający ciągle spod pióra Śniadeckiego. Rys dziejów Akademii Krakowskiej został w *Żywocie* oparty na

motywie walki tej uczelni z zakonem jezuitów o powszechny i narodowy charakter oświaty. Upadek umysłowy w dobie saskiej został przypisany faktowi opanowania szkolnictwa przez jezuitów. W działalności tego zakonu dostrzega Śniadecki szkodliwe dla kraju antynarodowe dążności.

Z kart *Żywota* — ideologicznie wyraźniej chyba niż portretowany tu Kołłątaj — wyłania się pełna sprzeczności sylwetka Jana Śniadeckiego z okresu pisania omawianej broszury. To, co w niej wyczytujemy — ostry antyklerykalizm obok umiarkowanych poglądów społeczno-politycznych, daleko posunięty lojalizm wobec caratu obok troski o zachowanie i rozwój języka narodowego jako środka utrzymania narodowości, żywe przywiązanie do dzieła oświeconych reform obok nieufności do wszelkich zmian i nowatorstw — mówi wiele o skomplikowanej drodze uczonego, tak typowej dla wielu przedstawicieli Oświecenia wileńskiego. W zacofanej gospodarczo i społecznie Litwie antyjezuityzm (zwłaszcza wobec fali reakcji jezuickiej), racjonalizm czy empiryzm w filozofii oraz walka o język narodowy były wówczas dostatecznymi znamionami postępowości. Mimo wielu podobieństw Oświecenia polskiego z litewskim to ostatnie posiada wyraźnie poczucie swej pewnej anachroniczności i ma charakter bardziej defensywny. Przebrzmiała już w Koronie filozofia Oświecenia okazała jeszcze na Litwie dość prężności, by przeciwstawić się naporowi młodej niemieckiej filozofii idealistycznej, opierając się przy tym nierzadko na rozwinięciu wielu elementów materialistycznych w oficjalnej filozofii oświeceniowej (takie było np. stanowisko brata Jana Śniadeckiego, Jędrzeja).

Bogactwo problematyki, zawartej w treści *Żywota*, rozległy materiał erudycyjny, szyfr aktualnych aluzji publicystycznych, udział elementu autobiograficznego i wreszcie sama interpretacja zjawisk spóźnionego Oświecenia wileńskiego — wszystko to sprawia niemałe trudności autorowi komentarza naukowego. *Wstęp* prof. Barycza wraz z bogatym aparatem przypisów starał się objąć możliwie najpełniej cały ten kompleks zagadnień, dołączając jeszcze omówienie gatunkowej jakości *Żywota* na tle rozwoju biografistyki literackiej, od starożytności począwszy. Wydaje się jednak, że w naukowym wysiłku opracowania erudycyjnego zagubiły się lub zatarły niektóre istotne problemy historyczne i interpretacyjne. Oto nie otrzymała należytego wyjaśnienia walka ideologiczna przeciwko wynikom reformy Akademii Krakowskiej, czego nie można przecież, w braku lepszego tłumaczenia, sprowadzić do typu konfliktu dwóch pokoleń. W związku z tym dostrzegamy również potrzebę wyjaśnienia kampanii krakowskiej przeciwko Kołłątajowi, z całą pewnością wykraczającej poza ramy sporu majątkowego czy prestiżowego z kapitułą. Ogólna koncepcja pokazania przez autora *Wstępu* stosunków Śniadeckiego z Kołłątajem oraz jej przeprowadzenie budzą również zastrzeżenia u czytelnika: niewątpliwie istotnym elementom czysto biograficznym, wskazaniu różnych skłonności psychicznych, różnicy zainteresowań naukowych czy temperamentów, co z pewnością niemało ważyło w dziejach kontaktów osobistych obydwu mężów, brak koniecznego uzupełnienia w postaci ukazania istotnych różnic ideologicznych, które wyżej już próbowałem zarysować. Ogólnie rzecz biorąc *Wstęp* Barycza, operujący bogatym aparatem erudycyjnym i starający się dać komentarz możliwie wszechstronny, mniej pomaga w zakresie interpretacji komentowanego zjawiska. Pochodzi to zwłaszcza z częstego ograniczania się do podania tylko faktów, ewentualnie z dodania im szczupłego komentarza tradycyjnego, niekiedy szkodliwie upraszczającego, jak przy charakterystyce filozoficznych źródeł poglądów Śniadeckiego i Kołłątaja (s. XIII), sprowadzonych do wspólnego mianownika wcale niejednolitej przecież filozofii Oświecenia.

Uprzystępniona nam w tomiku Biblioteki Narodowej praca Śniadeckiego wyszła obecnie jako trzecia edycja samoistna. Cenna, zróżnicowana jej zawartość materiałowa, jej charakter dokumentarny, rola w postępowej publicystyce swoich czasów — czynią z niej pozycję niezmiernie ważną zarówno dla poznania obydwu wybitnych przedstawicieli polskiego Oświecenia, jak i ogólnej problematyki kulturalnej i politycznej tej epoki. Nowy tomik Biblioteki Narodowej, zaopatrzony w materiałowo wyczerpujący wstęp, z tekstem troskliwie skontrolowanym, uzupełnia bibliotekę literatury Oświecenia jeszcze jedną ważką pozycją.

Stanisław Pietraszko

RZECZPOSPOLITA KRAKOWSKA 1815—1846. Wybór źródeł. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzyła Janina Bieniarzówna. Wrocław (1951). Biblioteka Narodowa. Seria I, nr 138.

Biblioteka Narodowa posiada już wśród wydanych tomów parę wydawnictw źródłowych w rodzaju wydanej przed paroma miesiącami *Rzeczypospolitej Krakowskiej*. Pomimo tego charakter tego wydawnictwa jest nieco inny. Poprzednie przedstawiały bądź to ideologię określonej grupy (Kuźnica Kołłątajowska), bądź wypadki społeczno-polityczne o stosunkowo krótkim przebiegu (1846—1848 r.). Tymczasem *Rzeczpospolita Krakowska* miała na celu wszechstronne przedstawienie dziejów tego „na pół" czy „na ćwierć" niezależnego skrawka Polski na przestrzeni ponad 30 lat. Nasunąć to musiało, rzecz prosta, nowe trudności, z którymi nie zetknęli się uczeni, układający wspomniane tomy.

To było także zapewne przyczyną, dla której wybór źródeł rozrósł się do rozmiarów pokaźnego, ponad 500-stronicowego dziełka. Objętość ta może nawet budzić pewne wątpliwości. Ogólnym założeniem wydawnictw źródłowych Biblioteki Narodowej, które nie mają charakteru ściśle naukowego, jest zbliżyć szersze grono ludzi do źródeł. Stanowią one dalej pomoc w pracy pedagogicznej na wyższych uczelniach, ewentualnie w wyższych klasach szkół średnich. Zachodzić może obawa, że objętość tomu odstraszy niejednego od przerzucenia tych kartek. Najzupełniejszą rację ma autorka wstępu, gdy pisze, że „przytoczone teksty nie wyczerpują całości" historii W. M. Krakowa, ale też nie to miało być celem wyboru źródeł. Niektóre teksty można było nieco skrócić (np. 6, 28), w ostateczności nawet pominąć (np. podane zostały oba teksty konstytucyj z lat 1815 i 1818).

Pomimo tego zastrzeżenia przyznać należy, że *Rzeczpospolita Krakowska* przedstawia się imponująco. Źródła zostały, jak zawsze, poprzedzone sporym wstępem, do którego napisania posłużył autorce w znacznej mierze własny dorobek naukowy (*Rzeczpospolita Krakowska*, 1948, *Z dziejów liberalnego i konspiracyjnego Krakowa*, 1948). Teksty podzielone zostały na 13 części, które kolejno przedstawiają utworzenie się Wolnego Miasta, społeczeństwo krakowskie (szlachta i mieszczaństwo, górnicy, sprawa włościańska — może lepiej byłoby chłopska — i Komisja Włościańska), życie gospodarcze, troskę o wygląd miasta, życie obyczajowe, oświatę, życie kulturalne, polityczne, stosunek mocarstw do Krakowa po powstaniu listopadowym, opozycję liberalną, konspirację, rewolucję 1846 r., wreszcie koniec Wolnego Miasta. A więc ogólnie — najpierw powstanie Rzeczypospolitej, potem stosunki wewnętrzne, na koniec losy zewnętrzne. Schemat ten stanowi, jak się zdaje, w odniesieniu do Krakowa szczęśliwe rozwiązanie jednej z podstawowych trudności, występujących przy takim typie

wydawnictwa. Zobaczymy, w jaki sposób rozstrzygną je wydawcy innych analogicznych tomów — *Wielkopolski 1815—1850* i *Galicji 1772—1860.*

Dalszym zagadnieniem, które trzeba było rozwiązać, był sam wybór tekstów. Bieniarzówna podzieliła je na akty urzędowe, publicystykę, korespondencję, pamiętniki i poezję. Nas uderzy przede wszystkim to, że po bardzo znaczną ich ilość trzeba było sięgnąć do materiałów archiwalnych. Na ogólną ilość 97 tekstów — 31 nie było dotąd drukowanych i pochodzi z Archiwum Akt Dawnych (19), zbiorów PAU (5), Biblioteki Jagiellońskiej i Czartoryskich (po 3), wreszcie Archiwum Norbertanek (1). Charakterystyczne jest, że specjalnie wiele materiału rękopiśmiennego zostało użyte w rozdziale *Społeczeństwo krakowskie* (15 na 23 pozycje), a stosunki w górnictwie czy sprawa włościańska przedstawione zostały wyłącznie przy użyciu archiwaliów. Dowodzi to, że najciekawsze materiały odnoszące się do tych zagadnień nie zostały jeszcze wydane.

Resztę tekstów wzięła autorka z wydawnictw źródłowych (głównie akty dyplomatyczne), pamiętników i wspomnień, z których niektóre stoją już na pograniczu opracowań, z druków współczesnych, rzadziej z prasy. W ten sposób powstał materiał bogaty i wszechstronnie naświetlający życie w W. M. Krakowie. Ilościowo najwięcej miejsca poświęcono zagadnieniom politycznym (prawie 50%), ponad 1/4 zajmują zagadnienia obyczajowo-kulturalne, pozostawiając resztę miejsca stosunkom gospodarczym i społecznym. Tego rodzaju układ jest wynikiem charakteru źródeł, gdyż jak autorka zapowiada na wstępie: „w jednych wypadkach mamy nadmiar źródeł,... w innych trzeba było się posługiwać materiałem, oświetlającym daną kwestię pośrednio..." (s. LI). Aby zakończyć uwagi o doborze materiału, zauważyć jeszcze trzeba, że w rozdziale o rewolucji 1846 r. na 6 tekstów — 3 są powtórzeniem tekstów, umieszczonych u Kieniewicza (*Rewolucja polska 1846 r.*). Być może jednak, umieszczenie ich uznano za konieczne dla uzyskania pełnego obrazu. Muszą jednak dziwić pewne, zresztą drobne różnice pomiędzy oboma przedrukami (np. w odezwie Tyssowskiego *Dyktator do wszystkich Polaków* u Bieniarzówny brak jest podpisu Dembowskiego). Znane przemówienie Marksa z r. 1848, tłumaczone przez Bieniarzównę z ówczesnego druku, poza tekstem Kieniewicza zawiera tylko jeden mniej ważny urywek.

Przy tych niewielkich zastrzeżeniach uznać należy dobór tekstów za bardzo ciekawy i trafny. Są one poprzedzone, jak wzmiankowano już wyżej, obszernym wstępem o planie odpowiadającym w zarysie układowi tekstów, a więc najpierw omawia autorka powstanie Wolnego Miasta, strukturę gospodarczą i społeczną, stosunki wewnętrzne, wreszcie dzieje aż do likwidacji fikcyjnej niepodległości. Przy omawianiu reform Komisji Włościańskiej można było wspomnieć, na jakich zasadach były one oparte, że czynsze obliczano zbyt wysoko, gdyż za podstawę brano ceny zboża z lat pomyślnych i że nawet w r. 1833 trzeba było te czynsze obniżać. Dalsze stwierdzenie, że „zostawała w tyle za pruską reformą" (s. XLIX) bez wskazania charakteru tej ostatniej, może także budzić wątpliwości. Mieszczaństwo, o którego antagonizmie do szlachty autorka wspomina, nie było jednolite, a ślady tego znaleźć można nawet w źródłach, umieszczonych w zbiorze (s. 40). Było to zapowiedzią postawy bogatszego mieszczaństwa z lat 1846 i 1848.

Scharakteryzowanie powstania Konfederacji Narodu Polskiego, zwanej przez Kieniewicza (nie uwzględnione w bibliografii *Konspiracje galicyjskie*) Konfederacją Powszechną Narodu Polskiego, jako przejście steru w ręce ludzi z mniejszym poczuciem odpowiedzialności (s. XLII — XLIII), jest także do dyskusji. Jeśli stwierdza się, że „powstanie krakowskie miało cechy socjalistyczne" (s. XLVII), to najpierw trzeba

ustalić jego zasadniczy demokratyczno-burżuazyjny charakter. Można było także wspomnieć, że reakcja zagranicy na zajęcie Krakowa przez Austriaków miała także i ekonomiczne podłoże, o czym świadczą np. protesty mieszczaństwa wrocławskiego.

Obok doboru tekstów i wstępu trzecim elementem wydawnictwa są objaśnienia, sposób, w jaki teksty zostały podane czytelnikowi. Jak już wyżej była mowa, podstawowym celem wydawnictwa jest popularyzacja źródeł historycznych, stąd w konsekwencji ograniczanie aparatu edytorskiego do minimum, tłumaczenie tekstów obcojęzycznych, bogatsze objaśnienia rzeczowe. W ten też sposób wydane zostały źródła do dziejów Rzeczypospolitej Krakowskiej, ale nie zawsze w sposób dostatecznie konsekwentny i nie bez drobnych usterek. Z jednej strony troska o brak przygotowania czytelnika poszła tak daleko, że wyjaśnione zostały terminy jak koncesja, konsumpcja czy fanfaron, z drugiej nie wyjaśniono, choćby w przybliżeniu, wartości ówczesnego złotego polskiego, wagi cetnara berlińskiego itp. Nie wszystkie objaśnienia mogą w pełni zadowolić (np. „szosowe — podatek pośredni" s. 146). W paru wypadkach objaśnienia występują nie na właściwych miejscach tzn. nie przy pierwszym pojawieniu się nazwiska względnie nazwy (np. autor Kämpf: wyjątek z jego pracy na s. 44, objaśnienie na s. 59, ul. Szeroka: s. 57 i 124, poeta Wasilewski: s. 316 i 401). Niekiedy nazwiska nie są w ogóle objaśnione (s. 322, 413); nie jest wytłumaczone występowanie podwójnych dat (stary styl). Za mało jest uwag, objaśniających stanowisko autora danego tekstu, jego postawę wobec opisywanych wydarzeń, względnie o charakterze źródła (jak to w wielu miejscach zrobił Kieniewicz w wydawnictwie *Rewolucja polska 1846 r.*). Dla mniej wyszkolonego historycznie czytelnika ważna jest wiadomość, jakie jest stanowisko Hechla wobec wypadków 1846 r. Wreszcie w paru miejscach przydałyby się krótkie objaśnienia zbyt zawiłego tekstu.

Drobniejszych zastrzeżeń zebrała się pewna ilość, ale w niewielkiej tylko mierze, nawet jeśli wszystkie są słuszne, mogą one obniżyć wartość ze wszech miar pożytecznego wydawnictwa.

Adam Galos

Z ZAGADNIEŃ JĘZYKA WSPÓŁCZESNEGO

Witold Doroszewski, ROZMOWY O JĘZYKU, seria I, Warszawa 1948; seria II, Warszawa 1951. R(adiowy) I(nstytut) W(ydawniczy).

Zagadnienie poprawności języka nurtowało od dawna myśl ludzką. Na terenie polszczyzny wystarczy przypomnieć jeden z najdawniejszych sporów na ten temat, z pierwszej połowy XVI wieku, między sądeczaninem Janem Sandeckim-Maleckim a grupą północno-polskich tłumaczy *Testamentu* z Janem Seklucjanem na czele. Różnice zdań tych dwu obozów wynikały z różnic dialektologicznych, a więc geograficznych, i historycznych odmienności ich przyzwyczajeń językowych. Przedstawiciele północnej polszczyzny reprezentowali język nowy, rozwijający się, więc zwyciężyli. Ta zacięta i nie ostatnia sprzeczka uwięzła w wiekach bez śladu prawie; nie było wtedy jakiegoś wyższego czynnika normatywnego, co by osobiste przyzwyczajenia i poglądy na język mógł w sposób naukowy i przekonywający wyjaśnić. Świadoma troska o język, uwzględniająca jego rozwojowe zmiany, ale powstrzymująca od dziwactw językowych występujących u jednostek lub grup, pojawi się o wiele później.

Do zespołu środków, służących pielęgnowaniu języka, włączyło się w ostatnich czasach radio. W pełnym wachlarzu zagadnień nie zapomniano pomieścić w progra-

mie półgodzinnej pogawędki o aktualnych sprawach językowych. Różnorodność zapytań i ich liczba dowodzą, że zainteresowanie językiem wzrasta wśród najszerszych warstw społeczeństwa, chociaż równocześnie zdradzają ogromną ignorancję ogółu w sprawach językowych. Z tych pogadanek radiowych uzbierał W. Doroszewski w ciągu trzech lat materiał do dwu tomów *Rozmów o języku*.[1]

Seria pierwsza *Rozmów* dzieli się na trzy części: 1) część ogólną, 2) zagadnienia szczegółowe, 3) wyrazy obce.

Część pierwszą otwiera rozdział pt. *Rzeczy ogólne*, omawiający sprawy szersze i ogólniejsze, obrazujący ciężką walkę o polskość, o ratowanie języka przed hitlerowskim pogromcą słowa polskiego ukrytego w książkach. Dużo spostrzeżeń na ten temat przywodzą sylwetki nie żyjących dziś i w tragiczny sposób zmarłych miłośników języka polskiego (*Czasu wojny*). Inny rozdział (*Uwagi o pięknie języka*) budzi reminiscencje norwidowskiej kontemplacji nad poetyckim etymologizowaniem wyrazów. Przestrzegając przed nastrojowym widzeniem piękności języka, którym mówimy i myślimy, zachęca do szukania piękna mowy w wiedzy o niej. Niezwykle jasno i ciekawie zastanawia się nad stosunkiem myśli do uczucia w języku (*Uczucie a myśl w języku*), głosząc zasadę umiaru, uważając, że supremacja któregokolwiek z tych czynników jest szkodliwa. Odmawia gramatykom polotu, skutkiem czego nauka o języku stała się schematem. Przesada w kierunku przeciwnym też nie jest dobra, bo przecież myśl jest głównym czynnikiem przez wieki kształtującym język.

Zgłaszane po wojnie zarzuty pod adresem ortografii polskiej musiały się obić o uszy autora *Rozmów*, skoro poświęcił jej rozdział *O ortografii polskiej*. Jako jedna ze spraw bardzo żywotnych, zajmuje ona niemal każdego, a w okresie roboty nad nową pisownią, w latach 1935 — 1936, dyskusja jej projektodawców była nader ożywiona. Przez porównanie z innymi pisowniami, np.. z angielską czy francuską, autor nie bez dowcipu udowadnia, że nasza ortografia wobec pisowni tych języków, jak najbardziej anachronicznych, jest zupełnie łatwa. Podkreśla logiczność pisowni etymologicznej typu *głowa — główka*, a nie *głufka*, jakby tego chcieli niektórzy zwolennicy bezwzględnej pisowni fonetycznej. Zostawia raczej sprawę czasowi i stopniowej pracy nad ortografią, ucząc cierpliwości roznamiętnionych i rozjątrzonych „ortografów". Bardziej ciętą odprawę zgotował im swego czasu, już po wojnie, Język Polski, ostudzając niewczesne i burzliwe zapały namiętnych poprawiaczy ortografii polskiej.

Rozdział pt. *O właściwą postawę wobec języka* zaleca spokojną postawę wobec błędów językowych. Jest to także postawa samego autora pogadanek radiowych, który z właściwą sobie finezją i subtelną ironią ochładza zapały przesadnych purystów językowych, korespondentów Skrzynki Językowej. Spojrzenie Doroszewskiego na rozwój języka jest nowoczesne. Wielokrotnie można sobie wyobrazić, słuchając odpowiedzi autora przez radio, jak spokojnie rozkłada przed chciwym swej racji słuchaczem ręce, uznając, że jakieś zjawisko, na pozór niepoprawne, stało się poprawne przez powszechne użycie. Nie przeszkadza to oczywiście w napiętnowaniu snobizmu lub niechlujstwa językowego, gdy idzie o bardzo niewłaściwy lub wykolejony zwrot czy wyraz. Inaczej mówiąc, przy trosce o język należy uwzględniać jego dynamikę rozwojową, a to zależne jest od naszej wiedzy o języku i od znajomości dróg jego ewolucji.

---

[1] Serię pierwszą *Rozmów o języku* omówił Z. Klemensiewicz w obszernej recenzji ogłoszonej w Języku Polskim (XVIII, Kraków 1948).

Dalej zajmuje się autor dość pospolitym błędem, wchodzącym u niejednego osobnika w chorobliwe przyzwyczajenie, brakiem poprawnego polskiego szyku przymiotnika w zdaniu. Zahacza przy okazji o nazwy złożone z przymiotnika i rzeczownika, cierpliwie wyjaśniając taki, a nie inny szyk, np. *Krakowskie Przedmieście, Polskie Radio*, ale *radio angielskie* itp.

Niemałą wartość, bodaj czy nie największą w całej książce, przedstawia wyłożona jasno i wyraźnie sprawa odmiany i wymowy nazwisk i imion obcych (*O wymowie i odmianie nazwisk).* Sprawa to ważna przede wszystkim dla dziennikarzy, tłumaczy itp. Artykulik ten wprowadza (któryż to raz już wobec coraz nowych wątpliwości?) w tę dziedzinę, w której dość trudno się orientować, pewien ład, i sugeruje normę, pozostawiając jednak pewną swobodę we wszystkich kierunkach. W każdym razie rozstrzyga niejedną wątpliwość. Osobne uwagi poświęca nazwiskom rosyjskim (*Wymowa i odmiana nazwisk rosyjskich*), gdzie jest zwolennikiem zasady transliteracji. Co do transkrypcji obcych nazw i nazwisk (*O sposobie pisania nazw i nazwisk cudzoziemskich*), podaje najprostszą zasadę trzymania się raczej pisowni obcej, o ile oczywiście nazwa czy nazwisko nie jest spolszczone od dawna i zaszeregowane do systemu polskiego.

Daleki od nadgorliwości formalistycznej, nie uważa za nieszczęście szerzenie się form męskich tego typu, co *pani profesor, pani doktor,* na osobniki rodzaju żeńskiego.

Część ogólną zamykają artykuły o akcentowaniu wyrazów, gdzie autor poza utartymi, nie po polsku akcentowanymi wyrazami obcymi, dosyć stanowczo opowiada się za polskością akcentu na drugiej zgłosce od końca wyrazu. Ostatni w tej części rozdział *(Celowa troska o język i jej granice*) na przykładach wziętych bezpośrednio z życia omawia specjalnie styl naukowy lekarzy i nie bez humoru podaje przykłady śmieszności domorosłej twórczości w terminologii lekarskiej.

W części drugiej mamy objaśnionych około 50 szczegółowych kwestii związanych z użyciem wyrazów i zwrotów, przy czym niejednokrotnie barwnie i precyzyjnie przeprowadzone dygresje przywołują całą moc przygodnie potrąconych i luźniej z samym zagadnieniem związanych przykładów. Znajdziemy tam odpowiedzi na różne zapytania słuchaczów radia, jak np. z zakresu semantyki, gdy ten sam wyraz przez zastosowanie odpowiedniej końcówki fleksyjnej kwalifikuje się raz do jednej a raz do innej kategorii znaczeniowej *(akta — akty*), z zakresu fleksji: *mórg — morga, meczów — meczy* itp. Ciekawe wywody przytacza w związku z aktualnym zapytaniem co do poprawności gramatycznej nazwy *Sowieci.* Z satysfakcją przyklaśniemy autorowi, gdy wytyka nadmierne używanie i celebrowanie niektórych, w ostatnich czasach aż do zadyszki używanych — gdzie trzeba i nie trzeba — słów typu *rozprowadzać* i *sektor.* Nadużywanie wyrażeń tego rodzaju pleni się bowiem tak dalece, że nieraz w skądinąd poprawnym artykule oko urazi się o takie właśnie naciągane przegorliwieniem urzędowym słówko.

W zakresie wyrazów obcych, używanych w języku polskim (część trzecia), autor rozpatruje ich wymowę, znaczenie, fonetykę, a także zapuszcza się interesująco w etymologię ciekawszych słów. Znajdujemy tu 26 tytułowo objaśnionych terminów.

Na tym zamyka się trzecia i ostatnia część pierwszej serii *Rozmów o języku* W. Doroszewskiego.

Indeks pokazuje nam, że obok wymienionych około 80 zagadnień szczegółowych. potrącił autor do 1000 wyrazów, dla różnych powodów przytoczonych i objaśnionych.

Seria druga, nieco obszerniejsza, jest dalszym ciągiem pierwszej i podobnie opracowanym zbiorkiem aktualnych wiadomości językowych dla słuchaczów radiowych.

Na wstępie części pierwszej tej serii zaciekawia nas artykuł *Istota i mechanizm błędów językowych*, w którym autor zastanawia się nad ich mimowolnymi przyczynami, gdyż — jego zdaniem — błąd językowy jest nie zamierzonym odstępstwem od normy. Po wyliczeniu kilku przykładów usterek różnorakiej kategorii, dochodzi do wniosku, że bezpośrednią przyczyną błędu jest bierność myślowa, powodująca nadużycie tożsamości jakiegoś elementu językowego, rozszerzenie jej zakresu. Skuteczny środek walki z błędami językowymi widzi w intensyfikacji procesu myślenia.

W części drugiej (*Użycie polskich wyrazów i zwrotów*), w podobny sposób jak w serii poprzedniej, zajmuje się szczegółowymi zagadnieniami związanymi z wątpliwymi dla słuchaczy radia funkcjami wyrazów i ich grup. Znajdujemy tu wiele ciekawych uwag na temat użycia par typu: *jak — niż, gderze — gdera, jednocześnie — równocześnie, krawczyni — krawcowa, kroić — krajać* itp. Omówiono szczegółowo 189 wypadków, dla części trzeciej (*Wyrazy obce*) pozostawiając około 50 miejsc

Indeks wykazuje ogółem 2052 omówione szczegółowo lub dygresyjnie pozycje, tj. prawie dwa razy więcej niż w serii poprzedniej.

Co do użycia wyrazów obcych, Doroszewski przeciwstawia się bezsensownym zapożyczeniom, cytując wyjątki z listów młodzieży i robotników skarżących się na nadmiar w języku polskim wyrazów obcych. Wszyscy wiemy, że słuszne jest stanowisko autora opowiadającego się za spolszczeniem najprzeróżniejszych warsztatowych *korbsztangów* i *szwajsaparatów*.

Jak widzimy, różnorodność zagadnień, poruszonych w obu omawianych tomach, płynąca z rożnorodności zapytań i wątpliwości słuchaczy radia, pomnożona o przygodnie i pobocznie przytoczone kwestie, jest duża. Dodajmy, że dobrze sporządzone indeksy wyrazów doskonale pozwalają zorientować się w całości materiału, do najdrobniejszych szczegółów. Styl autora nie budzi zastrzeżeń, nie odstrasza jakimś normalnie w tego typu książkach spotykanym ciężarem schematu językoznawczego; wytworność słowa wiąże się z jasnością i delikatnym dowcipem. Jest to zresztą fabularny styl pogadanek radiowych W. Doroszewskiego, który ścieżki rozwojowe języka polskiego w umysłach słuchaczy prostuje nie gromem alarmu, nie załamywaniem rąk nad upadkiem języka, lecz pobłażliwym słowem. Styl wypowiedzi tego współczesnego językoznawcy ma jeszcze tę zaletę, że książkę jego czyta się z takim samym zainteresowaniem jak dobrą powieść. Gwarantuje to jej, podobnie jak i pogadankom radiowym, szerszą popularność; niewątpliwie przyczyni się ona do podniesienia wiedzy o języku i zaniedbanej przez lata okupacji kultury językowej.

Stefan Reczek

HISTORIA SZTUKI

Zygmunt Batowski, MALARKI STANISŁAWA AUGUSTA. Z przedmową Stanisława Lorentza, Wrocław 1951, Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Zygmunt Batowski, znakomity historyk sztuki, specjalizujący się z wielkim znawstwem w polskim wieku XVIII, zasłużony profesor Uniwersytetu Warszawskiego, zmarł na ulicy warszawskiej 1 września 1944 r., w czasie ewakuacji Starego Miasta. Już poprzednio, we wrześniu 1939 r., w pierwszym pożarze wojennym Warszawy, spłonęły bogate kartoteki Batowskiego, zawierające materiały źródłowe i dokumentację muzealną do prac napisanych w połowie lub dopiero postanowionych.

W trudnych latach okupacji Zygmunt Batowski odbudował swój warsztat naukowy, prowadząc studia w kilku kierunkach, ale zawsze w ramach tego samego wielkiego tematu: Warszawy stanisławowskiej. I właśnie w teczce, którą 1 września 1944 r. zabierał z płonącego domu, leżały ostatnie rękopisy Batowskiego. Gdy Warszawę podpalały zbrodnicze ręce hitlerowskie, dobry traf sprawił, że portfel historyka sztuki, pełen materiałów, szkiców, reprodukcji, ocalał z okrutnego pożaru Starego Miasta.

Malarki Stanisława Augusta należą do tych ostatnich prac, wyniesionych z ulicy Brzozowej, kiedy kładła się w gruzy. Publikację książki poczytajmy za piękną zasługę wydawniczą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich (inne rękopisy z teki pośmiertnej Batowskiego wyszły drukiem w wydawnictwach Polskiej Akademii Umiejętności i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego). Jest to cykl biografii artystycznych i bardzo subtelnych analiz materiału plastycznego, jaki zostawiły po sobie malarki Stanisława Augusta: Anna Rajecka, *Madame* Miączyńska, Weronika Paszkowska, Anna Charczewska, Fryderyka Bacciarelli i jej córki, Marianna i Cecylia Merlini, *Mlle* du Neufgermain, wreszcie najznakomitsza w tym szeregu, portrecistka smutnej starości Stanisława Augusta, Elisabeth Vigée-Lebrun.

Palety zawodowe i amatorskie, uprawiające sztukę różnych poziomów: od dyletanctwa po wysoki stopień realizacji, stanowią zespół artystyczny, zgrupowany bliżej czy dalej, ale zawsze w promieniu dworu i osoby Stanisława Augusta. Autor dba przede wszystkim o materiał biograficzny, nieraz bardzo trudno uchwytny i dziwnie rozproszony (są to prawdziwie *disiecta membra*, jak w biografii Pindara). Ale daty życia malarek to tylko ramy do poznania ich twórczości, wyliczenia prac, uzasadnienia oceny. Szkice biograficzne cyklu nie powstały w jakiejś izolacji źródeł, w autonomii, oczywiście pozornej, zjawiska twórczości. Monografista *Malarek Stanisława Augusta* nasyca ich pracownie realiami wieku XVIII, ustala powiązania i filiacje kulturalne, bada kontakty artystyczne z wielkim znawstwem epoki, opanowanej wszechstronnie, ze stanowiska historyka sztuki, literatury, kultury. Przy takim traktowaniu materiału prace Zygmunta Batowskiego przygotowują rozległy temat naukowy, dotychczas poznany fragmentarycznie: mecenat Stanisława Augusta. (Kto kiedyś zasiądzie do tego wielkiego dzieła?). Ołówek historyka literatury raz po raz zatrzymuje się z uwagą na marginesach książki.

W szkicu o Annie Rajeckiej autor włącza do zasobu źródeł sztuki stanisławowskiej powieść *Polak w Paryżu* (z r. 1787, z powodu rozdziału o malarstwie Greuze'a) i wypowiada w przypisku domysł, że autorem bezimiennego dzieła (skorygujmy: przekładu romansu J. Rutlidge'a *La Quinzaine anglaise à Paris*, wyd. I z r. 1776) jest może Józef Bielawski (s. 8. przyp. 2). Przypuszczenie zupełnie nowe, którego nie zlekceważy historyk powieści stanisławowskiej (dyskusja hipotezy nie mieści się w ramach tego sprawozdania).

Z prac malarskich Rajeckiej zaciekawia nas najbardziej portret Franciszka Bohomolca (s. 15), reprodukowany w aneksach do książki. Portret ten daje nową wersję twarzy Bohomolca, ciekawszą i znacznie mniej skonwencjonalizowaną aniżeli wizerunek Bohomolca odmłodzony pochlebnie, pokazany w gładkim, dworskim uśmiechu przez Ludwika Marteau (w galerii uczestników obiadów czwartkowych).

Przy nazwisku Weroniki Paszkowskiej, która bawi się miniaturą i akwarelą, zanim osiadła na dewocji przy klasztorze św. Rocha w Warszawie, dorzućmy nowy szczegół archiwalny, że to — korespondentka Franciszka Karpińskiego! W zbiorze rozproszonych listów Karpińskiego (który właśnie zestawiamy dla druku) znajduje się list

poety do Weroniki Paszkowskiej, pułkownikówny, u panien Kanoniczek w Warszawie, z daty 20 października 1811. Z tego błahego dokumentu (Biblioteka Zamoyskich w Warszawie, teki Wł. Trembickiego, dotychczas nie opublikowany) można wydobyć pewne uzupełnienia do życiorysu Paszkowskiej, a także drobne światełka do charakteru Karpińskiego.

Najdłużej, najciekawiej w cyklu *Malarek Stanisława Augusta* patrzymy na szkic do portretu Anny Charczewskiej, bratanki Ignacego Krasickiego, która ilustrowała zręczną ręką autograf stryja *Monachomachii czyli Wojny mnichów* (do r. 1945 w archiwum biskupim we Fromborku). Batowski oparł swoją analizę na kopiach tych rysunków, jakie Anna Charczewska przysłała królowi do Warszawy. Owe kopie, zrobione przez samą artystkę, znalazły się w Gabinecie Rycin Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie zaginęły w czasie wojny. Batowski ocalił kopie warszawskie w fotografiach (reprodukowanych w aneksie do książki, niestety, nie dość staranną techniką drukarską, która odjęła wiele oryginałom). Podstawową biografię Charczewskiej ustalił już Ludwik Bernacki. Pod piórem i w ujęciu Batowskiego nabrała ona cechy ludzkiej, artystycznej, stała się giętka, swobodna (jak w notatce z r. 1793 ks Foxa: „Pani Charczewska pojechała do Królewca tańcować..."), mimo że pokazana ze wszystkimi rygorami źródła historycznego, na ścisłej podstawie dokumentarnej.

To właśnie trzeba podziwiać w książce Batowskiego (jak w każdej pracy, która wyszła z tego doskonałego w a r s z t a t u): wielką precyzję roboty, wzorową dokumentację szczegółu, a jednocześnie świadomość, że szczegół „autonomiczny" nie ma żadnego znaczenia, że trzeba go ustawić na płaszczyźnie historycznej, w epoce i środowisku, do którego należy. Zygmunt Batowski umiał to czynić ręką bardzo sumienną, techniką doświadczonego bibliotekarza (jak wybornie umie eksponować, c y t o w a ć źródła! zob. np. s. 52), ale nie gubił nic z powabów, wdzięków, kolorów epoki. *Artifex!*

Tadeusz Mikulski

TREŚĆ ZESZYTU

ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO-LITERACKI

ROK 5 – WROCŁAW 1951 – Nr 2